

Joanna Chmielewska

Skarby

1993

Siedząc na wysokim kuchennym stołku, z łokciami na stole i brodą wspartą na rękach, Janeczka z głębokim niesmakiem patrzyła na brata. Potępienie i nagana wyraźnie malowały się w jej wielkich niebieskich oczach i wzdurliwym grymasem wykrzywiały twarz.

Pawełek przegrał zakład z całą klasą, kompromitując się straszliwie. Wyjawił właśnie siostrze swoją klęskę i teraz posepnie i bez apetytu wylizywał salaterkę po kisielu, samotnie kończąc obiad, na który spóźnił się na skutek dodatkowych zajęć w szkole.

— Chyba zgłupiałeś — powiedziała Janeczka ze śmiertelną odrazą, po bardzo długim milczeniu. — Co ci wpadło do głowy, żeby się o coś takiego zakładać?

— Myślałem, że wyjedzie — odparł Pawełek przygnębiony. — Jak pragnę kichnąć, miał z pół metra z każdej strony. No, może trochę mniej, ale wystarczyło ruszyć parę razy w przód i w tył i już miał drogę.

— Ale przecież to była baba!

— Ale ja dopiero potem zobaczyłem, że to baba. Gdybym wiedział, że baba, przecież bym się nie zakładał!

— No pewnie. Ale niechby facet, to co? Nie słyszałeś, co Rafał mówił? Na stu tych, co dostają prawa jazdy, jeden umie prowadzić samochód. Pamięć nagle straciłeś, czy co?

Pawełek westchnął ciężko i wstawił do zlewu salaterkę po kisielu.

— Wcale nie straciłem pamięci, ale mówię ci przecież! To nie był mały fiat, tylko prawdziwy samochód. Volkswagen golf. Rafał mówił, że najgorsi są ci w małych fiatach. Myślałem, że w porządnym samochodzie siedzi porządny kierowca, i dałbym sobie ręce nogi poobcinać, że wyjedzie!

— Puść wodę na te talerze, bo nie wiadomo, czy nam nie każą pozmywać — powiedziała zimno Janeczka. — Rafał mówił, że ci w porządnym samochodach też są przeważnie do niczego.

Rafał, ich cioteczny brat, znacznie starszy, prawie dorosły, bo już siedemnastoletni, zrobił właśnie prawo jazdy i z wielkim zapałem obdzielał swoimi spostrzeżeniami całą rodzinę, bez względu na to, czy chciała słuchać, czy nie. Janeczkę i Pawełka, słuchających chciwie i z uwagą, informował najdokładniej, w rezultacie czego obydwójce mieli już nie tylko odpracowany cały kurs, ale także ugruntowaną opinię o ludziach za kierownicą. Pawełek znów westchnął ciężko i odkręcił kran.

— Jeszcze i tak dobrze, że się nie założyłem, że położę głowę pod tramwaj albo co — powiedział ponuro.

— Ładne mi dobrze! — wykrzyknęła z gniewem Janeczka i wyprostowała się na stołku. — Trzysta kilo makulatury! Naprawdę musiałeś mieć zaćmienie umysłu!

Pawełek smętnie pokiwał głową. Po krótkim zastanowieniu zgodził się z opinią siostry; zaćmienie umysłu dotknęło go niewątpliwie. Jak zupełny półgłówek założył się, że ten tam jakiś w volkswagenie wyjedzie z ciasnego parkingu, nie rozpoznał baby za kierownicą i, pewien sukcesu, zobowiązał się w razie przegranej dostarczyć sam jeden trzysta kilo makulatury, ciężące nieznośnym brzemieniem na barkach całej klasy. I teraz trudno, przypało, honor mu nakazuje te przeklęte trzysta kilo makulatury jakoś skombinować.

— Pomożesz mi? — spytał z nadzieją.

— A co mam robić? — odparła niechętnie Janeczka.

— Lepiej się od razu zastanówmy, skąd to weźmiemy, bo na gazety z domu nie ma co liczyć. Dwóch kilo się nie uzbiera.

Zastanawianie się dało mierne rezultaty. Pawełek proponował poszukiwania w jakichkolwiek instytucjach i urzędach, w słusznym być może przekonaniu, iż

wszelkie znajdujące się tam papiery są wyrzucane natychmiast po użyciu. Pełna wątpliwości Janeczka rozważała ewentualność pomocy dziadka, który miał liczne znajomości wszędzie tam, gdzie przychodziło mnóstwo listów.

— Dziadkowi chodzi o znaczki, ale to tym lepiej. Znaczki się wycina, a listy wyrzuca. Z listów jest całkiem niezła makulatura. Na kiedy to ma być?

Pawełek zakłopotał się nieco i odchrząknął.

— No, tego... Do końca miesiąca.

Janeczka popatrzyła na niego jakimś dziwnym wzrokiem, a potem spojrzała w okno.

— Mój brat zwariował — powiedziała melancholijnie do pożółkłych drzew w ogrodzie. — Koniec miesiąca jest za dziesięć dni. To znaczy, że musimy donieść do szkoły trzydzieści kilo dziennie, razem z sobotą i niedzielą. O Boże!

— A czy ja mówiłem, że to ma być łatwe? — zdenerwował się Pawełek. — Zresztą, nawet po trzydzieści kilo, na dwie osoby, to jest po piętnaście, wielki mi krzyk...

— Na głowie będziesz nosił czy w zębach?

— Na plecach! I w ręku! Ktoś nam przewiezie, ojciec, albo wujek Andrzej...

Janeczka poczuła nagle w sobie przyływ inwencji twórczej i przestała znęcać się nad bratem. Poprawiła się na stołku i znów oparła łokcie na stole i brodę na rękach.

— Rafał ma kumpla, tego Janusza — podsunęła. — Pomagał mu reperować tę jego ruinę...

— No właśnie! — ucieszył się Pawełek. — I Janusz mu obiecał, że będzie mógł pojeździć! Dlatego w ogóle zrobił to prawo jazdy. Przewiezie nam!

— To już trzeci. Każdy przewiezie trochę. Żaden nie zobaczy wszystkiego i żaden się nie będzie czepiał. Nikomu nie możesz się przyznać, że przegrałeś taki głupi zakład, bo już do reszty będą cię mieli za prawdziwego fioła.

— Nic nikomu nie powiem, coś tam się wykręci. Powiem, że to dla całej klasy i nawet nie zełgam, bo to przecież święta prawda. Na co mnie samemu trzysta kilo makulatury?

— Bardzo dobrze, zaczynamy już dziś. Dziesięć dni, to okropnie mało czasu...

* * *

W składnicy makulatury przy alei Niepodległości odbywał się załadunek towaru. Na ogromną ciężarówkę, stojącą przed sklepem, ładowano wielkie paki zużytego papieru i wręcz nie było temu końca. Paki zapchały już całe pudło i zaczynały tworzyć piramidę, a ludzie ze składnicy wynosili wciąż nowe i nowe.

Janeczka i Pawełek przyglądali się temu z posepnym przygnębieniem. Po czterech dniach, kiedy według wyznaczonej normy powinni mieć już sto dwadzieścia kilo, zdobyli zaledwie trzydzieści pięć, a i to tylko dzięki temu, że ojciec ze swojego biura przywiózł im 25 kilogramów starych odbitek. Nikt inny, ani matka, ani ciotka Monika, ani mąż ciotki Moniki, wujek Andrzej, ani dziadek, ani babcia, nie mógł im dostarczyć upragnionego towaru, wszystkie instytucje bowiem same zbierały makulaturę i odsyłały ją do punktów skupu, pracownicy instytucji zaś chciwie i zachłannie zagarniali bodaj małe cząstki dla siebie w celu wymiany ich na papier toaletowy. Makulatura okazała się nagle materiałem bezcennym i pilnie poszukiwanym. Trzysta kilo w tak krótkim czasie było nie do zdobycia.

Głęboko zaniepokojony zagrożeniem swojego honoru Pawełek zaproponował, żeby spróbować właśnie w składnicy. Co spróbować, nie sprecyzował i Janeczka w pierwszej chwili posądziła brata o chęć kradzieży. Kradzież makulatury w składnicy

makulatury nie wydała jej. się wielkim przestępstwem, skradziona makulatura miała bowiem rychło wrócić do składnicy, istniał wszakże szkopuł finansowy. Niewątpliwie zapłacono za nią, przy ponownym dostarczeniu zaś musiano by ponownie zapłacić. Janeczka nie była pewna, jak szkoła załatwia te rzeczy, nie interesowała się tym dotychczas, jeżeli jednak szkoła brała pieniądze, kradzież nie byłaby pożyczką, tylko prawdziwą, rzetelną kradzieżą i raczej nie należało się na nią godzić. Pawełek w rozpaczy mógł mieć różne dziwne pomysły, ale ona powinna zachować rozsądek i umiar przestępczy.

Pawełkowi myśl o kradzieży być może mignęła w głowie, ale już w zarodku zlikwidował ją sam ciężar wynoszonych pakunków. Młodzi, silni mężczyźni wyraźnie się pod nimi uginali. Niemniej w składnicy makulatura była i należało tylko wykombinować jakiś sensowny sposób zdobycia jej dla potrzeb własnych. Może odkupić?

Podzielił się swoimi niejasnymi myślami z Janeczką, która z dużą ulgą pozbyła się podejrzeń.

— Z kupowania nic nie wyjdzie — rzekła z namysłem, przyglądając się wystawie składnicy. — Nie sprzedadzą.

— Bo co? — zirytował się Pawełek.

— Bo popatrz, oni tu mają nie tylko papier toaletowy, ale także czajniki, garnki i inne takie. Dają za makulaturę. To jak ci się zdaje...?

— A...! Myślisz, że się muszą z tego wyliczyć?

— No a jak?

— Faktycznie. O rany. Czekaj, zobaczymy gdzie indziej. W jakiejś składnicy, gdzie nie ma garnków i papieru toaletowego...

W składnicy na Różanej, gdzie nie było produktów na wymianę, zastali proces odwrotny. Wielka ciężarówka przyjechała załadowana papierem i właśnie przenoszono to wszystko na rampę i do środka. Cały personel był zajęty, na przyglądające się dzieci nikt nie zwracał uwagi.

— Popatrz, co oni przywieźli — powiedziała Janeczka, zdumiona i oburzona. — Sam czysty papier. No patrz, ile tego! Przecież on jest w ogóle niczym nietknięty!

— Zdrowo by nas przeświecili, jak byśmy przynieśli do szkoły czysty papier jako makulaturę — mruknął Pawełek, obserwujący jakichś ludzi, którzy grzebali w stosach leżącego pod ogrodzeniem żelastwa.

— Ty, popatrz, różni tu gmerają. Coś mi się widzi, że w tej składnicy można robić zakupy.

— Możliwe, ale nie będziemy przecież kupować czystego papieru.

— Przecież chyba przywożą tu i używany?

Stali niepewni i zdenerwowani, a zarazem pełni nadziei, kiedy przez otwartą bramę zaczął przejeżdżać jakiś człowiek z małym wózekiem, wyładowanym całym stosem makulatury. Zatrzymał się, zepchnął z czoła ku tyłowi czapkę i z powątpiewaniem popatrzył na zamieszanie przy ciężarówce.

Janeczka i Pawełek poruszyli się równocześnie i wymienili błyskawiczne spojrzenia. Człowieka najwyraźniej w świetle zesłała litościwa Opatrzność. Zbliżyli się do niego, hamując niecierpliwość i kryjąc wybuchłe nagle emocje.

— Przyjechał pan sprzedać? — spytał Pawełek, usiłując przybrać ton obojętny i pozbawiony większego zainteresowania.

Człowiek spojrział na niego, sapnął głośno i wzruszył ramionami.

— Żle pan trafił — zauważyła Janeczka współczująco. — Tej kotłowaniny tak prędko nie skończą.

Człowiek znów wzruszył ramionami i podrapał się w głowę, przesuwając sobie czapkę na oczy.

— I co pan teraz zrobi? — spytał Pawełek. Człowiek pomamrotał coś cicho pod nosem, a potem odezwał się głośnie.

— A bo ja wiem? Czekać, to długo... Zimno. Pójdę pogadać.

— Nie warto — odradzała stanowczo Janeczka. — Przegonią pana. Ile pan tu tego ma?

— Siedemdziesiąt kilo jak obszył. A bo co?

— A bo może my byśmy od pana kupili — rzekł Pawełek z determinacją. — Nam potrzeba do szkoły. Dla pana wszystko jedno, komu pan sprzeda.

Człowiek z wózeckiem oderwał wzrok od zapchanej papierem rampy i z zainteresowaniem obejrzał dziewczynkę i chłopca, których do tej pory uważał za natrętów, niepotrzebnie zwracających głowę. Teraz ujrzał w nich wybawienie od kłopotu.

— Mnie bez różnicy, komu sprzedam, ale co wy z tym zrobicie? Nigdzie dalej nie jadę. Tu mam wywalać?

— Mógłby nam pan pożyczyć wózecek — zaproponował Pawełek niepewnie. — My niedaleko mieszkamy.

— Mowy nie ma.

Janeczka puknęła brata w łokieć.

— Ojciec jest w domu, wcześniej wrócił. Mógłby po nas przyjechać.

— Miał być teraz wujek Andrzej, żeby nie tego... wiesz..

— Ale wujka Andrzeja nie ma, a ojciec jest.

— No dobrze, niech będzie, tylko jak go zawiadomić?

— Telefon...

— Coś ty? Tu nas nie dopuszczają, w ogóle nie wiem, czy mają telefon. A w automacie będzie gadało „wrzuć monetę, wrzuć monetę”.

— No to Chaber. Przyczepimy mu kartkę do obroży. Chaber, ich pies, był zwierzęciem najmądrzejszym na świecie. Przez całe dwa i pół roku swego życia, z czego półtora roku spędził przy boku swych państwa, zdążył tysiącokrotnie udowodnić, że nie istnieje na ziemi istota rozumniejsza od niego. Obiegł już i obwąchał całą składnicę, a teraz siedział spokojnie przy bramie i czekał dalszych wydarzeń. Na dźwięk swojego imienia uniósł lekko zwisające uszy. Pawełek gorączkowo szukał po kieszeniach kartki papieru. Janeczka popatrzyła na niego z politowaniem, popukała się w czoło, podeszła do ciężarówki i bez najmniejszego wahania oderwała strzępek od zwisających z niej czystych arkuszy. Pawełek radośnie kiwnął głową, znalazł długopis i pośpiesznie napisał na strzępku kilka zdań.

— Nie za obrożę, mogą nie zauważyć — ostrzegł. — Lepiej do pyska.

Janeczka podała złożony strzępek psu, który już stał w gotowości, bezbłędnie wiedząc, iż za chwilę usłyszy jakieś polecenie.

— Chaber, do domu! — rozkazała. — Do tatusia! Daj to tatusiowi. Szybko!

Pies delikatnie ujął w zęby kawałek papieru i w trzy sekundy potem już go nie było widać.

— No to już wszystko załatwione — zwrócił się zadowolony Pawełek do człowieka przy wózecku, podejrzliwie obserwującego manipulacje z psem. — Zaraz tu przyjedzie nasz ojciec i pomoże nam. Chce pan to wyładować na chodnik czy może pan poczekać?

— Mogę poczekać — zdecydował człowiek z godnością. — Siedemdziesiąt kilo, uczciwie!

Pan Roman Chabrowicz obracał się właśnie przed dużym lustrem w holu, przymierzając sweter, któremu brakowało rękawów i kołnierza, a który wspólnym wysiłkiem robiły mu na drutach jego żona, pani Krystyna, i jego siostra, ciotka Monika. Sprzeczkę na temat rodzaju zapięcia, na zamek błyskawiczny czy na guziki,

przerwało drapanie do drzwi i szczęknięcie klamki.

— To Chaber — powiedział pan Roman. — Otwórzcie mu. Ja wolę zamek błyskawiczny.

— Sam sobie otworzy — odparła pani Krystyna i w tym momencie pies wpadł do holu. Skoczył do pana Romana i oparł mu na swetrze zabłocone łapy.

— O Boże! — jęknęła ciotka Monika. — Chaber! Wytrzymaj nogi!

— Zdaje się, że nasze dzieci przysłały list — powiedział równocześnie pan Roman i wyjął karteczkę z psiego pyska.

Pani Krystyna niespokojnie rzuciła okiem na psa, który międlął i wałkował sukno pode drzwiami, posłusznie usiłując wytrzeć łapy. Nie okazywał żadnego zdenerwowania, uspokoiła się zatem natychmiast. Pan Roman odczytał karteczkę.

— No, już? — zapytał. — Mnie się ten sweter bardzo podoba, mogę zdjąć? Muszę jechać po dzieci.

— Przecież nic się nie stało? — powiedziała pani Krystyna, znów spoglądając na psa.

— Nic, ale zdobyli makulaturę dla szkoły i muszę im przewieźć. Blisko są, zaraz wrócę.

— Zaczynam mieć dosyć tych dziwacznych wymagań szkoły — mruknęła niechętnie pani Krystyna, zdejmując z męża nie dokończony sweter. — Makulatura i makulatura, istny obłęd. Ileż tego ma być...?

— Daj mi jakieś opakowanie — przerwał pan Roman. — Dzieci piszą, że to jest w proszku. Jakaś torbę, worek albo co.

Zanim zaopatrzony w liczne plastikowe torby ojciec zdążył przyjechać, Pawełek ubił interes z człowiekiem z wózeckiem. Człowiek zajmował się zbieraniem makulatury zawodowo i obiecał cały plon najbliższych dni dostarczyć im do domu, zamiast na Różaną. Rzeczywiście było mu wszystko jedno, kto od niego kupi zdobyty towar, a miał przynajmniej pewność, że w prywatnym domu nie natknie się na żadne przyjęcie towaru i zamknięcie składu.

Okropny stos papieru został zwalony w holu pod schodami i zagroził całe przejście do schodów piwnicznych. Willa, którą pan Chabrowicz odziedziczył po swoich przodkach, była wprawdzie obszerna, ale przeszło sto kilo makulatury dało się w niej zauważyć. Pani Krystyna stanowczo zażądała poukładania tego i związania w ciasne paczki. Pocieszającą informację Pawełka, że to tylko do końca miesiąca i pierwszego listopada nie zostanie po niej nawet śladu, przyjęła z pewną nieufnością. Z rezygnacją natomiast zgodziła się na logiczne wyjaśnienie, iż makulatura całej klasy musi być składana u jej syna, ponieważ on ma największy dom. To ostatnie było faktem niewątpliwym.

W trzy dni później trzysta kilo zostało nie tylko osiągnięte, ale nawet przekroczone i rodzeństwo przestało istnieć dla świata. Od powrotu ze szkoły do późnego wieczoru tkwiło pod schodami, segregując, ugniatając i wiążąc.

* * *

— Uważaj na listy — powiedział Pawełek i otarł pot z czoła. — Sprawdzajmy porządnie, czy nie ma znaczków, bo dziadek by nas wyklął.

— Są, oczywiście. Przyniiesz nożyczki. Ktoś tu wyrzucił podarte listy. Listy podarł, a znaczki na nich zostawił, głupi czy co?

— To masówka — zauważył Pawełek, wracając z drugą parą nożyczek.

— No to co, że masówka? Dziadek mówił, że i w masowce mogą być błędnodruki. Dzięki filatelistycy dziadka, który od wielu lat był w tej dziedzinie ekspertem,

Janeczka i Pawełek dysponowali nieprzeciętną wiedzą o znaczkach. Powolutku zaczęli nawet zbierać.

Listy w makulaturze przytrafiały się rzadko, ale tu znalazł się ich nagle cały stos. Wszystkie były podarte razem z kopertami. Wycinając ocalałe znaczki z pooddzieranych kawałków, odruchowo zaglądali do środka. Szacunek dla znaczków mieli wpojony tak głęboko, że nawet nie musieli o tym myśleć, samo im się zaglądało. Od czasu do czasu wpadały im w oko jakieś słowa, ale nie zwracali na nie uwagi, bo treść korespondencji nie miała znaczenia. Przerywana szelestem papieru pośpieszna praca trwała.

— Co? — powiedział nagle Pawełek i sięgnął po kawałek kartki, który wypadł z ćwiartki koperty. — Ejże! Co to ma być?

— A co? — zacięła się Janeczka.

Pawełek milczał przez chwilę, odczytując fragment listu.

— Skarby — oznajmił niepewnie. — Ktoś tu pisze o skarbach. Rzuciło mi się w oko.

Janeczka zainteresowała się i odebrała mu kawałek papieru.

— Rzeczywiście. A to co ma znaczyć?

— Nie wiem. Jakies skarby. Czeka, zastanówmy się. Razem pochylił się nad oderwanym kawałkiem, którego treść brzmiała:

cze zawiadomić o najważniejszym.
we skarby i powiem Ci, jak je zdobyć.
suku w Mahdii, potem pojedziesz do Sou-
prost fenomenalny, wręcz nie do wiary.
przez Wąwóz Mały, bo inaczej nie do-
jest po lewej stronie drogi na zaporę,
ne nieprawdopodobne wręcz cuda. Dziel-
jest ten kamieniołom, czy kopalnia żywi-
Czegoś podobnego nie możesz sobie na-
odwalić bez wielkiego wysiłku w
tam znajdziesz także te
tato są bezcenne rze-

Przez długą chwilę rodzeństwo wpatrywało się w kartkę, a potem pytająco popatrzyło na siebie. Potem znów obydwójce spojrzeli na kartkę.

— Iiiii... — skrzywił się sceptycznie Pawełek. — Jeżeli wyrzucił list, to te skarby pewnie dawno już znalazł...

— Gdzie ten kawałek koperty? — spytała Janeczka. — To znaczy, gdzie ten znaczek, który wyciąłeś z tego kawałka koperty?

— Myślisz, że będzie na nim data? — ożywił się Pawełek, pośpiesznie sięgając po odłożony wycinek.

— A co nam szkodzi popatrzeć? Może będzie także miejscowość?

Stempel na znaczku odbity był niewyraźnie, jakieś cyfry i litery, jednakże coś można było odczytać.

— Przyniesi lupę! — zażądała Janeczka.

Pawełek poderwał się i popędził po lupę. Jego siostra była wprawdzie o rok młodsza od niego, ale jej przerażająco zimna krew i niezachwianie logiczny sposób myślenia sprawiały, że we wszystkich ważnych chwilach życiowych przejmowała kierownictwo. Pawełek za skarby świata nie przyznałby się do tego na głos, ale w głębi duszy podziwiał, szanował i wysoko cenił jej umysł. W ogóle nie była podobna do innych dziewczyn i korzyści, płynące z podporządkowania się jej poleceniom,

ujawniły się już wielokrotnie.

Przez lupę udało się odczytać litery MAHDI i część daty. Miesiąc i dzień nie odbiły się wcale, ale 1984 było doskonale widoczne.

— Ty, to przecież z tego roku! — zdumiał się Pawełek.

— I z tej samej miejscowości — zwróciła mu uwagę Janeczka. — Popatrz, tam jest mowa o jakiejś Mahdii, a tu na stemplu też jest Mahdia, tylko jej brakuje „a” na końcu. Nic z tego nie rozumiem.

— No właśnie. Czekaj. Jakaś osoba była na miejscu, tam gdzie są te skarby. Jakaś druga osoba dostała w liście wiadomość, jak te skarby znaleźć. Po pierwsze, dlaczego ta pierwsza osoba sama ich nie znalazła, a po drugie, dlaczego druga osoba wyrzuciła taką wiadomość? To jest nie do pojęcia.

Janeczkę nagle coś tknęło.

— Poszukaj tego kawałka koperty, z którego wyciąłeś znaczek. Która to?

Pawełek bezbłędnie wyłowił z papierowego śmietnika odrzucony przed chwilą kawałek koperty. Janeczka uważnie przyłożyła znaczek do wyciętego miejsca dla sprawdzenia, czy to na pewno to, a potem odwróciła kopertę na drugą stronę. Potwierdzenie mglistego przeczucia sprawiło, że nagle zrobiło jej się gorąco.

— No tak — powiedziała z triumfem i podsunęła Pawełkowi kopertę pod nos. — Tak podejrzewałam. Proszę!

Pawełek przyjrzał się uważnie oddartej ćwiartce i też mu się zrobiło gorąco.

— Coś takiego! Ten list jest zaklejony!

— No właśnie. Może druga osoba wcale tego nie przeczytała?

— Możliwe. To już do reszty nic z tego nie rozumiem. Kto drze i wyrzuca nie przeczytane listy?

Janeczka poczuła, że musi się upewnić, bo mającyła tu jakaś, wręcz zbyt piękna, tajemnica. Kto wie...? Adresat nie czytał listu, nie ma o nim pojęcia, a nadawca nie wie o tym, że adresat nie przeczytał. Skarby, które jedna osoba poleciła drugiej osobie znaleźć i wydobyć, spokojnie leżą na miejscu i czekają na swego odkrywcę. W dodatku miejsce też jest jakieś niezwykle... Opanowała lęgnące się emocje.

— Po pierwsze spróbujemy znaleźć resztę tej koperty. Mógł jej ten ktoś nie otwierać zwyczajnie, tylko przeciąć z boku, po przeciwnej stronie niż znaczek. Dziadek tak robi. A po drugie... Nie, najpierw znajdziemy po pierwsze!

Pawełek doskonale pojął sedno rzeczy. Po godzinie usilnych poszukiwań znaleźli oddarty narożnik koperty, w którym tkwił kawałeczek papieru, pokryty tym samym, drobnym, wyraźnym pismem. Treść brzmiała:

jeźdzamy
Nie pisz wię
dzieję, że ten
ci. W końcu bę
poste restante. Za
na jest wszędzie! Ca

Narożnik był również zaklejony i nigdzie nie przecięty. Janeczka i Pawełek ułożyli na podłodze oddzielnie skrawki korespondencji, a oddzielnie ćwiartkę i narożnik koperty i oddali się pracy dedukcyjnej.

— Po kolei — zarządziła Janeczka. — Po pierwsze, ten list jest dziwny. Jeżeli ta kartka była złożona, to gdzie jest jej druga połowa?

— Nie było żadnej drugiej połowy — odparł Pawełek stanowczo. — Sam to wyjąłem, było pojedyncze. Ten ktoś napisał list na połowie kartki i nic nie musiał składać. Poza tym ona jest sztywna.

— No owszem. Tak wygląda. Bardzo krótki list. Po drugie, to są dwa przeciwległe narożniki. Niemożliwe jest przeciąć list tak, żeby na tych dwóch rogach nie było nic widać. Więc po drugie, list był rzeczywiście zaklejony i nikt go nie przeczytał.

— Z czego wynika po trzecie — podjął Pawełek. — Druga osoba nie dowiedziała się o skarbach, szczególnie, że oni przestali do siebie pisać. Tu miało być „nie pisz więcej do mnie”. Pewnie im chodziło o zachowanie tajemnicy.

— A jeżeli dogadali się, że będą pisać do siebie na poste restante?

— Jak się dogadali? Przecież ta osoba nie przeczytała tego listu i nic nie wie o poste restante!

— No może... No więc masz rację, ten drugi nic nie wie o skarbach. List jest z tego roku, nawet jeżeli pogubili się na początku, możliwe, że jeszcze nic nie zdążyli zrobić.

— Po czwarte, pogubili się na pewno — zawyrokował Pawełek z zapalem. — Popatrz tu: „jeżdżamy”. Niby co to ma być? Powinno być: „wyjeżdżamy”, nie?

— Może być jeszcze „przyjeżdżamy”.

— E tam, przyjeżdżamy! Jak by przyjeżdżali, to by nie pisał o skarbach, tylko powiedział osobiście! I niepotrzebne by mu było poste restante!

— No dobrze. Zgadzam się. Po czwarte pogubili się. Tamten wyjechał i nie pisze, ten pisze, bo nie wie, że ma nie pisać, ale tamten wyjechał, więc nie dostaje listów. Pisze na poste restante, ale ten nie odbiera, bo nic o tym nie wie. W dodatku długo spokojnie czekali, bo wiadomo, że zagraniczny list może iść nawet i trzy miesiące...

— No więc, po piąte...

— Czekaj, to ja mam po piąte! Po piąte, dlatego on nie mógł wy dostać tych skarbów! Wyjechał i nie zdążył!

Pawełek z wielką energią zaczął na zmianę kiwać i kręcić głową.

— Nie tak! To znaczy tak, ale niezupełnie. Zobacz, co tam jest napisane. Coś trzeba odwalić i do tego jeszcze jakiś kamieniołom. On zwyczajnie nie dał rady, możliwe, że potrzebne mu były jakieś narzędzia albo co, nie zdążył sobie tego zorganizować, bo musiał wyjechać.

— Może być — zgodziła się Janeczka. — Na jedno wychodzi. Ale to już należy do drugiego etapu. A nawet nie. Do trzeciego.

— Jakiego trzeciego etapu?

— Musimy się nad tym zastanowić etapami, bo to nie jest prosta sprawa. Pierwszy etap mamy już z głowy. Skarby leżą nienaruszone, bo ci dwaj nie mogą się ze sobą dogadać; Drugi etap.

— Co, drugi etap? — spytał po chwili Pawełek, nieco zniecierpliwiony, bo jego siostra nagle zamilkła.

Janeczka ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w wycinek ze znaczkiem. Ujęła lupę i jeszcze raz przyjrzała się niewyraźnemu odbiciu stempla.

— Robaczki — oznajmiła wreszcie z satysfakcją. Pawełek łypnął okiem podejrzliwie i odebrał jej lupę i znaczek. Obejrzał go z wielką uwagą.

Na połowie stempla niewyraźnie widoczne było coś, co wyglądało jak drobniutki ornament. Paweł wydał okrzyk uznania.

— Ha! Rzeczywiście! Pismo robaczkowe!

— No więc to jest właśnie drugi etap — rzekła Janeczka, pełna emocji. — Musimy odgadnąć, gdzie to jest, bo ta Mahdia, sama z siebie, nic nam nie daje.

— Jak to nic nie daje, mnóstwo daje! Robaczki są arabskie, nie?

— No, arabskie, no i co z tego? Może być Syria, może być Irak, Libia, Iran, mam ci wymienić wszystkie arabskie kraje?

— I jeszcze ci od petrodolarów — przyznał zakłopotany Pawełek, drapiąc się w głowę. — Masz rację, niezły kawałek świata. Może się teraz przyda na co ten twój

fijoł geograficzny...

Ujął kartkę, obejrzał jeszcze raz i odwrócił na drugą stronę.

— Ty, coś tu jest! Popatrz, jakiś rysunek!

Po drugiej stronie oddartej ćwiartki znajdował się istotnie rysunek, przypominający fragment mapki. Tuż przy rozdarciu widniało kółko, które mogło oznaczać miejscowość, napisana była bowiem przy nim nazwa: TIARET. Od kółka odchodziły wijące się wężyki, przy jednym z nich narysowana była kropka i znów nazwa: MAHDIA. Tajemniczy autor tajemniczego listu obrazowo uzupełnił swoje informacje.

— Tiaret — powiedział Pawełek. — To chyba też miasto? Jeszcze nie wiesz, gdzie to jest?

Janeczka na czworakach któryś kolejny raz odczytywała fragment korespondencji.

— Mahdia, zgadza się — rozważała z namysłem. — Potem pojedziesz do Sou. Co to może być?

— Pewnie też miejscowość, nie?

— Może, ale nie wiem jaka.

— O rany, nie możesz zgadnąć? Nie dość, że masz Tiaret, Mahdię i coś na Sou, to jeszcze Wąwóz Małp! Nie wiesz, gdzie może — być Wąwóz Małp?

Janeczka porzuciła kartkę i usiadła po turecku.

— Wąwóz Małp może być wszędzie — zakomunikowała z rozgoryczeniem. — Wolalabym już Wąwóz Słoni albo Wąwóz Tygrysów, albo Wąwóz Krokodyli...

— Co ci za różnica, małpy czy krokodyle?

— Nie ma takiego miejsca, gdzie by nie było małp. A krokodyle i tygrysy są tylko gdzieśgdzie. Łatwiej byłoby zgadnąć. Na razie widzę dwa sposoby.

— No? Jakie?

— Jeden, to kawałek po kawałku obejrzyć wszystkie mapy wszystkich krajów arabskich świata. A drugi, to sprawdzić w znaczkach dziadka, na czym są takie same robaczki...

Urwała i w tym samym momencie obydwójce poderwali się równocześnie. Rzucili się na znaczek, jak wygłodniałe sępy na żer. Razem usiłowali spojrzeć przez jedną lupę.

Nazwa kraju wypisana była na znaczku maleńkimi, drukowanymi literkami. Całkowicie pokrywała ją krawędź stempla, ale pod lupą udało się to odczytać.

— Algieria — przeczytała Janeczka triumfująco. — Drugi etap zakończony!

— No, jeżeli tak samo przytomnie będziemy szukać tego skarbu, to faktycznie, wzbogacimy się, że hej! — zauważył Pawełek z niesmakiem. — Niedorozwój umysłowy. To chyba ta makulatura tak działa, skończmy z tym i zajmijmy się poważnymi sprawami.

— Żeby szukać skarbu w Algierii, trzeba się tam dostać — przypomniała cierpko Janeczka. — Masz na to jakiś sposób?

Pawełek, który już przystąpił na nowo do sortowania i układania śmietnika, zastygł nagle z wielkim plikiem gazet w objęciach. Janeczka spojrzała na brata i również znieruchomiała.

— Mam — powiedział uroczyście. — Otóż mam. No, prawie mam. Znaczy, możliwe, że mógłbym mieć. Cicho, nic nie mów, jutro się okaże...

* * *

Nazajutrz Pawełek wrócił ze szkoły dopiero przed samym obiadem i Janeczka potrzebowała całej siły ducha, żeby zachować spokój i równowagę. Ze

zdeenerwowania poukładała porządnie do końca całą makulaturę, tak że pozostało już tylko ścisnąć paczki i związać je sznurkiem. Dopomógł w tym ojciec, trzeba więc było przeczekać jeszcze i ojca. Pan Chabrowicz uparcie nie uwalniał dzieci od swej obecności, ilość makulatury bowiem, z której po raz pierwszy zdał sobie dokładnie sprawę, zdumiała go i napełniła niepokojem. Pawełek konsekwentnie twierdził, iż jest to kontyngent na całą klasę, gromadzony u niego z racji przestrzeni mieszkalnej i solennie przysięgał, że to tylko ten jeden raz i nigdy więcej. Jutro się ją przewiezie i będzie spokój. Nie, nie jutro. Lepiej pojutrze.

— Dlaczego pojutrze? — spytała wychodząc z kuchni pani Krystyna. — Ja bym się tego chętnie pozbyła już dzisiaj. Dlaczego nie jutro?

Pawełek nie mógł powiedzieć, że musi umówić pod szkołą dwudziestu dziewięciu kumpli, z których każdy weźmie przypadające na niego dziesięć kilo i odniesie do szkolnego magazynu jako własną normę, żeby nie budzić niczyich podejrzeń i broń Boże nie ujawnić kompromitującego zakładu. Nie spodziewał się, że Janeczka odwali całą robotę, i nie umówił kumpli na jutro. Może ich umówić dopiero jutro na pojutrze. Właściwie do kumpli, jako takich, mógł się przyznać...

— Przecież nie będziemy sami nosili trzystu kilo! — zaprotestował z oburzeniem. — Muszę zwołać całą klasę do pomocy. Jutro ich zwołam na pojutrze.

Pan Chabrowicz popatrzył na paczki i skwapliwie zgodził się na pojutrze. Pani Krystyna westchnęła, machnęła ręką i opuściła hol, żeby nie patrzeć na ten skład śmieci. Janeczka i Pawełek mogli wreszcie zamknąć się w swoim pokoju.

— No! — powiedziała z naciskiem Janeczka, patrząc na brata roziskrzonym wzrokiem.

Pawełek natychmiast przystąpił do rzeczy.

— No więc to się robi tak: trzeba zrobić fotokopie dyplomu ojca i uprawnień budowlanych. Przetłumaczyć to na francuski. Trzeba mu napisać życiorys i zaraz... czekaj...

Pospiesznie wygrzebał z teczki zeszyt do fizyki, odwrócił go do góry nogami, otworzył na ostatniej stronie i dalej już czytał.

— Szczegółowy przebieg pracy zawodowej z podaniem wszystkiego, co zrobił, mają tam być różne kubatury, metry i w ogóle mnóstwo liczb. To też trzeba przetłumaczyć na francuski u tłumacza przysięgłego. Załączyć fotografię. Wszystko razem dać takiemu, co jedzie do Algierii, a tam on da takiemu, który znajdzie pracodawcę. Temu, co znajdzie pracodawcę, należy przywieźć prezent, bo to jest Arab. Od pracodawcy dostaje się kontrakt, idzie się z tym do Polservisu i reszta już sama leci. Potem się jedzie do Algierii i można zabrać ze sobą całą rodzinę oraz meble, garnki i samochód, samochód koniecznie. Kropka.

— Skąd to wszystko wiesz? — spytała słuchająca Janeczka.

— Mojego jednego kumpla ciotecznego brata ojciec tak pojechał do Algierii, dopiero co. Wszystko wie. Ten kumpel dzwonił przy mnie do tego ciotecznego brata i on mu wszystko podyktował przez telefon. Przez tego ciotecznego brata można znaleźć takiego, co jedzie do Algierii, bo okazuje się, że tam jest mnóstwo ludzi od nas i bezustannie ktoś jeździ tam i z powrotem.

Janeczka przez chwilę rozważała kwestię.

— Wiem, gdzie leżą ich dyplomy i inne takie — powiedziała z namysłem. — Największy kłopot będziemy mieli z tymi kubaturami od pracy zawodowej, bo życiorys to nic takiego...

— Jak to? — zdziwił się Pawełek.

Janeczka zdziwiła się jego zdziwieniem.

— No, jak to? Przecież musimy to wszystko napisać, nie?

— Jak to? — powtórzył Pawełek, nie tylko zdziwiony, ale już zaniepokojony. —

My?

— A kto? Ten cioteczny kumpel brata?

— No nie... Ale myślałem, że ojciec...

— No coś ty — powiedziała wzgardliwie Janeczka, z politowaniem wzruszając ramionami. — Po ojcu się tego nie spodziewaj. W ogóle mu o tym nie należy nawet mówić, bo jeszcze się zaprze i tyle z tego będzie my mieli. Powie, że się nie będzie napraszał, że nic z tego nie wyjdzie, że ma robotę i nie może jej rzucić, że nie ma czasu i nie wiem co tam jeszcze. Nie będzie mu się chciało. A jak sami załatwimy wszystko i dosta nie to coś tam od tego zagranicznego pracodawcy, to już przepadło. Będzie ogłuszony i pojedzie.

— No, owszem — przyznał z wahaniem Pawełek. — Wtedy już matka resztę załatwi. Ale to nie taka prosta sprawa.

— Toteż mówię...

— Ale nie, samo napisanie, to jeszcze nic. To trzeba poświadczyć.

— Co trzeba poświadczyć?

— Wszystko. Zaczyna się od tego, że dyplom... Zaraz.

Pawełek znów zajrzał do zeszytu od fizyki.

— Dyplom musi być poświadczony przez odpowiednią instytucję. Uczelnię albo ministerstwo. Przebieg j pracy zawodowej musi być poświadczony przez byle które kadry. Mogą być ostatnie. Tylko życiorysu nie trzeba poświadczać, ale z tamtymi poświadczeniami ! nie wiem, co zrobimy.

— Jak to, dyplom? — spytała zaskoczona Janeczka. — Bez poświadczenia ojca dyplom jest nieważny? Przecież ma go od tysiąca lat!

— U nas ważny, a do tłumaczenia nie. Czekaj, bo ten cioteczny brat wszystko mi powiedział, przez telefon, ale jednak. Okazuje się, że różni tacy kupowali sobie dyplomy na bazarze, dawali do tłumaczenia i już mieli gotowe. No więc wyszło takie zarządzenie dla tłumaczy, że nie wolno im tłumaczyć niczego bez pieczęci, że to prawdziwe, a nie kupione na bazarze. Podobno w różnych miejscach są specjalne komórki do tego poświadczenia, siedzi gdzieś tam taka osoba, przynosi się Jej dyplom, ona wali pieczęć i po krzyku.

— Ale przecież musi sprawdzić, czy to prawdziwy?

— Wcale nie sprawdza. Oni uważają, że nikt z fałszywym dyplomem do poświadczenia nie przyjdzie, więc jeżeli ktoś przychodzi, na pewno ma prawdziwy. Ktoś musi iść z tym dyplomem.

— Ktoś dorosły, bo jeżeli sami pójdziemy, będzie podejrzane — stwierdziła zmartwiona Janeczka. — Chociaż... Czekaj! Mam pomysł!

— No?

— Ty się dowiedz, gdzie jest ta komórka od dyplomu ojca. A ja ci powiem, co zrobimy.

— Komórka mięta, to jest dyplom z Politechniki. Polecę na Politechnikę i spytam, gdzie poświadczają. Życiorys dostanę od kumpla...

— Zwariowałeś? Naszego ojca życiorys dostaniesz od kumpla?!

— Wzór życiorysu! Krótkie ma być. Według wzoru napisać, to w ogóle nic.

Zostanie nam tylko ten przebieg pracy zawodowej...

— Na przebieg pracy zawodowej napuścimy Rafała — zdecydowała Janeczka stanowczo. — W przyszłym roku będzie zdawał maturę i chce iść na studia, i jeszcze nie jest pewien, czy iść na mechaniczny, taki od samochodów, czy na te konstrukcje, tak jak ojciec. Podpowiemy mu, że powinien się dowiedzieć, co właściwie robił przez całe życie, szczegółowo. I sam sobie popatrzeć, czy mu się to podoba.

— Fajnie! — ucieszył się Pawełek. — Będziemy przy tym i zapiszemy każde słowo. Kubatury nam z tego muszą wyjść!

* * *

Spisek przeciwko panu Chabrowiczowi przybrał charakter zdecydowany i ruszył pełną parą. Wyciągnięcie dyplomu z pudełka z dokumentami wymagało trzech minut, w dyplomie zaś znajdowały się uprawnienia budowlane. Uzyskanie numeru pokoju w odpowiednim ministerstwie, gdzie mieściła się poświadczająca komórka, przyszło bez trudu, tą informacją posłużył bowiem cioteczny brat kumpla. Dzielił się swoją wiedzą bezinteresownie i życzliwie, domagając się tylko w zamian przyrzeczenia, że w razie czego jemu się też wszystko powie.

Nazajutrz po odwiezieniu makulatury, natychmiast po szkole, rodzeństwo złożyło wizytę w ministerstwie.

Urzędująca w komórce pani była przypadkowo osobą miłą, uczynną, a co najważniejsze, inteligentną. Należała do nielicznej grupy urzędników mających pojęcie o tym, co robią. Zdziwiła się nieco, widząc wkraczające do pokoju dwoje dzieci w wieku 12 lub 13 lat, ale spokojnie czekała, co będzie dalej. Dzieci były bardzo podobne do siebie, jasnowłose, niebieskookie, grzeczne i dobrze wychowane.

Wyłuszczyły cel przybycia, po czym, nie dopuszczając do żadnej reakcji, kontynuowały wyjaśnienia.

— Nasz ojciec uważał, że powinien przyjść sam — wiedziała Janeczka, patrząc na panią wielkimi, niewinnymi oczami. — Ale akurat skreślił nogę i przez tydzień nie może chodzić, i okropnie się martwi, że mu i wszystko przedłuży...

— A za trzy dni są jego urodziny, więc chcieliśmy mu zrobić niespodziankę — włączył się Pawełek, nie bacząc, iż na dyplomie znajduje się data urodzenia pana Chabrowicza, przypadająca na zupełnie inną porę roku. — Chcieliśmy, żeby przy tej nodze miał jakąś przyjemność...

— Więc jeżeli to możliwe, chcieliśmy prosić, żeby pani uwzględniła — dodała Janeczka. — Tu są nasze legitymacje szkolne, można sprawdzić, że to naprawdę nasz ojciec.

Pani za biurkiem poczuła się zgoła wstrząśnięta.

Pierwszy raz w swoim młodym życiu zetknęła się dziećmi, które z właszej inicjatywy postanowiły zrobić przyjemność swoim rodzicom. Dla tak niezwykle dzieci gotowa była uczynić wszystko, szczególnie, iż prawdopodobieństwo posługiwania się przez nie fałszywym dyplomem było znikome. Wzruszona niezmiernie, na datę urodzenia nawet nie spojrzała.

— Wypadek wyjątkowy, ale uwzględnię — powiedziała z uczuciem. — Tylko musicie kupić znaczek skarbowy za sto złotych. Trzeba go będzie przykleić na poświadczeniu.

Na całe szczęście Janeczka i Pawełek razem dysponowali taką sumą. Znaczek skarbowy można było kupić w kasie na parterze. Pawełek popędził na dół, a Janeczka z kamiennym spokojem przyglądała się, jak pani przykleja do dyplomu dodatkową kartkę, przykładła pieczęć i wpisuje stosowną adnotację. Pawełek wrócił, znaczek przylepiono, pani z sympatią pożegnała niezwykle dzieci.

— Uff, spocilem się — powiedział Pawełek już na ulicy.

— Nie było czego — prychnęła wzgardliwie Janeczka. — Już jak ja mam pomysł, to możesz być spokojny.

— E tam. Nie o to chodzi. Ale jak leciałem po schodach, przypomniałem sobie, że na tym dyplomie jest data urodzenia, a ja powiedziałem, że są jego urodziny.

— Bardzo dobrze wiedziałam, że się wygłupiłeś, i tylko patrzyłam, czy spojrzysz. Powiedziałabym, że to wcale nie urodziny tylko imieniny, bo nasz ojciec ma na

drugie imię Feliks i obchodzi imieniny na Feliksa.

— Zwariowałaś? Przecież ojciec ma na drugie imię Paweł!

— No to co? Ale szóstego jest Feliksa, sprawdziłam w kalendarzu. Mógłby mieć na drugie Feliks, nie? Masz ten wzór życiorysu?

— Pewnie, że mam. Życiorys odwalimy zaraz dzisiaj, a potem trzeba zaagitować Rafała...

Życiorys, według wzoru, rzeczywiście był krótki i prosty. Należało w nim podać imię, nazwisko, adres, wiek, zawód i stan rodzinny, a następnie, nie wdając się w perypetie dzieciństwa, rozpocząć od ukończenia studiów. Podać wszystkie kolejne miejsca pracy, zajmowane stanowiska, rodzaje zajęć i skończyć na chwili obecnej. Niektóre punkty wzoru budziły wątpliwości.

— Tu jest napisane „W 1972 roku delegowany do Pernambuco na stanowisko i tak dalej” — powiedziała Janeczka. — To co?

— To jest przykład — pouczył Pawełek. — Był ojciec delegowany do Pernambuco? Nie był. Pomijamy!

— A może to zrobi złe wrażenie, że nie był?

— To co na to poradzisz? Przecież nie napiszemy, że był!

— Ale wyjdzie nam ten życiorys okropnie krótki. Wszystkiego raptem dwa miejsca pracy. Może mu coś dołożyć gdzieś tam w środku?

— Niby można, ale musielibyśmy w tym przebiegu pracy zawodowej napisać, co robił. Co mógł robić?

— Kontrola — zaproponowała Janeczka. — Oddelegowany na kontrolę czegoś gdzieś tam.

— Na kontrolę... Nieźle. Na kontrolę, na kontrolę... dokumentacji! Oddelegowany... Gdzie?

— Do NRD?

— E tam. Do NRD to wszyscy jeżdżą. I trzeba by jakieś nazwy napisać po niemiecku.

— To do Anglii. Po angielsku umiemy napisać.

— Oddelegowany do Wielkiej Brytanii na kontrolę dokumentacji... konkursowej! Głowę dają, że jakieś konkursy w tej Wielkiej Brytanii robili, a kto tam za tym trafi. I obejdzie się bez nazw. Tylko kiedy? Czekaj, nie wiemy, kiedy ojciec zmienił pracę.

— W dowodzie osobistym ma stemple.

— Bardzo dobrze. Jak odwiesi marynarkę i pójdzie do łazienki, obejrzymy jego dowód osobisty. I na wszelki wypadek legitymacje służbową. Na początku tej obecnej pracy będzie oddelegowany do Wielkiej Brytanii... na ile? Na dwa miesiące?

— Lepiej na trzy. Równy kwartał.

— Doskonale, to nawet lepsze niż Pernambuco. Ale, czekaj! Przecież ojciec był w Danii!

— Rzeczywiście! I to nawet dwa razy. Czekaj, kiedy to było... Trzy lata temu był ten drugi raz, a pierwszy wcześniej. Co tam robił?

— Zdaje się, że był na jakimś zjeździe. Zjazd do bani, to żadna robota. Z tych dwóch wyjazdów zrobimy mu jeden, ale za to dłuższy i niech to będzie też kontrola. Albo może współpraca...?

— Współpraca, zrobmy jakieś urozmaicenie.

— Dobra, współpraca... przy czym?

— Nie wiem. Coś się dopasuje po Rafale. Wstawimy to w środek tej obecnej pracy.

— To właśnie wszystko mamy. Aha, jeszcze tu trzeba napisać, czy umie po francusku.

— Zdaje się, że nie umie ani słowa. Umie po angielsku i po niemiecku.

— Nie szkodzi. Nie możemy napisać, że nie umie, bo to też robi złe wrażenie. Nie napiszemy „perfekt w mowie i w piśmie”, bo to chyba przesada. Czekaj...

— Znajomość francuskiego średnia — podsunęła Janeczka. — Średnia znaczy przeciętna, większość ludzi nie umie po francusku, więc ojciec mieści się w normie. Znaczy, jest średni.

— Święta prawda. Znajomość francuskiego średnia. No, to mamy z głowy. Jeszcze sprawdzimy te daty i reszta zależy od Rafała.

Rafał zaprosił się na kolację, co nie wzbudziło niczyjego zdziwienia, pani Krystyna bowiem, chcąc wypróbować nowy robot kuchenny, przyrządziła deser w postaci biszkoptu z kremem.

— Wujek, puść farbę — poprosił już przy pierwszej porcji. — Powiedz coś o tym, co robiłeś po studiach.

— Ożeniłem się — mruknął pan Roman.

— Nie, ja mam na myśli pracę zawodową. Nie jesteś osamotniony, Andrzeja też pomaltretuję. Raz chciałbym wiedzieć z detalami, co się robi po łódówce, a co po mechanice. Co robiłeś na początek?

— Co ja robiłem na początek? — zamyślił się pan Roman. — Pojęcia nie mam, w ogóle tego nie pamiętam... A nie, czekaj, pamiętam! Przeliczałem fundamenty pod nowe maszyny, świeżo sprowadzone. Bałem się panicznie, że mi coś nie wyjdzie, bo mój szef akurat poszedł do szpitala i zostałem sam. Hali jeszcze nie było, a maszyny już jechały i zdecydowali się od razu ustawić je jak trzeba. Halę zrobiliśmy później...

Janeczka delikatnie odsunęła krzesło od stołu i opuściła ręce na kolana. Pawełek rozparł się szerzej i zasłonił ją tak, żeby ukryć notes i długopis.

— Duże to było? — spytał niewinnie.

— Co, czy duże było?

— No te fundamenty. I ta hala.

— Skąd ja mam pamiętać, jakie były fundamenty! Pewnie, że duże i jeszcze liczone na wibracje. A hala, o ile sobie przypominam, miała chyba kubatury ze czternaście tysięcy metrów sześciennych.

— Nie przesadzaj — powiedział Rafał. — No i jak ci to wyszło?

Pan Chabrowicz wdał się we wspomnienia, eksponując raczej anegdotyczną stronę swoich ówczesnych zajęć zawodowych. Rafał domagał się szczegółów technicznych. Pawełek uparcie wypytywał o rozmiary wszystkich elementów budowlanych. Janeczka pisała pod stołem.

Późnym wieczorem zebrany plon okazał się imponująco obfity. Trochę kłopotu sprawiły daty, bo pan Roman niedokładnie je pamiętał, ale tę kwestię Janeczka i Pawełek uznali za mało ważną. Całe trzy dni zajęła im produkcja dokumentu, po większej części wypełnionego liczbami. Z delegacji do Wielkiej Brytanii wybrnęli w sposób prosty, pod starannie obmyśloną datą pisząc: „Kontrola dokumentacji konkursowej obiektu przemysłowego o kubaturze 116 tysięcy metrów sześciennych”. 116 tysięcy metrów sześciennych ustalili krakowskim targiem i podobnie postąpili ze współpracą w Danii.

— Teraz trzeba to wszystko przepisać na maszynie i przypieczętować w tych jego kadrach — stwierdził niezmiernie zadowolony Pawełek. — Przepiszemy na maszynie ciotki Moniki w godzinach pracy, jak jej nie ma. A potem do tłumacza przysięgłego.

— Tłumacz przysięgły jest na Wiejskiej — oznajmiła Janeczka. — Znalazłam w książce telefonicznej. Nie wiem, ile to kosztuje, ale zdaje się, że drogo. Będziemy mieli kłopoty.

Pawełek zafrasował się.

— I jeszcze wszystko musi być w trzech egzemplarzach.

— Po co w trzech?

— Nie wiem. Kumpel tak powiedział. Co najmniej w trzech egzemplarzach. O rany, faktycznie. Skąd my weźmiemy na to pieniądze?

— Najpierw musimy się dowiedzieć, ile potrzeba, a potem się zastanowimy, skąd weźmiemy. Ty tam pójdziesz czy ja?

— A po co chodzić? Zapytam tego ciotecznego brata, on na pewno wie.

Kadry przeszły bezboleśnie, wystarczyła jedna wizyta w miejscu pracy ojca i krótki pobyt we właściwym pokoju pod pozorem czekania na niego, ale koszt tłumacza przysięgłegoomal nie zniweczył całej imprezy. Miał wynosić, jak się okazało, 5800 złotych i była to suma całkowicie przekraczająca możliwości rodzeństwa. Zdobyć jej w czasie krótszym niż rok wydawało się niemożliwe.

— Mam sześćset złotych oszczędności — powiedziała melancholijnie Janeczka.

— Miałam więcej, ale poszło na makulaturę.

— Ja mam czterysta — westchnął Pawełek. — Razem tysiąc. Ta makulatura nas wykończyła. Brakuje jeszcze cztery osiemset. Skąd to wyszarpać?

— Moglibyśmy dostać od rodziny, ale pytają, o co chodzi. Nie możemy nikomu powiedzieć. Beznadziejna sprawa.

Może postać w jakim ogonku i odstąpić swoje miejsce za tysiąc złotych?

— W dobrym ogonku mógłbyś dostać nawet i pięć tysięcy, ale od razu nas zabiorą do tej izby zatrzymań dla nieletnich, czy jak to tam się nazywa. A ojcu zrobią kolegium. Na nic.

— A jeszcze i za fotokopie trzeba zapłacić... Posępna troska zapanowała na całe pół dnia. Sprawa istotnie robiła wrażenie beznadziejnej. Sprzedaż przedmiotów użytkowych nie wchodziła w rachubę, bo sprzedawać musiałby ktoś dorosły. Nagłe wygranie w totolotka nie wydawało się prawdopodobne. Żadnych prac, za które ktoś chciałby zapłacić, nie było na horyzoncie. Kradzież z wielkim żalem wykluczono z góry. Wieczorem na Pawełka spłynęło natchnienie.

— Wiem! — oznajmił z ożywieniem. — Pożyczyć!

— Od kogo? — skrzywiła się Janeczka.

— Od wszystkich. Od całej klasy. Ty też. U nas jest czterdzieści dwie sztuki, niech będzie czterdzieści, po pięćdziesiąt złotych od głowy to jest dwa tysiące. U ciebie też dwa, a potem im się odda stopniowo.

— Brakuje jeszcze osiemset.

— Pozbieramy butelki w całym domu i ze trzysta się uszarpie. A pięćset złotych pożyczę dodatkowo od jednego kumpla, który ma potworną ilość pieniędzy, ojciec mu daje, ile chce. Pięćset złotych to on nawet nie zauważy, że mi pożyczył.

— No owszem, to jest pomysł — przyznała Janeczka z wahaniem. — Możemy spróbować. Ale zaczęłabym od butelek, bo nie wiem, jak to pójdzie...

Za zgromadzone w piwnicy butelki i słoiki udało się uzyskać nawet czterysta złotych. Obie klasy, wbrew obawom, nie stawiały oporu, ponieważ Pawełek, po honorowym wybrnięciu z trzystu kilogramów makulatury, cieszył się wielkim uznaniem i szacunkiem, a bogaty kumpel wyasygnował nawet tysiąc złotych, lekceważąco wzruszając ramionami. Trwało to wprawdzie całe następne trzy dni, ale suma dla tłumacza została zdobyta. Wystarczyło nawet na fotokopie.

Po tygodniu Pawełek odebrał z Wiejskiej wspaniałe dossier swego ojca i natychmiast zadzwonił do ciotecznego brata kumpla. Cioteczny brat oznajmił, że to ostatnia chwila, bo właśnie nazajutrz ktoś tam jedzie.

W przekazaniu bezcennej teczki wyjeżdżającej do Algierii osobie i Janeczka, i Pawełek koniecznie chcieli uczestniczyć. Osobą okazała się jakaś pani, jadąca do męża. Cioteczny brat krzywił się wprawdzie mocno, twierdząc, iż komuś, kto wyjeżdża nazajutrz rano, nie należy wieczorem zawracać głowy, ale, molestowany natrętnie, ustąpił i zabrał ich ze sobą. Uroczystość przekazywania rozczarowała ich

nieco, odbyła się bowiem prawie na progu drzwi wejściowych. Nawet nie weszli w głąb przedpokoju. Pani odebrała od cioteczynego brata wszystkie papiery, listy i dokumenty, zapewniła, że to normalna sprawa i na tym był koniec.

— Tylko niech wam się nie wydaje, że za tydzień wasz ojciec dostanie kontrakt — powiedział cioteczyny brat ostrzegawczo, wyszedłszy od pani. — To może potrwać nawet i pół roku.

Janeczka i Pawełek popatrzyli na siebie. Obydwoje pomyśleli o przeszło czterech i pół tysiąca złotych, które trzeba oddać, i obydwójce westchnęli ciężko. Zrobili, co mogli, reszta zależała od jakichś innych, tajemniczych sił...

* * *

Był mroźny, styczniowy piątek. O wpół do drugiej po południu Janeczka siedziała w domu sama. Wszyscy byli w pracy, Pawełek i Rafał nie wrócili jeszcze ze szkoły, a babcia poszła do sklepu. Chaber, wybiegawszy się w ogródku, spał na dywaniku.

Przecknął się nagle, postawił uszy i usiadł. Janeczka już wiedziała, że ktoś idzie i nie jest to nikt z domowników. Ktoś obcy. Za chwilę zabrzmiał brzęczyk u furtki. Janeczka najpierw spojrzała na psa, który wyraźnie informował, iż osoba za furtką zalicza się do istot nieszkodliwych, a potem przycisnęła otwierający automat. Następnie otworzyła drzwi wejściowe.

— Dzień dobry — powiedział stojący za nimi, sympatycznie wyglądający pan. — Czy tu mieszka pan Roman Chabrowicz?

— Tak — odparła Janeczka, znów spoglądając na psa. — Proszę bardzo.

Chaber siedział spokojnie. Przekrzywił głowę i przyglądał się panu z życzliwym zainteresowaniem, co dowodziło, że gość zasługiwał na zaufanie. Gdyby miał jakieś złe zamiary, pies wiedziałby o tym jeszcze wcześniej niż on sam.

— Jaki miły pies — powiedział pan. — Ja tylko na chwileczkę. Mam kontrakt dla pana Chabrowicza.

Janeczka na moment skamieniała.

— Co pan ma?

— Kontrakt.

— Jaki kontrakt?

— To już pan Chabrowicz będzie chyba wiedział...?

Janeczka wzięła głęboki oddech.

— Nie wiem, czy będzie wiedział — powiedziała stanowczo. — Co panu szkodzi powiedzieć mi, jaki kontrakt? To jest mój ojciec, a ja się domyślam, ale wolę, żeby pan to powiedział.

— A, skoro ojciec, to co innego — uśmiechnął się pan, wyraźnie rozweselony. — Chętnie powiem, lubię przynosić dobre wiadomości. Kontrakt do Algierii, sam go przywiozłem, wczoraj wieczorem przyleciałem. Akurat miałem być w tej okolicy, więc wydawało mi się, że nie ma sensu wysłać tego pocztą. Czy mogłabyś powtórzyć swojemu ojcu, że sprawa jest bardzo pilna, najpóźniej piętnastego marca powinien podjąć pracę. Kopię musi podpisać i odesłać, w czwartek będzie leciał pan Wiśniewski, który ją weźmie, a z oryginałem ma iść do Polservis. Zostawię swój telefon, jeżeli czegoś nie będzie wiedział, niech dzwoni. Zapamiętasz wszystko?

Janeczce już od pierwszych słów pana zaczęło się robić strasznie gorąco. Właściwie już dawno przestała czekać na ten kontrakt i tylko na samym dniu duszy kołatały jej się resztki nadziei. Miała bezgraniczną, wprost nie do opanowania ochotę zażądać, żeby pan powtórzył te zachwycające informacje jeszcze raz, ale przemogła się jakoś.

— Tak — powiedziała słabo. — Kopię podpisać i odesłać, z oryginałem iść do Polsersvisu. W czwartek leci pan Wiśniewski. Wszystko jest straszliwie pilne i piętnastego marca ma zacząć pracę.

— Doskonale! — ucieszył się pan. — Tu jest mój telefon, proszę...

Zamknawszy drzwi, Janeczka przez długą chwilę stała nieruchomo, wpatrzona w dużą szarą kopertę z wypisanym na wierzchu nazwiskiem i adresem swojego ojca. Potem nagle padła na kolana przed siedzącym Chabrem.

— Pieseczku — wyszeptała zdławionym głosem, tuląc do siebie psi łeb. — Pieseczku, pojedziemy po skarby...

Uszczęśliwiony Chaber z rozmachem oblizwał jej całą twarz i miał zamiar powtórzyć ten dowód uczucia, kiedy ponownie zabrzmiał brzęczyk u furtki. Poderwali się obydwójce, Chaber okazał wyraźne rozradowanie i Janeczka już wiedziała, że idzie Pawełek. Jak burza runęła do drzwi wejściowych i popędziła do furtki.

— Co się stało, jak rany? — zdenerwował się wleczony ku domowi Pawełek. — Dom się pali, czy co? W kapciach wyleciałaś na śnieg? Zamek się zepsuł?!

Janeczka, nie odpowiadając, dowlokła go do holu i zatrzasnęła drzwi.

— Patrz! — wyszeptała uroczyście i z niebotycznym przejęciem.

Pawełek popatrzył na szarą kopertę z nazwiskiem ojca.

— List do ojca. To co...?

— Czy ty wiesz, co to jest?

— Skąd mam wiedzieć, co to jest, czy ja jestem Duch Święty! List chyba, nie? Czy może bomba zegarowa?!

Janeczka wpatrywała się w kopertę czule, tkliwie i z rumieńcem podniecenia na twarzy.

— W życiu nie zgadniesz. Ja wiem, co to jest. To jest kontrakt do Algierii!

Pawełek aż się zachłysnął.

— Skąd wiesz?

— Powiedział mi ten człowiek, który to przyniósł. To jest kontrakt. I piętnastego marca ojciec musi tam już zacząć pracować!

— Niech ja kichnę siedem tysięcy razy... — wyszeptał oszołomiony Pawełek. — Niech mnie tego... Rany kota... Więc jednak...

Bez żadnych złych przeczuć pan Chabrowicz wrócił do domu na obiad i od razu dostrzegł dużą kopertę, zaadresowaną do siebie, leżącą w holu na stoliku obok lustra. Obejrzał ją i z lekkim zdziwieniem stwierdził brak nie tylko adresu nadawcy, ale także znaczka czy jakiegokolwiek opłaty pocztowej. Zawahał się, zdjął kurtkę i poszedł do łazienki.

Z głębi holu obserwowały go w napięciu dwie pary oczu.

— Ja bym otworzył — szepnął Pawełek krytycznie i z lekką urazą.

— Poszedł umyć ręce — odszepnęła Janeczka. — Bardzo dobrze, niech się wytresuje. W Algierii trzeba myć ręce co chwila.

— Ciekawe, co zrobi. Będzie chciał zadzwonić. Dałaś mu ten telefon?

— Coś ty, głupi? Od razu by powiedział, że to pomyłka, i wszystko by zepsuł. Telefon dam mu na końcu.

— No, o rany, niech już przeczyta!

Pan Chabrowicz wyszedł z łazienki i wziął do ręki kopertę. Obejrzał ją jeszcze raz, wszedł do pokoju, gdzie na przygotowanym do obiadu stole leżały nakrycia, wybrał sobie jeden z noży i rozciął ją. Wyjął z środka papiery złożone na pół, rozchylił i zaczął czytać.

Dzieci przyglądały mu się z holu, wstrzymując oddech.

Na twarzy czytającego pana Romana odmalowało się najpierw zaskoczenie, a

potem śmiertelne zdumienie. Obejrzał papiery ze wszystkich stron i udał się do kuchni, gdzie jego żona podgrzewała obiad. Dzieci znalazły się w progu.

— Nie zgadłabyś przypadkiem, co to jest? — zwrócił się pan Roman do pani Krystyny. — O ile znam się na czymkolwiek, tekst jest po francusku. Nic nie rozumiem.

Pani Krystyna rzuciła okiem na papiery w ręku męża.

— Teraz, w tej chwili? — zaprotestowała z oburzeniem. — Nie mogę zgadywać po obiedzie?

— O Boże... — jęknęła Janeczka najcichszym szeptem.

— No dobrze, możesz po obiedzie — zgodził się pan Roman. — Tylko że ja w ogóle nie mogę zrozumieć, co to jest.

— A co to jest? — zainteresowała się pani Krystyna.

— Nie wiem. Wygląda na urzędowy dokument. Nie znam francuskiego.

Pani Krystyna przykłęciła gaz pod makaronem i podeszła do męża. Wzięła od niego papiery.

— Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w Algierii — przeczytała. — Ja też nie znam francuskiego. Czekaj... Przedsiębiorstwo budownictwa i konstrukcji angażuje monsieur Roman Chabrowicz... Okres dwa lata... w Tiaret... Przewidziana gaża wynosi 8500 DA. Nie wiem, co to jest DA. Prosimy o potwierdzenie proponowanych warunków... nie, nie tak. Prosimy o zgodę na proponowane warunki. No, akceptację. Zapewnia się mieszkanie umeblowane... Co to jest? Pan Roman patrzył na żonę osłupiałym wzrokiem.

— Proszę cię, przeczytaj to jeszcze raz. Może ci przynieść słownik...?

— Owszem, słownik się przyda, może ja źle tłumaczę. Ministerstwo, to pewne. Przedsiębiorstwo budownictwa. I konstrukcji. Angażuje pana Romana Chabrowicz. Co to może... A! Na stanowisko specjalisty. Firma ETAU w Tiaret. Okres dwa lata... 8500 DA, nie ulega wątpliwości. No nie, wszystko rozumiem, to jest kontrakt dwuletni, angażujący do tej jakiejś firmy ETAU w Tiaret w Algierii i dają mieszkanie umeblowane. Co to ma znaczyć? Skąd to masz?

— Leżało na stoliku przy lustrze — odparł oszołomiony pan Roman.

— Jakiś głupi dowcip? Ale nie, tu jest pieczęć... Jakiś podpis. Wygląda na prawdziwe engagement. I data, 9 styczeń... Ależ to sprzed tygodnia!

— No, to wyjaśnia sprawę — uspokoił się nagle pan Roman. — Głupi dowcip, oczywiście. W ciągu tygodnia w żaden sposób nie zdążyłoby dojść z Algierii. Ktoś sobie zrobił w styczniu prima aprilis.

Panią Krystynę tknęło nagle podejrzenie. Spojrzała w kierunku drzwi.

— Dzieci, skąd się to wzięło? Co wy o tym wiecie?

— To nie jest żaden głupi dowcip — powiedziała Janeczka z wielką energią. — Wcale nie szło pocztą, przyniósł to jeden pan, który wczoraj wieczorem przyleciał z Algierii. Chaber mówił, że porządny i sympatyczny. Powiedział, że to bardzo pilne, piętnastego marca masz już zacząć pracę w tej firmie.

— Co takiego...!?

— Pilne. Zostałeś przyjęty do pracy w Algierii. Jeden egzemplarz masz podpisać i odesłać natychmiast. Kopię. A z drugim masz iść do Polservis i wszystko załatwić. Tak ten pan powiedział.

— Na miłosierdzie pańskie... — wyszeptał pan Chabrowicz martwym głosem.

Makaron kipiał. Zupa bulgotała, buchając kłęбами pary. Zraziki w gęstym sosie zaczęły przywierać do dna garnka. Pani Krystyna po raz trzeci w skupieniu odczytywała dokument. Pawełek oderwał się od drzwi i po chwili wrócił ze słownikiem francuskim. Pan Roman, blady i śmiertelnie przerażony, wzrokiem wzywającym pomocy patrzył na żonę...

— Co to jest DA? — spytała pani Krystyna surowo.

— Nie wiemy — poinformował Pawełek. — Za to wiemy, co to jest Tiaret. Takie miasto.

— Chaber powiedział, że ten pan jest naprawdę bardzo porządny i uczciwy — dodała Janeczka z wielkim naciskiem.

Opinia o psie była już tak głęboko zakorzeniona w jestestwie całej rodziny, że na tę wiadomość państwo Chabrowiczowie z miejsca uwierzyli w prawdziwość dokumentu. Chaber nie pomylił się jeszcze nigdy. Jakim cudem mógł odgadnąć, czy dostarczona korespondencja zawiera prawdę, czy fałsz, nikt się nie zastanawiał i nie miało to najmniejszego znaczenia. Powiedział, że wszystko w porządku, zatem wszystko powinno być w porządku.

Pan Chabrowicz zbaraniał do tego stopnia, że pochylił się nagle i podał papiery leżącemu pod stołem psu.

— Piesku, co to jest? — spytał błagalnie. — Powiedz, o co tu chodzi?

Chaber obwąchał papier z szalonym zainteresowaniem. Wąchał i niuchał, i wręcz nie mógł się od tego oderwać. Nie okazywał żadnej niechęci, przeciwnie, poklepał nawet lekko ogonem w podłogę. Pan Roman wyprostował się, ogłuszony do reszty.

— I co teraz...? — spytał bezradnie.

Do pani Krystyny dotarła nagle woń przypalających się zrazików. Gwałtownie odwróciła się do kuchni, pogasiła gaz pod wszystkim, potem zreflektowała się i ponownie zapaliła pod makaronem. Chwyciła łyżkę wazową.

— Proszę zabierać zupę i jazda stąd! — rozkazała. — Makaron się dogotuje. Niekoniecznie musimy zastanawiać się w kuchni, równie dobrze możemy się zastanawiać w pokoju.

— Mogę ostatecznie uwierzyć, że w Algierii istnieje jakaś firma budowlana ETAU — powiedział pan Roman, zaczynając jeść zupę. — Mogę przyjąć, że chcą sobie zaangażować konstruktora z Polski, zapłacić mu pensję i dać mieszkanie służbowe, są to rzeczy mniej więcej normalne. Tylko skąd, na litość boską, wytrzasnęli mnie?! I co właściwie powinienem teraz zrobić?

— Iść do algierskiej ambasady i zapytać, o co tu chodzi — zarządziła pani Krystyna. — Przy okazji dowiesz się, co to jest DA. Sądzę, że to jakaś waluta, ale nie wiem, do czego to przyrównać.

— Może to i niezła myśl, w ambasadzie powinni wiedzieć. Ale intryguje mnie niesłychanie, dlaczego to przyszło do mnie. Nie jestem znany na całym świecie, nigdy w życiu nie ubiegałem się o żaden wyjazd...

— A szkoda — mruknęła kąśliwie pani Krystyna.

— Więc skąd ja? Co Algieria ma do mnie...?

Pawełek kopnął pod stołem Janeczkę. Porozumieli się wzrokiem. Przyszła chwila uchylecia przed ojcem rąbka tajemnicy.

— A gdyby tak... — zaczęła Janeczka ostrożnie. — A gdyby tak... Ktoś tam o tobie coś powiedział...

Pan Chabrowicz nie słuchał córki, głowił się dalej, jakim sposobem i z jakiego powodu afrykański kraj trafił akurat na niego, ale panią Krystynę znów opadły podejrzenia.

— Co masz na myśli? Kto mógł o ojcu coś powiedzieć? Co to ma znaczyć?

— Tam podobno jest pełno różnych od nas — wtrącił się Pawełek. — Może jest kto znajomy i kogoś tam namówił, żeby wzięli ojca do pracy...

— Może nawet napisał podanie — podsunęła Janeczka.

Podejrzenia pani Krystyny zdecydowanie wzrosły.

— Cicho bądź — powiedziała do męża. — Coś mi się widzi, że nasze dzieci więcej wiedzą na ten temat, niż nam się wydaje. Dzieci, mówcie wszystko! Nie

wierzę w jakiegoś, tajemniczego ktosia.

— I niesłusznie! — skrytykował Pawełek. — Jakiś ktoś zawsze się gdzieś znajdzie.

— No więc dobrze — zgodziła się nagle Janeczka. — Powiemy prawdę, trudno. Ciągłe narzekacie, że są same trudności, więc chcieliśmy wam pomóc, a wszyscy mówią, że taka praca w obcym kraju to nadzwyczajna rzecz. No więc to podanie myśmy napisali.

Pani Krystyna nie uwierzyła własnym uszom. Pan Roman popatrzył na syna i córkę niemal ze zgrozą.

— Napisałyśmy podanie, życiorys i inne tam takie — włączył się Pawełek z zuchwałą determinacją. — Zrobiliśmy fotokopię twojego dyplomu i wysłaliśmy to do Algierii.

— Baliśmy się trochę, że masz za mało zasług i nie przyjmą cię do pracy, ale okazuje się, że przyjęli — kontynuowała Janeczka. — Teraz masz pozalać różne rzeczy i jechać. I to szybko. Najlepiej zacznij od jutra. Algieria ma bardzo dobry klimat, przy brzegu śródziemnomorski, a od pustyni odgradzają góry Atlas. Nie ma dzikich zwierząt i w ogóle tam jest bardzo przyjemnie.

— Nie powiesz przecież, że nie pojedziesz — dołożył jeszcze Pawełek. — Taka okazja przytrafia się raz na tysiąc lat, sama ci weszła w ręce. Nie możesz tego zmarnować, bo masz żonę i dzieci.

Po niezmiernie długiej chwili rodzice odzyskali głos, a dodatkowo pan Roman odzyskał dech, utracony na skutek zakrztuszenia się zupą. Wszystkie wyjaśnienia dzieci musiały powtórzyć trzykrotnie, po czym okazało się, że makaron w kuchni rozgotował się na papkę. Jedząc papkę z sosem, wytracony z równowagi pan Chabrowicz usiłował jakoś przyswoić sobie obraz sytuacji i nie ugiąć się całkowicie pod ciężarem szczęścia, które spadło nań zniecka. Dzieci agitowały nieustępliwie. Pani Krystyna odezwała się po długim zamyśleniu.

— Co do wykorzystania okazji, nie ma dwóch zdań — oznajmiła tonem nie dopuszczającym sprzeciwu. — Co do pozostałych szczegółów, musisz się wszystkiego dowiedzieć, najlepiej od kogoś, kto też to załatwił. Ten ktoś, kto to przyniósł — zwróciła się nagle do Janeczki. — Mówiłaś, że on przyjechał z Algierii, tak?

— Jak to, ty naprawdę chcesz, żebym ja tam pojechał?! — przeraził się pan Roman.

— A ty nie chcesz?

— Ależ moja droga, to jest zupełnie obcy kraj! Co ja mam tam robić?! Tam jest francuski, jednego słowa nie znam po francusku!

— Owszem, znasz. Pardon. I siurpryza. To pochodzi z francuskiego, la surprise...

— Siurpryzę to mi właśnie moje dzieci zrobiły! To jest grom z jasnego nieba! Ja tam sobie nie dam rady!

— Dzieci, wynieście talerze — powiedziała spokojnie pani Krystyna. — I zróbcie herbatę.

— Możemy od razu pozmywać — zaofiarowała się gorliwie Janeczka i sięgnęła po tackę.

— No proszę, mówiłem, że matka resztę załatwi — powiedział w kuchni Pawełek z wielką satysfakcją. — Nie wiem tylko jeszcze, co będzie, jak przeczyta swój życiorys.

— Ten numer telefonu dam mu dopiero, jak się zdecyduje, że jedzie — oznajmiła Janeczka, odkręcając gorącą wodę. — Właściwie trzeba było z tym panem więcej porozmawiać, i w ogóle nie wiem, czy nie lepiej, żebyśmy sami zebrali wszystkie wiadomości. Możliwie, że czegoś tam nie należy mu mówić.

— Nic z tego, nie popuści. Pojechać pojedzie, ale przedtem już się uprzedziwydować osobiście.

— Tiaret — rzekła Janeczka w zadumie i chlupnęła na talerze wielką porcję ludwika. — Popatrz, to wręcz cud. Ta Algieria w gruncie rzeczy jest bardzo duża i mogliśmy się znaleźć w całkiem innym końcu. Tego to już się naprawdę nie spodziewałam.

— Słuchaj! Ale my też będziemy musieli nauczyć się po francusku!

— No i cóż takiego, francuski dla ludzi...

Kiedy po niezwykle dokładnym pozmywaniu i wytarciu wszystkich naczyń i nawet garnków wnieśli do pokoju herbatę, pan Chabrowicz był już całkowicie zdecydowany zaakceptować kontrakt. Rozpogodził się nawet i jakby nabrał otuchy. Janeczka przyjrzała mu się bystrze i przystąpiła do realizacji dalszego ciągu programu.

— Wcale nie musisz latać do żadnej ambasady — oznajmiła, ustawiając szklanki na stole. — Ten pan powiedział, że jakbyś czegoś nie wiedział, możesz do niego zadzwonić. Zostawił swój telefon.

— Gdzie ten telefon?!

Janeczka wycofała się do holu, wyjęła z szufladki stolika wizytówkę i wręczyła ją ojcu.

— Seweryn Zwijek — przeczytał pan Roman. — Magister inżynier budownictwa lądowego. To samo co ja!

Zerwał się z krzesła i rzucił się do telefonu. Najbliższe osoby otoczyły go ciasnym kręgiem, usiłując również wepchnąć uszy w słuchawkę. Pani Krystyna podpowiadała pytania.

— Tak — powiedział pan Roman. — Rozumiem. Rzeczywiście... Co pan powie, w tej samej instytucji? To doskonale...! Tak? Zaraz, chwileczkę... Coś do pisania! — wysyczał straszliwym szeptem w kierunku rodziny, co sprawiło, że jego żona i dzieci rozpierchły się w różnych kierunkach, przewracając krzesła i zrzucając na podłogę rozmaite przedmioty. — Tak, już piszę — powiedział do słuchawki, dając znak pani Krystynie, zaopatrzonej wreszcie w kawał papieru i długopis. — Wiśniewski, numer telefonu... Dwuletni urlop z miejsca pracy... zgodę dyrekcji... Proszę?... Sporządzić listę mienia przesiedleńczego... Tak, rozumiem. Rozumiem... Pani Kawalkiewicz, czterdzieści jeden, osiemnaście, siedemdziesiąt dziewięć. Tak... Proszę? Czego kopia? A, dossier... Chwileczkę...

Zasłoniwszy membranę, pan Roman okropnym wzrokiem popatrzył na swoje dzieci. — Ja tam wysłałem podobno komplet dokumentów — wygulgotał dziko. — Gdzie one są, te dokumenty? Czy ja mam tego jakieś kopie?

— Wszystko jest — uspokoił go szybko Pawełek. — Na wszelki wypadek zrobiliśmy po trzy egzemplarze.

Pan Roman wrócił do słuchawki. Pani Krystyna usiłowała zapisywać nie tylko to, co jej dyktował, ale także wszystkie zasłyszane słowa. Przez chwilę jej mąż słuchał, nic nie mówiąc, rozpromienił się nawet wyraźnie, potem znów twarz mu zmierzchła i złym spojrzeniem obrzucił żonę.

— Konduktorska osiem mieszkania jedenaście — powiedział dobitnie. — Pani Modlińska. Tak... Dziękuję bardzo, pan pozwoli, że w razie czego jeszcze zadzwonię...

Odłożywszy w końcu słuchawkę, pan Roman długą chwilę siedział w milczeniu, oddychając głęboko, a najbliższa rodzina patrzyła w niego jak w cudowny, ale nieco irytujący obraz.

— No! — pogoniła niecierpliwie pani Krystyna. — Mów teraz to wszystko, co on ci powiedział!

Pan Roman odetchnął jeszcze raz, oderwał się od telefonu, usiadł przy stole i napił się wystygłej herbaty.

— Po kolei? — spytał nieco jadownicie.

— Możesz nie po kolei — przyzwoliła sucho pani Krystyna. — Możesz nawet chaotycznie, pod warunkiem, że najpierw powiesz, co to jest to DA.

Pan Roman zaprezentował sobą coś nie do opisanego. Nagle zrobił się równocześnie dumny i przerażony, uszczęśliwiony i niespokojny, radosny i strapiiony w najwyższym stopniu. Stłumił szybko te miotające nim uczucia i pozostawił sobie tylko zakłopotanie.

— Dinary algierskie — oznajmił. — Waluta urzędowo niewymienialna, ale dla kontrahentów wymienialna w połowie do trzech czwartych na zasadzie transferu do dowolnego banku.

— Nie rozumiem, co on mówi — szepnęła z niezadowoleniem Janeczka.

Pani Krystyna rozumiała, co mówi jej mąż i nie wdawała się w szczegóły techniczne operacji bankowych.

— Czy to można do czegoś przyrównać? Czy te osiem tysięcy pięćset to dużo, czy mało?

— Właśnie w tym rzecz, że to jest bardzo dużo — powiedział pan Roman melancholijnie i westchnął. — Jak na nasze kontrakty, jest to suma wprost niespotykana. Najwyższe uposażenia, i to po paru latach pracy w Algierii, dochodzą do siedmiu i pół tysiąca. Osiem i pół to wręcz Kanada i Eldorado. Potworne.

— Masz źle w głowie? — zdziwiła się pani Krystyna. — Martwisz się, że ci dają dużo pieniędzy?

— A czy ty masz pojęcie, czego oni ode mnie żądają za te pieniądze?

— Czego? Przecież chyba nie występów w operze?!

— Nie wiem, czy bym nie wolał występować w operze, bo tego umieć nie mam żadnego obowiązku. Zostałem uznany za specjalistę wysokiej klasy i zaangażowany do kontroli dokumentacji konstrukcyjnej całego przedsiębiorstwa. Odpowiedzialność straszliwa, konieczna znajomość wszystkich algierskich norm, znajomość sejsmologii, znajomość francuskiego... Czyja nam jakiegoś patrona? Święty mój patronie, miej litość nade mną!...

Pani Krystyna stropiła się zaledwie odrobinę i na ;róciutki moment.

— Nie mam najmniejszych wątpliwości, że doskonale dasz sobie radę — rzekła stanowczo. — To nie Japonia, Janeczka — zwróciła się nagle do córki. — Jak tam jest trzęsieniami ziemi?

Stanowiąca w rodzinie autorytet geograficzny Janeczka nie wahała się ani sekundy. Niedbale machnęła ręką.

— Zdarzają się dość rzadko i są w ogóle byle jakie. Małe. Przeważnie bywają na jesieni, przy zmianie pogody z ciepłej na zimną, ale w niektóre lata nie ma ich wcale. Takie porządne trzęsienie ziemi może się przytrafić raz na pięćdziesiąt lat.

— No widzisz, nie będziesz tam przecież siedział pięćdziesięciu lat...!

— Ale muszę przewidzieć nawet to, co się może zdarzyć za pięćdziesiąt lat! Konstrukcje powinny być policzone na maksymalne obciążenia!

— Od tego są sejsmolodzy. I normy światowe. A po francusku się nauczysz, zdaje się, że coś słyszałam o marcu. Do marca mamy dwa miesiące, możesz zacząć od jutra.

— Toteż właśnie, na Konduktorskiej mieszka nauczycielka, podobno genialna, która potrafi nauczyć początków francuskiego w ciągu pół roku — powiedział pan Roman zjadliwie. — Nie wiem, czego zdoła nauczyć mnie w dwa miesiące...!

— Przyłożysz się — podsunął zachęcająco Pawełek. — Zawsze mówiłeś, że jak się człowiek przyłoży, to wszystko potrafi.

Przez chwilę pan Roman wyglądał tak, jakby nic na świecie nie mogło mu zrobić

większej przyjemności niż uduszenie własnego syna.

— Co tam jeszcze było? — spytała szybko pani Krystyna. — Co to za jakaś lista mienia przesiedleńczego? Jakie mienie?

Pan Roman oderwał morderczy wzrok od Pawełka i żałośnie spojrzął na żonę.

— Wszelkie mienie — rzekł ponuro. — Tam podobno nic nie ma, a jeśli, to tak drogie, że już lepiej kupować w Stanach Zjednoczonych. To znaczy artykuły przemysłowe, bo artykuły spożywcze istnieją w wielkiej obfitości i tanie. Kontrahent ma prawo wziąć ze sobą i przewieźć bez cła wszystko, co mu będzie potrzebne do egzystencji, i trzeba sporządzić taką listę zabieranych przedmiotów, która to lista ma być poświadczona przez Polservis i przez ambasadę algierską. Podobno pani... jakże jej tam? Kawalkiewicz, ma wzór najlepiej opracowanej listy i wypożycza go nowym osobom. Muszę do niej jechać... Nie, najpierw muszę zadzwonić. I do tego Wiśniewskiego muszę zadzwonić. Czy dzień jutrzejszy mógłby mieć tak chociaż ze czterdzieści godzin?

— I tak by ci z tego nic nie przyszło, bo jutro jest sobota i wszystko nieczynne — mruknął Pawełek.

— Podzielimy się — zaproponowała uczynnie pani Krystyna. — Do pani Kawalkiewicz mogę jechać ja. Ty zacznij załatwiać to, przy czym musisz być osobiście...

* * *

W środę wieczorem Janeczka siedziała w swoim pokoju przy biurku i w zatroskanej zadumie wpatrywała się w okno. Teoretycznie odrabiała lekcje, w praktyce zajęta była zupełnie czym innym. Już trzy razy w ciągu ubiegłych pięciu dni jej ojciec usiłował upominać się o swoje dokumenty, zdradzając niepohamowaną i nietaktowną chęć poznania ich treści. Za żadną cenę nie wolno było do tego dopuścić. Przeczytanie przezeń jego własnej biografii przed definitywnym załatwieniem sprawy wyjazdu mogłoby osiągnięty już sukces przei stoczyć w klęskę, należało zatem niebezpieczną chwilę odsunąć w czasie jak najdalej. Należało znaleźć sposoby odwracania jego uwagi w jakimkolwiek innym kierunku. Należało zgromadzić tych sposobów tak dużo, żeby wystarczyły na długo, a najlepiej do końca.

Na krótką chwilę Janeczka oderwała wzrok od okna, kiwnęła głową sama do siebie i zapisała coś na leżącej z boku kartce. Widniało na niej już kilka pozycji. Janeczka przyjrzała się im ze zmarszczoną brwią i znów zapatrzyła się w skupieniu w ciemną przestrzeń za szybami.

Drzwi za jej plecami szczęknęły nagle i do pokoju zaglądnął Pawełek.

— Ty, chodź prędko! — wysyczał przenikliwym szeptem. — Ojciec wrócił!

Janeczka żywo odwróciła się do brata.

— I co...?

— Zdaje się, że załatwił. Skończy się wreszcie ta nerwówka. Chodź!

— Coś ty, jeszcze co najmniej do jutra rana. Aż ten samolot z panem Wiśniewskim odleci...

Wślizgnęli się do jadalni w chwili, kiedy pan Roman, półżywy ze zdenerwowania, padał bezwładnie na fotel.

— Przepadło, wola boska — mówił głosem posepnie rozpaczliwym. — Oddałem temu Wiśniewskiemu kontrakt. Nic mnie już nie uratuje, trudno, przepadło, oddałem...

— Mam nadzieję, że nie zapomniałeś go przedtem podpisać? — przerwała sucho pani Krystyna.

— Nie, podpisałem. Jak cyrograf... Przepadło. I jestem mu winien osiemdziesiąt tamtejszych groszy.

— Kazał sobie zapłacić za przewiezienie? To jest jakaś taksa?

— Nie, tylko tam na miejscu musi przylepić znaczek i wysłać pocztą, żeby doszło oficjalną drogą. Pomógł mi napisać na kopercie adres szefa. Poza tym on mieszka w innej miejscowości. W El Asnam. W El Asnam jest epicentrum trzęsień ziemi...

— No i proszę! — wyrwał się Pawełek. — I on tam mieszka, w tym epicentrum, i jest żywy, i zdrowy! Znaczy, to nic takiego...

— Zamknij się! — uciszyła go gniewnie Janeczka. — Nie zwracajmy na siebie uwagi...

— Udało mi się kupić potwornie drogi słownik techniczny — ciągnął pan Roman w rozgoryczeniu. — Poza tym zdaje się, że muszę odrobić lekcje. Pani Modlińska z miejsca wzięła straszliwe tempo i myli mi się czas przyszedł od być i mieć. Niech ktoś się uczy razem ze mną, bo muszę mieć doping. Dzieci.

— Dobrze, możemy się uczyć obydwój — zgodziła się pośpiesznie Janeczka.

— Nie, ja chciałem wreszcie...

— Głodny jestem! — ogłosił gromko Pawełek.

— Ja też jestem głodny, ale...

— Zaraz — powiedziała pani Krystyna, bezwiednie dopomagając swoim dzieciom. — Słuchaj, ta lista mienia zaczyna mnie niepokoić. Kawałkiewiczowa mówi, że tam rzeczywiście nic nie ma, ona już tam była. Mówi, że pralkę musisz wziąć koniecznie. Nie mamy drugiej pralki, a tej jednej ja ci nie oddam. Piecyki elektryczne ostatecznie można zabrać później, bo jedziesz wiosną, ale bez termowentylatora się nie obejdzie. Mnóstwo rzeczy trzeba kupić. Musisz zabrać całą bieliznę pościelową, talerze, garnki, naczynia...

— Mnie ta lista mienia niepokoi od początku — mruknął Pawełek.

— Bo co? — zainteresowała się podejrzliwie Janeczka.

— Bo nie wiem, czy tam jest wszystko, co nam będzie potrzebne. Jeszcze jej z bliska nie widziałem.

— Ja też nie. Obejrzymy przy okazji...

Pani Krystyna bezlitośnie wyliczała dalej. Pan Roman chwycił się za głowę i jęknął.

— Przestań, proszę cię! Nie wszystko na raz! Ja i tak wyraźnie widzę, że pójde z torbami, bo za przejazd trzeba samemu zapłacić. Potem podobno zwracają kosztą podróży, ale zapłacić trzeba przedtem!

— Ejże...! — wyrwało się znowu Pawełkowi.

— Naprawdę trzeba — zapewnił go żałośnie pan Roman.

— Nie, nie to...

— Cicho, ty głupi! — syknęła rozwścieczona Janeczka.

Pani Krystyna roztargnionym spojrzeniem obrzuciła swoje dzieci i na nowo przystąpiła do rozważań nad listą mienia. Zaskoczony Pawełek z oburzeniem odwrócił się do siostry.

— No co ty? Przecież wydadzą wszystko i zostaniemy na lodzie!

— Nawet niechby, nie waż się słowem na ten temat odezwać! Zapaskudzisz mi całe ukrywanie papierów!

— Jak to!

— A tak to. To jest jedna z tych rzeczy, które mam w zapasie, żeby wywlec, jak znów zaczniesz gadać o dokumentach. Głowę daję, że na długo zapomni, że chciał je czytać. Powiedzieć o tym byle kiedy, to jest zwyczajne marnotrawstwo.

— O rany! No fakt, masz rację, zapomniałem... No dobra, ale zużyj to w pierwszej kolejności, bo inaczej leżymy...

Pani Krystyna i pan Roman nadal rozpatrywali listę mienia, pani Krystyna nerwowo i z wielkim ożywieniem, pan Roman w narastającym przygnębieniu. Pawełek obserwował ich z uwagą.

— Pomóż mi! — zażądał stanowczo. — Ja to muszę dostać i spokojnie przeczytać. Matka tej całej listy z ręki nie wypuszcza, a potem się okaże, że połowę rzeczy trzeba przemycać.

— Powiedz im, że pomożemy przy zakupach — poradziła bez namysłu Janeczka. — Przypomnij sobie coś, co trudno dostać. Ja już mam.

Pawełek zastanowił się, kiwnął głową i wyczekał odpowiedniej chwili.

— Wiem, gdzie sprzedają wiertła! — ryknął potężnym głosem, kiedy zaabsorbowani rodzice na moment zamilkli. — Wszystkie rozmiary, po państwowej cenie!

Pan Roman wzdrygnął się, spojrzał na syna i w oku błysnęła mu iskra zainteresowania.

— Wiem, gdzie wczoraj sprzedawali lniane ścierki kuchenne — włączyła się Janeczka. — I widziałam zwyczajne firanki, takie tiulowe, bardzo tanie.

Pani Krystynie z wrażenia lista mienia wypadła z rąk.

— Gdzie...?

— W ogóle możemy wam pomóc w tych zakupach, nie ma sprawy — zaproponował wspaniałomyślnie Pawełek, z wielką gorliwością zbierając z podłogi rozsypane kartki. — Tylko musimy dostać ten cały spis rzeczy...

— Ale ja też go muszę mieć! — zawołała pani Krystyna i pośpiesznie wydarła mu pozbierane kartki.

— Ale bez tego nie wiemy, czego mamy szukać!

— Wszystkiego!

— O Boże...! — jęknął pan Roman.

— Wcale nie wszystkiego — zaprzeczyła Janeczka z energią. — Wczoraj stał ogon do dziecinnych rowerków, to co, dziecinne rowerki też wam potrzebne...?

Ciotka Monika zajrzała do pokoju w momencie, kiedy cała rodzina państwa Chabrowiczów zajęta była bez reszty wyrywaniem sobie wzajemnie kilku kawałków papieru.

— Pukałam delikatnie, ale widzę, że tu wszyscy ogłuchli — powiedziała usprawiedliwiająco. — Uznałam, że lepiej będzie wejść, niż kopać w drzwi. O co się bijecie?

— Oddajcie to, puszcze na ksero, nie możemy mazać po cudzej liście! — wołał pan Roman słabym głosem. — Zrobię kilka egzemplarzy!

— Na ksero nie wyjdzie, za błada kopia! — protestowała pani Krystyna. — Trzeba to przepisać!

— To pożyczcie nam chociaż na jeden dzień! — domagał się Pawełek.

Ciotka Monika włączyła się energiczniej.

— Uspokójcie się! Jeżeli cokolwiek trzeba przepisać, ja wam to załatwię! Chcę mieć jakieś zasługi, specjalnie po to przyszedłam!

— Po co ci zasługi? — zaniepokoiła się pani Krystyna. — Pawełek, czwarta strona! W tej chwili oddaj czwartą stronę!

— Liczę na to, że przez wdzięczność on mnie tam zaprosi — wyznała ciotka Monika. — Chcę zobaczyć na własne oczy, jak ta Afryka wygląda. Co macie do przepisania? Co to jest?

— Spis rzeczy, które powinienem zabrać ze sobą — wyjaśnił ponuro pan Roman.

Ciotka Monika zebrała razem wszystkie kartki i spojrzała na tekst.

— Parasol plażowy — przeczytała. — Patelnia. Pompa wodna, fiat sto dwadzieścia pięć. Pompa benzynowa jak wyżej. Pasek klinowy. Jezus Mario, czy ty

tam masz założyć warsztat samochodowy...? Pralka. Prodiż. Radiomagnetofon, ręczniki, robot kuchenny duży... Sitko kuchenne, stolik turystyczny, sztućce... Silnik do łodzi pneumatycznej! Krawaty. Kołnierz futrzany... Masz jakiś kołnierz futrzany? Krzesła turystyczne. Namiot. Nakrycia stołowe. Naprawdę zamierzasz zabrać to wszystko?

— Kawalkiewiczowa mówi, że to jest najlepsza lista na świecie — oznajmiła stanowczo pani Krystyna. — Niekoniecznie trzeba mieć wszystko, co zawiera, ale gdyby się miało, to tym lepiej.

— Tę łódź...?

— O łodzi nie było mowy, ale na przykład meble turystyczne są absolutnie niezbędne. Jeżeli się wyjeżdża na jakąś wycieczkę, w żadnym wypadku nie wolno siadać na ziemi. Tam są skorpiony.

— Ochchchch...! — wyrwało się Janeczce.

— O skorpionach słyszę po raz pierwszy — wymamrotał głucho pan Chabrowicz.

— A co? — zaciekawił się szeptem Pawełek. — Skorpiony też miałas w zapasie?

— No pewnie! I już mi matka zniszczyła...

— A gdyby się chciało pojechać na pustynię na dwa dni, bez namiotu, o tym nawet myśleć nie można! — kontynuowała z ogniem pani Krystyna. — Namioty trzeba mieć dwa, bo w razie wiatru z jednego zostają strzępy. Gdyby zaś ocalały mimo pustyni, można je sprzedać.

Pan Roman drgnął gwałtownie.

— Ja tam nie jadę na handel...!

— Ale właśnie miałam cię uprzedzić, że musisz mieć jakieś pieniądze na początek. Pożyczka Polservisu starcza najwyżej na miesiąc. Więc albo musisz mieć franki, które wymienisz na czarnym rynku...

— Tam jest czarny rynek? — zainteresowała się ciotka Monika.

— Oczywiście, to przecież socjalistyczny kraj. Albo weźmiesz coś na sprzedaż. Kawalkiewiczowa mówi, że najlepszy jest duży robot kuchenny, ale na sprzedanie robota ja się nie zgadzam. Będzie mi potrzebny...

— Kto to jest Kawalkiewiczowa?

— Żona kontrahenta. Była tam już cztery razy i siedziała po parę miesięcy. Mówi, że po raz pierwszy w życiu poczuła się jak prawdziwa kobieta. Siedziała w domu, gotowała obiady, nie miała nic do roboty i dostawała pieniądze od męża. Ja też tak chcę.

— O Boże... — powiedziała ciotka Monika wzruszonym głosem.

— Kawalkiewiczowa mówi, że bez pralki i termowentylatorów nie ma tam życia. Jeżeli się dostaje domek i chce się mieć ogródek, trzeba sobie przywieźć własne „narzędzia ogrodnicze. W ogóle trzeba zabrać wszystko, czego człowiek używa w codziennej egzystencji.

— Wiertarka udarowa to też jest przedmiot codziennej egzystencji?

— Wiertarka udarowa koniecznie! Tam są ściany z czegoś takiego, ona nie wie, co to jest, ale bez wiertarki nie wbije się w to żadnego gwoździa. Nie powiesi się sznurka, wieszaka, lampy, nic! A jeżeli coś się zepsuje, trzeba to samemu zreperować, bo innej możliwości nie ma.

Ciotka Monika z namysłem przeglądała pięć stron listy.

— No tak... I czym to wszystko zamierzasz zabrać? Ciężarówką czy statkiem towarowym dookoła Europy?

— Tirem z przyczepą — mruknął pan Roman.

— Kawalkiewiczowa mówi, że można to wysłać frachtem morskim — podjęła żywo pani Krystyna. — Ale po pierwsze, musiałyby być zapakowane w drewnianych skrzyniach obitych taśmą stalową, a po drugie, nie wiadomo, kiedy dojdzie.

Samolotem wypada bardzo drogo, LOT bierze jakieś straszne pieniądze za każdy kilogram. Najlepiej jechać samochodem, upchanym do ostatecznych granic, ale wtedy prom z Marsylii do Algieru kosztuje dwieście pięćdziesiąt dolarów i nie wolno jechać przez Włochy, bo wszystko ukradną...

Słuchająca pilnie Janeczka poruszyła się z nagłym ożywieniem.

— Doskonale, mam nowy temat— oznajmiła pełnym zadowolenia szeptem. — Wymyślę mu trasę podróży. Co najmniej na parę razy powinna wystarczyć.

— Ja nie wiem, czy ty nie przesadzasz — mruknął z powątpiewaniem Pawełek. — W końcu jutro ten kontrakt już się tam znajdzie...

— No coś ty? Przecież słyszałeś, że pan Wiśniewski wysłał go pocztą! Zanim dojdzie, zanim co, nie wiadomo ile czasu jeszcze minie. A ojciec może wysłać depeszę, że się rozmyślił i nie jedzie!

— Myślisz...?

— A popatrz na niego. Widać, że mu niewiele brakuje. Pan Roman siedział bezwładnie, rozparty w fotelu, z nogami wyciągniętymi prawie na środek pokoju, tępym wzrokiem wpatrzony w ścianę naprzeciwko. Nagle westchnął ciężko.

— Jedna rzecz mnie odrobinę pociesza — oznajmił w posępnej zadumie. — O ile sobie przypominam, obyczaje arabskie, wygląda to tak, że idzie ulicą facet z pustymi rękami, a za nim o trzy kroki z tyłu idzie jego żona, uginająca się pod ciężarem tłumoków. Potem ten facet siada i zapala fajkę, a żona zdejmuje mu buty i namaszcza nogi oliwą...

— Po pierwsze, to ten facet jedzie na osle — przerwała ciotka Monika. — A po drugie, ten widok z tyłu, objuczoną tłumokami żonę, możesz zobaczyć we własnym kraju na każdym kroku, bez obyczajów arabskich.

— A po trzecie, jeśli przyniesiesz mi oliwę, chętnie namaszczę cię jej częścią — dodała pani Krystyna. — Resztę zużyję w kuchni.

Pan Roman na nowo podupadł na duchu.

— Potworne. Pustynia, strzępy i skorpiony. Jak ja tam... A, właśnie! Te moje dokumenty... Dzieci, chciałbym dostać dokumenty...

Dzieci patrzyły na ojca wzrokiem, który nie wyrażał nic.

— Dokumenty — powtórzył pan Roman bezradnie. — Chciałbym je wreszcie przeczytać...

Pawełek jakby nieco zeszywniał. Trwał w bezruchu i nie ośmielał się spojrzeć na siostrę. Janeczka westchnęła z żalem.

— Tam jest nafta — oznajmiła dobitnie i z wielkim naciskiem.

Przez chwilę wszyscy patrzyli na nią w milczeniu.

— Tam jest nafta — powtórzyła. — Główne bogactwo Algierii to gaz ziemny, ale mają i naftę. Nie ma u nich pewnie żadnych przydziałów benzyny i każdy kupuje, ile chce.

Panu Romanowi oko błysnęło. Przyjrzał się swojej córce z szalonym zainteresowaniem, cofnął nogi pod fotel i usiadł prosto.

— Rzeczywiście! — powiedział, ogromnie zaskoczony. — Coś takiego, wyleciało mi to z głowy! Benzyna, którą można kupować, ile się chce...! Boże drogi! Wykupię się w niej...! Nic to wobec tego frytownica, nic to silnik do łodzi! Benzyna bez żadnych przydziałów! Monika, pisz tę listę...!

* * *

— No, teraz to już mi została tylko ameba — powiedziała smętnie Janeczka, wykreślając ze swojej kartki ostatnie pozycje.

Pochylony nad jej biurkiem Pawełek oderwał się od studiowania jednej z licznych kopii listy mienia...

— Jaka ameba?

— Zwyczajna. Algierska. Ameba. Ona tam jest...

— I co robi?

— Wchodzi w człowieka i żre go od środka. Nie ma na nią sposobu i należy się wystrzegać.

Pawełek przez chwilę przetrawiał informację.

— Jeżeli nie ma sposobu, to niby jak się wystrzegać? I w ogóle co z nią chcesz zrobić?

— O Boże, zgłupiałeś czy co? — zniecierpliwiła się Janeczka. — Powiedzieć o niej. To jest ostatnia rzecz, jaka mi została do tych dokumentów po wczorajszym zużyciu pieniędzy.

— Ale za to wszystko nam zwrócili i mogliśmy wreszcie oddać długi. Poza tym ojciec już ma paszport. Ale...! Zapomniałem o stu złotych!

— Jakich stu złotych?

— Za znaczek skarbowy na dyplomie. Zdzierstwo w tych instytucjach, że coś okropnego! Jeszcze muszą nam oddać sto złotych.

— Bardzo dobrze, przypomnisz sobie o tym we właściwej chwili. Żebyś się nie wazył byle kiedy, bo ameba na długo nie wystarczy.

Pawełek zgodził się poczekać na sto złotych i zainteresował się bliżej amebą. Zażądał szczegółowych informacji.

— Czy to przez nią trzeba co chwilę myć ręce? — spytał podejrzliwie.

— Mycie rąk nie pomaga — odparła Janeczka złowieszczo. — Ona się wcale wodą nie zmywa. Zdycha tylko od nadmanganianu potasu.

— Co?

— Od nadmanganianu potasu. Wszystko tam trzeba jeść gotowane, a te surowe rzeczy, to znaczy owoce, sałatę i inne takie, trzeba płukać w nadmanganianie potasu. Trzeba dosypać tego do gotowanej wody, żeby roztwór zrobił się lekko różowy i w tym wypłukać. Można używać tego samego roztworu kilka razy. Naukowo udowodnione, że zabija amebę.

— Bomba! — ucieszył się Pawełek. — Pierwszorządnie! Skąd to wiesz?

— Na ostatniej biologii w ogóle o niczym innym nie było mowy i pani Łabuzowska będzie z tego robiła doktorat.

— Rany, jak fajnie! Znaczą, chcą czy nie chcą, muszą wziąć tego nadmanganianu cały worek. Byczo! W dechę. A nadmanganian mieści się w pozycji „lekarstwa” i niczego nie trzeba będzie dopisywać!

— Toteż dlatego możemy o tym powiedzieć w ostatniej chwili i wcale się nie narazimy ciotce Monice.

Ciotka Monika po trzecim kolejnym przepisaniu dwujęzycznej listy ze strasliwym krzykiem odmówiła dalszych usług. Pierwsze przepisanie nastąpiło od razu, do drugiego przyczynił się pan Roman, który postanowił jechać zapchanym samochodem i zrobił niezwykle dokładny przegląd pojazdu. W wyniku przeglądu wydatnie wzrosła mu ilość niezbędnych części samochodowych i ciotka Monika przepisała listę ponownie, wstawiając nowe pozycje. Trzecie przepisanie spowodował Pawełek, zgłaszając propozycję zawiezienia do Algierii maszyny dziewiarskiej. Maszyna dziewiarska zaczyna się na literę M i pani Krystyna nie ośmieliła się o niej sama zdecydować. Wezwała szwagierkę.

— A niby po co ta maszyna? — spytała z dużą niechęcią ciotka Monika. — Skąd ci coś takiego wpadło do głowy?

— To nie mnie wpadło — odparł Pawełek. — Ja tylko słyszałem, że podobno tam

się przyda. Podobno tam jest mnóstwo wełny. I wiem o jednej maszynie, która jest do kupienia za tanie pieniądze.

— Dlaczego za tanie pieniądze? Może zepsuta?

— Bardzo dobra i prawie nowa — zaprzysiął z urazą Pawełek. — Już ja bym wam bubla nie wtryniał. Enerdowska. Jest w rodzinie jednego mojego kumpla, kupił ją dla babci, żeby sobie dorobiła, ale babcia nic nie zdążyła zarobić, bo umarła. I ta maszyna leży.

Pani Krystyna spojrzała na syna i czym prędzej zadzwoniła do swojej informatorce.

— Kawalkiewiczowa mówi, że to prawda — oznajmiła. — Wełny mnóstwo i maszyna bardzo się przyda. A poza tym...

Urwała, spojrzała znów na syna i poszeptowała coś na ucho ciotce Monice.

— Żadnych szeptów! — zaprotestował Pawełek energicznie. — Ja lepiej od was wiem, że to tam bardzo idzie. Za maszynę dziewiarską można przeżyć miesiąc, jak nic!

— No dobrze, ale czy to koniecznie musi być w porządku alfabetycznym? — spytała ciotka Monika pospiesznie. — Czy nie można dopisywać na końcu? Ten francuski tekst już mi zaczyna wychodzić czubkiem głowy! Chciałam mieć zasługi, ale przecież nie aż takie!

Pani Krystyna znów rzuciła się do telefonu.

— Kawalkiewiczowa mówi, że nic podobnego, wcale nie musi być w porządku alfabetycznym. Można pisać, jak się chce.

— Bardzo dobrze, dopiszę ją jako ostatnią pozycję... — Lepiej byłoby wstawić ją w środek — poradził Pawełek. — Po co ma się rzucać w oczy?

Ciotka Monika przepisała zatem listę po raz trzeci, zapowiadając stanowczo, że w razie konieczności przepisania jej po raz czwarty udusi kogoś i ucieknie z domu.

Uszczęśliwiony nadmanganianem potasu Pawełek wrócił teraz do studiowania listy mienia. Janeczka przyglądała mu się pełna wątpliwości.

— Nie wiem, czego się tak cieszysz — rzekła z wielkim niezadowoleniem. — Ja ciągle nie wiem, czy nam nie zabraknie czegoś potrzebnego do szukania skarbu. Przypomnij sobie, kamieniołom, coś odwalić... Możliwe, że powinniśmy mieć dynamit, ale dynamitu ciotka Monika nie wpisze za nic na świecie. On jest na de i też nie może rzucać się w oczy.

— E tam! — prychnął Pawełek wzgardliwie. — Co ty myślisz, że ja głupiego dynamitu nie potrafię zrobić? A cukier od czego? A ten nadmanganian to co, tobie się może wydaje, że go będę jadł?

— A co...?

— Ha! — powiedział Pawełek dumnie i tajemniczo. — Zobaczysz! A cała reszta jest, osiemdziesiąty raz sprawdzam. Kompas, młotek, łopata, lornetka i nawet kilof!

— Może jakieś liny?

— Liny się załatwi bez wpisywania. Ojciec się przecież musi zapakować, nie? Sam mu skombinuję takie sznurki, że słonia będzie można zawiesić! Nie, mnie się zdaje, że jest wszystko.

— I także kolacja — powiedziała Janeczka, nadstawiając ucha. — Słyszę, że już brzęczy na stole.

— A to bardzo dobrze, bo ja jestem głodny. Jeszcze nie zaczęliśmy porządnie szukać tego skarbu, a ile to już się człowiek nauczył! Chodźmy, mam dla ojca rozkład jazdy.

Wychodząca już z pokoju Janeczka zatrzymała się w drzwiach.

— Jaki rozkład jazdy?

— Rozkład jazdy promów z Marsylii do Algieru. Dostałem w tym ich

przedstawicielstwie. I bardzo dużo praktycznych wiadomości.

— I dopiero teraz to mówisz?! Przecież to doskonale na dokumenty! Żebyś się nie wazył...!

— Ale coś ty, nie mogę o tym mówić w ostatniej chwili! On sobie musi coś tam zarezerwować! Muszę mu to dać!

Janeczka zastanawiała się przez chwilę.

— No dobrze, ale nie od pierwszego słowa, tylko poczekasz, aż on zacznie. Zacznie na pewno, nie ma obawy, już się codziennie upomina. Dzisiaj i tak nic nie załatwi, więc to może być nawet bardzo późno.

— Dobra, mogę poczekać — zgodził się Pawełek i ruszył do jadalni.

Pan Chabrowicz przystępował już do prób pakowania i gromadził w największym pokoju rozmaite walizki, torby i pudła. Na swoje dzieci zwrócił uwagę dopiero w chwili siadania przy stole. Od razu przypomniała mu się najważniejsza sprawa.

— Dzieci, dokumenty miałem dostać...

— Zaraz! — przerwał Pawełek stanowczo i sięgnął do kieszeni. — Tu mam dla ciebie takie coś, bardzo pilne.

— Co to jest?

— Rozkład jazdy promów. Będziesz musiał sobie zarezerwować miejsce. O tej porze roku jest to całkiem możliwe. W lecie nie rezerwują, bo jest za duży tłok, ale teraz proszę bardzo.

Pan Chabrowicz z miejsca zapomniał o dokumentach. Chwytał małą kartkę i zaczął odcyfrowywać bagaży swojego syna.

— Tam pływają promy różnych narodowości — ciągnął Pawełek. — W jedne dni pływa francuski, a w drugie arabski. Oba wypływają z Marsylii o tej samej porze i na drugi dzień francuski jest w Algierze koło pierwszej, a arabski o piątej po południu. Francuski prom dopływa punktualnie, a arabski zawsze się spóźnia. Cioteczny brat mojego kumpla zna osobę, która pływała tym już cztery razy, więc możesz robić, jak uważasz.

Pan Roman nie wahał się ani chwili.

— W takim razie francuski. Żadnej piątej po południu, muszę płynąć tym, który jest tam najwcześniej.

— Dlaczego najwcześniej? — zainteresowała się pani Krystyna.

— Ostrzegali mnie obaj, i Wiśniewski, i Zwijek, żebym przypadkiem nie wybrał się do tego Tiaretu na noc. Powiedzieli, że droga jest dość skomplikowana. Pytałem, na czym polegają komplikacje, ale na to powiedzieli, że sam zobaczę. Zaklinali mnie tylko na wszystkie świętości, żebym nie jechał w nocy.

— Trzeba ich było przycisnąć. Grasują tam w nocy bandy rozbójników czy co?

— Dzikie zwierzęta wychodzą na żer — wysunął przypuszczenie Pawełek.

Pan Roman zaczął zdradzać objawy zdenerwowania.

— Przecież sami mówiliście, że tam nie ma dzikich zwierząt! Janeczka, co to za trasa? Co tam jest?

— Góry Atlas — odparła Janeczka.

— Góry... Może po prostu zła droga... W takim razie ominę przynajmniej góry w Europie, pojedę przez Pragę i RFN.

Omawianie trasy potrwało dość długo. Pod koniec kolacji sposepniały nieco pan Roman znów sobie przypomniał o dokumentach. Sto złotych za znaczek skarbowy na dyplomie odwróciło jego uwagę zaledwie na krótką chwilę.

Westchnąwszy ciężko, Janeczka już otwierała usta, żeby powiedzieć o amebie, kiedy do otwartych drzwi zapukali nagle wujek Andrzej i Rafał. Grzecznie spytali, czy mogliby tu zostać na herbacie, ponieważ ciotka Monika wyrzuciła ich z mieszkania. Zabroniła wracać, dopóki pan Roman nie wyjedzie, i zagroziła otruciem

ich, rozwodem i podpaleniem domu.

— Wymyśliliście jakiś przedmiot do listy mienia? — zgadła natychmiast pani Krystyna. — Co to było?

— Nic takiego — odparł smętnie wujek Andrzej, odsuwając sobie krzesło przy stole. — Przyszło nam tylko na myśl, że może należałoby przewidzieć takie rzeczy, jak połów ryb i polowanie. Nigdy nie wiadomo... Sprzęt wędkarski na tej liście jest, ale brakuje kuszy z harpunem i dubeltówki...

— A dubeltówka jest na de i też nie należałoby jej wpisywać na koniec, żeby się na rzuciła w oczy — dodał Rafał z troską.

— Dubeltówki nie biorę! — wrzasnął gwałtownie pan Roman. — Wolę łapać zwierzynę łowną gołymi rękami!

— Czy tam jest w ogóle jakaś zwierzyna łowna? — zdziwiła się pani Krystyna.

— Jest — poinformowała uprzejmie Janeczka. — Lwy. Troszeczkę bardziej na południe, na sawannach i na skraju pustyni.

Pan Roman jakby się zachłusnął.

— Nie wycofuję się — rzekł mężnie i dość rozpaczliwie. — Będę łapał te lwy gołymi rękami!

— Tam podobno polują także na małpy — wtrącił pocieszająco Rafał. — Z dwojga złego, lepiej już z gołymi rękami lecieć do małp.

— Atak. Szczególnie do goryli...

Lwy i goryle ocaliły amebę. Konieczność posłużenia się nią wystąpiła ostatecznie dopiero na dwa dni przed odjazdem pana Romana, ale teraz już Janeczka była spokojna. Ojciec rozpoczął pakowanie i z największą łatwością można było zaprzętnąć go czymkolwiek. Ponadto babcia sporządziła bardzo długi spis najrozmaitszych zakazów i ostrzeżeń i uroczyście przekazała jej pod opiekę. Janeczka od razu wiedziała, gdzie należy ów spis umieścić.

W przeddzień wyjazdu, wczesnym popołudniem, złożył wizytę młody człowiek, syn kooperanta. Przyniósł dużą i bardzo ciężką torbę z prośbą o zabranie jej do Tiaretu. Zawartość torby stanowiły prawie wyłącznie części samochodowe.

— Niech pan koniecznie kupi sobie we Francji mapę samochodową Algierii — poradził z naciskiem, dowiedziawszy się, że pan Roman jedzie pierwszy raz. — Niech pan nie zapomni. W Algierii pan nie dostanie, a bez mapy nie dojedzie pan nigdzie.

Powtórzył tę radę trzy razy i Pawełek, w przyływie jakiegoś tajemniczego natchnienia, natychmiast przyczepił na futrynie drzwiowej długą kartkę papieru. Zalecenie młodego człowieka wypisał na niej wołami jako punkt pierwszy.

W momencie, kiedy wszelkie załatwienia i pakowania zostały ukończone i półprzytomny pan Roman w otoczeniu całej, niezmiernie przejętej rodziny usiadł do kolacji, kartka wypełniona już była całkowicie. Wszystkie kolejne osoby, przynoszące listy, dokumenty i najrozmaitsze przedmioty, czuły się również zobowiązane do udzielania rad i ostrzeżeń. Pawełek bez najmniejszego oporu zapisywał, że ojciec musi mieć franki drobnymi, bo będzie dawał łapówki, musi wziąć chrzan i korniszony, bo na miejscu urządzi przyjęcie dla rodaków, powinien na promie napełnić sobie termos zimnym napojem, bo po drodze nie dostanie niczego do picia, a nie może oddalać się od samochodu, bo mu wszystko ukradną, i sto tysięcy innych rzeczy. Pan Roman słuchał wszystkiego, co do niego mówiono, i nie rozumiał z tego ani jednego słowa.

O dokumentach przypomniał sobie na nowo pod koniec kolacji. Tym razem zyskał poparcie pani Krystyny, która była zdania, że wszystkie ważne papiery powinien mieć zgromadzone w jednym miejscu. Bez cienia protestu Janeczka podniosła się od stołu i poszła do swego pokoju. Pawełek popędził za nią.

— No? — powiedział niespokojnie. — Będzie polka czy nie?

— Nic nie będzie — odparła stanowczo Janeczka, wyciągając spod szafy dużą, kartonową teczkę. — Nawet gdyby zaraz zaczął czytać, jednej litery nie zrozumie. Skołowali go do reszty. Nie wiem tylko, czy mu dać wszystko jak jest, czy może po jednej kopii?

— Po jednej. W razie gdyby zgubił, będzie miał w domu zapasowe.

Na widok dużej, szarej koperty pan Roman jakby się przecknął i nieco oprzytomniał. Wyrwał ją z niechętnych rąk swoich dzieci, otworzył chciwie, rozchylił złożony plik papierów i zaczął czytać:

— Pierwsze, nie pić nie przegotowanej wody. Drugie, nie macać gołymi rękami świeżych skór baranich... Na litość boską, co to jest?!

— To jest to, co babcia kazała, żebyś się nauczył na pamięć — wyjaśniła grzecznie Janeczka.

— Tak jest! — przyświadczyła z mocą babcia. — Przed wyjazdem do tego okropnego kraju. Zaczynaj zaraz!

— Nie dotykać i nie wąchać miejscowych przypraw i korzeni — przeczytał pan Roman słabnącym głosem i ręce mu opadły. — Kopie... To miały być kopie...

— Są kopie, są — uspokoił go Pawełek. — Tam trochę dalej. Od początku podróży masz czytać tę kartkę z drzwi, będziesz ją miał na wierzchu. A potem to od babci.

Zdjął z futryny zapisaną kartkę, złożył ją troskliwie i ulokował w szarej kopercie odebranej ojcu. Kopertę przekazał pani Krystynie, która od razu wepchnęła ją do bocznej kieszeni podręcznej torby. Pan Roman stracił zdolność do protestów.

— Mamo, skąd ci przyszły do głowy świeże skóry baranie? — spytała ze zdziwieniem ciotka Monika.

— Algieria, moje dziecko, to jest kraj baranów — odparła babcia z godnością. — Specjalnie się dowiadywałam. A na świeżych skórach baranich lubią siedzieć bakterie żółtaczkowe...

Jako ostatnia, już po kolacji, przyszła pani Kawałkiewiczowa z listem tło męża i klockami hamulcowymi. Pani Kawałkiewiczowa była wielka, gruba, energiczna, pogodna i pełna optymizmu.

— Co tam! — powiedziała beztrząsco. — Nie takie jolopy dawały tam sobie radę! Kochany, to jest kraj dla mężczyzn. Chłop wszędzie wejdzie i wszystko może, a co by to było, gdybyś pan był kobietą? Dla kobiety nie ma tam życia, człowieku, jeszcze ci źle?!

Podniesiony nieco na duchu faktem, iż nie jest kobietą, pan Chabrowicz odjechał nazajutrz, w zimny, mokry, zadeszczony, mroźny poranek. Dla Janeczki i Pawełka zaczęło się niecierpliwe oczekiwanie...

* * *

— No, no, no! — powiedział Pawełek, usiłując nie ujawniać całego podziwu. — Ale zgadłaś...!

Janeczka nie podtrzymywała tematu. Dumna i pełna satysfakcji, tylko krótką chwilą milczenia uczciła własne osiągnięcie, które w całej pełni ujawnił już pierwszy list pana Chabrowicza.

List przyszedł po dwóch tygodniach, był średnio gruby, zawierał nieco wstępnych informacji i kończył się szalenie dramatycznie. Pani Krystyna odczytywała go na głos całej, chciwie słuchającej rodzinie.

„To istny cud, że te moje dokumenty przeczytałem dopiero tu, na miejscu, w

„dodatku po rozmowie z szefem” — pisał pan Roman, przy czym między wierszami można było dostrzec uczucie lekkiej grozy. — „Gdybym je przeczytał wcześniej, z całą pewnością zawróciłbym i uciekł bez względu na konsekwencje. Tu zaś okazało się od pierwszego słowa, że zaangażowano mnie na to stanowisko z uwagi na moje doświadczenie, pochodzące między innymi z Danii i z Anglii”...

W tym miejscu zaskoczona pani Krystyna oderwała się od lektury.

— Dzieci, co wyście tam napisali? — spytała podejrzliwie.

— Okazuje się, że to, co trzeba — odparła Janeczka z zimną krwią,

— Czytaj dalej, nie zwracaj uwagi na drobiazgi! — pogonił niecierpliwie Pawełek.

Rodzina poparła go energicznie i pani Krystyna posłusznie wróciła do listu.

„Z promu udało mi się wyjechać w pierwszej kolejności i z wielką łatwością, ponieważ spotkałem tu rodaka, znajomego doskonale Algierię” — pisał dalej pan Roman. — „Dzięki niemu mogłem ruszyć do Tiaretu w pełni dnia. Przez miasto przepilotował mnie przedstawiciel Polsersvisu, który czekał z pieniędzmi. Nie wiem, jak wygląda Algier z bliska. Z promu wydał mi się szalenie malowniczy, a potem przestałem rozróżniać cokolwiek, bo okazał się malowniczy nie do opanowania. Trochę odetchnąłem na początku drogi, po czym zacząłem wjeżdżać pod górę i natychmiast zrozumiałem, dlaczego ostrzegano mnie przed jazdą w nocy. Nie mam na to słów, jak przyjedziecie, sami zobaczycie”...

— No wiecie...! — wykrzyknął Rafał ze śmiertelnym oburzeniem.

— Jeżeli o wszystkim będzie pisał w ten sposób, cała rodzina zażąda zaproszeń!

— zagroziła ciotka Monika.

„Do Tiaretu dojechałem o zmierzchu i trafiłem do właściwego domu, ponieważ przy wjeździe do miasta znów spotkałem rodaków” — czytała pani Krystyna. — „Poznałem ich po samochodzie. Dostałem czteropokojowy domek tuż obok Kawalkiewicza, który czekał na mnie z kluczami. Od razu pokazał mi drogę do źródelka, skąd się bierze wodę do picia, bo to, co cieknie z kranu, nie zawsze się nadaje. Usiłuję oswoić się możliwie szybko z tym francuskim językiem i dzisiaj udało mi się kupić butelkę wina bez pokazywania palcem. Inne zakupy mi nie wyszły, chciałem nabyć jajka i poprosiłem w sklepie o trzydzieści oczu”...

Niezwykła informacja obudziła tak wielkie zainteresowanie, że pani Krystyna była zmuszona wyjaśnić różnicę pomiędzy *les yeux* i *les oeils*. Pan Roman opisywał następnie różne zabiegi administracyjne, których już zdążył dokonać i które go jeszcze czekają, z detalami rozwódził się nad straszliwym, gliniastym błotem, w którym udało mu się zgubić jeden but i zjadliwie naigrawał się z ogrodzenia osiedla, istniejącego wyłącznie w teorii.

„Miało zostać wykonane wspólnymi siłami przez miasto i zakład pracy” — pisał. — „Zakład pracy spełnił swoje zadanie, miasto natomiast nawaliło i każdy domek ogrodzony jest do połowy. Druga połowa pozostała nietknięta. Tak jakby nie można było ogrodzić po prostu połowy domków! W dodatku...”

Tu list urywał się nagle. Zakończenie zawierało następujące słowa:

„Właśnie przed chwilą było trzęsienie ziemi. Nic się nie stało i rzeczywiście nie jest to takie straszne, niemniej jednak musiałem trochę podbudować swoje samopoczucie. Zaraz to zacznę działać, więc resztę listu napiszę w przyszłym tygodniu”.

— Jezus Mario! — krzyknęła babcia drżącym głosem.

— Co on zrobił? — zainteresował się Pawełek. — Co mu zacznę działać?

— Trzasnęła sobie... — zaczęła ciotka Monika i ugryzła się w język. — Zażył środek uspokajający. Mamo, nie przesadzaj, przecież koniec listu jest napisany już PO trzęsieniu ziemi! Widać, że mu się nic nie stało.

— Nawet mu ręka nie zadrżała — przyświadczyła pani Krystyna. — Mam

nadzieję, że za tydzień przyjdzie list z całą resztą wiadomości...

— No i okazuje się, że faktycznie trzeba było ukrywać przed nim te papiery do ostatniej chwili — rozpamiętywał Pawełek już w swoim pokoju. — Ja bym się wygłupił i dał mu wcześniej. Na szczęście mamy to już z głowy. Co teraz?

— Teraz, po pierwsze, musimy poczekać na następny list — odparła Janeczka w zadumie. — A po drugie, musimy się dowiedzieć, jak się przewozi psa. I załatwić, co trzeba, żeby nie było żadnego gadania...

Kwestia przewiezienia psa rozstrzygnięta została jeszcze przed upływem tygodnia. Chaber był szczepiony, zaświadczenie posiadał, żaden kraj nie miał nic przeciwko jego podróży. Algieria nie wymagała nawet kagańca, szkopał pojawił się jedynie w dziwacznych pomysłach LOT— u. LOT mianowicie żądał, żeby pies jechał w wiklinowej klatce, ulokowanej w specjalnym pomieszczeniu.

Pawełek oburzył się śmiertelnie.

— Chaber w klatce! — urągał, wracając do domu z placu Konstytucji, gdzie załatwiali sprawę. — Jeszcze czego, niech się sami zamkną do klatki. Mogą też do wiklinowej! Za takie kretynstwo ja bym się na jego miejscu na śmierć i życie obraził!

— Cicho, nie truj — uspokoiła go Janeczka. — Ja już wiem, jak zrobimy. W żadnej klatce nie będzie jechał.

— Jak to?! Uparł się przecież, sama słyszałaś! Pchają te klatki na siłę!

— No to co? Klatkę możemy wziąć dla świętego spokoju. I do ostatniej chwili nic nie będziemy mówili, a potem się nagle okaże, że klatka sama nie chodzi. A on waży prawie czterdzieści kilo. To jak ci się zdaje?

Pawełek aż się zatrzymał.

— No wiesz...! Bomba! To jest myśl! Nie mogą od nas wymagać, żebyśmy dygowali takie ciężary!

— Toteż właśnie. A tragarzowi od razu powiemy, że matka nie zapłaci ani grosza, więc też nie będzie chciał nosić. Chaber pójdzie sobie sam, a pustą klatkę możemy zabrać, co nam szkodzi. Chodź prędzej, bo może już przyszedł list od ojca.

List od ojca przyszedł nazajutrz i zawierał kolejną porcję wiadomości. Wśród opisów najrozmaitszych dziwolągów, cen i rodzajów produktów spożywczych, wojny z krowami, które z braku ogrodzenia przychodzą czochrać się o domek, perypetii z instalacjami sanitarnymi zaprzyjaźnionych rodaków, których domek przez pomyłkę został postawiony tyłem do przodu i wszystkie przewody miał z niewłaściwej strony, wśród żądań przywiezienia mnóstwa różnych rzeczy, w tym wszystkich starych męskich ubrań, jakie poniewierają się w domu, znajdowała się też informacja o poważniejszym znaczeniu. Pan Roman pisał mianowicie, że był na suku w Mahdii, przy czym wyszło na jaw, iż ów suk to jest po prostu targowisko.

— Co ma piernik do wiatraka? — powiedział gniewnie Pawełek, ułożywszy na biurku pieczołowicie strzępki listu tajemniczego nadawcy. — Suku w Mahdii, tu jest wyraźnie napisane. Co to za pomysł, żeby szukać skarbów na jakimś targowisku?!

Janeczka obok niego podparła brodę rękami.

— Nie skarbów, tylko wiadomości o skarbach — skorygowała. — Możliwe, że tam jest coś, czego ojciec w ogóle nawet nie zauważył. Jakaś wskazówka albo co.

— A my ją zauważymy?

— Musimy. Na wszelki wypadek uczmy się tego francuskiego, bo może tam trzeba będzie zrozumieć jakieś gadanie.

— O rany... Z czego się uczmy? Ojciec wszystko zabrał.

— Jeden słownik został, taki stary, ale w nim jest cała gramatyka. Możemy się uczyć z niego.

— No, możemy, no dobra, niech ci będzie. Ale ja i tak tego nie rozumiem. Mnie się to wydaje podejrzane.

Janeczka z uwagą po raz setny odczytała strzępki.

— Wszystko jedno, podejrzane czy nie, ale z tego tutaj wynika, że bez soku w Mahdii sienie obejdzie. Wygląda na to, że od tego trzeba zacząć. Musi tam coś być!

Pawełek również odczytał strzępki listu.

— O kamieniołomie ojciec nie pisze ani słowa — zauważył z urazą. — W ogóle z praktycznych rzeczy to tylko o tym soku. Nic nie wiadomo...

— Ale z tego co pisze, wygląda na to, że tam jest jakoś dziwnie. Ty się lepiej jeszcze raz zastanów, czy na pewno mamy wszystko, co może być potrzebne.

Niczego nie przeoczyłeś?

Pawełek z powątpiewaniem popatrzył na siostrę, a potem w zamyśleniu spojrzął w okno.

— A skąd ja mam wiedzieć, czy niczego nie przeoczyłem! — powiedział z nagłą irytacją. — Targowisko, rzeczywiście...! Duch święty jestem? Najważniejsze rzeczy mam, węgiel matka już kupiła...

— Jaki węgiel?

— Taki na żołądek. Z pół kilo chyba. Murowane, że będzie potrzebny, a co więcej, to już nie wiem.

— No więc trudno, cała reszta wykryje się na miejscu — stwierdziła Janeczka i odsunęła krzesło od biurka. — Zrobiliśmy co się dało, żeby zrobić coś więcej, musimy tam pojechać. Nic nie poradzę.

— Ja też nic. Jedźmy wreszcie, o rany...!

— Cicho, już blisko. Dwa miesiące i dziewięć dni...

* * *

Wszystkie manipulacje paszportowo-celne Chaber przeczekał spokojnie i z anielską cierpliwością, siedząc obok pustej wiklinowej klatki, którą od początku potraktował jak swój prywatny bagaż. Raz tylko oddalił się od niej, zainteresowany jakimś człowiekiem z kolejki obok, do Frankfurtu. Obwąchał go, wystawił i obejrzał się na Janeczkę.

— Głowę daję, że ten facet coś przemyca — zawyrokował Pawełek, obserwując psa.

— Pewnie! — przyświadczyła Janeczka. — Musi być obłądnie zdenerwowany, chociaż wcale po nim tego nie widać. Nie mamy czasu teraz się nim zajmować. Chaber, pieseczku, chodź!

Przyłączyli się do pani Krystyny, która już skończyła odprawę. Żadne z nich nie zauważyło, iż stojący obok celnik wysłuchał tych kilku zdań, z wielką uwagą przyjrzał się najpierw psu, a potem wystawionemu osobnikowi, podszedł szybko do swego kolegi i coś z nim poszeptał. Zanim dzieci z psem zdążyły wsiąść do samolotu, podejrzanego pasażera odprowadzono już na rewizję osobistą.

Przewidywania Janeczki w kwestii noszenia ciężarów sprawdziły się całkowicie. Chaber wszedł po schodach samodzielnie, chętnie i bez żadnego niepokoju, za nim zaś nadęty i urażony Pawełek z godnością wniósł pustą klatkę. Od razu okazało się, że samolot wcale nie jest zatłoczony, ponieważ, wobec nadmiaru podróżnych, zamiast jednego leżą dwa i miejsce dla psa można było wybrać dowolnie. Jeszcze przed startem Chaber obwąchał dokładnie całe wnętrze, po czym ułożył się wygodnie pod pustym fotelem obok pani Krystyny i zapadł w drzemkę.

Pogoda była cudownie piękna, na bezchmurnym niebie świeciło słońce i gdzieś tam, daleko w dole, przesuwała się doskonale widoczna ziemia. Po półtorej godzinie miejsce ziemi zajęło wielkie, błękitne morze, zaś po następnych dwóch znów pojawił

się ład.

Janeczka i Pawełek, niepojętym sposobem mieszcząc się razem na jednym fotelu, nie odrywali nosów od szyby. Janeczka służyła informacjami, mapy znała na pamięć i bez wahania wymieniała wszystkie kolejne kraje, łańcuchy górskie, a nawet miasta, przesuujące się pod nimi. Pawełek miał pretensję, że nie lecą niżej, bo z tej odległości niewiele mógł rozróżnić i narzekał na brak lornetki, zamkniętej w walizce. Pani Krystyna składała samej sobie gratulacje za zabranie psa. Spał spokojnie, mogła być zatem pewna, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo.

Wreszcie samolot zaczął się zniżać i zwalniać, a nad drzwiami pojawił się napis, nakazujący zapięcie pasów. Chaber ocknął się z drzemki. Pawełek z wielką niechęcią oderwał się od okna i zajął swój fotel.

— Jest ziemia! — zawołał, wyciągając szyję. — Rany, jak już nisko! Nic stąd nie zobaczę, do kitu takie lądowanie!

— Będę ci wszystko mówiła — pocieszyła go Janeczka. — Widzę lotnisko, są pasy startowe. Lecimy w poprzek.

Unieruchomiony pasem bezpieczeństwa Pawełek usiłował wyciągnąć sobie szyję na metr. Zdążył nawet pomyśleć, że istnieją jakieś plemiona murzyńskie, które mają przeraźliwie długie szyje i pożałował z całego serca, że do takiego plemienia nie należy.

— Skąd wiatr? — spytał chciwie. — Widzisz tam rękaw?

Janeczka była obeznana z kwestiami nawigacji lotniczej nie gorzej niż jej brat.

— Widzę, wieje od prawej strony.

— To będziemy skręcać. O, ten wielki pas startowy! To nasz!

Samolot przechylił się w prawo tak bardzo, że pani Krystyna poczuła lekki niepokój. Chaber westchnął i zwałił się jej na nogi,

— Oszał ten pilot! — wyrwało jej się. — Akrobacje czy co...?

— Nic, nic, zaraz wyprostuje — uspokoił ją Pawełek. — O, proszę, widzisz?

Samolot przybrał pozycję poziomą i leciał w kierunku zachodnim.

— Już powinien skręcać — stwierdziła Janeczka.

— Ciasno mu będzie — zawyrokował Pawełek i ostrzegł matkę: — Uważaj, teraz znów przechyli bardzo porządnie.

Pilot, jakby kierował się poleceniami rodzeństwa, istotnie przechylił samolot i wykonał skręt w prawo. Spychana przechylem na fotel Pawełka pani Krystyna zacisnęła usta, postanawiając nie kompromitować się ujawnianiem odczuć.

— Po kawalersku ląduje — mruknął ktoś w sąsiednim rzędzie.

Nie zwracając żadnej uwagi na zmiany pozycji, Janeczka nie odrywała zachłannego wzroku od widocznego przed samolotem lotniska.

— Dobrze zgadłeś — pochwaliła Pawełka. — Celuje na ten wielki pas. O, siada!

Wbrew obawom pani Krystyny, która już zaczęła uważać pilota za nieodpowiedzialnego żartownisia, samolot dotknął kołami ziemi w sposób niezauważalny i kołysząc miękko pasażerów, potoczył się po betonowym pasie.

— To się nazywa pilot! — wyraził uznanie zachwycony Pawełek.

Janeczka nie odpowiedziała. Zamilkła nagle, bo wzruszenie odebrało jej głos. Dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że znajduje się w Afryce. Samolot toczy się po afrykańskiej ziemi, a z nieba świeci afrykańskie słońce. Żółty, nieregularny trójkąt, tyle razy oglądany na mapie, znajduje się pod jej nogami. Zabrakło jej niemal tchu i z wyteżeniem zaczęła się wpatrywać we wszystko, cokolwiek pojawiło się w polu widzenia.

W polu widzenia, po zwyczajnych, takich samych jak w Polsce pasach startowych, ukazał się autobus, okropnie szeroki i cały oszklony ogromnymi szybami. Niewątpliwie afrykański. Popłynął miękko w stronę afrykańskiej hali odpraw

celnych. Gorąco było w normie, na zewnątrz wiał lekki, ciepły wietrzyk.

Hala odpraw celnych okazała się zupełnie nie afrykańska. Po słonecznym świetle była olbrzymia, ponura i ciemna. Na zmywanej i odświeżanej wodą betonowej posadzce stały wielkie kałuże. Dopiero gdzieś daleko w przodzie, za oszkloną ścianą, jaśniał potężny, rażący oczy blask i to właśnie była Afryka. Tam należało się dostać. Tam też niewątpliwie w tłumie kłębiących się ludzi czekał ojciec, ale nie sposób go było rozpoznać, ponieważ blask oświeślał wszystkich od tyłu.

Natychmiast po kontroli paszportowej pani Krystyna znalazła sobie tragarza, a zwolniony z posterunku Chaber, skupiony, czujny, nadzwyczaj zainteresowany otoczeniem i trochę zniecierpliwiony, od razu pomknął ku oszklonej ścianie.

— Jest ojciec! — zakomunikował obserwujący go Pawełek.

Pani Krystyna zatrzymała się w drodze ku taśmie transportowej.

— Gdzie ty go widzisz?

— Nigdzie. Ale Chaber mówi, że jest.

Chaber właśnie wrócił, uszczęśliwiony, popiskujący z radości, wyraźnie żądający, żeby iść z nim razem. Informował, że znalazł pana Chabrowicza i stanowczo życzy sobie połączenia całej rodziny. Janeczka i Pawełek zostawili matkę przy taśmie i popędzili za psem.

Pan Roman, chudszy niż przed trzema miesiącami, opalony i szalenie zdenerwowany, czekał przy samym przejściu.

— Tragarza! — wrzasnął dziko na widok swoich dzieci.

— Jest, matka już ma — uspokoił go Pawełek.

— Z wózcikiem...!

— Jest z wózcikiem. Tato, no i co? Jak tu jest?

— Okropnie! — zawołał pan Chabrowicz i poprawił się czym prędzej. — Całkiem niezłe! Trochę ciepło, ale można wytrzymać. Pomóście matce!

Matce nie było co pomagać. Cały bagaż zmieścił się na wózku i zanim się zdążyli obejrzeć, już byli na zewnątrz. Rzuciło się na nich wspaniałe, oślepiające słońce, a dookoła zajaśniał kolorowy, mozaikowy, ukwiecony świat.

— O co ci chodziło z tym tragarzem, na litość boska? — dopytywała się zgrzana i zirytowana nieco pani Krystyna. — Tragarza i tragarza, w każdym liście! Coś ty myślał, że ja te potworne ciężary na własnych plecach będę nosić?!

— No nie, ale wiesz, wszystko jest możliwe — usprawiedliwiał się spokojny już i uszczęśliwiony pan Roman. — Tutaj ludzie jakoś dziwnie głupieją. A rzecz w tym, że bez tragarza robią tu różne sztuki, z tragarzem natomiast przechodzi się bez kontroli. Oni tu mają spółkę z celnikami...

— Tam jednym zabrali całą wódkę — poinformował Pawełek. — Zdążyłem zobaczyć. Ale połowę im oddali, bo się okazało, że to jest przyprawa do zup. Faktycznie, przechodzili bez tragarza.

— No właśnie. Sama widzisz...

— Ja chcę pić! — zażądała pani Krystyna. — Gdzie tu się można czegoś napić?

— Picie jest w samochodzie, ale można iść na górę, do baru, co wolisz? Tylko nie wiem, co z bagażem, chyba że pies popilnuje...

— Żaden pies! — zaprotestował stanowczo Pawełek. — Gdzie masz samochód?

— Tam dalej, na parkingu.

— To idźcie razem i niech się matka od razu napije. I podjeżdżaj czym prędzej.

— Bardzo słusznie — pochwaliła Janeczka, kiedy rodzice się oddalili. — Nie zgadzam się, żeby zwać na Chabra. On jeszcze nie wie, jak tu jest, i mógłby się niepotrzebnie zdenerwować.

— E tam! — odparł niecierpliwie Pawełek. — Dałby sobie radę śpiewając, ale ja chcę wreszcie zobaczyć tę drogę, po której ojcu kazali nie jechać w nocy. Doczekać

się już nie mogę!

— Ja chcę zobaczyć WSZYSTKO...

Pan Roman podjechał po chwili, załadował bagaże i ruszyli w ten jaśniejący słonecznym blaskiem afrykański świat.

— Czy jedziemy przez Algier? — spytała chciwie Janeczka.

— Nie — odparł pan Roman. — Omijamy miasto.

— Jak to?! Tak blisko jesteśmy i omijamy?! Ja chcę zobaczyć Algier.

— Cicho bądź! — syknął Pawełek. — Kiedy indziej zobaczysz Algier!

— Za skarby świata nie jadę przez miasto — powiedział równocześnie pan Roman ponurym głosem. — Przed wami wylądowały trzy samoloty i głowę dając, że jest korek na mutonierze. Do jutra byśmy nie dojechali.

— Co to jest korek na mutonierze?

— Co to jest korek, wszyscy wiedzą. A mutoniera, to jest droga, którą przed wiekami przepędzano barany i dlatego nazywa się mutoniera. Od le mouton, baran. Obecnie jest to trasa szybkiego przelotu z Algieru na lotnisko i zazwyczaj stanowi trzydzieści trzy kilometry takiego korka, jakiego świat nie widział. Parę tygodni temu przez piętnaście minut przejechałem dwadzieścia metrów. Robią nową drogę, dwupasmową autostradę, ale dopóki nie zrobią, nie jadę tamtędy za nie!

Janeczka już chciała namiętnie zaprotestować, ale nagle wpadł jej w oko wyprzedzany samochód. Kierowca tego samochodu miał biały turban na głowie i chałat z szerokimi rękawami, z tyłu zaś siedziały dwie kobiety, całkowicie okutane białymi zasłonami. Zamilkła. Na drogowskazie ujrzała napisy, z jednej strony BLIDA, z drugiej LARBA i SOUR EL GHOZLANE. Pod europejskimi literami widniały arabskie robaczki. Wzdłuż jezdni rosły olbrzymie agawy, dzikie, zaniedbane i zakurzone. Znów uświadomiła sobie, że jest w Afryce, w Algierii, i błogość spłynęła na jej duszę. Pomyślała, że właściwie nie ma znaczenia, co i kiedy będzie oglądać, bo wszystko tu jest cudowne, egzotyczne i godne poznawania. Miasto zobaczy później, a teraz obejrzy okolice, niech będzie, też dobrze...

— Rzeczywiście, tu jest raczej gorąco — powiedziała pani Krystyna. — Słuchaj, Roman, czy ja się mogę rozebrać? Mam na sobie kostium kąpielowy. Pan Roman przeraził się śmiertelnie.

— Niech cię ręka boska broni! Możesz zdjąć wszystko, co masz pod spodem, ale sukienkę musisz zostawić! Rzucaliby w nas kamieniami! Mówiłem, żebyście się odpowiednio ubrali!

— Toteż właśnie jestem ubrana odpowiednio. Mogę z siebie wszystko pozdejmować, zaczynając od wierzchu. Nie wytrzymam w tej kiecce, ona ma rękawy! Krótkie wprawdzie, ale jednak...

— Trzeba było włożyć coś bez rękawów. Nie masz czegoś takiego pod ręką?

— Mam plażowy szlafrok. Jest na samym wierzchu w czarnej walizce. W bagażniku.

— Odjedziemy kawałek i przebierzesz się w jakimś pustym miejscu. Na razie musisz jakoś wytrzymać!

Pani Krystyna pomamrotała coś pod nosem i westchnęła. Świat dookoła jaśniał słońcem. Pan Roman nieco przyśpieszył.

— Zastanawiam się, czy nie pojechać przez Wąwóz Mały — rzekł niepewnie i jego dzieci z tyłu skamieniały. — To jest wprawdzie dłuższa droga, ale trochę mniej kręci. Przez sawanny i potem wprost do Tiaretu przez Mahdię...

— Tak!!! — wrzasnęli ogłuszająco i równocześnie Janeczka i Pawełek, zanim pani Krystyna zdążyła otworzyć usta.

— Mnie interesuje miejsce, w którym można się przebrać — powiedziała sucho.

— Nie dostrzegam uroków przyrody. Czy tam będzie takie miejsce?

— Tysiąc pięćset miejsc. Ale z drugiej strony nie wiem... Będziecie chcieli karmić małpy, a nie mam dla nich nic do jedzenia. Zmarnowana przyjemność.

— A tam rzeczywiście są małpy?

— No pewnie, mnóstwo. Przychodzą do samochodów i żebrzą.

— Mamy przecież owoce...?

— Ale to są owoce ludzkie, wyplukane w nadmanganianiu. Nie będę przecież oddawał ich małpom! Chyba że kupimy coś po drodze...

Janeczka i Pawełek już się zdążyli porozumieć bez słów. Wąwóz Małp i Mahdia, miejsca wymienione w tajemniczym liście! Mieli szansę zobaczyć je od razu. Haneczka już poświęciła Algier, Pawełek z lekkim bólem serca gotów był poświęcić ową niezwykłą drogę przez góry.

Z płomiennym zapałem i straszliwą energią uczepili się niepewnej propozycji ojca. Koniecznie chcą przez Wąwóz Małp!

— Ale właściwie w Medei i tak musimy być — zdołał wreszcie odezwać się pan Roman. — Więc jeździlibyśmy tam dwa razy...

Dla Janeczki i Pawełka była to konieczność po prostu wymarzona.

— My możemy tam jechać nawet dwadzieścia razy — zapewnił Pawełek ogniście.

— Chyba że moje stare ubrania masz gdzieś na wierzchu — kontynuował pan Roman, zwracając się do pani Krystyny. — Mam nadzieję, że je przywiozłaś?

— Co mają małpy do twoich starych ubrań? — zdziwiła się pani Krystyna. — Będziesz je w nie ubierał? Przywiozłam, ale nie rozumiem związku!

— To nie małpy, to Medea. W Medei jest handlarz, który kupuje używane ciuchy i całkiem nieźle płaci. Dziecinne rzeczy też. Przywiozłaś dziecinne rzeczy?

Pani Krystyna zdumiała się wręcz niebotycznie. Prawie przestała odczuwać upał.

— Wielki Boże, a cóż ci się stało?! Zajmujesz się handlem?! Cóż to za odmiana jakaś niezwykła?! Może to w ogóle nie ty...?! Dzieci, czy jesteście pewne, że tu siedzi wasz ojciec?!

— Chaber go poznał — przypomniała Janeczka.

— Podróże kształcą — mruknął równocześnie zakłopotany nieco pan Roman. — Do tego stopnia tu byłem bez pieniędzy, że musiałem pożyczać, ten Polservis rzeczywiście wystarcza na miesiąc. Mam długi. Sprzedałem jeden namiot, ale to ciągle mało. Nie wyobrażasz sobie, jak to potwornie głupio znaleźć się w obcym kraju bez pieniędzy. Teraz już mam pieniądze, bo pensja wreszcie do mnie dotarła, ale długi wolałbym oddać za pomocą łachów, żeby nie musieć tak okropnie skąpić w czasie waszego pobytu. Trudno, moja droga, oba kraje, i nasz, i ten tutejszy, mają swoją specyfikę i trzeba się przystosować. Chyba mnie za to nie potępisz?

— Potępić! Ależ ja jestem zachwycona! Nie mam za męża półgłówka, co za szczęście! Proszę bardzo, jeżeli oni tutaj są spragnieni starych szmat, możemy ich nimi obdarzyć dowolnie! Doskonały pomysł!

— Oni tu nie mają żadnej własnej produkcji przemysłowej, z wyjątkiem makaronu. Wszystko import albo przemyt, okropnie drogie. Chętnie kupują używane, bo wypada im taniej, a to nie jest kraj, w którym się chodzi na co dzień w wytwornych strojach. Więc jeżeli masz to na wierzchu...

— Przeciwnie, mam to poutykane wszędzie. Przeważnie twoje ubrania służyły do okręcania i zabezpieczania delikatnych rzeczy. Mowy nie ma o wyjęciu ich na poczekaniu!

— To nie wiem...

Czujnie słuchający rozmowy rodziców Janeczka i Pawełek znów się wtrącili. Przypomnieli, że przecież muszą tu jeszcze raz przyjechać, bo nie mogą nie obejrzeć Algieru, i mogą znów jechać przez tę jakąś Medeę. Wtedy się przehandluje ojca ciuchy. Wyjadą wcześniej, będzie więcej czasu...

Zaciekawiona małpami pani Krystyna poparła dzieci i pan Roman przestał się wahać.

— Dobrze, w takim razie w Blidzie kupimy jakieś owoce i zaraz za Blidą skręcamy na Medeę. Niech będzie ten Wąwóz...

* * *

Wąwóz Małp okazał się gigantyczny. Szosa szła po zboczu i z jednej strony wznosiła się niebotyczna, skalista, zakrzewiona ściana, z drugiej zaś widniała olbrzymia przepaść, za którą znów wznosiło się prawie pionowe, porośnięte lasem zbocze. Na dnie przepaści leniwie sączył się strumień, jakby szczątek wyschłej rzeki, brudny i w brązowym kolorze. Wszędzie dookoła zarośla, krzaki, las i gołe, pionowe skały przeplatały się wzajemnie.

Na zakręcie, w samym środku tego kolosalnego wąwozu, szosa rozszerzała się, tworząc pobocze, wystarczające na parking dla kilku samochodów. Pan Roman zjechał w lewo i zatrzymał się.

— Proszę bardzo — oznajmił. — Jesteśmy w Wąwozie Małp.

Janeczka i Pawełek wysiedli w milczeniu. Ogrom tego, co ujrzeli, przerastał wszelkie ich oczekiwania. Nie wyobrażali sobie, że ten Wąwóz Małp może być tak przeraźliwie wielki i tak trudno dostępny. Było to coś tak imponującego, że niemal przerażało.

— Nie podchodźcie za blisko do krawędzi, bo to jest niczym nie zabezpieczone i ziemia może się obsunąć — ostrzegał pan Roman.

— Fantastyczne! — westchnęła pani Krystyna i rozejrzała się. — No dobrze, a gdzie małpy?

— Zaraz będą. O...

Chaber, który wyskoczył pierwszy i na którego rozmiary krajobrazu nie podziały zupełnie, z miejsca ruszył w obchód parkingu. Podbiegł do krzaków i nagle zatrzymał się. Powęszył jakoś nieufnie i podejrzliwie, uczynił jeszcze krok i zastygł w klasycznej pozie psa myśliwskiego, wystawiającego zwierzynę. Wyciągnięty jak struna, z uniesioną łapą, nosem celując wprost w suche zarośla. Po chwili cofnął się, obejrzał na Janeczkę i przysiadł, jakby nieco zdezorientowany.

— O Boże, będzie konflikt! — zaniepokoiła się pani Krystyna.

— Nic nie będzie — powiedziała stanowczo Janeczka. Otrząsnęła się z oszołomienia i przykucnęła przy psie. — Chaber, to są małpy. Dobre małpy. Nie ruszaj małp, nie wolno. Pokaż tylko, gdzie są małpy, i nie ruszaj. Dobry piesek, kochany. Dobre małpy.

Chaber zrozumiał. Ucieszył się nawet wyraźnie, że wyjaśniono mu sprawę. Jego panią interesowała ta jakaś zwierzyna łowna, łagodna i nieszkodliwa, nieznana mu dotychczas, pachnąca dziwnie i obco. Należało ją wytropić i zostawić w spokoju.

Ruszył wokół parkingu i natychmiast okazało się, że małpy są wszędzie. Poukrywane w zaroślach dookoła, gdzieś w dole i na zboczu góry, zwlekały z pokazaniem się, być może w obawie przed psem. Po kilku chwilach jednakże postanowiły najwidoczniej zaryzykować i zaczęły wylazić. Starły się wprawdzie trzymać z daleka od Chabra i okrążyć go szerokim łukiem, ale do ludzi nie bały się zbliżyć.

Panią Krystynę i jej dzieci ogarnął wręcz szal zachwytu. Małpy brały owoce z ręki, wrywały je sobie wzajemnie, napraszały się natrętnie, wskakiwały na maskę samochodu i do razu zaprezentowały indywidualności. Jedne były skromne i nieśmiałe, drugie bezczelne, chciwe i nachalne, inne pełne godności i dobrze

wychowane. Niektóre miały na plecach dzieci, śmieszne, małe małpiątka. Dwa kilogramy moreli, które pan Chabrowicz nabył, postanowiwszy nie skąpić rodzinie, poszły błyskawicznie.

— Z prawdziwą przyjemnością przyjadę tu jeszcze raz — oznajmiła pani Krystyna. — Dzikie małpy, na swobodzie, to jest coś prześlicznego.

— Żeby mi tylko któraś nie wlażała do samochodu! — zatroskał się pan Roman.

— Chaber może przypilnować. Zaraz, gdzie Chaber?

Rozejrzeli się. Chaber oderwał się od hecy z małpami, ponieważ znalazł sobie wodę do picia. Ze zbocza góry spływał srebrzysty strumyczek, tworzący u podnóża, przy szosie, miniaturowe jezioro. Spragniony pies chleptał chciwie.

— Czy to jest dobra woda? — spytała z niepokojem Janeczka. — Tatusiu, czy mu ta woda nie zaszkodzi? Tyle było gadania o wodzie! Czy on to może pić?

— Może — uspokoił ją pan Roman. — To są górskie źródelka i woda w nich jest nieskalanie czysta. Pełno tu tego, podjedziemy dalej i umyjemy sobie ręce po małpach. Pić jej na surowo nie należy, bo ma inną florę bakteryjną niż nasza, ale psu to nie zrobi różnicy.

— No dobrze, to dlaczego ta woda tam, na dole, jest taka brudna, skoro z gór spływa czysta? — zacięła się pani Krystyna. — Wygląda jak gnojówka...

— Ona wcale nie jest brudna, tylko zamulona. Jest w niej glina, taki pył, który tworzy zawiesinę. Wszystkie ouedy, znaczy te tutejsze rzeki, tak wyglądają. W dodatku płyną w korytach, które robią wrażenie wyrąbanych siekierą, zobaczycie po drodze.

— To gdzie tu się można kąpać?

— W morzu. Do morza mamy dwieście kilometrów i też tam pojedziemy.

Ruszajmy wreszcie, bo do domu kawał drogi. Dobrze, że nie kupiłem tych moreli więcej...

Droga, już wcześniej nieprawdopodobnie kręta, zrobiła się kręta jeszcze bardziej i ciągle wspinała się pod górę. Uparcie szła po zboczach, z jednej strony mając stromą ścianę, a z drugiej wielki dół. Dogonili jakąś ciężarówkę, która kurczyła okropnie, i wlekli się za nią.

— Widoki tu są przepiękne, ale czy te zakręty nigdy się nie skończą? — spytała z lekką irytacją pani Krystyna.

— Zanim dojedziemy do domu, zdążysz się stęsknić za zakrętami — odparł pan Roman nieco jadownicie. — Te tutaj jeszcze nie są najgorsze, a za jakąś godzinę już z nich wyjedziemy. Porządną karuzelę obejrzysz sobie na trasie z Tissemsilt do Khemis Miliany.

— Tam, gdzie ci zabronili jechać w nocy? — zainteresował się Pawełek.

— Tak. Teraz już mógłbym jechać w nocy, bo poznałem drogę, ale zacząć w nocy, to rzeczywiście niebezpieczna zabawa. Zresztą i tutaj jest nieźle, sami widzicie, żadnych zabezpieczeń, żadnych oznakowań, nie dość, że nie ma barierek, ale nawet kreski na jezdni, nic!

— Zakręt — zawiadomiła Janeczka. — Stoi znak: zakręt w prawo.

— Rzeczywiście, nowość. Jeden zakręt...

— Mam nadzieję, że tam się nie wybieramy? — powiedziała pani Krystyna, wskazując wylaniającą się z zająca ogromną, łysą górę.

— Owszem — odparł zgryźliwie pan Roman. — Tam właśnie leży Medea...

Medea, wbrew spodziewaniam, była dużym, pięknym, zazielenionym miastem. Przejechali przez nią bez zatrzymywania. Pani Krystynie bardzo się tu podobało.

— Jeżeli Tiaret też jest taki... — zaczęła.

— Nie rób sobie złudzeń — przerwał pan Roman. — Tiaret jest mniejszy i brzydszy. I brudniejszy. Boję się, że doznasz rozczarowania.

Pawełek całą trasę oglądał w podziwieniu. Nie umiał sobie wyobrazić, żeby mogło istnieć coś jeszcze gorszego i bardziej krętego. Postanowił niezłomnie, że nie wyjedzie z tej Algierii, dopóki nie zobaczy tamtej drugiej, najokropniejszej drogi.

W godzinę później istnienie jakichkolwiek zakrętów, gór czy pofałdowań terenu zaczęło się im wydawać wręcz nieprawdopodobne. Dookoła rozpościerał się przeraźliwie płaski placek, równy jak stół, uklepany, pozbawiony najmniejszego bodaj dołka czy górki, suchy jak pieprz, wyjałowiony doszczętnie z wszelkich drzew i krzaków. Szosa szła prosto jak strzełił aż do horyzontu. Pan Chabrowicz docisnął gaz i grzał z maksymalną szybkością.

— Na litość boską, cóż to jest? — spytała ze zdumieniem rozglądająca się wokół pani Krystyna.

— Sawanny — odparł pan Roman wzdychając. — Mówiłem, że się stęsknisz za zakrętami. Tak już będzie prawie do końca.

Sawanny! Na dźwięk tego słowa Janeczka poczuła gwałtowne wzruszenie. Sawanny, przedsiónek pustyni...!

— Tatusiu, zatrzymaj się na chwilę — poprosiła. — Ja chcę wysiąść tylko na małą chwileczkę. Muszę te sawanny pomacać!

Pan Chabrowicz zatrzymał samochód. Słońce zniżało się już ku zachodowi, ale upał wciąż jeszcze panował straszliwy. Chaber dostał wody z plastikowej torebki, którą Pawełek przezornie napełnił w Wąwozie Małym. Chłodniejszy znacznie, zielony, cienisty Wąwóz Mały oddzielił się od nich w czasie i przestrzeni co najmniej tak, jakby widzieli go przed miesiącem. Lotnisko i morze leżały zgoła na innej planecie.

— Popatrzcie, a jeszcze dzisiaj rano byliśmy w Warszawie! — wykrzyknął nagle zdumiony Pawełek. — Coś takiego...

Janeczka przeszła na rozciągające się obok szosy pole. Uczyniła po nim kilka kroków, przyjrzała się roślinności i wróciła do samochodu.

— Podeptałam sawanny — oznajmiła z satysfakcją. — Ale zawsze myślałam, że na sawannach rośnie taka wysoka, gęsta trawa, większa od człowieka. A tu nic nie rośnie, tylko takie suche coś i sam oset. Dlaczego?

— Tutaj rośnie tylko to, co jest specjalnie kultywowane — wyjaśnił pan Roman, smętnie zapatrzony w południową część nieba. — Wiatr zwiewa wszelkie nasiona razem z tym piekielnym pyłem pustynnym i zakorzenia się tylko to, co jest wyjątkowo odporne. Poza tym tu jest sucho i ta glina kamienieje. Wsiadajcie, jedziemy dalej. Martwię się bardzo, bo idzie sirocco.

— To co? — zaciekawił się Pawełek.

— Nic, ale przez parę dni będzie nieprzyjemnie. Dziki wichur, gorąco i pełno piasku.

— A skąd wiesz, że idzie sirocco?

— Popatrzcie na niebo. Zaczyna się robić pomarańczowe. To jest pył, który się podnosi.

— I długo to trwa? — spytała z lekkim niepokojem pani — Krystyna. — Bo podobno w czasie sirocca wszyscy się kłóć?

— Może jakoś przetrzymamy. Trwa czasem nawet do dwóch tygodni, ale przeważnie kilka dni. Przykro mi bardzo, że te pierwsze dni będziecie mieli zatrute, bo i sirocco, i Ramadan...

— Co ma do rzeczy Ramadan?

— Trochę jest uciążliwy. Arabom w czasie Ramadanu nic nie wolno od wschodu do zachodu słońca, nie wolno jeść, pić i palić. Zaczynają się pożywiać dopiero w nocy. I nam też nie wypada jeść, pić i palić w miejscach publicznych, jest to źle widziane, a co mniej cywilizowani mogą rzucać kamieniami.

— Jak oni to wytrzymują?! Nic nie pić w tym upale?!

— Z trudem wytrzymują i pod koniec już są w ogóle nie do życia. W dzień wolno jeść tylko osobom chorym, osobom będącym w podróży i dzieciom do lat albo czternastu, albo dwunastu, nie pamiętam. Więc nasze dzieci też na wszelki wypadek nie powinny jeść publicznie.

— Dobra, możemy jeść prywatnie... — mruknął Pawełek.

Szosa ciągle biegła prosto. Pan Roman jechał i jechał, i wcale jej nie ubywało. Po prawej stronie, w szczerym polu, pojawiła się mała wioska arabska, wyglądająca jak skupisko poszarpanych, glinianych pagóreczków. Pani Krystyna przyjrzała się jej ze zgrozą.

— Jak oni tu mogą żyć, w tej przeraźliwej pustce, bez jednego drzewka... Słuchaj, dlaczego to jest jakieś takie pogryzione od góry?

— Nie pogryzione, tylko na wszystkich dachach leżą kamienie. Zabezpieczenia przed wiatrem. W całej Algierii na wszystkich dachach leżą kamienie...

Wreszcie coś zaczęło ulegać zmianie. Szosa skręciła łagodnym łukiem najpierw w prawo, a potem w lewo, nie wiadomo dlaczego, bo teren był ciągle płaski. Dwa drzewka, które ukazały się w oddaleniu, stanowiły urozmaicenie wręcz wystrzałowe i przyciągnęły wzrok jak magnes. Później pojawiła się odrobina zieleni i coś zamajaczyło na horyzoncie. Na uklepanej płaszczyźnie zaczęły wyrastać pagórki.

— No, już prawie jesteśmy w domu — powiedział z zadowoleniem pan Roman. — Przed nami Hammadia, za trzysta kilometrów Mahdia i za następne czterdzieści sześć już Tiaret.

Janeczka i Pawełek, zmęczeni upałem, otumanieni nieco monotonią krajobrazu, oszołomieni przestrzenią, którą przebywali, ocknęli się nagle niczym na dźwięk pobudki. Mahdia! Znów coś, na co powinni zwrócić baczną uwagę!

— Tato, przejedźmy przez tę Mahdię powoli, co? — zaproponował żywo Pawełek.

— Obejrzymy sobie takie arabskie miasto.

— Przecież całą drogę oglądamy arabskie miasta? — zdziwiła się pani Krystyna.

— Co prawda niewiele ich było i na tych sawannach zdażyłam zapomnieć, jak wyglądały...

— Mahdia to nie miasto, tylko miasteczko — przerwał pan Roman. — Akurat takie samo jak Hammadia. Na pewno nie będę jechał szybko, bo tu we wszystkich miejscowościach jest ograniczenie szybkości do czterdziestu i generalny zakaz wyprzedzania. Nie wiem, dlaczego akurat Mahdia ma służyć jako typowy przykład...

Główną ulicę Hammadii, przez którą pan Roman przejechał wprawdzie wolno, ale bez przeszkód, dzieci obejrzały obojętnie. Trzysta kilometrów przeleciało błyskawicznie, przed Mahdią pan Roman znów zwolnił.

Zmęczenie, otępienie i lekkie przygnębienie minęło rodzeństwu jak ręką odjął.

— Ty patrz w lewo, a ja w prawo — poleciła Janeczka szeptem.

Pawełek z uwagą obejrzał kilka żółtych, dwupiętrowych budynków wyrastających tuż blisko znienacka i jeden szary, większy, oddalony nieco od szosy. Janeczka zobaczyła najpierw ogromne śmietnisko, a potem szereg białych domków, po większej części parterowych. Dalej za nimi ciągnął się mur, zwyczajny, niezbyt wysoki, również biały. Pawełek ujrzał następnie stację benzynową i kilka straganów z owocami i warzywami. Pan Roman zatrzymał samochód na środku ulicy, ponieważ samochód przed nim zatrzymał się również, a jego kierowca rozpoczął pogawędkę ze znajomym, stojącym na chodniku.

— Cóż to ma znaczyć? — zgorzyla się pani Krystyna. — Co on sobie myśli?

— On nic nie myśli. Tu są takie zwyczaje. Tylko spokój może nas uratować...

Pawełek wciąż przyglądał się straganom, Janeczka wpatrywała się w mur.

— Tu na lewo, za nami, odbywa się suk — dodał pan Roman i przycisnął klakson.

— Przyjedziemy tu w czwartek.

— Przecież dziś jest czwartek?

— Ale już późno, a na suk przyjeżdża się rano.

Kierowca przed panem Romanem przyjacielsko pomachał mu ręką. Janeczka i Pawełek zgodnie obrócili się na lewo do tyłu, wyteżając wzrok z nadzieją dostrzeżenia jakiejś wskazówki, wypatrzenia bodaj śladu informacji. Widok nic im nie mówił. Stragany z owocami były nieprawdopodobnie kolorowe, za nimi stały jakieś budy, na dachach których w obfitości leżały duże kamienie. Stacja benzynowa wyglądała zwyczajnie i dość prymitywnie. Jediną względną niezwykłość stanowił osiołek, zaprzęzony do czegoś, co wyglądało jak kawał blachy na dwóch kółkach, osiołek jednakże nie był elementem stałym.

Dwaj znajomi przed nimi rozstali się wreszcie i ruszyli dalej.

— Widzę przed sobą coś bardzo ładnego — powiedziała pani Krystyna.

— Meczet — wyjaśnił pan Roman. — Meczety są rzeczywiście prześliczne. Dalej, po lewej stronie, będzie merostwo.

Janeczka i Pawełek znów ze straszliwą intensywnością oglądali każde swoją stronę ulicy. Janeczka obejrzała koronkową dekorację jasnokremowego meczetu i równy, piękny chodnik przed nim, Pawełek popatrzył na dwa lwy, niegdyś złożone, strzegące wjazdu do ogrodu merostwa. Przyjrzeni się następnie małym sklepikom i małym drzewkom, którymi ulica była wysadzona. Janeczka doznała uczucia miłej błogości na widok jakiegoś wejścia do czegoś, obramowanego niebiesko–złotą mozaiką, oraz licznych, większych i mniejszych, arabskich napisów. Pawełek usiłował penetrować wzrokiem głąb mijanych bocznych uliczek i na wszelki wypadek zapamiętywać wszystko, co widzi. Po jeszcze jednym, krótszym nieco postoju wyjechali z Mahdii.

Teren stał się już urozmaicony i coraz bardziej pagórkowaty, rosły drzewa i krzewy. Szosa, po długim, prostym odcinku, zaczęła trochę kręcić. Pani Krystyna chciwie przyglądała się okolicy. Zainteresowała ją dziwna budowla na szczycie jednego z wyższych pagórków, maleńki, lśniącobiały domek, przykryty zielonym, kopulastym dachem. Pan Roman wyjaśnił, że jest to grobowiec świętego męża, marabuta, do którego ludność przychodzi się modlić.

— Widać Tiaret — powiedział po chwili. — Tam, na tych górkach.

Słońce stało już nisko nad horyzontem, ale do zachodu pozostała jeszcze blisko godzina. Tiaret z daleka wyglądał bardzo malowniczo i dość kolorowo. Zbliżywszy się do miasta, pan Roman nie przerywał już objaśnień.

— Tu na lewo jest nowe osiedle, takie samo jak nasze, ale jeszcze nie ukończone. Te wysokie drzewa na prawo to cyprysy na starym francuskim cmentarzu. Na lewo osiedle zamieszkane, nasze jest za nim, ale nie ma tędy przejazdu, musimy jechać przez miasto. Tu na prawo na górze jest wilajat, takie jakby starostwo i osiedle dla miejscowych dostojników. Prosto przed nami śródmieście, rynek targowy i galeria...

— Jaka galeria? — przerwała podejrzliwie pani Krystyna. — Obrazów?

— Nie, galerią nazywa się tutaj państwowy dom towarowy. Tu skręcamy do nas... Tam na prawo, dalej, jest jeszcze jedno osiedle, gdzie mieszkają nasi. Tu na rogu jest sklep z winem, a dalej sklep, w którym kupuje się wodę mineralną. Ten tor kolejowy, przez który przejeżdżamy, jest nie używany od dwudziestu lat. A to jest nasze osiedle...

Skręcili dwa razy w lewo, przejeżdżając przez jakieś doły i dziury i jechali szeroką, asfaltową jezdnią. Z jednej jej strony stało kilka parterowych, pawilonowych, kremowych domków, ogrodzonych jasnymi murkami, z drugiej widać było jakby ugór, porośnięty gąszczem wysokich ostów. Dookoła ugoru stały takie same pawilonowe domki, dalej na prawo i lewo było ich więcej. Przy wszystkich domkach rzucały się w oczy kawałki szarych, betonowych ogrodzeń, między którymi licznie wznosiły się samotne słupy.

Asfaltowa jezdnia skończyła się szybko dość obszernym placikiem. Dalej za placikiem znów był ugór, nasyp toru kolejowego i tamto osiedle, obok którego przejeżdżali. Przed placikiem, jeszcze przy tej szerokiej, asfaltowej ulicy, oddzielone od niej pasmem udeptanego zielska, wznosiło się kilka domków, do których prowadziło wąskie przejście pomiędzy ogrodzeniami. Pan Roman zatrzymał samochód dokładnie na wprost przejścia.

— Proszę bardzo! — oznajmił dumnie. — Jesteśmy w domu!

* * *

Z czterech pokoi domku jeden stanowił sypialnię państwa Chabrowiczów, dwa należały do Janeczki i Pawełka, jeden zaś, największy, zajmujący prawie połowę budynku, był salonem. W salonie znajdowały się dwa stoły, jeden normalny, obiadowy, a drugi długi, niski, salonowy. Przy obiadowym stole stały cztery krzesła, przy salonowym kanapa i dwa fotele. Tuż obok stołu obiadowego było wejście do kuchni, mającej także drugie drzwi, na korytarz. Okna pokoi Janeczki i Pawełka, a także jedno okno salonu wychodziły na ogródek, ogradzany murem, drugie okno salonu, okno kuchni i okno państwa Chabrowiczów dawały piękny widok na obszerny plac, gruntownie zarośnięty ostami, dochodzącymi wzrostu człowieka, oraz na sześć samotnych słupów ogrodzeniowych.

O godzinie siódmej rano słońce już grzało. Janeczka i Pawełek zdążyli się porozumieć przed śniadaniem. Pawełek ułożył strzępki mocno już wygniecione go listu na wielkim pudle, służącym mu jako stół.

— Z tego wszystkiego całkiem jestem skołowany — oznajmił smętnie. — Myślałem w pierwszej chwili, że uda nam się dostać do tego Wąwozu Małp byle kiedy i spokojnie go obejrzeć, ale widać, że nic z tego. Ciągle nic nie wiemy.

Janeczka z grzebieniem w rękę siadła na turystycznym krześle.

— Mnie się tu bardzo podoba — stwierdziła, podczesując włosy i związując je w koński ogon na czubku głowy. — Uważam, że bardzo dużo wiemy. Już pierwszego dnia udało nam się dwa miejsca zobaczyć.

— No i co nam z tego przyszło?

— Nie wiem. Wcale się nie spodziewałam, że od razu wszystko znajdziemy. Poza tym, przejechaliśmy przez to w niewłaściwej kolejności.

— Dlaczego w niewłaściwej kolejności?

— No zobacz sam, masz przed nosem. Z tego listu wynika, że najpierw trzeba być na suku w Mahdii, potem jechać do tego czegoś na Sou, a potem do Wąwozu Małp. Pojechaliśmy odwrotnie, a tego na Sou w ogóle nie było.

— No owszem — zgodził się Pawełek. — Potem ma być droga na zaporę, a potem ten jakiś kamieniołom. Możliwe, że dopiero po wszystkim coś się wyjaśni. Chociaż ten Wąwóz Małp na kryjówkę skarbów mnie się wydaje całkiem niezły.

Janeczka z uznaniem pokiwała potakująco głową.

— Jest wspaiały! Widziałeś te głązy na dole? Jeżeli trzeba coś odwalić, to może właśnie to?

— Nie wiem, z listu wynika, że chyba raczej kamieniołom...

Pani Krystyna wezwała ich na śniadanie, przerywając naradę. Do żadnych wniosków nie doszli. Na dobrą sprawę tak bezradni i zbici z pantafyku jak tutaj, nie czuli się jeszcze nigdy w życiu. Świat dookoła był jakiś inny, obcy, niezupełnie rozumiący, a ogrom tego, co widzieli i przebywane przestrzenie zaskoczyły ich całkowicie. Wszystko razem z jednej strony było nad wyraz interesujące, a z drugiej trochę niepokoiło.

Jedno okno w salonie trzeba było zamknąć, bo do pokoju wdzierał się dziki wicher.

— No i jest sirocco — stwierdził smętnie pan Roman, spoglądając na tumany kurzu kłębiące się nad ostami. — Bardzo mi przykro, ale nie mam na to wpływu. Chociaż z drugiej strony...

— Co z drugiej strony? — spytała pani Krystyna, siadając przy stole.

— Z drugiej strony, jeżeli już musi być sirocco, lepiej teraz niż później.

— Bo co? — zaciekała się Janeczka.

— Bo miałem takie plany... — odparł pan Roman i powąchał wyjętą z puszek szynkę. — Boże, jaka to cudowna rzecz, szynka! A ten boczek...! A ten chrzan...!

— Ty się nie zajmuj teraz boczkiem i chrzaniem, tylko mów, jakie miałeś plany! — zażądał surowo Pawełek.

— Już mówię. Ach, jak to wspaniale jest mieć żonę!

— To aż Algierii było trzeba, żebyś to zauważył? — oburzyła się pani Krystyna.

— Uspokój się już, boja też chce poznać te plany.

Pan Chabrowicz w rozpędzie powąchał także i chrzan i teraz wycierał sobie łzy z oczu.

— No więc w planach miałem wyjazdu w takiej kolejności: w najbliższy weekend do Medei przez Mahdię, gdzie wstąpimy na suk, a w następny do Mostaganem, nad morze. Sirocco teraz nieźle mi do tego pasuje.

— Dlaczego?

— Bo bezpośrednio po sirocco woda w morzu jest zamulona. No, nie wiem, jak to nazwać, ale nie jest czysta. Ma w sobie zawiesinę, żadna przyjemność w tym się kąpać. Więc dobrze się składa, teraz, kiedy morze jest do niczego, pojedziemy do Medei, a potem, kiedy to opadnie i woda już się oczyści, do Mostaganem. Do Medei wyjedziemy wcześniej i zdążycie obejrzeć Algier.

Cała rodzina zaaprobowała te plany bez zastrzeżeń.

— Tatusiu, a co tu jest takiego, co się zaczyna na Sou? — spytała Janeczka.

— Na Sou? Sougeur chyba, nic innego. Taka miejscowość.

— Daleko stąd?

— Nie, blisko. Dwadzieścia parę kilometrów.

— Jedźmy tam!

— Chcecie jechać do Sougeur? — zdziwił się pan Roman. — O tej porze roku nie ma tam nic ciekawego, ale proszę bardzo, jak chcecie, możemy jechać.

— A co jest ciekawego o innej porze roku? — zainteresowała się pani Krystyna.

— O innej porze roku, nie wiem dokładnie kiedy, ale chyba w zimie, podobno farbują tam wełnę. W całym mieście sami farbiarze, mówili mi, że widok jest nieprawdopodobny, bo farbują to i suszą na ulicy. Na zewnątrz.

— I można ją kupić, tę wełnę?

— Nie wiem, ale chyba można. Tu właściwie wszystko można kupić zawsze i wszędzie. To handlowy naród. Możemy jechać do Sougeur, chociaż dzisiaj chciałem wam pokazać możliwie dużo na miejscu, żebyście jutro dali sobie radę. Ja jutro idę do pracy. Zostawię wam samochód i pojedę z Kawalkiewiczem. W ogóle dzisiaj ty będziesz jeździła.

Pani Krystyna zaniepokoiła się odrobinę.

— Nie wiem, czy potrafię. Tu się jakoś głupio jeździ.

— Toteż właśnie, musisz się przyzwyczaić.

— Nie mogłabym się zacząć przyzwyczajając od jutra?

— Nie, ja wolę być przy tym...

Wyruszyli zaraz po śniadaniu. Z szaloną uwagą i w ogromnym skupieniu Janeczka i Pawełek oglądali miasto, po którym pan Chabrowicz bezlitośnie pilotował żonę.

Postarali się zapamiętać drogę wiodącą z ich peryferyjnego osiedla do śródmieścia, stację benzynową, ulicę prowadzącą do rynku i do hali targowej, przyglądali się sklepom, białym, różowym i niebieskim budynkom, wskazywali sobie wzajemnie punkty orientacyjne. Domagała się tego od nich stanowczo pani Krystyna, opływająca potem przy kierownicy.

— Dzieci, zapamiętajcie wszystko, bo ja widzę tylko nawierzchnię — powiedziała żałośnie. — Żebyście jutro trafili.

— Jak przejedziesz jeszcze raz w kółko, już będziemy mieli miasto w małym palcu — zapewnił matkę Pawełek.

Jechali wolno, Chaber zatem biegł za samochodem, mając czas na wachanie i myszkowanie po różnych zakamarkach. Pani Krystyna pogodziła się w końcu z dość niezwykłym skrętem w lewo na rynku i opanowała sztukę parkowania na bardzo stromej ulicy przed sklepem z pieczywem. Pan Roman rozszerzył granice zwiedzania.

— Pojedziemy teraz do osiedla dostojników, a potem do źródelka. Skręć w lewo i wal pod górę.

Osiedle dostojników stanowiło dzielnicę najwyżej położoną. Pani Krystyna zatrzymała samochód na ostro nachylonej asfaltowej jezdni i odetchnęła.

— Gdyby to wszystko było nieco bardziej płaskie, szybciej bym się przyzwyczaiła do tych dziwnych obyczajów — stwierdziła z urazą. — Zdaje się, że trzy czwarte miasta idzie albo pod górę, albo na dół.

— Połowa — sprostował pan Roman. — Teraz możemy wysiąść i popatrzeć, bo to jest rzadki widok.

Wysiedli i od razu szarpnął nimi wiatr. Uderzał i pchał, niosąc obłoki pyłu, którymi zasypywał oczy, a do tego jeszcze był gorący. Nie chłodził wcale, przeciwnie, wydawało się, że grzeje. Odwracając się tyłem do podmuchów, przyjrzeni się osiedlu.

W pierwszej chwili wydało im się prześliczne. Lśniące nowością, białe, różowe, niebieskie i kremowe wille z tarasami i balkonami tonęły w zieleni i kwiatach. Ogrodzenia z ażurowych krat pozwalały widzieć w głębi dziedzińczyki i fragmenty ogródków. Połyskiwały w słońcu kolorowe mozaiki i koronkowe dekoracje. Dopiero po chwili pan Roman zwrócił żonie uwagę na osobliwości architektoniczne.

— Przyjrzyj się, bo ja to sprawdzałem specjalnie. Ani jeden nie został zbudowany prosto. Ani jedna ściana nie trzyma się w pionie, ani jeden strop nie jest poziomy. Widzisz?

— Rzeczywiście. Tak, masz rację! Jakim cudem to się trzyma?

— Dlaczego ma się nie trzymać? Wszystkie małe. To się w głowie nie mieści, z jednej strony te dekoracje, te szczególiki, te kraty, wypieszczone, wycackane, a z drugiej istna rozpacz konstrukcyjna. W pracy mam to samo...

— Ale malownicze są bardzo...

Janeczka i Pawełek, przyjrzawszy się osiedlu, usiłowali rozejrzeć się dookoła. W stronę doskonale widocznego z góry miasta nie mogli patrzeć, bo stamtąd wiał sypiący pyłem w oczy wiatr. Popatrzyli ku górze.

— Tatusiu, a co jest tam dalej? — spytała Janeczka, przerywając panu Romanowi wydziwiania nad pionem i poziomem budynków.

— Gdzie?

— Tam. Za tą górą?

— Tam już jest koniec miasta. Pole pewnie, nie wiem. Zdaje się, że gdzieś w tej stronie jest jakiś kamieniołom czy kopalnia żwiru, czy coś takiego. A w tamtej stronie jest źródelko...

Janeczka i Pawełek wymienili błyskawiczne spojrzenia. Nagle zrobiło im się jeszcze goręcej. Następne upragnione miejsce! Kamieniołom albo kopalnia żwiru...

— Tato, a czy do tego kamieniołomu nie można pojechać? — spytał ostrożnie Pawełek.

— Można, ciężarówki tam wjeżdżają, ale bardzo zła droga. Po co ci kamieniołom? Chodźcie, wsiadamy! Pojedziemy do źródła, a potem do Sougeur.

Po szarpiącym wietrze na zewnątrz wewnątrz samochodu wydawało się zaciszne. Pawełek gwizdnął na psa. Pani Krystyna zawróciła i zaczęła zjeżdżać z góry.

Źródło znajdowało się tuż przy szosie i teren wokół niego przypominał prawie prawdziwą łąkę. Napotkali tam skorpiona, którego wytropił Chaber i któremu nie zdołali się przyjrzeć, ponieważ uciekł w szalonej panice. Chaber nie próbował go łapać, najwidoczniej wiedział, iż jest to stworzenie jadowite.

Sougeur okazało się małym, sennym arabskim miasteczkiem, o ulicach obficie wysadzonych niewielkimi drzewkami. Arabskie domki przeważnie były ukryte za murem. Na życzenie Janeczki objechali je trzy razy we wszystkie strony, po czym okazało się, że trzeba wracać, bo nadszedł czas obiadu. Zmęczony i zziębnięty Chaber wsiadł do samochodu i ruszyli do Tiaretu.

Całe następne trzy dni, według opinii Janeczki i Pawełka, były nie tyle może zmarnowane, ile wykorzystane niedostatecznie i w niewłaściwy sposób. Pani Krystyna twardo trzymała ich przy sobie, uniemożliwiając poważniejszy rekonesans.

— Nie zrobicie mi takiego świństwa! — powiedziała trochę z oburzeniem, a trochę żałośnie. — Muszę robić zakupy, a nic nie wiem z tego całego miasta i jestem pewna, że przy pierwszej okazji zabłądzę. Znaście drogę lepiej ode mnie i nie możecie mnie zostawić na łasce losu!

— Dobrze, ale jak się już zrobisz samodzielna...

— Obiecuję, że wtedy będziecie mieli swobodę i przestanę się czepiać! Tylko te parę pierwszych dni...

Pogodzili się z tym przymusem nawet bez wielkiej niechęci, bo wiejące ciągle sirocco obrzydzało wszelkie piesze wycieczki. Poznali Tiaret prawie zupełnie dokładnie. Przywykli do osobliwości i przestali się oglądać za każdym Arabem w burnusie i każdą Arabką owiniętą białym chaikiem, tak że widać jej było tylko jedno oko. Uwierzyli na słowo, że żadna z tych szczelnie odzianych osób nie pada trupem z gorąca natychmiast po zniknięciu im z oczu.

Po trzech dniach pomarańczowe słońce przestało być widoczne za pomarańczowo—burymi chmurami, upał zrobił się nieznośny i pan Roman od rana zapowiedział deszcz. Czekali z niecierpliwością, bo deszcz miał zakończyć sirocco. Upragnione wydarzenie nastąpiło w czasie obiadu. Wicher wzmógł się gwałtownie i o szyby okien coś pacnęło.

— To ma być deszcz? — rzekł Pawełek z niedowierzaniem. — Te dwie krople na krzyż? Nie będzie padać porządnie?

— Za to duże krople — zwróciła mu uwagę Janeczka. — Każda sztuka jak pięść.

— Ale przecież już się skończył! No proszę, już nie pada! Co to za deszcz, taki przez pół minuty?!

— A pomimo to zobaczycie, że pomoże — zapewnił pan Roman.

Dziwaczny deszcz istotnie trwał ledwie kilka minut i polegał na tym, że co pół metra upadła jedna kropla wielkości laskowego orzecha. Każda z tych kropel wysychała błyskawicznie, pozostawiając po sobie kupkę rudego błota. Był to właśnie ów pył, uniesiony wiatrem, strącany teraz przez wodę przyspieszającą jego opadanie. Oryginalne zjawisko atmosferyczne rzeczywiście pomogło i już nazajutrz niebo zaczęło tracić pomarańczową barwę i wracać do naturalnego błękitu. Upał odrobinę zelżał, stał się świeższy i znacznie mniej męczący.

— Jutro idziemy na spacer — zapowiedział stanowczo Pawełek.

— Proszę bardzo — zgodziła się pani Krystyna. — Ja już wszędzie trafiam.

— Jeżeli chcecie gdzieś iść, wybierzcie się wcześniej rano, bo w południe już będzie za gorąco — ostrzegł pan Roman. — I weźcie sobie coś do picia, tylko nie pijcie przy ludziach. To już ostatnie dni Ramadanu i oni mogą być szczególnie drażliwi.

Przyjrzał się swoim dzieciom i zawahał się.

— Co prawda, Ramadan dotyczy osób powyżej czternastu lat, dowiadywałem się specjalnie, ale czy ja wiem... Po pierwsze, arabskie dzieci są w ogóle mniejsze od was i w porównaniu z nimi możliwe, że wyglądacie na więcej, a po drugie, jakoś też nie widziałem, żeby jadły publicznie.

— Żaden wygłodniały człowiek nie zniesie widoku kogoś jedzącego mu przed nosem — zaopiniowała pani Krystyna. — Więc po prostu z grzeczności...

— O rany, nie ma sprawy! — zniecierpliwiał się Pawełek. — Zabierzemy ze sobą śniadanie i zjemy w ukryciu. W ogóle nie ma o czym gadać!

— Damy sobie radę — zapewniła Janeczka. — Nikomu się nie narazimy i możecie sobie nami nie zawracać głowy. A już najwyższy czas, żebyśmy wreszcie obejrżeli z bliska chociaż kawałek tej Algierii!...

* * *

— Nie jeść, nie pić, nie oddychać — mamrotał z gniewem, urazą i goryczą Pawełek nazajutrz o wpół do dziewiątej rano. — Nie patrzeć może jeszcze, nie słuchać, nie dłubać w nosie, nie mrugać oczami. Żeby oni pękli, to przecież trupem można paść!

— Jeżeli pójdą za nami aż tam — rzekła zimno Janeczka, wskazując palcem przed siebie — przestaniemy na nich zwracać uwagę. To już nie jest miejsce publiczne. Mogą nam patrzeć w zęby na własną odpowiedzialność.

— Bardzo dobrze. A jeśli zaczną rzucać kamieniami, jak Boga kocham, ja też rzucę! I zobaczymy, kto lepiej...!

Wskazany przez Janeczkę kierunek całkowicie odbiegał od pierwotnie zaplanowanego. Celem wycieczki i upragnionym kawałkiem Algierii był, rzecz oczywista, kamieniołom. Kamieniołom, nawet jeśli istotnie znajdował się gdzieś w okolicy miasta, z całą pewnością dawno już został daleko za nimi, to zaś, co widzieli przed sobą, w najmniejszym stopniu nie odpowiadało ich potrzebom.

Wyruszyli przed siódmą rano bardzo rozsądnie i logicznie, w jedyną stronę, gdzie nie było widać dalszego ciągu krajobrazu. Zaslaniała go wielka góra, wznosząca się tuż za torem kolejowym i szosą, częściowo porośnięta rzadkim jęczmieniem, a częściowo stanowiąca pastwisko dla owiec. Wleźli na nią, przeszli niewielkie zagłębienie, wleźli na następną górę i natknęli się na jakieś stare zabudowania wśród drzew. Dookoła pasły się krowy, pilnowane przez liczne grono pastuchów, i od tego miejsca zaczęli mieć asystę.

W otoczeniu kilkorga dzieci podeszli jeszcze wyżej i trafili na coś, co wyglądało jak bardzo nędzna, leżąca na tysej płaszczyźnie wieś. Niebo już było błękitne, słońce lśniło złocistym blaskiem, a wieś nie odróżniała się kolorytem od gruntu. Ziemia, wyschłe trawy i osty, gliniane domki, gliniane murki, pętające się gdzieś tam osły i owce, wszystko było szarobrązowo-beżowo-żółte. Kolejne niewielkie wzniesienie znów zaslaniało horyzont.

Janeczka i Pawełek doskonale wiedzieli, że kierunek marszu należało zmienić nieco już wcześniej. Od owych zabudowań, drzew i pasących się krów powinni byli skrócić w lewo, tam jednakże podejście było zbyt strome, zdecydowali się zatem obejść je łatwiejszą drogą. Tym bardziej należało skrócić w tej nędznej wsi i nie tylko

skręcić, ale nawet ruszyć trochę do tyłu.

— Cały ten spacer mamy odwalić na głodno? — zbuntował się Pawełek. — Mieliśmy się schować i zjeść śniadanie. W gardle mi zaschło!

Janeczka z lekką irytacją przyjrzała się pożądaney stronie. Widać tam było dalszy ciąg wsi, jednego osła, kilka kóz, nielicznych dorosłych ludzi i coraz liczniejsze dzieci.

— Tam jest kompletnie beznadziejnie — oceniła. — Ja też chcę pić. Trudno, musimy iść tędy. Zawrócimy po śniadaniu.

Ruszyli ku wzniesieniu za wsią, powiększając jeszcze bardziej olbrzymi łuk, jaki zataczali wokół miasta. Wieś zwróciła na nich uwagę. Przyglądali się im wszyscy dorośli, towarzyszyli im nawet kawałek drogi, dzieci zaś lały za nimi konsekwentnie i wytrwale. W innych okolicznościach z dużym zainteresowaniem i bez oporu przystąpiliby do nawiązywania przyjacielskich stosunków z miejscową ludnością, teraz jednak było to akurat niepożądane. Wyszli z domu, nic nie jedząc, żeby nie tracić czasu, przebyli olbrzymią przestrzeń, włązili pod górę, słońce grzało coraz bardziej i myśl o posiłku i napoju stawała się nieodparcie nęcąca.

Dotarłszy wreszcie na to ostatnie wzniesienie, ujrzeni przed sobą wielką panoramę pagórków i dolinek, dość gęsto porośniętych lasem. U ich stóp zaczynała się ogromna, wysuszona łąka, ciągnąca się aż do łagodnego, zalesionego zbocza. Głód i pragnienie rosły, z determinacją zatem wkroczyli na łąkę.

— No, wreszcie! — westchnęła z ulgą Janeczka, siadając na wielkim kamieniu w cieniu drzew. — Zdaje się, że mamy ich z głowy. Rozejrzyj się, czy na pewno nikogo nie ma.

Pawełek wyciągnął z futerału wielką, starą lornetkę dziadka i uważnie spenetrował otoczenie.

— Żywego ducha nie widać. Oderwaliśmy się od przeciwnika. Rany, głodny jestem jak upiór!

— Jesteśmy w lesie i mamy prawo jeść.

Łąka była tak wielka, że arabskie dzieci zrezygnowały w końcu z dalszego marszu. Zostały w górze i zniknęły im z oczu. Nareszcie można było usiąść, odpocząć i napić się wody. Las był wprawdzie trochę dziwny, rzadki, pozbawiony trawy i zapchany kamieniami, ale jednak dawał cień i pozwalał się ukryć przed ludzkim wzrokiem.

— Najpierw Chaber — zarządziła Janeczka i wyciągnęła z torby plastikową miskę.

Pawełek nalał do miski wody ze szczelnej, plastikowej torebki. Chaber wychleptał wodę i wrócił do swojego zajęcia. Z wyraźną lubością, z zainteresowaniem i w skupieniu obwąchiwał wszystko, cokolwiek znajdowało się wokół. Wydawał się zadowolony i szczęśliwy. Otaczały go wonie natury, nie skażone i nie zapaskudzone odorami cywilizacji. Najwyraźniej w świecie podobało mu się to ogromnie.

— Przez ten cały Ramadan wyniosło nas na drugi koniec świata — zauważyła z niezadowolaniem Janeczka i uczyniła gest brodą. — Uważam, że teraz powinniśmy iść tędy. To będzie akurat tam, gdzie trzeba było iść na górę.

Pawełek przyjrzał się krajobrazowi. Za łąką z lewej strony pozostało wzniesienie z wsią. Przed nimi i dalej w prawo wyrastała ogromna, rozległa góra, odgradzająca ich od Tiaretu. Góra była łysa, kamienista i żółta.

— Po to zleźliśmy na dół, żeby teraz włązić pod górę — mruknął i podniósł do oczu lornetkę. — Bardziej na prawo. Tam jest droga.

— Przez ten mostek?

— To nie mostek, to taki kamień. Pod spodem jest dziura.

Janeczka odebrała mu lornetkę.

— Kamień i dziura! Na wszelki wypadek musimy to obejrzeć. Każdy kamień, który nadaje się do odwalenia, jest podejrzany.

Pawełek znów odebrał jej lornetkę, przyjrzał się dokładnie i westchnął.
— Nie wiem, czy on się tak precyzyjnie nadaje. Nie możemy odwalić wszystkich kamieni, które tu leżą. Ta cała Algieria w ogóle się składa z samych kamieni, do końca życia byśmy odwalali.

— Ale przynajmniej musimy obejrzeć.

Chaber na wielkim głazie wytropił jaszczurki. Migwały w plamach światła i kryły się w szczelinach, ale nie były zbyt płochliwe i można je było oglądać bez przeszkód. Poprzyglądali się im trochę, wykończyli owoce i ruszyli w stronę mostka z kamienia.

— Popatrz, szkielec — zauważyła Janeczka. — Krowy chyba, nie?

— Krowy, bo ma rogi. O, patrz, tam też szkielec!

— Tam też. O, i tam!

Rozejrzeli się uważnie po suchej imitacji łąki.

— Pełno tych szkieletów — stwierdził Pawełek. — Popatrz, tamten jeszcze ma skórę. To owca.

— A tutaj chyba koń, bo duże, a rogów nie ma.

Cała łąka stanowiła istne cmentarzysko zwierzęcych szkieletów. Zastanawiając się, czy przychodzą tu same jeszcze za życia, czy też są wyrzucane po śmierci, Janeczka i Pawełek dotarli do kamienia, pod którym woda wypłukała jaskinię, obejrzeni go z uwagą i odkryli, iż stanowi on miejsce zamieszkania miliona jaszczurek. Biegały po jego sklepieniu do góry nogami i przyglądały się im błyszczącymi, paciorkowatymi oczkami. Posiedzieli przy nich trochę, po czym zaczęli wchodzić pod górę. Nierówna, kamienista droga okrążała wierzchołek, ale wznosiła się coraz wyżej. Słońce grzało nieznośnie.

— A jemu się ta padlina wyraźnie bardzo podobała — powiedział z lekkim zgorszeniem Pawełek, wskazując Chabra.

— Znów coś znalazł — odparła Janeczka. — Zobaczymy, co to jest.

Chaber, z uszami zwisającymi do przodu, pofukiwał nad czymś dziwnym. Z lekką niechęcią ustąpił miejsca swoim państwu. Wśród kamieni niemrawo poruszały się jakieś żuki, kolosalnych rozmiarów, lśniące głęboką czernią. Do niczego nie były podobne.

— Istne potwory — oceniła Janeczka. — Jak to dobrze, że ten pies ma rozum i nie bierze tego do ust ani do ręki.

— Ale pobawić, to by się tym pobawił. Widać nie są jadownicze, bo skorpiona obchodził z daleka. Może by to zabrać do domu?

— Oszalałeś?! Nie wiadomo, co mogą mieć na sobie! Pewnie się żywią tą padliną! Pies nie rusza, a ty chcesz zabierać?

— Dobrze już, dobrze, ja tylko tak sobie powiedziałem...

Ruszyli dalej. Droga skręciła w prawo, zbliżając się do wierzchołka rozległego wzniesienia. Szli nią i szli w suchym, żółtym upale, nic już prawie nie widząc dookoła, bo prawa strona ciągle stanowiła wyższe od nich zbocze, a po lewej wyrósł wał z nierówno narzucanych, białych kamiennych bloków. Przewiewu nie było tu wcale, tylko żar lejący się z nieba.

Pawełek zatrzymał się.

— Nikt nas tu nie widzi. Wypijmy tę resztę wody, co?

Janeczka wyraziła zgodę.

— I dajmy psu. Ciekawe, dokąd dojdziemy. Mnie się wydaje, że ta droga nigdy się nie skończy.

— Tam już chyba schodzi w dół, a w każdym razie pustynia to nie jest. Na pustyni bym wody do końca nie wypił.

— Wypilbyś jeszcze prędzej niż tu...

Chaber ziajał z wywieszonym językiem, ale objawów wyczerpania nie zdradzał w

najmniejszym stopniu. Pawełek odrobiną wody pomazał sobie twarz i kark i wskazał butelką psa.

— Jestem pewien, że on doskonale wie, jaka jest stąd najkrótsza droga do domu.

— O najkrótszą drogę do domu zaczniemy się martwić równo o dwunastej godzinie — odparła Janeczka zimno i bezlitośnie. — Teraz idziemy dalej!

Skręcili razem z drogą jeszcze trochę bardziej w prawo, przeszli kilkanaście kroków i nagle zatrzymali się jak wryci. Kamienny wał po lewej stronie obniżył się gwałtownie, odsłaniając widok imponujący!

Gdzieś tam, daleko, ukryty nieco za kamienistym grzbietem, widniał Tiaret, blisko zaś, tuż u ich stóp, otwierała się gigantyczna, przeogromna, wręcz wstrząsająca rozmiarami dziura w ziemi. Kamieniołom...!

— Ha! — zakrzyknął triumfująco Pawełek i umilkł, uszczęśliwiony i przejęty.

Długą chwilę stali, wsparci o kamienie obniżonego wału, nie czując już upału, chciwie wpatrzeni w ten zaskakujący ogrom. Gdzieś tam, potwornie daleko w dole, poruszały się niemrawo bardzo nieliczne maleńkie figurki ludzi i powarkiwała wielka ciężarówka, wyglądająca z tej odległości jak dziecinna zabawka. Żadnego innego ruchu nie było widać.

— To jest niemożliwa rzecz, żeby tu wszystko było takie okropnie wielkie! — zbuntował się nagle Pawełek.

— W życiu bym się nie spodziewał! I ten Wąwóz Mały, i to, i te sawanny... To są w ogóle nieludzkie wymiary!

Janeczka zdjęła z ramienia lornetkę i przyłożyła ją do oczu, kierując na kamienisty grzbiet za kamieniołomem.

— Tam są jakieś budynki — oznajmiła. — Wieś. Nie, nie wieś, chyba miasto. Nie, nie wiem, co to jest, ale wygląda bardzo nędznie. Mnóstwo śmieci i mnóstwo szmat.

— Tu wszędzie wisi mnóstwo szmat — mruknął Pawełek i zabrał jej lornetkę. — Oni chyba bez przerwy robią pranie. No, więc to jest chyba takie obszargane przedmieście.

— Możliwe. Chodź, musimy wszystko obejrzeć.

Ruszyli dalej w dół drogą wiodącą wokół kamieniołomu, tuż nad stromym zboczem. Nie wypuszczali już z rąk lornetki, zamieniając się nią co chwila.

— Ale rzeczywiście nie wiadomo, co to jest — przyznał Pawełek, kiedy zatrzymali się znów w połowie zejścia. — Możliwe, że to wcale nie jest kamieniołom, tylko właśnie kopalnia żwiru albo piasku. Sam nie wiem...

— To jest mieszane — zawyrokowała Janeczka, przyglądając się w skupieniu i wodząc lornetką po przeciwległych zboczach. — Tu są kawałki skały, a tu piasek. Ten kamień, co tam leżał, to też z tego. A tam, o! Popatrz, spod piasku wystaje kamień, takie były, widzisz?

— Nie widzę, daj tę lornetkę. Gdzie były? A...! No właśnie, to co to jest? Kamieniołom czy kopalnia żwiru?

— Wszystko jedno, najważniejsze, że to znaleźliśmy. Trzeba tam zejść i popatrzeć z bliska. Z daleka też trzeba popatrzeć.

Zatrzymując się co kilka kroków, wpatrywali się w ową skomplikowaną kopalnię z najwyższą uwagą. Janeczka doznała nagle wrażenia, że coś powinna zrozumieć. Mignął jej w głowie cień jakiejś myśli i uciekł natychmiast, pozostawiając po sobie uczucie przeoczenia czegoś. Miało to niejasny związek ze skarbami, im bardziej jednak usiłowała uchwycić ów błysk, tym bardziej umykał jej z pamięci. Bez żadnych rezultatów wbijała wzrok w przemieszane ze sobą skały, żwir i piasek.

Na stojącą pośrodku placu wielką ciężarówkę ładowano żwir w tempie, które pozwalało obliczyć, że nie zapełni się jej do wieczora.

— Ale praca. Ho, ho! — mruknął kaśliwie Pawełek. Janeczka przypomniała mu,

że to koniec Ramadanu i nikt tu się już do niczego nie nadaje. Znów uniosła do oczu lornetkę.

— Tam są różne dziury — oznajmiła. — Taka długa, wąska. To szczelina. I taka mniejsza. I większa, niżej...

— Daj popatrzeć!

Zeszli już tak nisko, że za plecami mieli na lekko nachylonej płaszczyźnie podmiejskie slumsy, które Pawełek określił mianem obszarganego przedmieścia. Na zboczu widniało coś w rodzaju stromej ścieżki w dół, wprost na dno kamieniołomu. Skorzystali z niej, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

— No i co? — spytał z powątpiewaniem Pawełek, zsunąwszy się z ostatniego kamienia. — Do rozwalania to tu jest dosyć dużo, ale gdzie skarby?

Janeczka wytrzepała piasek z sandałów.

— A coś ty myślał, że one tu będą leżały na wierzchu? Czekał, jedna rzecz przychodzi mi do głowy...

— No?

— Ramadan Ramadanem, ale ojciec mówi, że oni się tu nigdy nie śpieszą z robotą. Niech będzie, że pracują dwa razy więcej niż teraz. To ile tych ciężarówek stąd wywiozą na dzień?

Pawełek popatrzył na ciężarówkę, przy której wszelka praca zamarła.

— Góra dwie. A może tylko jedną i pół.

— Niech będzie dwie. Przez dziesięć dni, dwadzieścia. A dziesięć dni, to jest dwa tygodnie. Dwadzieścia ciężarówek to tu nawet śladu różnicy nie zrobi.

— Nawet i przy dwustu jeszcze różnicy nie będzie. To co?

— Ten list był pisany w zeszłym roku...

— Aaaa...! Myślisz, że od czasu napisania listu aż do teraz wszystko jest tak samo jak było?

— No właśnie.

— Możliwe. Znaczący, nic się nie zmieniło i jeżeli skarby tu były, to są dalej. Możliwe. Tylko gdzie?

— No więc tego właśnie nie wiemy — powiedziała Janeczka i rozejrzała się wokół jeszcze raz.

Na olbrzymim dnie kamieniołomu, prawie na środku, stał duży barak z pustaków, obok niego zaś tkwiła mała, prymitywna szopa. Za barakiem widać było jakieś urządzenia transportowo-dźwigowe w nie najlepszym stanie, nieco dalej stała ciężarówka, odwrócona frontem do widniejącego daleko na prawo szerokiego wyjazdu. Wokół wznosiły się niedostępne, strome, prawie pionowe zbocza utworzone z kamienia, żwiru i piasku. Wszystko razem wydawało się rozpaczliwie niedostępne i całkowicie niemożliwe do zbadania.

— Tu nie ma się co zastanawiać, tylko trzeba jeszcze raz odbyć te wszystkie podróże! — rzekł Pawełek stanowczo.

— Bardzo dobrze — zgodziła się Janeczka. — Tylko na wszelki wypadek, zanim stąd wyjdziemy, obejdźmy to dookoła. A myśleć zaczniemy, dopiero jak zobaczymy suk w Mahdii...

* * *

Suk w Mahdii był targowiskiem po prostu przecudownym. Na porozkładanych na ziemi płachtach piętrzyły się stosy owoców i jarzyn mniej więcej znajomych, obok nich zaś leżały jakieś tajemnicze przyprawy, korzenie i jakby kawałki kory, kompletnie obce, nigdy w życiu nie widziane. Pani Krystyna wahała je ostrożnie,

usiłując odgadnąć, czym są i do czego mogą służyć. Pana Romana zainteresowały wymiary nowej dętki, ułożonej obok patatów i jadowicie fioletowej cebuli. Dętka okazała się nieodpowiednia dla fiata, co go nieco zmartwiło. Część przemysłową targowiska reprezentowały przeróżne wyroby z wełny, sznurka i trzciny oraz stragany zaopatrzone w nieprzebrane bogactwo najrozmaitszych ciuchów, przeważnie bardzo lśniących i złocistych.

— Trochę to wygląda jak nasz bazar Różyckiego w okresie największego rozkwitu — oceniła pani Krystyna.

— Wszystko przemysł — mruknął pan Roman. — Obejrzyj ceny i przelicz sobie na franki.

Egzotyka objawiała się w postaci ogromnej ilości miedzianych naczyń, jakichś garnków, rynienek, półmisków, stoliczków, misek i innych przedmiotów, nie wiadomo do czego przeznaczonych, a także w stosach dywaników, mat, plecionek, pęków jakiejś trzciny, ozdób z ziaren, nasion i koralików. Zwalone na kupę leżało runo świeżo ostrzyżonych owiec, nie było natomiast uprzedzonej wełny, na którą czyhała pani Krystyna.

— No dobrze, to co ja mam zrobić? — spytała z irytacją, kupiwszy sobie wielki, pleciony, ludowy kosz. — Mam tę wełnę sama uprać, zgręplować i uprząść? Nie mam wrzeciona i kołowrotka.

— Wełna będzie na jesieni — odparł pan Roman. — Może już pod koniec sierpnia. Musisz po prostu poczekać.

Janeczka i Pawełek penetrowali targowisko metodycznie i w skupieniu. Już po krótkiej chwili, oceniwszy jego rozmiary, rozdzielili się i każde z nich badało inny fragment. Sprawa była poważna, na tym suku musiało znajdować się coś, co bezwzględnie należało wypatrzyć i znaleźć. Spotkali się raz przy żywych kurach, drugi raz wśród wielkich zwojów różnych lin i sznurów, i trzeci raz przy straganie z nićmi, włóczką i milionem jakichś ozdóbek i odpustowej biżuterii.

— No i co? — spytała Janeczka.

— Nic — odparł posepnie Pawełek. — Widziałem, jak jeden kupował kozę. Myślałem, że się biją, ale okazało się, że tylko się targowali.

— Ja widziałam, jak sprzedawali pieprz na łopaty. Słowo daję, łopatą sypał do torby na wadze.

— Skąd wiesz, że to był pieprz?

— Spróbowałam odrobinę. Tyle co łepok od szpilki. Nie połknęłam, spróbowałam tylko i wyplułam. Jeszcze mnie piecze.

— Dwóch rozmawiało ze sobą w kącie, ale nie rozumiałem ani słowa. A jeden dawał znaki drugiemu, tak jakoś tajemniczo i potem gdzieś poszli.

Janeczka zainteresowała się gwałtownie.

— Taki dosyć młody, w czerwonej koszuli i z zielonym serdakiem? Jedno oko miał jakby trochę skrzywione?

— Zgadza się. Też go widziałas?

— Chaber na niego troszeczkę zwrócił uwagę, więc popatrzyłam. Wszedł do takiej budy z gałganów.

A niedługo za nim wszedł drugi, grubszy i bardziej czarny.

— To właśnie ten, któremu tamten dawał znaki. Myślisz, że co?

— Nie wiem. Ale może na wszelki wypadek warto ich przypilnować? Może to coś na suku w Mahdii to miały być jakieś konszachty... no... międzyludzkie?

— Popatrzmy, co nam szkodzi...

Cofnęli się aż za dywany, sznurki i żywe kury. Janeczka wskazała budę niewiadomej konstrukcji, całą osłoniętą zwisającymi płachtami, stojącą w szeregu takich samych bud. Zatrzymali się przy wózku, złożonym z kawałka blachy na dwóch

kołach, na którym w stosach piętrzyły się plecione maty z trzciny, udając, że się im przyglądają. Ledwo zdążyli spojrzeć, zza płacht budy wyskoczył młody, chudy osobnik z pociągłą twarzą i jednym okiem lekko skrzywionym ku dołowi i szybkim krokiem podążył w stronę owoców i warzyw.

— Do licha! — mruknął Pawełek. — Trzeba było przygotować Chabra. Poszedłby za nim.

— Jeszcze nie wiemy, czy trzeba — odmruknęła półgębkiem Janeczka. — Wolałabym zajrzeć tam do środka...

Spoza płacht wyłonił się następny osobnik. Znacznie starszy od tamtego, wyższy i masywniejszy, również w europejskim ubraniu. Postać chwilę, obojętnie rozglądając się dookoła, po czym wolnym krokiem oddalił się w przeciwną stronę niż ten pierwszy, z krzywym okiem. Płachty odchyliły się ponownie, podtrzymując je ręką, w wejściu do budy stanął Arab w burnusie i turbanie i stał, spokojnym wzrokiem śledząc ruch na suku.

Pawełek kopnął nagle kamień, który potoczył się ku klatce z kurami. Pobiegł za nim, kopnął go z powrotem, ale jakoś niezręcznie, tak że kamień poleciał prawie wprost pod nogi Araba. Pawełek skoczył za kamieniem, przeprosił grzecznie, wykopał go spod wejścia do budy i nóg Araba i odbiegł, wciąż kopiąc, w kierunku straganów z ozdobami.

Po krótkiej chwili Janeczka oderwała się od kontemplacji mat i bez pośpiechu ruszyła ku straganom nieco okrężną drogą. Spotkali się przy drugim z kolei.

— No...?

— Nie mam pojęcia, co oni tam sprzedają, ale chyba uprząż dla koni — odparł Pawełek trochę niechętnie. — I zdaje się, że radia albo magnetofony. Ale możliwe, że radio miał dla siebie, jedno widziałem, a na handel te skórzane rzeczy.

— Ludzi w środku nie było?

— Owszem, jakiś jeden. I zdaje się, że to ma dalszy ciąg.

— Jaki dalszy ciąg?

— Ta buda ma dalszy ciąg. Tak mi się wydaje, dużo zobaczyć nie zdążyłem, chociaż kopałem ten kamień jak paralytyk. Znaczący, jest kawałek z przodu, od tej strony, a dalej drugi pokój.

— Może zajrzeć od tyłu...?

— Nie wiem jak. Te budy stoją jedna koło drugiej, sama widzisz, a od tyłu przylegają do ogrodzenia. Chyba żeby iść dookoła i zajrzeć przez ogrodzenie, znaczący przeleźć, ale nieznacznie to się nie da. I nie wiem, czy warto.

— Głowę daję, że tam się coś dzieje. Wystarczyło popatrzeć, jak oni patrzyli. Szczególnie ten drugi.

— Myślisz? — zastanowił się Pawełek. — To może by spróbować...

Urwał nagle i umilkł. W trakcie rozmowy szli wolno wzdłuż straganów, przed każdym zatrzymując się na chwilę i obrzucając— jego wnętrzem uważnym spojrzeniem. W kolejnym ujrzeli coś, co zastopowało ich na amen.

Stragan zapchany był najrozmaitszymi rupieciami. Obok garnków, termosów, talerzyków i szklanek, nowych i poobtłukiwanych, wśród pasków, nici, naszyjników i bransolet, przy stosach jakiegoś żelastwa, narzędzi, kawałków blachy, dzbanków i amforek, wśród kosmetyków, mydła, pasty do zębów i kolorowych buteleczek henny, stała sobie średnich rozmiarów, stara, miedziana lampa.

Wszystko inne występowało tam w wielu egzemplarzach, lampa była tylko jedna. Z bogato ornamentowanej podstawy wyrastała noga, na której mieścił się zbiorniczek na oliwę, również zdobiony arabeskami. Wystawały z niego cztery knoty, nad knotami umieszczony był jakby ażurowy daszek, z boku zaś tkwiła pionowa, odbłaskowa tarcza.

Janeczka i Pawełek wrosli w ziemię. Z jakich przyczyn i na jakiej podstawie odgadli, iż przedmiot jest lampą, żadne z nich nie umiałoby powiedzieć, niemniej nie mieli co do tego najmniejszej wątpliwości. Od pierwszego rzutu oka obydwójce wiedzieli, że jest to lampa, bardzo stara, prawdopodobnie oliwna, z całą pewnością arabska. I obydwójce, w tym samym ułamku sekundy, doznali tego samego piknięcia w sercu. Skojarzenie eksplodowało w nich potężnym błyskiem.

— Jeżeli cokolwiek, to tylko to — wyszeptał Pawełek, nie odrywając oczu od zaśniedziałej nieco miedzi. — Lampa Aladyna...

— W żadne duchy nie wierzę! — odszepnęła energicznie Janeczka. — Ale masz rację. Na wszelki wypadek musimy to mieć!

— Ja stąd nie odejdę. Chaber...

Chaber plątał się u ich nóg, ożywiony i zainteresowany mnogością zapachów.

— Chaber, idź po tatusia! — rozkazała Janeczka, nie spoglądając nawet na niego. — Przyrowadź tatusia! Prędko!

Napięcie w jej głosie wywarło na psa natychmiastowy wpływ. Przebijająca w kłębkach bawełny o kilka straganów dalej pani Krystyna została nagle oderwana od swojego zajęcia.

— Pies czegoś chce — powiedział stojący obok niej zaniepokojony pan Roman. — Chyba coś z dziećmi...

Pani Krystyna z miejsca porzuciła bawełnę. Chaber domagał się pośpiechu. Odbiegał, oglądał się, zatrzymywał, wracał i znów odbiegał z wyraźnym zniecierpliwieniem. Pani Krystyna i pan Roman pośpieszyli za nim prawie biegiem, usiłując nie wpadać na kręcących się wszędzie ludzi. Już po kilkunastu krokach ujrzeli swoje dzieci.

Dzieci tkwiły w bezruchu przed jarmarczną budą, pełnym napięcia wzrokiem wpatrzone w jej głąb. Nie groziło im żadne niebezpieczeństwo i państwo Chabrowiczowie doznali dużej i natychmiastowej ulgi.

— Tatusiu, kup nam to! — powiedziała Janeczka, nie odrywając oczu od straganu, zanim pan Roman zdążył zapytać, o co chodzi. — My nic innego nie chcemy, tylko to jedno. Ja cię proszę, kup nam to.

— Co mam wam kupić?

— Tę lampę.

Pan Roman spojrział i bez chwili wahania odgadł, który przedmiot jego córka ma na myśli. Lampa tak bardzo wyglądała na lampę, że nikt nie mógł się omylić. Zastanawiał się przez chwilę.

— Dobrze, zapytam, ile kosztuje. Ale nie patrzcie tak na to i odejdźcie stąd.

— Nie ruszę się za skarby świata — odparł Pawełek z tak straszliwą stanowczością, że pan Roman od razu zrezygnował z oddalenia dzieci. Wzruszył ramionami.

— Jeżeli ten handlarz będzie wiedział, że wam na tym zależy, wymyśli jakąś potworną cenę. Utrudniacie mi targowanie.

— To my sami będziemy się targować.

— Przecież to rupiec — powiedziała pani Krystyna. — Nie może chyba być drogie? A w ogóle po co wam ta lampa?

— Na pamiątkę...

Pan Roman niechętnie porozglądał się po straganie, wziął do ręki kilka przedmiotów i w końcu wskazał lampę.

— Ile kosztuje? — spytał po francusku.

— Tysiąc dinarów — odparł spokojnie kupiec, który od początku doskonale wiedział, na czym zależy tym cudzoziemcom.

— Zwariował — powiedział pan Roman po polsku z lekką zgrozą.

Cała jego rodzina doskonale zrozumiała tę krótką konwersację, ale poruszenie okazała tylko pani Krystyna.

— Rzeczywiście, chyba oszalał. Czy ta lampa jest ze złota?

— On po prostu wie, że my chcemy to kupić. Mówiłem, żeby przestali się na nią gapić! Sami widzicie...

Janeczka oderwała wreszcie wzrok od lampy i wielkimi, niebieskimi oczami popatrzyła na kupca.

— Pięćdziesiąt dinarów — zaproponowała zimno.

Kupiec nie raczył usłyszeć.

— Chodźmy stąd i udawajmy, że rezygnujemy, to on zmięknie — powiedziała pani Krystyna.

Dzieci nawet nie drgnęły. Pan Roman zirytował się nieco. Kupiec z drwiącym spokojem spoglądał gdzieś w dal. Pani Krystyna wrzuciła ramionami i zaczęła oglądać buteleczki z henną. Janeczka mignęła w głowie myśl, żeby może chwycić tę lampę i uciec, i dopiero zawiadawszy ją, rozpoczął z kupcem na nowo pertraktację. Powoli wyciągnęła rękę.

Pawełek nagle sięgnął do kieszeni i wyjął swój scyzoryk o ośmiu ostrzach, z nożyczkami i korkociągiem, w oprawie ze sztucznej masy perłowej, który przed rokiem dostał od kumpla za kolekcję przedwojennych pocztówek, znaną na strychu. Podrzucił scyzoryk do góry i powoli zaczął wyciągać jedno ostrze po drugim.

Już przy trzecim kupiec nie wytrzymał i spojrzął. Pawełek powolutku wyciągał dalej, kolorowa masa perłowa połyskiwała w słońcu. Przy szóstym kupiec okazał niedbałe zainteresowanie, a złamał się ostatecznie przy korkociągu. Wyciągnął dłoń.

Na Pawełka, nie wiadomo skąd, spłynęły nagle potężne talenty handlowe. Podał scyzoryk kupcowi, sam równocześnie sięgając po lampę. Z biciem serca Janeczka wyjęła ją bratu z ręki i ostrożnie zaczęła oglądać tak zemocjonowana, że w ogóle nie rozumiała, co widzi. Kupiec wyciągał i chował ostrza scyzoryka.

— Co chcesz za to? — spytał Pawełka.

— Tysiąc dinarów — odparł Pawełek bez chwili namysłu.

Kupiec roześmiał się i machnął scyzorykiem w kierunku lampy.

— Możemy się zamienić...

Pawełek już był gotów wyrazić zgodę, ale zły duch wstąpił nagle w Janeczkę. Ze strasliwym wysiłkiem przemogła się i odstawiła lampę.

— O nie! — powiedziała tonem osoby ciężko obrażonej. — Lampa kosztuje tylko dziewięćset dinarów. Możemy zamienić i sto dinarów dla nas!

Dookoła stało już kilka osób przyglądających się transakcji. Teraz rozległy się wśród nich okrzyki uznania. Kupiec oburzył się śmiertelnie i wyrzucił z siebie mnóstwo słów, których w ogóle nie zrozumieli, scyzoryka jednak z ręki nie wypuszczał. Wymachiwał nim, a imitacja perłowej masy rzucała dzikie błyski. Pawełek poparł siostrę i domagał się zwrotu przedmiotu, względnie stu dinarów. Janeczka, odstawiwszy lampę, na wszelki wypadek przytrzymała ręką jej podstawę. Państwo Chabrowiczowie patrzyli na dzieci z osłupiałym przerażeniem.

Wbrew spodziewaniom kupiec uległ pierwszy. Pozorna zimna krew Janeczki i kamienny upór Pawełka zrobiły swoje. Ustąpił połowicznie. Po pięciu minutach oddalili się wreszcie od straganu, unosząc swój łup, bogatsi zniemacka o pięćdziesiąt dinarów. Na ludzi dookoła nie zwrócili żadnej uwagi i nie dostrzegli, że wśród innych przyglądał im się także ów masywny człowiek, który spod płacht tajemniczej szopy wyszedł jako drugi...

— Należy mi się od ciebie scyzoryk — powiedział Pawełek do ojca. — Ale ostatecznie mogę poczekać, nie musisz mi go kupować tu. Możesz gdzie indziej.

— Dziękuję ci bardzo za to zezwolenie — odparł pan Chabrowicz, ochłonawszy

już nieco z zaskoczenia. — W każdym innym kraju wypadnie taniej i może będzie większy wybór. Nieźle wam to wyszło, ale chciałbym wiedzieć, po co wam właściwie ta lampa?

— Mówiliśmy ci już, że na pamiątkę — wyjaśniła Janeczka, troskliwie piastująca upragniony przedmiot.

— Zaraz, chwileczkę — wtrąciła pani Krystyna. — Ja chcę na pamiątkę tę bawełnę, którą tam oglądałam, i przy okazji hennę. Bawełniana włóczka to bezcenna rzecz. Nie mam scyzoryka.

— Byłoby wskazane jechać dalej, bo nie starczy nam czasu na oglądanie Algieru...

Pawełek nieoczekiwanie poparł matkę. Gwałtownie zażądał, żeby natychmiast kupić włóczkę dla pani Krystyny, upewniwszy się tylko kilkakrotnie, czy to aby na pewno prawdziwa bawełna. Pani Krystyna dokonała zakupu szybko i bez żadnych komplikacji, bo przy straganie zdążyła nawet podjąć decyzję w kwestii koloru henny. Kupiła czarną, brązową i niebieską.

— Zaczynam rozumieć, dlaczego ta jakaś jedna osoba nie dała sobie rady ze skarbami — rzekła w zadumie Janeczka, kiedy za oknami samochodu przesuwały się już bezkresne, wysuszone sawanny. — Z suku w Mahdii powinniśmy jechać do Sougeur przez Wąwóz Małp. Nie wiem, jak on to sobie wyobrażał, przecież to są dwie przeciwne strony. Odwiedzić Wąwóz Małp i wrócić do Sougeur tą samą drogą? Innej drogi chyba nie ma?

— No owszem, dość skomplikowane — zgodził się Pawełek. — W każdym razie jedziemy do Wąwozu Małp, czyli we właściwej kolejności, zobaczymy, jak tam będzie. Co do Mahdii, już się wyjaśniło, nie dość, że lampa, to jeszcze bawełna. Też zaczynam trochę rozumieć.

Janeczka popatrzyła na brata podejrzliwie.

— Na co ci ta bawełna?

— Do odwalania.

— Jak to...?

— A z czego zrobię lont, jak ci się wydaje? Mamy razem ze wszystkim wylecieć w powietrze? Tylko bawełna!

Janeczka znów przyjrzała się bratu z wielką uwagą.

Promieniał satysfakcją, w obliczu utraty scyzoryka zupełnie niepojętą.

— No dobrze — powiedziała ostrożnie. — Ale czy ten scyzoryk by się nie przydał? Nie wiem, czy to nie szkoda, że już go nie masz?

— Kto powiedział, że nie mam?

— Zgłupiałeś czy co? Przecież go sprzedałeś!

— No to co? Mam drugi.

— Jaki drugi?

— A o...!

Sięgnąwszy do drugiej kieszeni, Pawełek zaprezentował siostrze drugi scyzoryk, nieco większy od tamtego, o czterech ostrzach, ale za to zaopatrzone dodatkowo w śrubokręt.

— Tamten był mój prywatny, a ten dostałem od wujka Andrzeja, jak wrócił z RFN. Ten jest lepszy. Co ty myślisz, że ja jestem nienormalny, żeby się pozbyć jedyne go scyzoryka?

— A...! Bardzo dobrze, — bo rzeczywiście już myślałam, że dostałeś pomieszania zmysłów. Czekał, trzeba się zastanowić, jak zrobić, bo tak wpaść, popatrzeć na ten Wąwóz Małp i zaraz odjechać, to na nic.

— Pewnie, że na nic. Już patrzyliśmy i nic nam z tego nie przyszło...

W Ksar El Boukhari na Janeczkę spłynęło natchnienie. Pan Roman jechał do

Medei, żeby przehandlować swoją starą odzież. Było to wprawdzie wydarzenie interesujące, ale nie umywało się do poszukiwania skarbów i można było z niego zrezygnować. Medea i Wąwóz Małp leżały bardzo blisko siebie, odwiedzenie ich w odwrotnej kolejności rozwiązywało sprawę.

— Zacznijmy od Wąwozu Małp, dobrze? Zostawcie nas tam i pojedziecie sobie do handlarza w Medei, a my poczekamy w wąwozie i potem nas zabierzecie.

Może tak być? Obejrzymy to przynajmniej porządnie i mamy bagietkę dla małp... Pan Roman zastanowił się.

— Będzie to o godzinę dłużej. Która teraz? Jeszcze nie ma jedenastej? Na obejrzenie Algieru wystarczy dwie godziny... No, owszem, to jest możliwe.

— Ja nie wiem... — zawahała się pani Krystyna. — Czy im się tam nic nie stanie?

— Co ma się im stać? Tam się nic nie dzieje.

— A to dla nas jedyna okazja! — wytknął Pawełek. — Przecież nie będziemy tu przyjeżdżali co tydzień, a ten wąwóz taki fajny!

— No dobrze, niech będzie...

Omijając Medeę, pan Chabrowicz zjechał w dół i zawrócił na widokowym parkingu. Pani Krystyna udzieliła jeszcze dzieciom różnych ostrzeżeń. Po krótkiej chwili zostali sami.

— Nie ma innej rady, tylko trzeba zleźć w dół — zawyrokował Pawełek, obejrzawszy wąwóz z góry przez lornetkę. — Tu na prawo widzę dobre miejsce.

— Ja bym się najpierw pozbyła tej bułki. Gdzie małpy?

— Są chyba, nie? Chaber, gdzie małpy?

Chaber poinformował, że w pobliżu małp nie ma. Są, owszem, ale gdzieś daleko. Do parkingu nie przyszła żadna. Rozczarowana Janeczka rozglądała się dookoła, nie wiedząc, co zrobić ze ścisiskaną w ręku bagietką.

— Połóż ją byle gdzie, najwyżej same zjedzą, jak przyjdą. Trudno, nie mamy czasu.

— To chociaż przełamię, bo inaczej jedna złapie i ucieknie...

Zejście w dół w wybranym miejscu okazało się łatwiejsze niż przypuszczali i trwało kilka chwil. Zjeżdżając na piętach razem z ziemią, przytrzymując się krzaczków i pomagając sobie wzajemnie, znaleźli się nad zamulonym potoczkiem. Rozejrzeli się po wąwozie od dołu. Wokół nich wznosiły się gigantyczne zbocza, spod zieleni prześwitywały nagie skały. Cały ten dół wąwozu był przygnębiająco wielki.

— I co teraz? — spytała Janeczka z powątpiewaniem.

— A bo ja wiem? Obejść to jakoś czy jak?

— Całego obejść nie zdążymy. Lasu nie ma co oglądać, spróbujemy tam gdzie skała. Tu jest najbliżej...

Z bliska lita skała okazała się nierówna i popękana w pionowe szczeliny. Wszystkie, z wyjątkiem jednej, były wąskie i ciasne, tak że ledwo można było włożyć w nie rękę. Ta jedna była szersza, sięgała od góry do dołu, rozdzielając dwie części skalnego zbocza. W górze zaglądało do niej słońce, na dole panował cień.

— Tylko tu — zdecydowała Janeczka po namyśle. — Nie wiem, czego właściwie mamy szukać, ale trzeba patrzeć, bo może coś będzie. Nigdzie więcej nie da się wejść.

— Żeby nam aby nic nie zleciało na głowę! — mruknął Pawełek, spoglądając w górę.

— Chaber pójdzie pierwszy. Będzie wiedział, czy coś zleci.

Szczelina wiodła gdzieś daleko w głąb skały. Była szeroka prawie na metr i dno miała usłane kamieniami. Wysłany przodem Chaber zagłębił się w nią wolno i ostrożnie, węsząc z wyjątkową intensywnością. Wydawał się straszliwie napięty i

jakiś niepewny, i niespokojny. Przeszli za nim po nierównych kamieniach kilkanaście metrów i przekroczyli pień zwalonego drzewa. Tu już było szerzej, jedna ściana lekkim skosem odchyliła się trochę w bok. Pawełek obejrzał się, mimo woli zaniepokojony, gdzie też podziwia się reszta pnia, bo przelazili przez sam jego gruby koniec, i stwierdził, że leży on skośnie, oparty drugim, cieńszym końcem bardzo wysoko, na jakimś występie skały. Ciasno przylegał do odchodzącej skosem ściany, górną częścią zagłębiony już w tę węższą, niejako wejściową partię szczeliny.

Posuwali się powoli po zawalonym kamiennym dnie, pilnie patrząc, czy nie ujrzą gdzieś czegoś niezwykłego, nietypowego i zastanawiającego. Szczelina rozszerzała się prawie do trzech metrów i tu był już jej koniec. Nie więcej niż dziesięć metrów dalej zamykała się, skały schodziły się razem, ściśle do siebie przyległe, nie pozostawiając nawet milimetrowej szpary.

Zatrzymali się, bezradnie zagapieni w niebotyczną, kamienną, pionową płaszczyznę. Chaber zatrzymał się również i znieruchomiał całkowicie. Trwał w jakimś okropnym napięciu i węszył gdzieś przed siebie. Janeczka, tknięta nagłym niepokojem, odwróciła głowę i spojrzała uważnie na psa.

— Coś jest niedobrze — zawiadomiła pośpiesznie brata. — On tam coś czuje.

— On cały czas jest jakiś taki... Czekać no, co nam szkodzi spróbować...?

Zanim Janeczka zdążyła spytać, co ma na myśli, Pawełek nadął się okropnie i ryknął z całej siły:

— Sezamie, otwórz się!!!

W tym momencie Chaber zawrócił jak gromem rażony. Skoczył w kierunku powrotnym i przyhamował, oglądając się na swoją panią. Znow ruszył i znow się obejrzał. Drżał cały; zdenerwowany szaleńczo, i żądał natychmiastowego powrotu. Zarazem ciągle był napięty, jakoś rozpaczliwie niepewny, nie można było zorientować się, o czym mówi, i widać było tylko wyraźnie, że każe wracać! Wracać, wracać, wracać...!!!

Janeczka i Pawełek nie zlekceważyli psiego rozkazu. Zawrócili bez chwili namysłu. Nie zdążyli uczynić kroku, kiedy rozległo się coś okropnego, jakiś głuchy, przeciągły, stłumiony ryk, dochodzący skądś, ze środka ziemi. Włos im się zjeżył na głowie, na krótki moment skamienieli, potworna odpowiedź na zakłęcie Pawełka odebrała im dech. Chaber prawie oszalał, dopadł Janeczki, chwycił ją zębami za sukienkę, szarpnął w kierunku wyjścia ze szczeliny. Skoczyli biegiem, na ile można było biec po tych porozwalanych kamieniach, Pawełek prześlizgnął się przez zwalony pień, kiedy stało się jeszcze gorsze. Ziemia pod ich stopami zaczęła drzeć, z góry ze stukiem i szelestem sypnęły się kamienie. Drżało i trzęsło się wszystko, jakby gdzieś obok przejeżdżał jakiś potworny czołg monstrualnych rozmiarów, nad nimi coś okropnie zgrzytało i trzeszczało. Chaber rozpląszczył się na dnie, Pawełek zamarł, przytulony do ściany. Janeczka w ostatnim ruchu potknęła się i runęła na koniec pnia, zastygając na nim w śmiertelnie przerażonym bezruchu.

Trwało to jakieś setki albo może tysiące lat, to znaczy dokładnie szesnaście sekund. Dla Janeczki i Pawełka były to najdłuższe sekundy istniejące w dziejach świata. Okropne drżenie skończyło się jakimś hukiem, zgrzytem i traskiem gdzieś nad ich głowami, po czym wszystko umilkło. Ziemia wróciła do równowagi.

Chaber podniósł się, otrząsnął i szczerknął dwa razy. Wciąż jeszcze był zdenerwowany, ale już zwyczajnie, bez tego poprzedniego napięcia. Przebiegł kilka kroków, pokręcił się, powęszył, otrząsnął się jeszcze raz, a Janeczka i Pawełek nadal trwali w skamieniałej nieruchomości.

Pawełek wreszcie poruszył się pierwszy i odruchowo spojrzał w górę. Trzęsły mu się trochę ręce i nogi.

Uprzytomnił sobie, że w czasie tego jakiegoś okropieństwa coś się z góry sypało,

prawdopodobnie kamienie, i to chyba cud, że żaden ich nie trafił. Zarazem wydawało mu się, że nastąpiła jakaś zmiana, spojrzał bystrzej i stwierdził, że tam dalej, w kierunku wyjścia, nie widać nieba nad szczeliną. Wyjście widać, ale tylko niżej...

Janeczka poczuła, że pień, który kurczowo obejmowała ramionami, uciska ją w brzuch. Pcha ją od dołu. Poruszyła się, pień poruszył się również i w tym momencie Pawełek zdał sobie sprawę z tego, co widzi.

— Nie ruszaj się!!! — wrzasnął okropnie. Janeczka wzdrygnęła się i znów przywarła do uciskającego ją pnia. Pawełkowi zrobiło się potwornie gorąco i zęby mu jakoś dziwnie zaszczekały. W jego umyśle wybuchnął istny tajfun. Miotnął się ku wyjściu, potem z powrotem, potknął się na jakimś kamieniu i stłukł sobie kolano. To go nieco otrzeźwiło, poczuł, że za wszelką cenę musi się opanować i za wszelką cenę pomyśleć. Myśleć! Musi myśleć, myślenie jest kwestią życia i śmierci!!!

— Nie ruszaj się, jak rany!!! — wyjęczał straszliwie przez szczękające zęby. — Nie ruszaj się!!! Mówię, nie ruszaj się!!!

— Przecież się nie ruszam! — stęknęła Janeczka z urazą. — O co ci chodzi? Zwariowałeś od tego wszystkiego czy co?

Pawełek z nadludzkim wysiłkiem przebił się wreszcie przez swój tajfun. Uczynił kilka kroków w kierunku wyjścia i przyjrzał się konfiguracji skał jako tako przytomnie. Powiódł wzrokiem wzdłuż pnia i szczękającymi zębami przygryzł sobie język.

To coś, co zasłaniało niebo nad wyjściem ze szczeliny, to był olbrzymi, podłużny głaz, który oderwał się skądś przy górnej krawędzi i runął do środka. Nie runął jednak całkowicie, tylko oparł się na sterzącym pniu, którego drugi koniec przytrzymywała Janeczka. Pień stanowił dźwignię o kolosalnym ramieniu. Dziewięć dziesiątych tego ramienia przypadało na Janeczkę, a tylko jedna dziesiąta na głaz, dzięki czemu równowaga była zachowana. Jeżeli jednak Janeczka puści swój koniec...

— Nie ruszaj się! — zajączał słabo jeszcze raz i poczuł, że mu zdrętwiała szczęka. Widocznie musiał ją zaciskać. Poruszył nią, żeby trochę rozluźnić mięśnie. Janeczka również zdążyła się zorientować, że przyciskany przez nią pień ma jakiś związek ze skałą gdzieś dalej. Nie widziała głazu dokładnie, bo tkwiła przy ukośnej ścianie. Dodatkowo zasłaniał jej widok występ, stanowiący oparcie dla pnia. Posłusznie trwała w bezruchu, coraz bardziej zniecierpliwiona i zdenerwowana.

— Powiedz przynajmniej, o co chodzi! — zażądała gniewnie. — Nie wiem, czy mam tak zostać na tym drewnie do końca życia!

— Zaraz — odparł Pawełek. — Tylko się aby nie ruszaj !

Podszedł prawie pod głaz i przyjrzał mu się z uwagą. Wiedział już, że w grę wchodzi dźwignia, i po głowic szalały mu właśnie wszystkie wiadomości z fizyki, jakie usiłowała wbić w niego szkoła. Pamiętał doskonale, że na tej klasówce, gdzie było właśnie o dźwigniach i o równowadze, połowę przepisał od kumpla, nie wnikając w sens tekstu. Co za kretyn z niego, co za półgłówek tysiackrotny, nie lepiej to było nauczyć się, a nie przepisywać? Teraz by miał, jak znalazł...

Wrócił do siostry.

— No więc wielki kamień wleciał do środka — oznajmił z determinacją. — Zaparł się właśnie na tym pniu, który tu trzymasz. To jest dźwignia. Nie wleciał z impetem, bo zdaje się, że tam w górze jest ciasniej i musiał się przez to przepchać, ale chyba już się przepchał i teraz go trzyma tylko ten pień. Jak pień puści, to runie. I to zdrowo gruchnie, bo niżej ma luźniej. A jak gruchnie, to po pierwsze, nie wiadomo, co jeszcze polecą, a po drugie, ten pień zrobi coś takiego, że tu jedna mrówka z życiem nie wyjdzie. Rozumiesz, on skoczy. Do Janeczki niebezpieczeństwo dotarło stopniowe i nie ogłuszyło jej tak jak Pawełka.

— A gdyby się zerwać od razu? — spytała z namysłem. — Nie zdążymy

przelecieć, zanim co?

— W żaden sposób, bo pień zacznie prędzej niż my Kamień już się nigdzie nie zaprze, sprawdziłem.

— To co? Mam to tak trzymać do skończenia świata?

— No nie... Czekaj, muszę pomyśleć...

— Pcha mnie okropnie i już mi wszystko drętwieje. Pawełek spotniał na nowo. Rozpaczliwie spojrział na psa z bezsensowną nadzieją, że może on coś wykombinuje. Chaber był ciągle trochę niespokojny i wciąż domagał się wyjścia ze szczeliny, ale już bez poprzednie gwałtowności. Na myśl, że wobec tego tamta okropność już się nie powtórzy, Pawełek doznał ulgi, zarazem jednak utwierdził się w przekonaniu, iż sam ją spowodował. Wygłosił zaklęcie i od razu zrobiło się coś takiego. Nie do wiary, co to za kraj jakiś niesamowity...

Skupił się i zmusił umysł do działania mniej więcej logicznego.

— Czekaj. Gdyby tu coś trzymało chociaż przez chwilę, moglibyśmy uciec...

— Chabra wybij sobie z głowy od razu — przerwał: zimno Janeczka.

— No coś ty...?! Czekaj... O rany, nie ruszaj się! Jakiś ciężar... Ile ty ważysz, bo zapomniałem?

— Czterdzieści jeden kilo i dwadzieścia deko. Ale ja to muszę pchać do dołu, bo inaczej samo się pcha do góry. To co?

— To tu trzeba zwalić więcej. Czekaj. Sto kilo. No, jakiś ciężar...

— Kamienie — zaproponowała Janeczka.

— Kamienie! Ale to musi być wielka kupa, żeby się nie porozsuwały... No nic, czekaj... Nawalę wielką kupę, tylko nie wiem... Czekaj, spróbuj potrzymać nie za sam koniec, tylko trochę wyżej. Dasz radę?

Zlekceważona klasówka z fizyki sama mu nagle weszła do głowy i Pawełek poczuł, że niepojętym sposobem o dźwigniach wie wszystko. Stosunek długości ramienia do niezbędnej dla jego utrzymania siły jawił mu się jak na dłoni. Z przeraźliwą pewnością wiedział, że pół metra dalej Janeczka już pnia nie utrzyma.

Janeczka ostrożnie spróbowała przesunąć ręce nieco wyżej, nadał leżąc brzuchem na pniu. Spróbowała oprzeć się tylko na rękach i pień drgnął mocniej.

— Nie ruszaj się!!! — wrzasnął Pawełek, który bez mała już nie znał innych słów. — Czekaj, zwałę coś na koniec! Czekaj...

Gorączkowo porwał z dna szczeliny wielki, z jednej strony płaski, odłupany od czegoś kamień i uniósł go z siłą, jakiej by nigdy w życiu po sobie samym nie oczekiwał. Kamień, rzecz jasna, od razu się z pnia zsunął. Pawełek zacisnął zęby i w ciągu kilku chwil skonstruował po obu stronach pnia podpórki. Zwalił na nie kamień. Podgarnął drobniejsze odłamki i zwalił na pień kolejny kamień. Przytrzymał pień i Janeczka z ulgą zmieniła pozycję. Usiadła na pniu tuż przed kamieniem.

— Jeszcze mnie pcha — oznajmiła. — Ale już chyba słabiej.

Pawełek pracował jak jeszcze nigdy w życiu. Kolejny kamień nie chciał się trzymać, trzeba było ułożyć cały, porządny stos, bez najmniejszego brakoróbstwa. Stękając znosił zewsząd głazy, które ledwo mógł udźwignąć.

— I pośpiesz się z tym trochę, bo jak ojciec z matką przyjadą i zobaczą, co się tu dzieje, na krok się więcej nie będziemy mogli ruszyć — powiedziała nielitościwie jego siostra.

* * *

Ojciec z matką właśnie jechali.

W momencie, kiedy pan Chabrowicz kończył ubijać transakcję z handlarzem i syn

handlarza, zgodnie z obyczajem, podał na stół oranżadę i szklanki, wszyscy usłyszeli przeciągły, głuchy, przytłumiony ryk. Handlarz zbladł śmiertelnie, pani Krystyna, zdziwiona, spojrzała na męża.

— O, do licha! — powiedział z zakłopotaniem pan Roman i pośpiesznie zagarnął ze stołu swoje pieniądze.

— Co się stało? — spytała pani Krystyna i prawie od razu poczuła odpowiedź. Podłoga pod jej stopami zadrzała, wszystko zaczęło się trząść. Przez krótki moment pani Krystynie wydawało się, że dom wpadł w rezonans od jakiejś przejeżdżającej wielkiej ciężarówki, ale zaraz uświadomiła sobie, że tu obok nie ma żadnej szosy. Handlarz mieszka w środku zwyczajnego osiedla i wokół rozciągają się różne skwerki i małe uliczki. Stożące na stole szklanki lekko zadzwoniły o siebie.

— Co to ma znaczyć? — spytała zaskoczona. — Co to jest?

— Trzęsienie ziemi — odparł pan Roman smętnie.

— Żartujesz...?!

— Nie, naprawdę. Trzęsienie ziemi, daję ci słowo.

— Ależ to okropnie głupie! — powiedziała pani Krystyna w lekkim oszołomieniu.

— I długo to tak...?

— Nie, już koniec...

Szesnaście sekund, które ich dzieciom wydawały się szesnastoma wiekami, tutaj przebiegło znacznie szybciej. Pani Krystyna zdenerwowała się tylko dlatego, że spojrzała na handlarza i jego syna. Obaj byli szarzy na twarzach i widać było, jak z całej siły zaciskają zęby. Na zewnątrz zaczęły narastać jakieś krzyki. Pan Roman pożegnał się czym prędzej i wyszedł, za nim zaś wybiegł z domu handlarz z całą swoją rodziną.

Dookoła budynków, na ulicach i placach, było pełno ludzi i wszyscy krzyczeli.

— Słuchaj, może będziesz uprzejmy i powiesz mi prawdę — zażądała trochę nerwowo pani Krystyna, wsiadając do samochodu. — Co się tu dzieje i co jeszcze ma być? Czy ja się mam zdenerwować?

— Jeszcze nie wiem, ale za chwilę będę wiedział — odparł pan Roman i spojrzał na zegarek. — Jeżeli w ciągu paru minut nie będzie drugiego wstrząsu, to znaczy, że już koniec i następne trzęsienie ziemi odbędzie się dopiero za jakiś czas.

— A jeżeli będzie drugi wstrząs?

— Jeżeli po pierwszym wstrząsie następuje drugi, to potem zawsze jest trzeci, przy którym zaczyna się wszystko walić. Dlatego czeka się na drugi wstrząs. Przy drugim ucieka się z domu, najlepiej w szczerze pole.

Pani Krystyna popatrzyła dookoła. Całe osiedle i widoczne dalej pomiędzy domami ulice zapchane były miotającym się i wrzeszczącym tłumem.

— Mam wrażenie, że oni już uciekli? Dlaczego nie czekali? Nie przeoczyliśmy chyba drugiego wstrząsu?

— Arabowie nie mają naukowego stosunku do ruchów sejsmicznych. Trzęsienia ziemi boją się panicznie, do jutra będą koczować na ulicach. Inna rzecz, że tutaj, w górach, to jest zawsze groźniejsze...

Pan Chabrowicz urwał nagle i jakby się zachłysnął.

— Jezus kochany, dzieci...!!! — krzyknął zdławionym głosem.

Pani Krystynie spadła zaćma z umysłu. Wywołane zaskakującym zjawiskiem oszołomienie minęło jej jak ręką odjął. Świadomość, że jej dzieci są właśnie w górach, gorzej, w wąwozie, trzasnęła ją jak grom z jasnego nieba i pozbawiła tchu. Pan Roman z pobladłą twarzą ryknął silnikiem i ruszył z poślizgiem, wyrzucając spod kół kaskadę żwiru.

Przejazd przez miasto trwał miliony lat. Wszystkie ulice zatarasowane były rozkrzyczanymi ludźmi i najdziwaczniej poustawianymi pojazdami. Pan Roman

włączył długie światła i bezustannie naciskał klakson, nie zważając na żadne przepisy. Wypadli wreszcie na krętą, stromą szosę w dół.

Przez pierwsze leżące na jezdni kamienie, które zwały się ze skalnej ściany, pan Roman przeleciał wśród wstrząsów i podskoków, kompletnie lekceważąc podwozie. Potem drogę zagroził wielki głaz, którego nie dało się ominąć. Pani Krystynie pociemniało w oczach, jej mąż ledwie zdążył zahamować. Obydwoje wypadli z samochodu, wspólnym wysiłkiem zepchnęli głaz na bok. Przez dwa zakręty tarasujące szosę odłamki udawało się omijać, potem znów trzeba je było usunąć i odepchnąć. Panu Romanowi pot spływał z czoła i trzęsły się ręce, pani Krystyna była śmiertelnie blada i miała skamieniałą twarz. Nie odzywali się do siebie ani jednym słowem, działając jednakże tak, jakby się przedtem dokładnie umówili. Gdyby ktoś mógł ich w tej chwili obserwować, odgadłby bez najmniejszych wątpliwości, skąd u ich dzieci wzięły się talenty do doskonałej organizacji pracy.

Upiorna jazda w dół trwała i trwała wręcz w nieskończoność...

* * *

W szczelinie skalnej Pawełek wybudował na końcu pnia istny grobowiec. Co najmniej trzysta kilogramów kamieni piętrzyło się za plecami Janeczki. Były to jednakże kamienie luźno ułożone i wystarczyłoby, żeby obsunął się jeden, po nim drugi i trzeci, a cała konstrukcja mogłaby się rozsypać, rozepchnięta przez uwalniający się pień. Pawełek był pewien, że rozsypywanie potrwa co najmniej kilka sekund. Nie nastąpi w mgnieniu oka. Ilu sekund potrzeba im, żeby przebiec te dwadzieścia czy trzydzieści metrów do końca szczeliny? Powiedzmy, piętnastu. Przez piętnaście sekund powinno wytrzymać...

Janeczka czekała cierpliwie.

— Już mnie nie pcha — oznajmiła w połowie roboty. Ukończywszy grobowiec, zdyszany Pawełek otarł pot zalewający mu oczy.

— Spróbuj się unieść — polecił. — Tylko czekaj, na wszelki wypadek przytrzymam.

Rozcapierył ręce nad pniem, gotów go przygnieść w każdej chwili. Janeczka podniosła się powolutku i ostrożnie. Pień tkwił nieruchomo, chociaż w kupie kamieni coś zgrzytnęło i zaszeleściło. Przez moment obydwójce stali nad kamiennym stosem, czekając, co będzie. Chaber obok przysiadł i kręcił się niecierpliwie. Pawełek cofnął się o krok i spojrzał w górę.

— Ryzyk-fizyk — zdecydował. — Jak ruszymy, to już gaz! Czekaj, wezmę lornetkę. Leć pierwsza i niech ci nie przyjdzie do głowy się przewrócić.

— Chaber, do wyjścia! — poleciła ostro Janeczka. Pies natychmiast skoczył ku wyjściu i pomknął jak ruda strzała.

— Już...! — syknął z determinacją Pawełek.

Janeczka skoczyła za psem, za nią popędził Pawełek. Potykając się na kamieniach, bez tchu, przebiegli pod głazem. Wypadli ze szczeliny wielkim susem, poślizgnęli się na małej pochyłości i z rozpędu zjechali prawie do mulistego potoczku. Tu dopiero zatrzymali się i złapali oddech. Wspaniałe słońce uderzyło ich w oczy.

Przez dość długą chwilę przychodzili do siebie.

— Uff! — sapnął Pawełek z bezgraniczną ulgą. — To nam się udało...

— A tak — przyświadczyła sucho Janeczka, spoglądając na opuszczoną szczelinę. — Zdaje się, że udało nam się zrobić doskonałą pułapkę.

— Co...?

— Nic. Jak tam ktoś wejdzie w nieodpowiedniej chwili, a ten pień akurat się wypśnie, to ty masz pojęcie, co będzie?
Pawełek obejrzał się gwałtownie.
— O rany, masz rację! To co...?
— Nie wiem. Nie wywiesimy przecież napisu: „Niebezpieczeństwo, wejście wzbronione”. Trzeba by napisać po arabsku...
— Nie wiem na czym. Zagrozić...? Ty masz rację, głupia sprawa, jeszcze kogoś zabije...
— Już nic nie mówiłam, żeby ci nie przeszkadzać, aleja w ogóle tego nie rozumiem. Co się właściwie stało? Czy to takie coś miało się zdarzyć w Wąwozie Małym?
Pawełek łypnął okiem na szczelinę, na siostrę i znów na szczelinę.
— Sam się zastanawiam — mruknął z lekkim zakłopotaniem. — Wiadomo, że przy skarbach zawsze są jakieś takie szopki. Zdobyliśmy lampę i zaraz potem to tutaj... Może należało krzyczeć nie raz, tylko trzy razy?
— Możliwe. Trzeba było nie zwracać uwagi, tylko krzyczeć. Niepotrzebnie uciekaliśmy.
— Przychodziło mi to do głowy, ale trochę się bałem ryzykować. Za dużo się waliło. Zresztą, Chaber kazał uciekać. Zresztą... O rany, no co ty? Naprawdę wierzysz, że od zaklęcia coś się otworzy?!
— Nie wiem. Chyba nie. A ty wierzysz?
— Też nie wiem. Spróbowałbym jeszcze raz. Jak człowiek jest przygotowany, to wszystko przetrzyma.
— Znaczący, że co? Ty chcesz być tym pierwszym, który wpadnie w pułapkę?
Pawełek westchnął ciężko i zbliżył się do skalistego zbocza, z którego spływał cienki, srebrzysty strumyczek.
— Co mnie dziwi, to to, że ta polka ruszyła, chociaż krzyczałem po polsku — rzekł w zadumie, zaczynając myć ręce. — Ale nie ma siły, tej pułapki nie możemy tak zostawić. Trzeba będzie się nieźle wysilić, chociaż jeszcze nie wiem jak. No nic, pomyślę...

* * *

Państwo Chabrowiczowie dojechali do parkingu w Wąwozie Małym niemal półprzytomni. Wyskoczyli z samochodu i przede wszystkim zobaczyli psa. Pojawił się skądś z dołu i dopadł ich, uradowany i szczęśliwy. Zanim zdążyli nabrać odrobiny otuchy, ujrzeni także swoje dzieci, pośpiesznie wdrapujące się na górę. Pani Krystyna poczuła, że robi jej się słabo, i czym prędzej usiadła na najbliższym dużym kamieniu. Pan Roman zatrzymał się na krawędzi parkingowego placu i obserwował wspinaczkę, usilnie starając się odzyskać równowagę.

Dzieci były zaspane i trochę jakby przykurzone, ale poza tym wyglądały normalnie.

— Gdzieście byli w czasie trzęsienia ziemi? — spytał pan Roman nieco ochryple, nie zdoławszy się całkowicie opanować.

Pawełek stanął jak wryty.

— Co...? Jak to...? Trzęsienie ziemi...?

— Na litość boską, czyście nie zauważyli trzęsienia ziemi?! — wykrzyknęła zdumiona pani Krystyna i podniosła się z kamienia. — Przecież było przed chwilą!

— A...! Znaczący, to coś, to było trzęsienie ziemi? No owszem, trzęsło porządnie...

— Wcale nie wiedzieliśmy, że to było trzęsienie ziemi — wtrąciła się Janeczka. —

Ach, to ja już rozumiem! Chaber wiedział!
— Gdzieście byli?!
— Tam, na dole... Trzęsienie ziemi, niech ja kichnę...
— I co tam było? Co się działo?
— Nic się nie działo. To znaczy, owszem, trzęsło się wszystko. I trochę kamieni zleciało, tak obok.
— Gdzie obok? Blisko?
— Iiiii — skrzywił się lekceważąco Pawełek. — Średnio blisko. No, w każdym razie nie na nas.
— A co Chaber wiedział? — zainteresowała się pani Krystyna, wyleczona z wszelkiej słabości na widok nieuszkodzonych dzieci.
— Wiedział już wcześniej, że będzie trzęsienie ziemi. I mówił nam to, tylko nie mogliśmy dokładnie zrozumieć. Na drugi raz już będziemy mądrzejsi.
— Mam nadzieję, że nie tak prędko nastąpi ten drugi raz — powiedziała pani Krystyna, wsiadając do samochodu. — Chociaż, gdyby nie wy, wydawałoby mi się to bardzo śmieszne.
— Co my, co my! — oburzył się Pawełek. — Nam się na pewno nic nie stanie!
— My też uważamy, że to było bardzo śmieszne — powiedziała Janeczka i otrząsnęła się z lekka. — Trochę okropne, ale poza tym śmieszne.
— Najśmieszniejsze jeszcze przed nami — zauważył pan Roman, zapalając silnik.
— Zaraz zobaczycie, jak wygląda szosa.

* * *

Algier spodobał się im nadzwyczajnie, a osławiona droga przez góry Atlas spełniła wszelkie oczekiwania Pawełka. Ulokował się wygodnie, tak żeby wszystko dobrze widzieć, i wypoczywał po pracy, którą dopiero teraz zaczynał czuć we wszystkich mięśniach.

Widoczność była doskonała i panią Krystynę zachwyciły pejzaże. Szosa od Khemis Miliany pięła się wciąż pod górę i zaczynała kręcić. Coraz częściej z jednej strony wyrastało strome zbocze, z drugiej zaś, daleko w dole, rozciągały się pagórki i doliny aż po horyzont. Pan Roman usłużnie udzielał informacji mrozących krew w żyłach.

— Tutaj się zabiło dwoje naszych — powiedział, dojeżdżając do zężenia na mostku. — Łuk jest łagodny, ale akurat spadło trochę deszczu, a po deszczu ta glinka robi się gorsza niż gołoledź. Wyniosło ich na lewo, prosto pod autobus. Za chwilę będzie miejsce, gdzie komuś się wydawało, że to już powinien być koniec zakrętu. Resztki karoserii widać tam w dole.

— To była ciężarówka — zauważył Pawełek po chwili milczenia.

— Ja też jestem zdania, że to już powinien być koniec zakrętu — rzekła cierpko pani Krystyna.

— Przeciwnie, zakręt jest dalej i nawet się ścieśnia.

— Osobowy też tam leży — zwróciła uwagę Janeczka. — Zdaje się, że był biały. Po następnym kwadransie pani Krystyna wydała wyrok.

— To nie jest żadna szosa, tylko baranie kiszki — oznajmiła stanowczo. — Piękne to bardzo, przyznaję, ale trochę przerażające.

Pan Roman zwolnił nieco.

— Tu była najgłupsza historia. Przyjrzyjcie się, tam przed nami widać dalszy odcinek szosy. Jeden facet jechał tu w nocy, nie znał tej drogi, zobaczył naprzeciwko światła innego samochodu, no i pojechał prosto. Widać go tam, na dole, do tej pory

leży.

— Ten facet leży? Jako szkielet?

— Nie, karoseria. Faceta chyba zabrali. Przepaść ma siedemdziesiąt metrów.

— To ja już dokładnie rozumiem, dlaczego cię ostrzegali przed jazdą w nocy — powiedziała pani Krystyna. — Czy to długo tak jeszcze?

— Razem ten najgorszy odcinek ma około stu czterdziestu kilometrów. Za godzinę już będziemy na płaskim. To kręci tak okropnie dlatego, że droga idzie po naturalnym zboczu. Włazi we wszystkie szczeliny, okrąża wszystkie wypukłości, nigdzie nie jest sztucznie wyprostowana. Nikt nie lubi tędy jeździć. Chociaż znam jednego, który musiał się okropnie śpieszyć w ciemnościach, w zimie, w czasie zadymki śnieżnej.

— I co?

— Nic. Zdażył na czas do Algieru.

— Nieprawdopodobne...

— Naliczyłem już jedenaście resztek tam w dole — oznajmił z satysfakcją Pawełek. — Głównie ciężarówki, ale trafiają się i osobowe. Pierwszorzędna droga...!

Do domu dotarli już po zachodzie słońca. Pawełek zabrał z samochodu kupioną rano lampę i ulokował ją pieczołowicie na turystycznym stoliku w pokoju Janeczki.

— Ze wszystkiego wynika, że będziemy musieli pojechać do tego wąwozu jeszcze raz — rzekł w zamyśleniu. — Już wykombinowałem, co zrobię.

Janeczka zatrzymała się w drodze do mycia rąk.

— No?

— Wysadzę tę kupę w powietrze. Zrobię taki mały wybuszek, żeby tylko kamienie poleciały i żeby pień się wysnął.

— A sam gdzie będziesz?

— Na zewnątrz. Podpalę lont. Trzeba to załatwić przy pierwszej okazji.

— Myślisz, że to wytrzyma do jakiejś okazji?

— Jak będzie chciało, to wytrzyma i rok, ale wolę tyle nie czekać. Nie życzę sobie mieć na sumieniu tego, co tam wejdzie.

— Dzieci, kolacja na stole! — zawołała z kuchni pani Krystyna.

Dopiero po kolacji i po myciu mogli spokojnie usiąść i obejrzeć swój nabytek. Chaber wziął udział w oględzinach, wspiął się na kolana Pawełka i wsparty na nim przednimi łapami zaczął węszyć.

— Też chcesz zobaczyć? Proszę bardzo — zgodził się Pawełek i podał mu lampę.

Przeczekali obwąchiwanie cierpliwie, wiadomo było bowiem, że wszelka wiedza Chabra jest bezcenna i nie ma takich okoliczności, w których nie okazałaby się przydatna. Po psie do zapoznania się z przedmiotem przystąpiły dzieci.

— A jakby tak ją oczyścić? — zaproponował z wahaniem Pawełek.

— Przecież jest czysta — odparła zimno Janeczka. — Wierzysz w to, że jak ją potrzęsiesz, to się pojawi jakiś duch?

— No nie, coś ty...! Ale może jest na niej coś, no, bo ja wiem, zamazane? No, słabo widoczne...?

Janeczka bez słowa obejrzała się, sięgnęła do ściennej szafy, którą miała za plecami, i wywlokła z półki flanelowy kaftanik od piżamy. Pawełek odebrał jej kaftanik i z zapalonym zaczął wycierać lampę. Janeczka przyjrzała mu się, odsunęła krzesło, poszła do łazienki i przyniosła pastę do zębów. Po namyśle wyszła z pokoju drugi raz i przyniosła proszek do prania i proszek do szorowania. Pawełek nie oponował przeciwko niczemu, kolejno wypróbował wszystkie środki czyszczące.

Lampa była stara, ale po kilku minutach w niektórych miejscach zaczęła nawet błyszczeć. Dekoracyjne arabeski na podstawie wystąpiły wyraźniej, a tarcza przy zbiorniczku jąła odbijać światło. Pawełek uniósł lampę do góry i obejrzał jej spód.

— Ejże! — zawołał żywo. — Popatrz, tu coś jest! Janeczka zajrzała pod spód.

Potem uniosła lampę, a zaglądał z kolei Pawełek. Na wszelki wypadek nie chcieli odwracać jej do góry nogami, bo mogła zawierać jakieś resztki palnego płynu, oględziny zatem były nad wyraz niewygodne. Trzeba było przyglądać się w kucki, z zadartą albo przekrzywioną głową.

— Wygląda, jakby ktoś to drapał gwoździem — oceniła Janeczka.

— Ale drapane jest nie byle jak, tylko we wzór. Ty, popatrz, czy to nie wygląda jak te ich robaczki?

— Możliwe. To jest pismo. Możliwe, że ktoś coś napisał na spodzie.

Przez chwilę oddawali sobie nawzajem lampę z narastającym napięciem.

— Ja bym to przerysował, na wszelki wypadek — zaproponował Pawełek.

Janeczka kiwnęła głową.

— Na dwa sposoby. Na jednym kawałku papieru przerysujesz zwyczajnie, a drugi przyłożymy i spróbujemy odbić. Coś cienkiego, serwetkę śniadaniową!

Oba sposoby uzupełniły się wzajemnie i dały doskonały rezultat. Pawełek pieczołowicie wykańczał rysunek aż do chwili, kiedy Janeczce do reszty zdrętwiały ręce.

— Długo jeszcze? — spytała cierpko. — Cały dzień dzisiaj muszę coś trzymać, albo pień, albo lampę...

— Ja i tak się gorzej narobiłem — wytknął Pawełek. — Ale już kończę, możesz ją postawić.

— Może ją zapalić?

— A dobrze, spróbujmy!

Z czterech otworów zbiorniczka sterczały strzępki poszarpanych knotów. Wydawały się jakby odrobinę tłuste. Zapaliły się prawie od razu, nie wymagając więcej niż pięciu zapalek.

Z wielkim zainteresowaniem rodzeństwo wpatrywało się w cztery płomycki. Chaber pociągnął nosem i kichnął, bo stare knoty zaczęły wydzielać z siebie straszliwy odór zjełczałego tłuszczu. Janeczka zgasiła światło. Cztery płomyki oświetlały pokój tajemniczo i niezbyt jasno, ale już po chwili wzrok się przyzwyczajał i można było przy nich nawet czytać. Przyglądali im się aż do chwili, kiedy wszystkie cztery po kolei skurczyły się i zgasły.

— Tam już pewnie nie ma żadnej oliwy — powiedziała Janeczka, zapalając światło. — Jakby nalać, paliłyby się dłużej. Należymy jutro, chcesz?

— Pewnie, że chcę. Trzeba ją poświecić i popatrzeć, bo mnie się wydaje, że na tym talerzu coś widać.

— Nie widzę, żeby było coś widać.

— Ale nie na środku, tylko na brzegach! Na tym wzorze. Jak to świeci, to on wydaje się jakiś inny.

— Możliwe. Jutro sprawdzimy. Teraz nie wiem, co zrobić, bo śmierdzi okropnie.

Pawełek pociągnął nosem i przyznał siostrze rację. Odór zjełczałego tłuszczu zintensywniał i stał się wprost nieznośny. Niemożliwe było spać w takiej atmosferze, z wielką niechęcią zatem zdecydowali się rozstać ze swoją zdobyczą na całą noc.

— Trudno, postoi w salonie, bo to rzeczywiście jest nie do wytrzymania — zadecydował Pawełek. — Jutro się ją potrzyima w otwartym oknie i wywietrzeje. Jeszcze nie wiem, co nam to dało i co z tego wszystkiego wynika, bo nie dam głowy, czy tu jedno z drugim nie ma jakiegoś związku...

— Masz na myśli lampę, te twoje magiczne krzyki i trzęsienie ziemi?

— I może nawet tych ludzi w szopie na suku.

— Co do trzęsienia ziemi, to nie wiem, ale reszta możliwe, że się zgadza. No, zresztą, nie wiem... Jutro mamy jechać do zapory, a po lewej stronie drogi na zaporę też ma coś być. Obejrzymy wszystko i może coś nam wreszcie przyjdzie do głowy...

* * *

Upał był łatwiejszy do zniesienia dzięki wodzie. Pan Roman pokazał swojej żonie i dzieciom wodospad, do którego pojechali w towarzystwie jeszcze dwóch samochodów, ponieważ drogę znał dokładnie tylko pan Krzak, mieszkający na innym osiedlu obok pana Zwijka i pana Rogalińskiego. Pani Zwijkowa, która przyjechała przed miesiącem, nie widziała jeszcze wodospadu i również chciała go obejrzeć, pan Krzak zatem poprowadził.

Walący się z hukiem z wysokich skał srebrzysty strumień tworzył u podnóża niewielkie, głębokie jezioro, do którego można było skakać wprost z ogromnego kamienia. Woda w nim była trochę mętna, ale w zasadzie czysta i Janeczka z Pawełkiem natychmiast wykorzystali okazję. Pływać umieli jak ryby. Wyleźli więc z jeziora odświeżeni i szczęśliwi.

Upał dopadł ich na nowo w drodze do zapory, ale tam z kolei z olbrzymiego zbiornika wodnego wypływał potok, który miał przejrzystość kryształu. Widoczne w nim były żywe ryby, znów zatem wleźli do wody. Pani Krystyna ochlapała się od stóp do głów i wsiadła do samochodu w mokrej sukience. Pan Roman zmoczył koszulę i ubrał się w nią, wyżawszy zaledwie trochę.

— Teraz możemy oglądać to osiedle, które tak wam się podobało — powiedział z zadowoleniem. — Nowe życie we mnie wstąpiło, mam nadzieję, że nie wyschnę zbyt prędko.

— To jest pierwsze prześliczne osiedle, jakie tu spotkałam — stwierdziła pani Krystyna. — Wygląda jak prawdziwa arabska bajka i chcę je zobaczyć z bliska.

— Rozczarujesz się pewnie, ale proszę bardzo.

Janeczka i Pawełek z wielkim oporem zgodzili się na oglądanie osiedla dopiero w drodze powrotnej. Było ono absolutnie jedyną rzeczą napotkaną po lewej stronie szosy na zaporę i zwiedzenie go stanowiło bezwzględną konieczność. Oprócz niego rozciągały się dookoła wyłącznie pola uprawne i nieużytki na łagodnych pagórkach i w dolinach, gęsto upstrzonych kępami różowo kwitnących oleandrów.

Prześliczne osiedle wypatrzyli już z daleka i przypatrywali się pilnie coraz lepiej widocznym bezokiennym, kremowym murom, wystającym spoza nich kopułkom i wieżyczce minaretu, jakimś mrocznym, wąskim wejściom i arabskimi dekoracjom. Pan Roman zjechał z szosy i zaparkował samochód na placu wewnątrz osiedla.

— Tu gdzieś podobno była dawna stolica — powiedział niepewnie. — Nie pamiętam dokładnie, całej Algierii czy jakiegoś państewka, które istniało przez pewien czas, sto kilkadziesiąt lat czy coś takiego. Prowadzono tu prace archeologiczne.

— I gdzie są rezultaty tych prac?

— Obawiam się, że nigdzie. Podobno miejscowa ludność cały kamień i inny budulec z wykopalisk zużyła na swoje domy. Śladu nie zostało, ale za to domy zawierają w sobie materiały zabytkowe.

Janeczka i Pawełek wymienili spojrzenia. Obrabowana dawno stolica, to było coś!

...

Mimo gorąca uparli się obejść całe to maleńkie miasteczko we wszystkie strony. Pani Krystyna sprzyjała ich chęciom. Wcale nie poczuła się rozczarowana, chociaż z bliska osiedle rzeczywiście okazało się brudniejsze niż z daleka. Jednakże białe budynki, koronkowa dekoracja meczetu, kolorowe mozaiki dokoła jakichś bram i wejść, zieleń wylewająca się spoza ogrodzeń, jakieś schodki, murki i ażurowe arkady

oczarowały ją swoją egzotyką. Meczet był wprost zachwycający. Pan Roman i Pawełek obejrzeni go z bliska, wszedłszy na dziedziniec, co pani Krystynie i Janeczce było wzbronione. Wszędzie łąziły za nimi arabskie dzieci, gapiąc się na nich wielkimi, lśniącymi, czarnymi oczami.

— Te dzieci tak patrzą, że coś bym im dała — powiedziała pani Krystyna. — Czekolady albo owoców...

— Niech cię ręka boska broni! — zaprotestował pan Roman niemal z przerażeniem. — Gdybyś dała coś trojgu dzieciom, w minutę później byłaby już dookoła ciebie setka. Gdybyś nie dała wszystkim stu, zaczęłyby rzucać kamieniami. Takich rzeczy tu nie wolno robić!

Na zdziwienie i niedowierzenie pani Krystyny opowiedział straszną historię dwojga rodaków, którzy mieszkali nie w domku, tylko w blokach mieszkalnych, na parterze. Ich dzieci zaprzyjaźniły się z kilkorgiem dzieci arabskich i poczęstowały je cukierkami. Nazajutrz pod oknem zgromadziło się dwadzieścioro dzieci, którym rozdano resztę cukierków. Następnego dnia okno otoczone było już chmurą, której w ogóle nie zdołano policzyć, cukierków jednakże zabrakło. Rozczarowane dzieci zaczęły rzucać kamieniami i grudami błota i doszło do tego, że przez trzy tygodnie owi rodacy nie mogli otworzyć okiennic. Dopiero po miesiącu arabskie dzieci zrezygnowały i przestały wyrażać oburzenie.

— Oni są po prostu biedni — dodał. — Przywykli od pokoleń do zdobywania wszystkiego w sposób bezwzględny i drapieżny i nawet jeśli się wzbogacą, mentalność i obyczaje odmienia nieprędko. Zresztą, z włoskimi dziećmi na południu jest to samo. Znam jedną osobę, której wpadło do głowy na Sycylii dać włoskim dzieciom parę groszy. Potem już musiała wracać do hotelu skradając się i kryjąc po jakichś zaułkach, bo inaczej tłumy dzieci przejść jej nie pozwoliły. Trzymały ją za sukienkę i podstawiały nogę. Trudno, nic na to nie poradzimy, w ich oczach każdy Europejczyk ma bogactwa, które należy mu wydrzeć.

— Powinniśmy może wyjaśnić im, w jakim stopniu jesteśmy Europejczykami — mruknęła z lekką goryczą pani Krystyna.

Janeczka, po gruntownym obejrzeniu osiedla, wsiadła do samochodu zamyślona. Pawełek niezadowolony i trochę niespokojny. Nie był pewien, czy nie należałoby tu zamieszkać i poszukać resztek tej dawnej stolicy. W milczeniu wrócili do Tiaretu.

Do domu dojechali tuż przed zmrokiem. Zaledwie pan Roman zatrzymał samochód, siedzący dotąd spokojnie z tyłu Chaber poderwał się nagle i ostro warknął. Pan Roman spojrzął w kierunku domu i ujrzał jakąś sylwetkę, przełazącą przez wysoki mur ogrodu. Szarpnął drzwiczki.

— Chaber, bierz! — wrzasnął.

Pies jednym skokiem śmignął w wąskie przejście.

— Chaber, stój!!! — wrzasnęła okropnie Janeczka.

— Zostaw go, to złodzieje...!

— Ale jeszcze mu co zrobią! Chaber, wróć!!! Chaber...!!!

Chaber, którego nie było już widać, dostyszał i posłusznie wrócił. W pysku triumfująco niósł kawałek jakiejś szmaty.

Pan Roman otwierał już furtkę w pośpiechu, nie mogąc trafić kluczem do dziurki.

— Do diabła, okradli nas! Puste osiedle, wszyscy się porozjeżdżali! Rany boskie...!

Pani Krystyna, niepewna, co ma robić, wahała się w połowie drogi pomiędzy domkiem a samochodem pozostawionym otworem.

— Na litość boską, zamknij samochód! Pawełek, popilnuj tu! Chaber! Dzieci...!

— Dobra, dobra, idź do domu, my tu przypilnujemy — uspokoił ją Pawełek.

Janeczka zostawiła go i popędziła za rodzicami. Chaber trzymał się jej, usiłując

obdarować ją zdobytym kawałkiem szmaty.

Po dłuższej chwili pan Roman zreflektował się, zabrał rzeczy z samochodu, zamknął go i zwolnił Pawełka z posterunku. Pani Krystyna w pośpiechu penetrowała mieszkanie.

— Wygląda na to, że nic nie ukradli — powiedziała ze zdziwieniem i trochę niepewnie. — Wszystko jest. Radio stoi, robot jest, szafy nietknięte... Czeka, twoje narzędzia! Wiertarka leży... Chyba jest wszystko?

— Zdumiewające — mruknął pan Roman i odniósł do kuchni podręczną torbę. — Spłoszyliśmy ich czy co? Zobaczymy w pokojach dzieci.

Janeczkę nagle coś tknęło. Skoczyła do pokoju Pawełka, gwałtownie otworzyła drzwi i na moment zabrakło jej tchu.

— Lampa...!!! — jęknęła zdławionym głosem.

Pawełek już był obok niej.

— Lampa, rany kota...!!! Nie ma lampy! Ukradli naszą lampę!!!

Gwałtowne i pośpieszne śledztwo wykazało, że lampa stała na pudle w pokoju Pawełka, tuż przy oknie. Teraz jej tu nie ma. Nigdzie indziej także jej nie ma, zatem została ukradziona. Okno było uchylone...

— Dlaczego zostawiliście otwarte okno?! — zdenerwował się pan Roman. — Co wam do głowy wpadło?! Mówiłem, okna tu trzeba zamykać!

Śmierdziała okropnie i chcieliśmy ją wywietrzyć! Wcale nie było otwarte, tylko uchylone odrobinę! W salonie wszystko było zamknięte i proszę, jeszcze śmierdzi!

— Dlaczego w salonie śmierdzi, skoro lampa była u was? — dopytywała się zirytowana pani Krystyna. — I w ogóle dlaczego śmierdzi?! Przy kupowaniu nie śmierdziała!

— Ale zaczęła śmierdzieć, jak ją zapaliliśmy! Zostawiliśmy ją na noc w salonie, bo co, miała nam śmierdzieć nad głową?!

— Wszystko jedno, śmierdzi czy nie śmierdzi! — zawołała z zaciętością Janeczka. — Ukradli ją! Musimy ją mieć z powrotem!

— Żartujesz chyba, nikt nie odzyskał z powrotem tego, co mu ukradli — powiedział pan Roman, trochę już spokojniejszy o całość swojego mienia. — Tu działa jakaś szajka złodziei, a może nawet dwie. Okradają każdy — dom pozostawiony bez opieki. Spłoszyliśmy ich widocznie, skoro nie ukradli nic innego.

Janeczka i Pawełek ponurym okiem łypnęli na ojca, Mieli na ten temat swoje zdanie. Złodzieje kichali na radio i wiertarkę, przyszli tu wyłącznie po to, żeby ukraść lampę...

— Głowę dam, że specjalnie na nią czatowali — szepnął Pawełek z gniewem i rozgoryczeniem. — Musieli widzieć, jak ją kupowaliśmy. I śledzili nas potem.

— Nikt za nami dalej nie jechał — zauważyła przytomnie Janeczka. — Nie wróciliśmy od razu do domu, tylko pojechaliśmy do Algieru.

— Mogli nas znać i wiedzieć, gdzie mieszkamy.

— Wszystko jedno. Najważniejsze, że dobrze zgadliśmy, że ta lampa jest ważna. Słuchaj, musimy ją odzyskać. Chaber...

Chaber siedział przed nią, zamiatając ogonem podłogę. Kawałek szmaty położył u jej stóp. Pochylili się nad gałganem równocześnie.

— On to chyba oderwał złodziejowi — zawyrokował Pawełek i spróbował rozprostować szmatę nogą. — Popatrz, czy to nie jest kieszeń?

— Kieszeń, oczywiście. Urwał mu kieszeń...

— Dzieci, tylko nie bierzcie tego do ręki! — ostrzegęła z daleka pani Krystyna. — W ogóle wyrzucie to! Niech mi to nie leży w domu!

— Zaraz wyrzucimy — uspokoił ją Pawełek. — Za chwilę. To jest łach złodzieja. Chaber go po tym znajdzie i rozpozna...

— Z tym sobie absolutnie dajcie spokój! — przerwał energicznie pan Roman. — Żadnej wojny ze złodziejami, mowy nie ma!

— No coś ty...? Dlaczego?!

— Czy wy sobie nie zdajecie sprawy z tego, gdzie jesteście? Tu się nie łapie złodziei, bo można oberwać nożem. Oni są mściwi! Ile razy mam powtarzać, że tu panują specyficzne obyczaje? Każdy by chętnie odebrał to, co mu ukradli, co wam się zdaje, że tylko wy jedni? Ale nikt się nie wygłupia z łapaniem złodziei, bo to jest niebezpieczne. Z dwojga złego lepiej stracić magnetofon niż życie!

Pani Krystyna zbuntowała się nagle.

— A policja co? Przecież jest tu policja!

— Policja ich łapie, owszem, ale z dużymi trudnościami. I w ogóle... Jakby wam to powiedzieć... Jeżeli złodziej okradnie Araba i przez niego pójdzie siedzieć, dogadają się jakoś między sobą, ale jeżeli pójdzie siedzieć przez cudzoziemca, będą się mścić.

— Kto się będzie mścił?

— Jego rodzina. Rodziny tu są bardzo rozgałęzione. Jesteśmy w obcym kraju i musimy się do tego jakoś przystosować, bo nic nam innego nie pozostaje.

— Bardzo niedobrze — rzekła sucho Janeczka i usunęła z salonu złodziejską kieszeń, wymiatając ją szczotką do ogródka.

Chaber szedł za nią. Janeczka pieczołowicie ulokowała kawałek gałgana pod schodami i szeptem pochwaliła psa. Poglaskała i przytuliła do siebie psi łeb i Chaber zrozumiał, że jego pani jest nim zachwycona.

— Zwracam wam uwagę, że śledzenie złodzieja może być najbardziej niebezpieczne dla Chabra — powiedział podstępnie przy kolacji pan Roman, który znał swoje dzieci. — Jeżeli zobaczą psa na swoim tropie, zabiją go bez najmniejszego wahania.

— Żadnego psa na niczym nie zobaczą — mruknął Pawełek pod nosem.

— Przecież oni się boją psów — zauważyła Janeczka.

— Mogą rzucać kamieniami ze strachu — poparła męża pani Krystyna.

— Stanowczo żądam, żebyście dali temu spokój — ciągnął pan Roman surowo. — Obiecacie mi, że nie będziecie szukać złodzieja. Kawalkiewicza okradli znacznie porządniej i nic. Nie zamierza przeprowadzać żadnych dochodzeń.

Pani Krystyna zainteresowała się gwałtownie okradzeniem pana Kawalkiewicza. Pan Roman wyjaśnił, że wyłamali u niego okiennicę i zabrali radio turystyczne i części samochodowe. Pompę wodną, rozrusznik i reflektor, wszystko do fiata. Dowiedział się o tym właśnie przed chwilą, kiedy pan Kawalkiewicz wrócił do domu.

— Po cóż im części do fiata? — zdziwiła się pani Krystyna.

— Jest gdzieś w Algierze mechanik — fiaciarz. Możliwe, że Kawalkiewicz kupi u niego swoje własne części po dziesięciokrotnej cenie. No, dzieci...

Dzieci milczały. Obydwoje zastanawiali się, jak sformułować obietnicę, żeby nie przeszkadzała zbyt w działaniach. Obietnicy należało dotrzymać rzetelnie, wszystko natomiast, co pomijała i czego nie dotyczyła, stanowiło czysty zysk.

Pan Roman patrzył surowo i nieustępliwie.

— No dobrze — rzekł w końcu Pawełek z namysłem. — Możemy ci obiecać, że nie będziemy łapać tych złodziei gołymi rękami...

— Nie, nie żadne takie! Potem się okaże, że nie było mowy o łapaniu ich w rękawiczkach. Doskonale wiecie, o co mi chodzi.

— Chodzi ci o to, żebyśmy się nie narazili na żadne niebezpieczeństwo — streściła wymagania ojca Jane — czka. — To ci możemy obiecać granitowo. Wcale się nie zamierzamy narażać na jakieś niebezpieczeństwa, mamy co innego na głowie.

— A pewnie! — przyświadczył z przekonaniem Pawełek.

— Gotów jestem kupić wam inną lampę, skoro tak wam zależy na lampie...
— Nie chcemy innej. Chcemy tę.
— Na litość boską...!
— Chwileczkę — wtrąciła się nagle pani Krystyna. — Ja sobie życzę innej obietnicy. Mnie mianowicie proszę obiecać, że w żadnym wypadku i w żadnych okolicznościach nie oddalicie się od Chabra. Pies będzie zawsze razem z wami. Inaczej nie oddalicie się ode mnie, więc co wolicie, ja czy pies?
Pan Roman spojrział na żonę z wielkim uznaniem. Janeczka i Pawełek popatrzyli na nią podejrzliwie.
— Pies — zadecydowała Janeczka. — Ma lepszy węch niż ty.
— W ogóle w porównaniu z psem, to ty się nie liczysz — dodał Pawełek. — Dobra, obiecujemy. Ani kroku bez Chabra!

* * *

— Zastanowiłam się już dokładnie — oznajmiła Janeczka półgłosem, wchodząc wprost z łazienki do pokoju Pawełka. — Nie warto, żebyś się mył teraz, potem i tak będziesz brudny. Nie możemy czekać do jutra.
— Też tak uważam — zgodził się Pawełek. — Oni zaraz jadą oglądać Ramadan w nocy, bo to już ostatnie dni. Mamy drugi klucz od drzwi.
— Ale nie mamy klucza od furtki, więc trzeba będzie przeleźć przez ogrodzenie. Pawełek skrzywił się niechętnie.
— Niepotrzebnie ojciec zagroził ten miejski kawałek siatką. Wszystkie inne domy są ogrodzone w połowie, a tylko nasz dookoła. Nie wiem, po co mu to było.
— Żeby krowy nie wchodziły. Nie szkodzi, mógł przeleźć złodziej, możemy i my. Dzisiaj Chaber wywęszy wszystko i będziemy wiedzieli, co robić, a jutro mogłoby mu być trudniej. Księżyc świeci i jest całkiem widno. Dowiemy się możliwie dużo i potem się zastanowimy co dalej. A możliwe, że oni od razu dzisiaj coś zrobią.
— Co zrobią? Dlaczego dzisiaj?
— Bo skąd wiesz, co na tej lampie było wydrapane? A oni będą wiedzieli. Już wiedzą. Jestem pewna, że umieją czytać po arabsku.
— O rany! Masz rację! To już...!
— Czekaaj, niech odjadą...
Państwo Chabrowiczowie odjechali w chwilę potem, pozostawiając dzieci w domu i zamykając za sobą furtkę na klucz.
— Jestem pewien, że ich za chwilę diabli gdzieś wyniosą — powiedział pan Roman z niepokojem, zapalając silnik. — Co ty masz za pomysły...
— Jestem pewna, że Chaber ich przypilnuje — odparła pani Krystyna stanowczo.
— Nie pozwoli im zrobić nic głupiego, a oni są mu posłuszni o wiele bardziej niż nam. Nie narażą go na żadne niebezpieczeństwo za nic w świecie. A jeżeli uda im się zorientować, kim są ci złodzieje...
— Tego się właśnie boję najbardziej!
— A ja nie. Dzieciom nic nie robią. A godzić się na okradanie, to jest po prostu obrzydliwe. Wy naprawdę nie wiecie, kto tu kradnie?
— Skąd mamy wiedzieć? Policja się pewnie domyśla, ale to za mało. Muszą mieć dowody. Powiem ci, że jestem przerażony tą swobodą naszych dzieci.
— Nie denerwuj mnie! Uważam, że najlepiej będzie z nimi współpracować. Dowiemy się potem dyplomatycznie, co osiągnęły, i może uda nam się uchronić ich od najgorszego. W każdym razie wierzę w psa.
Przedostanie się przez ogrodzenie w miejscu, gdzie pan Chabrowicz pomiędzy

murem a domkiem przymocował siatkę, nie było zbyt skomplikowane. Chaber od dawna przywykł do różnych ćwiczeń akrobatycznych i teraz przeskoczył siatkę z łatwością, odbiwszy się od pleców Pawełka. Znalazłszy się na zewnątrz, podetknęli mu pod nos kieszeń złodzieja, umieszczoną w plastikowej torebce.

— Szukaj, piesku! Szukaj i prowadź!

Chaber nie musiał obwąchiwać szmaty, pamiętał jej woń doskonale. Bez chwili wahania ruszył przed siebie. Migając w plamach księżycowego światła przemknął przez niedokładnie ogrodzone osiedle, przeskoczył przez nasyp toru kolejowego, okrążył olbrzymie, straszliwie cuchnące śmietnisko, przebiegł przez szosę i wpadł w dziurę w ogrodzeniu starego cmentarza.

— Że też nie obejrzelśmy tego cmentarza w dzień... — mruknął Pawełek, przelażąc za psem.

— Trudno, może jutro obejrzymy. Przytrzymaj mi te patyki...

Chaber nie zatrzymał się na cmentarzu. Przebiegł go, przeskoczył przez niski, zrujnowany murek i śmignął w górę po zboczu.

Janeczka zatrzymała się na chwilę dla złapania oddechu.

— Popatrz, czy myśmy nie szli tamtędy przedwczoraj?— spytała zadyszana, wskazując zbocze rozciągające się na prawo od nich, za głębokim rowem.

Pawełek również przystanął na chwilę i popatrzył.

— Chyba tak. A potem przeleźliśmy przez dół gdzieś tam, za górą.

— Chodźmy. Chaber czeka...

Księżyc oświetlał srebrzystym blaskiem zbocze, na które włązili za prowadzącym psem, potykając się ustawicznie na jakichś nierównościach. Chaber skierował się w lewo i dotarł do wydeptanej ścieżki. Ścieżką biegło się łatwiej. Wierzchołek wzgórza, na które weszli dwa dni temu, został na skos za nimi. Na prawo, o wiele dalej, znajdowała się owa nędzna wieś, a jeszcze dalej, za wsią, usłana szkieletami dolina i las. Przed sobą mieli długi, łagodny grzbiet, który po lewej stronie opadał w dół, ku miastu, a wprost przed nimi, ale też daleko, powinno leżeć osiedle dostojników, zasłonięte grzbietem i niewidoczne.

Pies skierował się nieco w dół, łagodny grzbiet przesunął się na ich prawą stronę i nagle skończył urwiskiem. Zjechali stromym zboczem i znaleźli się w szerokim wjeździe do kamieniołomu.

— No tak — powiedział Pawełek, zatrzymując się na chwilę — okazuje się, że to jest najkrótsza droga od nas do kamieniołomu!

— Bardzo dobrze, trzeba ją zapamiętać...

Chaber biegł dalej. Znowu pod górę, krawędzią kamieniołomu, powyżej drogi, którą wracali z pierwszej wycieczki. Rozpoznali łagodne zbocze, oglądane wówczas przez lornetkę. Przed nimi były slumsy.

Teren był tu nierówny, wszędzie wznosiły się jakieś skałki i kamienie rzucające czarny cień. Nieco wyżej połyskiwały słabe światełka. Chaber wciąż dążył prosto przed siebie, teraz jednak szedł wolniej, ostrożnym, skradającym się krokiem. Wykorzystując plamy cienia, podeszli za nim aż do budynków.

Nędzne, brudne, zaśmiecone osiedle nie spało jeszcze. Pomiedzy glinianymi lepiankami kręcili się ludzie, gdzieś błyszczało światło, prawie wszyscy siedzieli przed domkami i jedli pod gołym niebem. Hałasowali i rozmawiali, przekrzykując się wzajemnie.

— A, rozumiem! — szepnął Pawełek. — Oni teraz dopiero mogą jeść. Całą noc tak będą siedzieli, niedobrze...

Janeczka cichym sykiem wezwała psa. Wysforowany do przodu Chaber zawrócił.

— Kryj się! — poleciła mu pani. — Ostrożnie. Prowadź ostrożnie!

Chaber rozumiał wszystkie rozkazy. Ruszył znowu do przodu powoli, ale pewnie,

niekiedy przypadając do ziemi i kryjąc się w cieniu. Dzieci skradały się za nim. Chaber ominął gwarną lepiankę, której mieszkańcy posilali się, siedząc wprost na gołej ziemi, i za nią dotarł do następnej, cichej i prawie ciemnej. Przemknął pod wejście, zatrzymał się, wyciągając pysk, uniósł przednią łapę i wyprężył się jak struna. Następnie obejrzał się na Janeczkę.

— Jest! — szepnęła Janeczka z triumfem. — Tutaj mieszka złodziej. Chodź, piesku...

Chaber wrócił, ale wyraźnie był niezadowolony. Niecierpliwie wykazywał zamiar pójścia jeszcze gdzieś dalej.

— Czekaj, chwileczkę! — zatrzymał go Pawełek. — Trzeba popatrzeć!

Lepianka wydawała się pusta, chociaż w środku świeciło słabe światełko. Być może jej mieszkańcy poszli chwilowo z wizytą gdzieś obok. Otwarta była całkowicie, nędzny, zniszczony murek otaczał część mieszkalną, składającą się, sądząc z rozmiarów, z jednej małej izby. Pawełek zaryzykował.

— Pilnujcie tu! — szepnął i przemknął ku wejściu, prawie niewidoczny w ciemnościach.

Zajrzał ostrożnie do środka, przez chwilę nie było go wcale widać, po czym znów się pojawił.

— Obraz nędzy i rozpaczy — oznajmił szeptem. — Nic tam nie ma. Ani naszej lampy, ani w ogóle nic. Leży tylko marynarka złodzieja. Sprawdziłem, z oberwaną kieszenią. Ale złodzieja też nie ma.

— Pewnie, że nie ma, bo Chaber chce iść dalej. Złodziej tu mieszka, był, posiedział i poszedł sobie gdzie indziej. Dobrze, piesku, prowadź!

Chaber ruszył wprost do kamieniołomu. Oddaliwszy się nieco od osiedla, mogli posuwać się szybciej i mniej ostrożnie. Pies zlekceważył drogę, zjechał w dół po niższym tu nieco zboczku i pomknął gdzieś przez rozległe dno.

— Rany, co teraz? — jęknął Pawełek, kiedy Chaber zatrzymał się wreszcie obok czarnej, wielkiej dziury w skalistym kawałku przeciwległego zbocza. — Co tu ma być?

— Nie wiem — odparła zdyszana Janeczka, uważnie obserwując psa. — Czekaj, to jeszcze nie koniec. Czekaj, już rozumiem. Ten złodziej też tu był i coś chyba robił, bo zatrzymał się na dłużej. Ale już go nie ma, poszedł dalej. Chaber każe iść dalej.

— Co tu robił? Czekaj no! Przecież to kamieniołom...!

Janeczka złapała oddech i umysł jej się rozjaśnił. Spróbowała zajrzeć do czarnej dziury.

— Poświeć!

— Mielśmy nie świecić! Jeszcze kto zobaczy...

— Ja zasłonę, a ty poświeć w środku.

Pawełek wlaź do dziury i zapalił reflektorek, usiłując osłonić trochę strumień światła. Dziura była niezbyt wielka, mieściła się w kamieniach czy też w popękanej skale, część miała płyszą, rozszerzającą się nieco w prawo, a część wchodzącą gdzieś w głąb ostrym klinem. Z lewej strony, w samym wejściu wybrzuszała się wielka, kamienna buła.

— Kamieniołom i skarby — powiedział Pawełek ponuro, gasząc latarkę i wyłaząc na zewnątrz. — Ja stąd nie odejdę. Będę tu siedział do rana, aż się rozwidni.

— I co ci przyjdzie z tego siedzenia?

— Nie wiem. Coś zobaczę. Może on tu co schował?

— A może on stąd coś zabrał? Trzeba go znaleźć wreszcie i popatrzeć, co robi. Zobaczyć, jak wygląda.

Chaber wie, gdzie on jest. Możemy tu przyjść rano drugi raz.

Przypuszczenie, że złodziej mógł stąd coś zabrać, zaniepokoiło Pawełka mocno.

Oderwał się od dziury i ruszył za psem.

Chaber przede wszystkim podbiegł do szopy stojącej obok dużego baraku, obiegł ją, powęszył przy drzwiach, poinformował, że złodziej tu był, zaglądał, ale nie wszedł do środka, po czym ruszył dalej. Okrężną drogą, po zboczu kamieniołomu i poniżej nędznego osiedla wleźli na jakąś górę. Potem zsunęli się trochę w dół. Przebiegli nieznanymi, pustymi terenami, potem wzdłuż jakichś murków, ominęli coś, co wyglądało jak place budowy, stracili kompletnie orientację i nagle, ni z tego, ni z owego, po przeciśnięciu się jakby wąskim korytarzykiem pomiędzy wysokimi murkami, znaleźli się na zwyczajnej, dość znośnie oświetlonej ulicy. Byli w mieście.

— Chaber, czekaj! — zawołała półgłosem Janeczka.

Rozejrzeli się. Tej części miasta nie znali wcale. Były to niewątpliwie peryferie ze starą zabudową, oświetlone raczej marnie, z nielicznymi sklepikami i małą ilością ludzi, kręcących się po nierównej i dziurawej jezdni. Znajdowali się gdzieś w górze, Tiaret leżał niżej. Zatrzymany Chaber niecierpliwiał się i popędał.

— Dobra, idziemy — mruknął Pawełek. — Rynek jest chyba gdzieś tam. Jakoś trafimy.

— Wolniej, bo się będą na nas gapić — ostrzegła Janeczka.

Chaber skręcił w zaułek prostopadły do ulicy i doprowadził wreszcie do jakiegoś wejścia, zawieszono zasłonę z kolorowych pasków. Za paskami widać było jasno oświetlone pomieszczenie, w którym kilka osób siedziało w kucki i piło kawę. Tuż przy paskach, tyłem do nich, tkwił złodziej.

Nie było co do tego najmniejszych wątpliwości. Chaber dotarł do niego i wystawił go z dokładnością zgoła zegarmistrzowską. Potem cofnął się bezszelestnie, obejrzał na Janeczkę i usiadł, dumny i triumfujący.

— Mamy go! — szepnął Pawełek, przylepiony do jakiegoś murku i ukryty w cieniu. — Co teraz?

— Teraz ja na niego popatrzę, a ty się rozejrzyj, co tu jest dookoła! — poleciła Janeczka. — Weź Chabra!

Pawełek oderwał się od murku i znikł. Wciśnięta w kąt pomiędzy dwiema ścianami, prawie na wprost zasłony z pasków, Janeczka nie odrywała oczu od złodzieja. Stwierdziła, że jest raczej chudy i ma czarną, kędzierzawą czuprynę. Czarne, kędzierzawe czupryny mieli tu wszyscy i większość nie była gruba. Usiłowała dostrzec w nim jakieś znaki szczególne albo chociaż zapamiętać odzież. Marynarka jak marynarka, jakaś ciemna, chyba granatowa. Nad marynarką wystaje brzeżek żółtej koszul i...

Obserwowany z dziką zachłannością złodziej podniósł się nagle i ruszył gdzieś w głąb pomieszczenia. Bez sekundy namysłu Janeczka padła na kolana tuż przy wejściu i przytknęła oko do kolorowych pasków. Tym jednym okiem ujrziała, że złodziej zatrzymał się, nagarnął sobie coś do ręki z wielkiego półmiska stojącego na niskim stole i wrócił na swoje miejsce. Na krótką chwilę zobaczyła jego twarz...

Zdażyła się cofnąć w swój ciemny kąt akurat w momencie, kiedy skądś pojawiło się dwoje dzieci, które wbiegły za zasłonki. Nie zauważyły jej. W pół minuty później zmaterializował się Pawełek.

— Nawiewamy stąd! — szepnął rozkazująco. — Gazu!

Już po kilkunastu krokach znaleźli się u szczytu wąskich, przeraźliwie długich i stromych schodów, prowadzących gdzieś daleko w dół. Schody były dość ciemne, górną ich część rozjaśniał księżyc, w dolnej świeciła jedna lampa.

— Dlaczego gazu? — spytała Janeczka w połowie schodzenia, macając nogą i przytrzymując się muru. — Bo co się stało?

— Nic się nie stało, tylko widziałam mnie jakąś baba. Wlażem do cudzego domu.

— I co tam było?

— No więc to miejsce, gdzie trafiliśmy, to był chyba tył jakiegoś sklepiku. Sklepik jest od frontu, od ulicy. Mur dookoła, więc to chyba dom mieszkalny, dalej jest drugie wejście. Dookoła są takie same domy, ale już bez sklepików. Wlałem do jednego i akurat jakaś baba wyniosła przypalony garnek, spojrzała na mnie, ale nic nie zdążyła powiedzieć. To był dziedziniec.

— Gdzie dziedziniec?

— Tam gdzie siedziałaś. I tam powinno być jakoś więcej tego domu. Trochę trudno się połapać, bo ciemno.

Umilkli na chwilę, przepuszczając ludzi, bo na wąskich schodach trzeba było wymijać się ostrożnie.

— To teraz ja ci coś powiem — rzekła Janeczka, kiedy znaleźli się wreszcie na dole, pod świecą latarnią. — Widziałam go z frontu!

Pawełek aż się zatrzymał.

— I co?

— I wiesz, kto to był? W życiu nic zgadniesz! Pawełek z niesmakiem spojrzał na siostrę.

— Jeżeli to nie był nikt z naszych, na przykład ojciec albo pan Kawałekiewicz, to mógł być tylko ktoś, kogo razem widzieliśmy. Handlarz z suku w Mahdii?

— Nie. Nie handlarz, tylko ten z krzywym okiem.

Ten, który dawał znaki i wszedł do budy z płacht, i wyszedł pierwszy. Owszem, właśnie na suku w Mahdii!

Pawełek milczał i przez krótką chwilę przetrwał informację.

— Wracamy na górę! — zarządził.

— Zwariowałeś? Po co?

— Tam musi być nasza lampa! Jest ciemno, źle widać, ale poszukamy...

— Do kitu zupełnie. Nic nie zrobisz, wszyscy na nogach i urządzają sobie przyjęcie! Nie wepchniesz się przecież pomiędzy tych wszystkich ludzi! I co, chcesz się koniecznie pokazać złodziejowi?!

— To uważasz, że mamy ją tak zostawić?! A jeżeli ją gdzieś wyniosą?

— Chaber za nimi wszędzie trafi. Nie, to do niczego, najpierw musimy się zastanowić...

Porzucili schody i wyszli na ulicę. Przez moment nie wiedzieli, gdzie się znajdują, ale zorientowali się dość szybko. Ruszyli w kierunku rynku.

Tu dopiero widać było życie miasta w okresie Ramadanu. Po ulicach przelewał się tłum, wszyscy wylegli z domów. Otwarte były nawet niektóre sklepy i wszystkie restauracje i kawiarnie. Liczne kolorowe lampioniki wesoło oświetlały wejścia i wnętrza rozmaitych lokali. Sennie snujący się w ciągu dnia ludzie teraz nabrali życia. Na jezdni tłok był taki, że samochody ledwie mogły się posuwać.

— Fajnie to wszystko wygląda, ale do domu mamy okropny kawał drogi! — westchnął Pawełek. — Nie wiem, czy nie bliżej przez kamieniołom.

Janeczka była zamyślona i niezadowolona.

— Za to do kamieniołomu stąd dalej. Coś mi się tu nie podoba...

— Co ci się nie podoba?

— Jeszcze nie wszystko rozumiem. Ten nasz złodziej nie był jeden. Ojciec mówił, że tu są dwie szajki, dwie szajki nie mogą się składać z jednego człowieka, nie? Musiało ich być więcej. I wcale nie wiem, czy Chaber urwał kieszeń akurat temu, co kradł, czy na przykład temu, co pilnował. Nie wybierał przecież...

— I myślisz, że on mógł nie mieć naszej lampy ani niczego innego? — zastanawiał się Pawełek. — To po co tak latał?

— No właśnie nie wiem. Chciałabym sprawdzić jeszcze raz, co było w tym kamieniołomie. Tam się musiało dziać coś ważnego...

Przemykając się zręcznie w cieniu pod ścianami, Chaber dopadł ich nagle i pisał radośnie. Natychmiast potem ruszył na drugą stronę jezdni, na szczęście jednak zatrzymał go przejeżdżający samochód. Janeczka zdążyła zawrócić go z drogi.

Po drugiej stronie, na placyku, stały trzy znajome samochody, wokół nich zaś kręcili się państwo Chabrowiczowie, państwo Zwijkowie i pan Krzak. Pan Zwijek był w trakcie zmiany co najmniej dwóch kół, pan Roman zaś i pan Krzak wyciągali z bagażników swoje zapasowe. Wszyscy najwyraźniej w świecie uważali te manipulacje za doskonałą zabawę i wcale się nie śpieszyli.

Ukryte w tłumie dzieci przyglądały im się krótko. Pawełek znów westchnął ciężko.

— No to nie ma siły, odwalamy dalej ten trening! Widzi mi się, że czasu starczy na pięć kamieniołomów. Idziemy?

— No pewnie! A stamtąd wrócimy już prosto do domu. Chaber, do kamieniołomu! Prowadź prosto do kamieniołomu!

Chaber miał widocznie w sobie jakiś tajemniczy radar, bo poszedł na azymut i w szerokim wjeździe znaleźli się szybciej, niż się spodziewali. Zzianą Janeczka kazała doprowadzić się do dziury. Przez chwilę pies wydawał się zdezorientowany, ruszył zygzakami, ale już po kilkunastu metrach chwycił właściwą woń i wszystko zrozumiał. Przyśpieszył kroku.

— Co chcesz zrobić? — zaciekawił się Pawełek w biegu. — Coś wymyśliłeś?

— Jeszcze nie wiem, ale coś mnie korci — odparła Janeczka z zaciętością. — Muszę zrozumieć chociaż trochę...

Chaber bezbłędnie doprowadził do dziury, zatrzymał się i spojrzał pytająco. Jego pani ucieszyła się wyraźnie, pochwaliła go i ucałowała kudłaty pysk.

— Czekaj, piesku — powiedziała tonem pełnym napięcia. — Teraz będzie trudne. Musisz powiedzieć, co tu było. Szukaj tu. Szukaj. I prowadź w inne miejsce!

Chaber zawrócił i ruszył ponownie po tropach złodzieja. Janeczka zatrzymała go.

— Nie — powiedziała z naciskiem. — Nie to. Szukaj czego innego!

Pawełek milczał, z szalonym zainteresowaniem obserwując siostrę i psa. Nie wtrącał się, bo wiadomo było, że nikt się tak nie porozumie z Chabrem jak Janeczka. Pies powęszył chwilę i ruszył drogą, którą tu przyszedli pierwszy raz, ale niepewnie i oglądając się.

— Nie — powiedziała Janeczka. — Nie tędy. Jeszcze szukaj!

Chaber znów wrócił do dziury. Węszył i starał się wszelkimi siłami. Rozumiał doskonale, że oba wyraźne, świeże, znajome tropy są jego pani niepotrzebne. Powinien znaleźć coś innego. Innych rzeczy znajdowało się tu wiele, nie był pewien, co z tego powinien wybrać. Zdecydował się na to najnowsze, co najbardziej rzucało się w nos.

— To jest złoto — wyszeptala tkliwie Janeczka, widząc, jak pies z nosem przy ziemi rusza w trzecim kierunku. — To jest perła. To jest kopalnia diamentów, a nie żadne zwierzę...

Trzeci kierunek nie odbiegał zbyt od dwóch poprzednich, najkrótszą drogą doprowadził ich do małej szopy. Chaber zatrzymał się nagle przed zamkniętymi na kłódkę drzwiami i znów spojrzał pytająco.

— Kochany, najdroższy pieseczek! — rozczuliła się pani. — Zdaje się, że zaczynam coś rozumieć. Rób, co chcesz, ale musimy tam zajrzeć! Niechby nawet przez komin!

— Nie ma komina — mruknął Pawełek. — O co chodzi? Przecież już przedtem mówił, że ten złodziej tu latał?

— Ale oprócz tego latał jeszcze ktoś inny. I ten inny wszedł do środka. Od dziury przyszedł tu albo stąd poszedł do dziury. Nie ma go, więc musimy tam zajrzeć!

— Czekaj, spróbujemy przez okno...

Przytknięta do szyby latarka oświetliła wnętrze szopy nie idealnie, ale dostatecznie, żeby można było coś zobaczyć. Janeczka, osłoniwszy oczy z boku rękami, zaglądała obok Pawełka.

— Jakiś barłóg widzę — stwierdziła. — Różne łachy. I chyba garnki, nie?

— Te łachy tak leżą, jakby pod nimi coś było — zauważył Pawełek. — Źle widać. Niemożliwe, żeby to była taka kupa gałganów. Co to ma być, szatnia?

— Na podłodze coś leży. Opuść to światło niżej.

Na podłodze leżały różne śmieci, wśród nich zaś mało zgnieciony papier. Papier wydał im się jakoś dziwnie znajomy. Pawełek wpatrywał się weń z wysiłkiem, manewrując latarką przytkniętą do szyby.

— Wu... es... es... Społem... — odczytał z trudem. — O rany! A to co ma znaczyć?

— Sprawdź tę kłódkę i zobacz, czy nie uda nam się wejść — rozkazała Janeczka.

— Ja już zaczynam rozumieć prawie wszystko.

Manipulacje przy skoblu, którego odkręcenie wymagało dłuższej chwili, przerwał nagle Chaber. Warknął cichutko, skoczył w ciemność, wrócił i warknął ponownie, ostrzegawczo.

Dzieci w mgnieniu oka znalazły się w cieniu za baraczkami.

— Ktoś idzie — szepnęła Janeczka.

— Zdążyłem poluzować śruby — odszepnął z troską Pawełek. — Żeby tylko nie zauważył...

Czekali w milczeniu, aż usłyszeli zgrzyt żwiru i kroki. Od strony slumsów nadchodziło dwóch ludzi. Rozmawiali, nie dość, że cicho, to jeszcze po arabsku. Weszli do baraczku i zapalili małą, nędzną żaróweczkę pod sufitem. Światło przeświecało przez szpary w ścianach.

— Pęknię, jeśli nie zajrzę! — wyszeptała zdenerwowana Janeczka.

Podkradli się pod okno i ostrożnie, jednym okiem, zajrzeli. Zobaczyli owych dwóch ludzi w momencie, kiedy jeden z nich chował coś pod marynarkę, a drugi kopnięciem podsuwał pod ścianę łachy. Potem ten, co chował, wyjął z kieszeni jakieś pieniądze i dał temu, co kopał. Kopiający zamachał rękami, chowający również, przez chwilę wyglądało na to, że się pobijają.

— Targują się — zawyrokował Pawełek najcichszym szeptem.

Targujący pogodzili się nagle. Ten, który kopał, przyjął pieniądze, schował je do kieszeni i zgasił żaróweczkę. Opuścili baraczek, zamknęli drzwi i oddalili się tą samą drogą, jaką przyszli. Obaj wydawali się bardzo zadowoleni.

— Jedno, co wiem na pewno, to to, że to nie była nasza lampa — rzekł Pawełek, wychodząc z cienia. — Też już zaczynam trochę rozumieć. Nasza lampa, razem z tym swoim talerzem, nie zmieściłaby mu się pod marynarkę.

— W ten papier były owinięte te pompy i rozruszniki pana Kawałkiewicza — przypomniała Janeczka. — Widzieliśmy to na własne oczy.

— Zgadza się, sami mu to przywieźliśmy. Teraz powinniśmy iść za tymi dwoma, ale ja już nóg nie czuję, więc nie wiem, co zrobić.

— Tu do środka włączyć już nie ma po co — rozważała Janeczka. — Dziurę musimy obejrzeć dokładnie przy świetle dziennym. Za tymi dwoma nie możemy iść, bo byśmy tak latali całą noc, trzeba tylko, żeby Chaber ich zapamiętał. Czekaj, załatwię to z nim i na razie wracamy do domu.

Państwo Chabrowiczowie również wracali do domu, sprzecząc się całą drogę. Pani Krystyna upierała się przy pozostawieniu dzieciom większej swobody, pan Roman wyrażał tysiączne obawy.

— Nie znasz tego kraju — mówił z irytacją. — I oni również nie mają o nim zielonego pojęcia! Bóg raczy wiedzieć, jakie skutki mogą wynikać z ich szaleństw.

Muszę wymagać, żeby byli rozsądni, bo inaczej trzeba by ich chyba związać!

— I zakuć w dyby, bo wszelkie więzy przegryzie pies. Dlatego właśnie uważam, że należy udawać, że im na wszystko pozwalamy. Nie będą się z niczym ukrywać i dowiemy się, co robią. Tylko w ten sposób zdołamy ich jakoś hamować i utrzymać w granicach rozsądku!

— Jeżeli uważasz, że dzisiaj utrzymaliśmy ich w granicach rozsądku...!

— Właśnie tego się chcę dowiedzieć! Przecież, gdyby nie Chaber, oszalałabym ze zdenerwowania! Jedź prędzej, chcę wiedzieć, czy już są w domu.

— A jeżeli ich jeszcze nie ma...?

— Jeśli ich nie ma, poczekamy i złego słowa im nie powiem. Załatwię to z nimi po przyjacielsku.

— Jak żyję, nie widziałem takiej matki! Ty chyba jesteś nienormalna!

— Przy takich dzieciach nie mogę być normalną matką. Umarłabym na serce albo dostała rozstroju nerwowego! Nie kłóć się ze mną, za chwilę sprawdzimy...

Janeczka i Pawełek usłyszeli samochód ojca w momencie, kiedy powłócząc nogami, dotarli do swojego ogrodu. Ożywienie wstąpiło w nich takie, jakby mieli za sobą tydzień całkowitego wypoczynku, a nie kilometry galopady po górach i dołach. Przytłumiony trzask drzwiczek samochodowych dobiegł ich już w przedpokoju.

Państwo Chabrowiczowic zastali swoje dzieci w piżamach, siedzące w kuchni i posilające się owocami. Trochę zastanawiający mógł się wydać jedynie fakt, iż spożywali brzoskwinie nożem i widelcem. Pan Roman doznał ulgi zgoła niebotycznej, pani Krystyna odczuła lekkie zdziwienie.

— Jak to? — wyrwało się jej. — Nigdzie nie wychodziliście?

— Byliśmy na małym spacerze — odparła niewinnie Janeczka. — Z Chabrem. Nie oddalił się od nas nawet na milimetr.

— I zgłodnieliśmy od tego — dodał Pawełek, dziobiąc widelcem następną brzoskwinę.

W duszy pana Romana załęgły się nagle jakieś straszliwe podejrzenia, ale na wszelki wypadek wstrzymał się przed ich ujawnieniem. Niepewnie spojrział na żonę. Pani Krystyna zrobiła się odrobinę zakłopotana.

— Bo wiecie — powiedziała trochę bezradnie. — Przyszło mi na myśl... Przyszło mi na myśl, że bardzo rzucacie się w oczy z tymi włosami. Takich jasnych tu nikt niema...

— Widziałem jednego rudego — zakomunikował sucho Pawełek. — Ale faktycznie miał ciemniejsze i w dodatku kręcone.

— No właśnie. Więc w razie, gdybyście...

— Więc w razie, gdybyście się pchali nie tam gdzie trzeba, wszyscy na was zwrócą uwagę — nie wytrzymał pan Roman. — Co to ja takiego... Aha, ja też zgłodniałem. Zjadłbym coś...

Z wielką skwapliwością dzieci ustąpiły miejsca rodzicom.

— No, to teraz możemy wreszcie umyć ręce! — westchnął półgłosem Pawełek, puszczając do wanny strumień wody. — Mam nadzieję, że udało nam się przy tym jedzeniu niczego nie dotknąć.

— I chociaż nogi — powiedziała Janeczka. — Tylko szybko, bo się zaczną dziwić, że się myjemy drugi raz...

* * *

— Nie mogę się jeszcze połapać, jak to było — powiedział Pawełek nazajutrz

rano. — Coś mi się widzi, że ci złodzieje okradają się wzajemnie. Ten nasz chyba schował dla siebie rzeczy pana Kawalkiewicza i prywatnie sprzedał temu z szopy, nie? Okropnie tajemniczo to robił.

— Ukrył je przed szajką — przyświadczyła Janeczka. — Jestem tego zupełnie pewna. Możliwe, że ma spółkę z tym z szopy.

— I zwędził sobie na lewo tylko jedną rzecz. Gdzie reszta? I nie wiem właściwie, jak on to załatwił, bo przez to jego całe latanie wszystko mi się myli.

— Ja wiem. Zgadłam. Najpierw poleciał do siebie i zmienił marynarkę, potem poleciał do kamieniołomu, tę kradzioną rzecz zostawił w dziurze, bo nie zastał tego z szopy, szukał go, poleciał do miasta i tam go spotkał. I powiedział mu o tym.

— Dlaczego myślisz, że w dziurze?

— Widziałam taki ślad na piasku, jak ją oglądaliśmy, ale dopiero potem zgadłam, co to było. Nie zdążyłam ci powiedzieć.

Pawełek porozwazał sprawę przez chwilę.

— To znaczy, że zaraz potem ten z szopy przyleciał, zabrał rzeczy z dziury i poleciał po tego swojego kupca. Że też zdążył...

— Możliwe, że mieszka blisko. Możliwe, że nasz złodziej spotkał go zaraz, jak tylko zaczął lecieć do miasta, i od razu mu powiedział, że zostawił w dziurze coś dla niego. Musieli się z tym pośpieszyć, żeby inni złodzieje się nie połapali. Nie mogło być inaczej, a w ogóle z tą dziurą coś jest. Chaber w niej coś węszył.

— Tę rzecz węszył, nie?

— Nie wiem. Trzeba sprawdzić...

— Dzieci, jadę z wizytą do pani Ostrowskiej — powiedziała pani Krystyna, zaglądając do pokoju Janeczki. — Wrócę dopiero na obiad. Chcecie jechać ze mną?

— Nie, idziemy na spacer w inną stronę — odparła Janeczka, zanim Pawełek zdążył się odezwać. — Zostawimy klucz od furtki pod kamieniem w ogródku pana Kawalkiewicza. Może tak być?

— Dobrze. Pod drugi kamień od lewej strony...

— Co ma być? — spytał nieufnie Pawełek, kiedy pani Krystyna zniknęła za furtką. Janeczka w pośpiechu pociągnęła go do łazienki.

— Zmocz głowę! Prędej! Ciepłą wodą. Zakręcę ci loki.

— Zwariowałaś...?!

— Nie, wszystko obmyślałam. Pchaj się pod ten kran, już! Zaraz ci powiem...

Oślupiały Pawełek wsadził głowę pod kran. Janeczka ściągnęła z wieszaka ręcznik i rzuciła go bratu.

— Trochę tylko wytrzymaj, nie za bardzo. I siadaj na stołku. Matka miała rację, rzucamy się w oczy, z tymi włosami trzeba coś zrobić.

— Co niby chcesz zrobić...

Janeczka w mgnieniu oka przyniosła z pokoju pani Krystyny zakrętki do włosów.

— Po pierwsze twoje trzeba zakręcić, posiedzisz na słońcu i w pół godziny wyschną. Długo się to nie utrzyma, ale wystarczy do obiadu. Ja sobie upnę warkoczyki, one tu je noszą. I uczernimy się. Weźmiemy tę hennę, którą mamusia kupiła na suku, a w przyszłym tygodniu jej odkupimy. Z czarnymi włosami nikomu nie wpadniemy w oczy!

— Będę wyglądał jak idiota!

— No to co? Musimy iść po lampę. Siedź spokojnie!

— No dobra, ale czy same włosy wystarczą...?

— Ubierzemy się jeszcze odpowiednio. Włożę spódnicę mamusi, tę w czerwone kwiatki, na długość będzie w sam raz. A ty włożysz długie spodnie...

— O rany...

— I okropnie żółtą koszulę. Uczernimy sobie także brwi i rzęsy. Nie chodzi o to,

żebyśmy byli piękni i żeby to było trwałe, tylko żeby na pierwszy rzut oka nikt nie zgadł, że to my. Gdyby ktoś chciał się przyjrzeć dokładniej, damy nogę.

Poddając się posłusznie zabiegom fryzjerskim, Pawełek oceniał pomysł siostry. Po zastanowieniu musiał przyznać, że jest doskonały. Te jasne włosy były najbardziej rażące, po uczernieniu przestaną się rzucać w oczy. Opaleni są oboje tak, że niewiele się różnią od dzieci arabskich. Oczy tylko mają nieodpowiednie, niebieskie, podczas gdy wszyscy tutaj mają wielkie i czarne...

— Może byłoby dobrze włożyć ciemne okulary? — podsunął.

— Nie widziałam ani jednego dziecka w ciemnych okularach. Jeszcze czasem dorośli, ale też mało. Zresztą, zobaczymy...

— Powinniśmy mieć plastikowe sandały. Oni tu wszyscy chodzą w plastikowych sandałach.

— Na sandały już nic nie mogę poradzić, nie kupimy ich przecież w tej chwili. Zresztą, zanim wyschniesz, zobaczę, czy się nie da naszych pomalować na niebiesko albo na różowo. Będą wyglądały jak plastikowe.

— Da się, dlaczego nie? Lakierem do paznokci, na przykład.

— Lakieru do paznokci to już nam matka nie daruje...

— To czymś innym. Czekaj... Pastą do zębów z tą niebieską henną! Dosypie się i wymieszają i zrobię ci taką farbę do butów, że hej!

— Bardzo dobry pomysł. Wynoś się teraz na słońce. Przyniosę ci wszystko co trzeba, bo ja nie muszę schnąć.

Usiadłszy na schodkach i wystawiwszy głowę na słońce, Pawełek zabrał się do roboty. Biała pasta do zębów, wymieszana na spodeczku z odrobiną niebieskiej henny, przeistoczyła się w piękną, błękitną farbę. Rozmazanie jej palcem po dwóch parach sandałów stanowiło wręcz samą przyjemność.

Janeczka przystąpiła do manipulacji przed lustrem w łazience. Wysypała sobie na głowę trochę czarnego proszku z buteleczki i zaczęła to wcierać we włosy. Już po krótkiej chwili miała kompletnie czarne ręce i czarną skórę, włosy natomiast zabarwiły się nieznacznie. Spróbowała zwilżyć to wszystko, pomogło, ale niewiele. Rozejrzała się po łazience i sięgnęła po krem Nivea. Krem Nivea dał efekt wspaniały. Włosy Janeczki zrobiły się nie tylko czarne, ale także lśniące i gładko ulizane. Uradowana, zaplotła je w cztery warkoczyki, których końce przypięła sobie na czubku głowy szpilką. Następnie, bez chwili namysłu, rozmasowała sobie hennę na brwiach i dookoła oczu.

Rezultat był niesamowity. Jej wielkie, niebieskie oczy w straszliwie czarnej oprawie zrobiły się jeszcze większe i jeszcze jaśniejsze. Kiedy je mrużyła, zaczynała rzeczywiście wyglądać jak arabska dziewczynka, z czarnymi warkoczykami, z opaloną na brązowo twarzą, z czarnymi brwiami i rzęsami, otwarcie ich jednakże niweczyło całą arabskość. Zmartwiona i zatroskana nieco Janeczka porzuciła łazienkę i zmieniła strój. Pozostawiwszy sobie własną bluzkę z krótkimi rękawkami, włożyła spódnicę pani Krystyny. Spódnica, obcisnięta na żebrach, opadała jej aż do połowy łydek. Obejrzała się w lustrze i uznała, że jest nieźle, tylko z tymi oczami nie wiadomo co zrobić...

Pawełek skończył malować sandały, pomacał się po głowie i obejrzał na drzwi.

— Janeczka! — wrzasnął. — Długo mam tak siedzieć? To już chyba suche?

W drzwiach ukazała się jego siostra i Pawełek aż się zachłysnął z wrażenia.

— Rany kota...!

— No więc chyba masz rację, bez okularów się nie obejdzie — powiedziała zmartwiona Janeczka.

Pawełek przez chwilę oglądał ją w milczącym podziwieniu.

— E tam, jest pierwszorzędnie! — zawyrokował. — W ogóle cię nie poznałem.

Wyjdź na słońce, niech popatrzę.

Janeczka przespacerowała się do furtki i z powrotem.

— Jest bardzo dobrze! — powtórzył stanowczo Pawełek. — Jak masz twarz w cieniu, to oczu w ogóle nie widać. Będziemy patrzeć spode łba, a okulary możemy wziąć tylko na wszelki wypadek. Zobacz, czy to jeszcze nie wyschło, bo już trochę za gorąco.

Zaondulowane włosy Pawełka nie zrobiły się, niestety, kędzierzawe. Wysmarowane henną i kremem Nivea nabrały wprawdzie lśniącej czerni, ale za to wyprostowały się i pozostały zaledwie falujące. Janeczka przypomniała sobie nagle, że coś słyszała o usztywnianiu włosów białkiem. Poświęciwszy dwa jajka, uzyskali wreszcie nastroszoną szopę, która zaspokoili ich wymagania. Włożyli wysmarowane pastą do zębów sandały i obejrzeni się jeszcze raz. Ogólnie biorąc, było nieźle, z daleka i bez dokładnego przypatrywania się można ich było wziąć za arabskie dzieci.

— No to teraz gazu — powiedział Pawełek. — Bo nam ten fotomontaż zacznie złązić i dopiero wtedy wszyscy na nas zwrócą uwagę. Którędy? Przez miasto czy na przełaj?

— Na przełaj, przez miasto lepiej nie ryzykować.

Od razu za cmentarzem skręcili w lewo, dołem ominęli wjazd do kamieniołomu i slumsy i dopiero potem wdrapali się na górę. Dalej poprowadził Chaber, który wśród placów budowy z łatwością odnalazł wczorajszy ślad swoich państwa, od razu trafiając na wąskie przejście do uliczki. Obok przejścia bawiły się dzieci i jakiś chłopiec zawołał coś do nich.

— Harła balia larwa — odpowiedział pod nosem Pawełek, nie zwalniając kroku.

— Zwariowałeś — zgorszyła się zaskoczona Janeczka. — Co ty mówisz?!

— Cicho! Niech myślą, że tak niewyraźnie mówię po arabsku. Jak oni gadają, to jakoś podobnie brzmi.

— Połapią się...

— Coś ty! Jak ktoś niewyraźnie mamrocze po polsku, to wiesz, że po polsku, ale nic nie możesz zrozumieć, nie? Po francusku to samo. No więc niech myślą, że ja tak niewyraźnie mamrocę po arabsku. Takie harła balia to oni mówią ciągle.

— Cicho, już jesteśmy...

Uliczka była prawie pusta. Chaber bez wahania pokazał zaułek i wejście do domu, w którym wczoraj gościł złodziej. Zatrzymali się.

— Właściwie teraz możemy robić byle co — szepnął niespokojnie Pawełek. — Udawajmy, że się bawimy.

— Musimy tam zajrzeć — odszepnęła Janeczka. — Przecież po to się przebraliśmy, żeby móc tam zajrzeć. Znajdź sobie jakiś kamień, jak nas kto zobaczy, będziesz udawał, że go kopiesz.

— A ty?

— Ja będę udawała, że się z szacunkiem przyglądam...

— Czekaaj, popatrzmy najpierw na ten sklepik od frontu...

Sklepik był zamknięty na głucho. Wrócili do zaułka i ostrożnie obejrzeni dziedzińczyk, na którym wczoraj kryła się Janeczka. Tu również było zupełnie pusto, zasłona z kolorowych pasków wisiała jak poprzednio. Dalszy ciąg dziedzińczyka przykryty był kratą, którą oplatała jakaś pnąca roślina, tworząca zielony dach. Ruszyli w tę cienistą głąb, węszący przed nimi Chaber zatrzymał się nagle i warknął cichutko i ostrzegawczo, ale bez niepokoju.

— Tam ktoś jest — wyszeptała Janeczka. — Nieszkodliwy...

Czekali przez chwilę. Nic się nie działo. Węszący Chaber posunął się kilka kroków do przodu. Na palcach poszli za nim.

Kolejne wejście również zawieszono było pstrokatymi paskami, odsuniętymi nieco

na boki, tak że można było zajrzeć do środka. Po słonecznym blasku wewnątrz wydawało się ciemne, ale już po chwili wzrok przyzwyczajał się do mroku.

Na niskim materacu spał jakiś człowiek. Pod ścianą stały nieliczne meble, na środku niski stolicek, a z boku widać było kolejny otwór drzwiowy. Przyglądali się przez chwilę, po czym odsunęli ostrożnie. Janeczka pociągnęła Pawełka za rękaw i wycofali się aż na ulicę.

— O co chodzi? — spytał niezadowolony Pawełek. — Jak będziemy tak włązić i wyłązić...

— Cicho! — syknęła Janeczka. Przykucnęła i zaczęła wybierać spod muru drobne kamyki.

Zaskoczony nieco Pawełek przykucnął obok niej. Nie zdążył już o nic zapytać, bo na ulicze pojawił się jakiś człowiek. Wyszedł z sąsiedniego domu, obojętnie przeszedł obok nich i oddalił się w kierunku stromych schodów. Janeczka patrzyła za nim.

— Źle robimy — szepnęła, kiedy już znikł im z oczu. — Trzeba wysłać Chabra. On mówi, że tam jest więcej ludzi, nie tylko ten śpiący. Ktoś nas w końcu zobaczy.

— No to co? Nie rozpozna. A na Chabra zwrócą uwagę.

— Coś ty? On się schowa...

Chaber, który w momencie pojawienia się obcego człowieka gdzieś znikł, znalazł się teraz nagle obok nich. Janeczka objęła psa za szyję.

— Lampa, piesku. Szukaj lampy. Tam, szukaj lampy.

Wątpliwe jest, czy pies znał znaczenie słowa „lampa”, ale słyszał to słowo wielokrotnie i w jego psiej pamięci trwał straszliwy odór zjełczałego tłuszczu, ściśle z nim związany. Łagodnie uwolnił łeb z ramion Janeczki i znikł w dziedzińcyku. Czekali w napięciu.

— W każdym razie ciszej chodzi niż my — mruknął Pawełek.

Chaber wrócił po kilku chwilach. Trochę był niespokojny, ale równocześnie zadowolony. Zażądał, żeby iść za nim.

— Znalazł! — wykrzyknęła szeptem Janeczka i poderwała się.

— Czekaj! — zatrzymał ją Pawełek. — Niech on tylko pokaże gdzie i potem niech tu pilnuje. Musimy wiedzieć, czy ktoś nie idzie!

— Dobrze. Prowadź, piesku... Ostrożnie.

Znów weszli na dziedzińcyk. Chaber ominął oba wejścia z zasłonami i poprowadził wprost do trzeciego, ostatniego. Zasłona w nim składała się z szerszych pasków, poprzepłatanych koralikami. Oglądał się na boki i wyraźnie pokazywał, że dookoła czuje ludzi, którzy mu się nie bardzo podobają. Janeczka zatrzymała go tuż przed wejściem. — Czekaj, Chaber! Zostań! Pilnuj tu! Delikatnie odsunęli paski i zajrzeli. Pokój urządzony był bogato, na podłodze leżał dywan, pod ścianami stały dwa niskie tapczany i kilka stolików, w kącie połyskiwał ekran wielkiego telewizora. Na prawo znów były drzwi, podsunęli się ku nim na palcach, odsunęli następną koralikową zasłonę.

Okien nie było tam nigdzie, światło wpadało wyłącznie przez owe otwory wejściowe. W tym ostatnim pomieszczeniu oświetlający otwór znajdował się dalej na wprost, wychodził zapewne na jakiś inny dziedziniec, bo padało przezeń słońce. Od razu ujrzeni w kącie za wąską szafką cały stos rozmaitych rzeczy, jakieś magnetofony, radia turystyczne, części samochodowe, narzędzia, turystyczny telewizor, elektryczną maszynkę do kawy, wielką wiertarkę udarową i mnóstwo innych przedmiotów. Poświęcili im zaledwie sekundę uwagi, bo obok tego stosu znajdował się jeszcze jeden niski stolicek, na nim zaś stała ich lampa. Poznali ją od razu.

— Bierzemy i w nogi! — szepnął energicznie Pawełek bez chwili namysłu.

Sięgnął po łup i w sekundę później paski zasłony zamknęły się za nimi. Koraliki

zadźwięczały cichutko. Wymknęli się na dziedzińczyk.

— Chaber, uciekać! — rozkazała Janeczka szeptem.

Chaber był wyraźnie zdenerwowany. Ledwie zdążyli znaleźć się na ulicy, warknął ostrzegawczo. Janeczka natychmiast znów przykucnęła pod murem, Pawełek z lampą w objęciach przykucnął obok niej i przykrył zdobycz szeroką spódnicą matki.

Trzęsącymi się rękami gmerali w kamyczkach i zaschniętych kawałkach gliny.

Chaber znikł tajemniczym sposobem. Dwóch Arabów w europejskich ubraniach i turbanach ukazało się nagle nie wiadomo skąd, przeszło obok nich i wkroczyło do wejścia, które przed chwilą opuścili. Janeczka kątem oka dostrzegła, że obaj przyjrzeni się im dość uważnie, ale nie podejrzliwie.

— Jazda! — syknął Pawełek. — Już nas tu nie ma!

— Chaber...! — krzyknęła szeptem Janeczka, podrywając się spod muru.

Nie wiadomo jakim cudem Chaber był już przed nimi i pędził do schodów. Skręcił na nie bez namysłu.

— Skąd ten pies wie, którędy chcemy uciekać? — sapnął Pawełek. — Czekaj, coś trzeba zrobić. Ludzie są na dole. Nie mogę tego nieść na wierzchu!

Janeczka rozpostarła spódnicę.

— Daj tu, okręcę ją tym...

Zaczęli zbiegać ze schodów jak mogli najszybciej. Owinięta fałdami spódnicy pani Krystyny lampa tłukła Janeczkę po kolanach. Pawełek zbiegł pierwszy, nastawiony na to, że lada chwila siostra runie mu na plecy. Na szczęście schody były puste, nikt, poza nimi, nie wchodził ani nie schodził.

Wyskoczyli na ulicę z takim impetem, że o mało nie wpadli pod przejeżdżający właśnie samochód. Chaber, który znalazł się na dole najwcześniej, pisnął radośnie.

— O rany, matka! — jęknął Pawełek.

— Ja się muszę gdzieś schować! — wysyczała dziko Janeczka. — Nie utrzymam jej dłużej!

— Samochody! Za byle którym samochodem! Polecę kupić torbę i zaraz cię znajdę! Pies niech pilnuje...

Przejeżdżająca razem z panią Ostrowską pani Krystyna zauważyła dwoje arabskich dzieci, które wybiegły na jezdnię i na szczęście zdążyły się cofnąć przed samochodem. Dostrzegła w dzieciach coś, co zwróciło jej uwagę, ale kiedy spojrzała we wsteczne lusterko, już ich nie było widać.

— Odniosłam wrażenie, że ta dziewczynka miała na sobie moją spódnicę — powiedziała z wahaniem.

Pani Ostrowska przyglądała się sklepom i nic nie zauważyła.

— To jest tu! — zawołała. — Zaparkuj gdziekolwiek, to jest ten sklep z wełną. Powinni jeszcze mieć ten zgniły mohair.

Pani Krystyna wcisnęła się pomiędzy dwa samochody i obie poszły kupować wełnę w przepięknym zgniłozielonym kolorze. Wychodząc po dokonaniu zakupu, spotkały w drzwiach znajomą Węgierkę. Węgierka z mężem i córkami mieszkała prawie naprzeciwko państwa Chabrowiczów, w pierwszym domku od strony szosy i jej furtka wychodziła na to samo wąskie przejście.

— Ach! — zwróciła się Węgierka do pani Krystyny. — Do twój dom ja widzieć arabskie dzieci. Oni wychodzili. Jeden chłopiec i jedna dziewczyna. Arabskie. Do twój dom!

Węgierka mówiła po francusku dość niezwykle, ale pani Krystyna wszystko rozumiała. Zaniepokoiła się.

— Arabskie dzieci? Niemożliwe! W naszym domu były moje dzieci i pies!

— Ja nie widzę pies. Arabskie dzieci, dwa, oni wychodzili. Przez drzwi ogródek.

— Co ona mówi? — zainteresowała się pani Ostrowska. — Rozumiem po

francusku piąte przez dziesiąte.

— Mówi, że z naszego domu wychodziły jakieś arabskie dzieci...

— Arabskie dzieci, oni może kraść — powtórzyła ze współczuciem Węgierka. — Ale oni nie mieli nic. Puste ręce. Ale oni wychodzili.

— Jezus Mario, rzeczywiście, może co ukradły! Zaraz wracam do domu! Dziękuję bardzo! Już jadę!

— Jadę z tobą — powiedziała pani Ostrowska. — Zresztą, nic mi innego nie pozostaje, jestem bez samochodu, piechotą przecież nie będę leciała. Odwieszysz mnie potem.

— Oczywiście, ale najpierw zobaczymy, co się tam dzieje...!

Pawełek bez najmniejszego trudu kupił plastikową torbę u ulicznego sprzedawcy siedzącego w kucki obok płachty, na której rozłożone miał rozmaite towary. Symulując mrukliwość i nie odpowiadając na jego gadanie, wziął pierwszą z brzegu, zapłacił dinara i odbiegł. Rozejrzał się, dostrzegł psa, który na niego czekał, i po chwili był przy Janeczce. Ukryci pomiędzy zaparkowanymi samochodami wepchnęli lampę do torby i z ulgą przenieśli się na chodnik. Popatrzyli na siebie.

— O, niech ja kichnę! — powiedział zaniepokojony Pawełek.

Krem Nivea z gorąca zaczął się rozpuszczać. Lśniące warkoczyki Janeczki nabrały szarawego koloru, a odporna na upał henna rozmazała się po całej twarzy. Na głowie Pawełka wymieszane z kremem białko zmiękło i odebrało włosom sztywność. Z czoła spływały tłuste, czarne krople. Przez to wszystko zrobili się ogólnie czarniejsi, ale zaczęli wyglądać nieco dziwnie i jakoś nienaturalnie.

— Jeśli ja mam to samo na twarzy, co ty, to musimy wracać przez pola — stwierdziła smętnie Janeczka. — Nie wiem, jak to zrobimy, żeby się zdążyć umyć przed obiadem.

— Coś się wykombinuje — odparł Pawełek pocieszająco. — Co tam, grunt, że mamy lampę!

Pani Krystyna razem z panią Ostrowską dojechała do domu bardzo szybko. Znalazła klucz do furtki pod kamieniem i obie weszły do wnętrza. Poza osobliwymi czarnymi smugami w łazience nie dostrzegły nigdzie nic podejrzanego i pani Krystyna uspokoiła się całkowicie.

— Musiało jej się tylko wydawać — powiedziała pani Ostrowska. — Albo może kręciły się jakieś dzieci obok, a ona myślała, że wychodziły z waszej furtki.

— Najważniejsze, że wszystko w porządku — odparła pani Krystyna. — Czekać, napijemy się czegoś, a potem cię odwiozę...

Ukryte za murem dzieci kilka minut spędziły na gorączkowej naradzie. Matka była w domu, tak jak wyglądali, nie mogli się jej pokazać. Przemyskanie się ukradkiem do łazienki było ryzykowne. Nie mieli pojęcia, co zrobić.

Na szczęście już wkrótce pani Krystyna ukazała się w furtce razem z panią Ostrowską.

— Niech nie chowa klucza! — szepnął gwałtownie Pawełek. — Niech zostawi otwarte! Mało czasu mamy...!

— Chaber, do mamusi! — zawołała Janeczka.

Pani Krystyna ujrzała nagle obok siebie psa wesoło machającego ogonem i ucieszyła się, że nie musi zamykać. Obie z panią Ostrowską zasiedziały się trochę i teraz śpieszyły się do nieprzytomności. Za pół godziny mężowie już powinni jeść obiad. Zostawiła klucz w furtce, pewna, że zaraz za psem pojawią się dzieci, i pobiegła do samochodu, nie rozglądając się nawet dookoła.

Cały czas do obiadu dzieci spędziły w łazience wśród nadludzkich wysiłków, nie wszystko jednak udało im się osiągnąć. Henna była złośliwa i uparta. Z twarzy, brwi i rzęs zeszała, usunięta mleczkiem kosmetycznym pani Krystyny, co do włosów

natomiast, najpierw nie chciała się na nich trzymać, potem zaś nie chciała ich opuścić. W rezultacie i Janeczka, i Pawełek wyglądali jak mocno przykurzeni. Na głowach pozostała im jakaś podejrzana szarość. Na szczęście okna w salonie były zasłonięte dla ochrony przed słońcem i panował żółtawy półmrok. Odmyte z pasty do zębów sandały schły w ogródku.

Dopiero po obiedzie mogli spokojnie popatrzeć na swoją lampę. Pani Krystyna poszła z wizytą do Węgierki, żeby wyjaśnić sprawę arabskich dzieci.

— Jeden dzień, a już ją zapaskudzili — zauważył z oburzeniem Pawełek i przetarł odblaskowy talerz chustką do nosa.

— Pokaż spód! — zażądała Janeczka. Pawełek uniósł lampę wysoko do góry.

— Bo co?

— Chcę zobaczyć, czy tam czegoś nie zrobili. Rozumiesz, nie zamazali tego jakoś, albo co.

Drapanie pod spodem było wyraźnie widoczne. Porównali je z rysunkiem i uspokoili się. Wszystko było w porządku.

— No to teraz zastanówmy się nad tym jak ludzie — powiedziała Janeczka. — Nie wiem, czy by nie spisać tego, co wiemy, bo robi się jakiś okropny melanz.

— Pewnie że spisać, ale nie wiem, czy by najpierw nie polecieć do kamieniołomu i nie popatrzeć na tę dziurę w dzień.

— Do patrzenia na dziurę musimy się znów przebrać. Jeżeli na nowo się teraz uczernimy, nie domyjemy się nigdy w życiu. Nie, najpierw się zastanówmy.

— Dobra, weź jakiś papier...

— No więc po pierwsze — zaczęła Janeczka, kładąc przed sobą blok papieru listowego. — Złodzieje złodziejami, złodziejstwo to zwyczajna rzecz, ale tu wszystko jest jakieś pokręcone i tajemnicze. Mnie się wydaje, że ta szajka nie tylko kradnie.

— A co jeszcze?

— Nie wiem. Możliwe, że szuka skarbu. Pawełek posepnie pokiwał głową.

— Zgadza się. Jeżeli ktoś z naszych dowiedział się, że tu są skarby, obojętnie gdzie, niemożliwe, żeby ci tutejsi o tym nie wiedzieli. Ja też myślę, że szukają. Musi to być nieźle skomplikowane, skoro nie mogą znaleźć.

— Lampa im była do tego potrzebna. Nie wiem, dlaczego jej sami nie kupili, tylko czekali, aż my kupimy, żeby nam ukraść.

— Mogli nie mieć pieniędzy.

— No coś ty...?

— A przypomnij sobie, że ten kupiec chciał za nią tysiąc dinarów!

— I sprzedał ją za sczoryk?

— Połączył się. A możliwe, że nie wiedział, że ona ma coś wspólnego ze skarbem...

— Czekaj, już wiem! Kupiec nic nie wiedział, a ci, co wiedzieli, nie chcieli się jej czepiać, żeby mu nie podsuwać jakichś podejrzeń. Udawali, że ona ich nie obchodzi i że im wcale na niej nie zależy. Pewnie myśleli, że on obniży cenę i za jakiś czas kupią ją zwyczajnie, przy byle jakiej okazji, albo co. Tymczasem on się skusił na sczoryk i myśmy ją kupili znienacka. Więc czym prędzej musieli nam ją ukraść.

Pawełek kiwał głową, przyświadczając wywodom Janeczki.

— Szajka składa się z paru części — podjął. — Zapisuj. Po pierwsze, ten z krzywym okiem. Jedne konszachty miał na suku w Mahdii, w tej budzie z płacht, drugie w kamieniołomie z tym z szopy, trzecie tam na górze, gdzie była lampa...

— I wszystkie inne kradzione rzeczy — przypomniała Janeczka. — Widziałeś, co tam było? To złodziejski magazyn.

— A pewnie. Możliwe, że o tym powinniśmy jednak powiedzieć ojcu...

— Puknij się...!

— No może nam się uda jakoś dyplomatycznie. Czekaj, po drugie. Ten taki stary w Mahdii, ten, co wyszedł z tej szmacianej budy drugi. Tu go nie widzieliśmy, więc to musi być odrębne odgałęzienie. Po trzecie, ten z kamieniołomu. Handluje z jakimś następnym i sprzedaje podwójnie kradzione rzeczy. Po czwarte, ten dom na górze, ten złodziejski magazyn. Tam to już tłok był niemożliwy, dwóch wchodziło, a jeden spał.

— Nie wiemy, jak wygląda ten, co spał. Może to znajomy...

— Może. Nie szkodzi. Chaber go rozpozna. Po które tam?

— Po piąte.

— Po piąte, sama dziura. Co w niej jest?

— No właśnie — włączyła się z kolei Janeczka. — Coś w niej jest z pewnością. Możliwe, że głębiej, możliwe, że nie można się dostać do tego czegoś, możliwe, że najpierw musieliby odwalić te wielkie kamienie...

— Ejże! — krzyknął Pawełek. — Odwalić kamienie...! Skojarzenie z listem przyszło natychmiast. Tam też była mowa o odwaleniu czegoś z wielkim wysiłkiem. Popatrzyli na siebie i obydwójce poczuli nagły dreszcz wzruszenia.

— Jestem pewien granitowo, że to to! — zawyrokował Pawełek z przejęciem. — Kamień przy tej dziurze trzeba odwalić!

— No dobrze, a co ma do tego lampa?

— Lampa, lampa... Czekaj. Do czego może być lampa? Lampa powinna świecić...

— Wiem! — zawołała gorączkowo Janeczka. — Przypomnij sobie różne rzeczy! Bywa tak, że jak lampa świeci, to w tym świetle coś się pokazuje, rozumiesz, tu światło, a tam cień i jak się jakoś tam świeci, to coś zaczyna wychodzić...

— Bardzo dobrze, tak musi być! Zaświecimy lampę w dziurze!

Janeczka wpatrywała się w blok listowy, intensywnie rozmyślając. Po chwili zażądała pokazania strzępka listu.

— To właściwie jest prawie wszystko — rzekła z namysłem. — Na suku w Mahdii znaleźliśmy lampę, kamieniołom i odwalanie wyszły nam same. Nie wiem jeszcze tylko, co ma do tego Wąwóz Małp...

— W Wąwozie Małp też nam nieźle wyszło — mruknął z niejakim rozgoryczeniem Pawełek.

— I Sougeur. Co ma być w Sougeur?

— No właśnie. Nic nie widzieliśmy.

— Czekaj, może jechaliśmy złą drogą? Pojechaliśmy tam i z powrotem, a jest jeszcze inna droga do Sougeur, pomiędzy Tiaretem a Mahdią. Widziałam drogowskaz.

— W takim razie musimy tam jechać jeszcze raz, tą drugą drogą. To niedaleko, matka da się namówić.

— Trzeba ją także namówić, żeby nam kupiła plastikowe sandały. One są tanie. Nie możemy ciągle malować naszych pastą do zębów, zresztą, te plastikowe wyglądają lepiej. Są prawdziwsze. I musimy kupić buteleczkę tej czarnej henny, ona kosztuje niedrogo. Pięćdziesiąt dinarów nam starczy.

— Już tylko czterdzieści dziewięć, bo dinara wydałem na torbę.

— Oszukał cię ten handlarz. W sklepach torby są po pięćdziesiąt groszy.

— No oszukał, ale co miałem zrobić? Targować się z nim po arabsku?!

— Czekaj, trzeba od razu nalać do lampy czegoś do świecenia. Oliwy chyba. Zróbmy to zaraz, żeby było z głowy.

Oliwy jadalnej pierwszego gatunku było w domu dużo. Zbiorniczek lampy dał się łatwo odkręcić i okazało się, że napełniony jest już w jednej trzeciej. Widocznie złodzieje zamierzali jej używać. Dolali do pełna i zapalili knoty.

Od razu zaczęły się palić równymi, jasnymi płomieniami, o wiele większymi niż

poprzednio. Musiały być jednak porządnie nasiąknięte starym tłuszczem sprzed nie wiadomo ilu lat, bo wciąż wydzielał się z nich intensywny, nieznośny odór. Przyglądali im się bardzo długo przy otwartym oknie.

Zanim pan Chabrowicz wrócił do domu po pracy, zdążyli jeszcze nakłonić panią Krystynę do nabycia sandałów. Przez cały czas pobytu na mieście wszystkie okna były, rzecz oczywista, zamknięte...

* * *

— Czy mogę nieśmiało zapytać, co tu tak upiornie śmierdzi? — odezwał się pan Roman zaraz na początku obiadu. — Czy to jakaś potrawa, która za chwilę pojawi się na stole?

— No właśnie, ja bym też to chciała wiedzieć — odparła zirytowana pani Krystyna. — Wąchałam za oknem, ale nie. To gdzieś w domu.

— No to przecież trzeba to znaleźć! Dzieci, wy nie wiecie przypadkiem, co tak śmierdzi?

Pawełek w trakcie jedzenia jednym okiem gapił się w telewizor. Szła w nim dziwna japońska bajka. Pytanie ojca wpadło mu w ucho.

— Nasza lampa śmierdzi — odparł z roztargnieniem.

— Co...?

— Nasza lampa...

Urwał nagle. Janeczka patrzyła na niego okropnym wzrokiem.. Państwo Chabrowiczowie nie zrozumieli, co słyszą.

— Jak to, wasza lampa...?

Pawełek uprzytomnił sobie, co zrobił. Cofnąć lekkomyślnych słów już się nie dało. Zawadził spojrzeniem o wszystkich po kolei członków swojej rodziny i poczuł w sobie gwałtowną chęć natychmiastowej ucieczki. Wbił rozpaczliwy wzrok w drzwi do przedpokoju.

Janeczka odgadła jego pragnienia.

— Półgłówek — powiedziała gniewnie. — Nigdzie nie pójdziesz. Jak już zacząłeś, to teraz gadaj dalej.

Pawełek chwilowo nie był zdolny do gadania dalej.

— Dzieci, co to ma znaczyć? — spytała śmiertelnie zdumiona i zaniepokojona pani Krystyna. — Jak to, wasza lampa? Jaka lampa?

Janeczka surowo przyjrzała się bratu i zrozumiała, że ciężar wyjaśnień musi wziąć na siebie.

— Nasza lampa, ta, co nam ją ukradli. Mamy ją z powrotem.

— Na litość boską...! — krzyknął groźnie pan Roman.

— Ale nic się w ogóle nie stało i to było najłatwiejsze w świecie. Chaber ją wytropił, zabraliśmy i cześć. Nikt nas nie widział. Chaber był z nami przez cały czas, nie rozmawialiśmy z nikim i nie narażaliśmy się na kompletnie żadne niebezpieczeństwo. Nie ma o czym mówić.

Pan Roman chciał znów krzyknąć, ale zabrakło mu głosu. Pani Krystyna pośpiesznie przełamała swoje zaskoczenie.

— W takim razie musicie nam dokładnie opowiedzieć, jak to się odbyło. Gdzie ja znaleźliście?

— W takim jednym domu...

Pawełka nagle odblokowało.

— W złodziejskiej melinie i mieliśmy zamiar właśnie powiedzieć wam o tym, tylko chcieliśmy to zrobić dyplomatycznie. Tam są wszystkie kradzione rzeczy, te

części Pana Kawalkiewicza też. Z wyjątkiem jednej. Nie ruszaliśmy niczego, zabraliśmy tylko to co nasze, ale jakby kto chciał, to tych złodziei razem z dowodami można wyłapać w dwie godziny.

— To znaczy dowody można połapać, bo złodzieje tam nie siedzą, tylko się rozleźli i trzeba by za nimi pochodzić — dodała Janeczka.

Pan; Roman zdołał nieco ochłonać. Po kilku chwilach przyłączył się do pani Krystyny, która wypytywała o szczegóły. Informacja o złodziejskim magazynie zirytowała go tak, że ostatecznie zrezygnował z gróźb i wyrzutów i prawie pogodził się z działalnością swoich dzieci. Dzieci z naciskiem podkreślały prostotę przedsięwzięcia. Nie zbliżali się do żadnego złodzieja, nie włamywali się nigdzie, nie otwierali nawet żadnych drzwi, lampa stała, można powiedzieć, prawie na otwartej przestrzeni, należała do nich, zabrali ją bez żadnych przeszkód i na tym koniec. Sama im weszła w ręce... Aż do końca kolacji, a także później omawiany był tylko ten jeden temat. Pan Roman uświadomił sobie nagle, że niespodziewanie zaczął uzyskiwać wręcz bez cenne wiadomości, których zmarnowanie byłoby karygodne. Pani Krystyna wpadła w zapał i zażądała rozwinięcia jakiejś energicznej akcji, w której wzięłyby udział nie dzieci i pies, tylko osoby dorosłe.

Zaproszono na naradę pana Kawalkiewicza, stanowiącego całkowite przeciwieństwo swojej żony. Pan Kawalkiewicz był wysoki, chudy, cichy, spokojny i nieśmiały. Powiadomiony o odkryciach, wysunął niepewnie zastrzeżenia.

— Ale ja przecież nie rozpoznam mojej pompy ani mojego reflektora. Wszystkie części samochodowe wyglądają jednakowo. Oni mogą twierdzić, że je od kogoś kupili. I jak im co udowodnić?

— No owszem — przyznał pan Roman. — I tak samo magnetofon czy suszarka, czy cokolwiek innego. Wszyscy wszystkim handlują, a nikt sobie nie zapisywał numerów...

— Trzeba było swoje rzeczy pozaznaczać — wytknął Pawełek. — Wydrapać gdzieś krzyżyk albo co.

— Jakąś liczbę — podsunęła Janeczka.

— Liczbę! — ucieszył się Pawełek. — Liczbę byłoby najlepiej! Od razu powiedzieć, że na ukradzionym było wydrapane czterysta dwadzieścia pięć i już wiadomo!

— Doskonały pomysł! — wykrzyknęła pani Krystyna.

Do furki nagle ktoś załomotał i okazało się, że przyjechali z wizytą państwo Zwijkowie. Pawełek został wysłany po Węgra, męża Węgierki, okradzionego dwa tygodnie temu. Nieco później przyjechał pan Rogaliński z panem Krzakiem. Wszyscy z zapałem wzięli udział w naradzie, nie szczędząc słów uznania odkrywcom złodziejskiej meliny. Janeczka i Pawełek zniemacka zamiast potępienia doczekali się pochwały, na wszelki wypadek jednakże wysuwali na pierwszy plan zasługi Chabra.

Okna były otwarte i nieznośny odór ulotnił się z salonu. Postanowienie wydrapywania na rozmaitych przedmiotach znaków szczególnych zapadło od razu. Pani Zwijkowa przypomniała, że kradną także garderobę, i od razu zaofiarowała się powyszywać różne liczby na co cenniejszych sztukach odzieży. Pani Krystyna również zgłosiła swój udział.

— Niech ktoś pojedzie po Ostrowskich! — zażądała stanowczo. — Ostrowska umie haftować. Trzeba tę akcję znaczenia zacząć od razu i gremialnie, bo nie wiadomo, co złodziejom wpadnie do głowy!

— I umówmy się, kto jaką liczbę sobie obiera — zaproponował pan Zwijek. — Bo jak znam życie, przez idiotyczny przypadek wszyscy będziemy mieli to samo.

Pan Krzak zachichotał nagle.

— A oni nam teraz zrobią głupi dowcip i nie ukradną niczego przez najbliższe trzy

lata. Miałem ogrodzić dom do końca drutem kolczastym i nawet mam drut, ale właśnie nie ogrodzę! Niech kradną!

— To jeszcze wydrap coś na tym drucie, bo na zewnątrz leży...

— Zapisuję! — zawołał pan Roman. — Mówić wszyscy po kolei swój numer...!

— Dobra, to ja chcę siedemdziesiąt siedem! Zapisz mnie i jadę po Ostrowskich...

* * *

Pozbawiona przez wieczorne przyjęcie wszelkich zapasów pani Krystyna zażądała od swoich dzieci pomocy przy zakupach. Z wielką niechęcią Janeczka i Pawełek przełożyli wizytę w kamieniołomie na następny dzień, wymógłszy w zamian na matce wycieczkę do Sougeur i przejazd dwiema różnymi drogami. Niepewna swojej orientacji w terenie i pełna obaw, że zabłądzi, pani Krystyna postanowiła jechać w tamtą stronę tą nieznaną drogą, a wracać znajomą, wprost na Tiaret.

O wpół do trzeciej po południu skręcili w prawo z szosy na Mahdię, zgodnie z mapą i drogowskazem. Droga wiodła po lekko pofałdowanej płaszczyźnie, widoczność była doskonała i już z daleka ujrzeli coś, co ich niezmiernie zaintrygowało. Na suchym stepie pasło się wielkie stado jakichś zwierząt.

— Krowy! — zawołał w pierwszej chwili Pawełek.

— E tam, wcale nie krowy — zaprotestowała Janeczka. — Krowy nie miałyby tu co jeść. To chyba osły.

— Za duże na osły i w ogóle niepodobne — powiedziała pani Krystyna i podjechała bliżej stada. — Ależ dzieci, to wielbłądy!

— Jak to? Wielbłądy?! Zatrzymaj się, popatrzymy!

Pasące się spokojnie w pobliżu szosy stado wielbłądów składało się z dwudziestu dziewięciu sztuk, co starannie policzył Pawełek. Trzydziesty był biały osioł. Nieco dalej, w niższej części terenu, leżała na ziemi wielka kupa jakichś łachmanów, które po obejrzeniu przez lornetkę okazały się jurta nomady. Ukazał się nawet i nomada w długim, niebieskim chałacie i płaskim, białym turbanie.

— Oni tu podobno przypędzają swoje stada w lecie, a potem na zimę odchodzą z nimi na południe — powiedziała pani Krystyna. — To są wielbłądy oswojone. Podobno niektórzy mają stada dochodzące do tysiąca sztuk.

— Ciekawe, co one jedzą — zauważył krytycznie Pawełek. — Chyba glinę. Tu nic nie rośnie.

— Owszem, rośnie — zaprzeczyła Janeczka. — To znaczy rosło, a teraz wyschło jak siano. Oset jest w tym na pewno, a co więcej, to nie wiem.

— Wsiadajcie i jedziemy dalej — powiedziała z lekkim niepokojem pani Krystyna, widząc, jak jeden wielbłąd majestatycznie wędruje prosto ku szosie. — Nie wiadomo, co mu może wpaść do głowy, jeszcze na nas napluje. Podobno wielbłądy plują, jeżeli im się coś nie podoba.

Pawełek nie miałby nic przeciwko temu, żeby zobaczyć plującego wielbłąda, ale Janeczka poparła matkę. Wsiadli i ruszyli w dalszą drogę.

Po kilku zaledwie kilometrach wyłoniła się przed nimi osobliwość geologiczna. Gapili się na nią, podjeżdżając coraz bliżej.

— A cóż to za dziwoląg? — rzekła ze zdziwieniem pani Krystyna, znów zwalniając. — Wygląda jak kopiec Kościuszki. Skąd tu się wzięło coś takiego?

Na prawie zupełnie płaskim terenie wznosiła się ogromna, stroma, samotna góra, odrobinę ciemniejsza bardziej szara niż rozciągające się wokół zielonkawo-beżowe stepy. Droga okrążała ją łagodnym łukiem i góra widoczna była coraz to z innej strony, wciąż w tej samej odległości. W Janeczce ocknęły się nagle jej namiętności

geograficzne.

— To jest góra wulkaniczna — oznajmiła. — Magmowa. Została wypchnięta bardzo dawno temu, jak ta magma jeszcze nie całkiem ostygła i ruszała się różnie. Coś ją pchało z boku, więc wylazła do góry. W takiej magmowej skale mogą być różne rzeczy.

— Jakie rzeczy? — zainteresował się Pawełek.

— Nie pamiętam, ale różne. Pamiętam tylko, że mogą być diamenty.

— Jakie diamenty? Prawdziwe?

— No przecież nie sztuczne! Diamenty siedzą właśnie w niektórych skałach magmowych.

— Skąd to wiesz?

— Przeczytałam w jednej książce z geologii. Taka pojedyncza wypnięta góra, która nie jest wulkanem, bardzo rzadko się zdarza. Można w niej znaleźć wszystko.

Pawełek przyjrzał się górze objechanej już do połowy.

— Spróbujemy do niej podjechać, co? — zaproponował.

— Którędy? — spytała zimno pani Krystyna.

— Nie wiem. Ale może będzie jakaś droga.

— Jeżeli będzie droga, mogę wjechać. Jazdy terenowej na wprost odmawiam stanowczo.

— Może byśmy poszli na piechotę? — podsunęła Janeczka.

— Wykluczone, nie mamy na to czasu. To się tak wydaje, że góra jest blisko, w rzeczywistości odległość do niej wynosi co najmniej dwa kilometry. Mnie też bardzo interesują diamenty, ale na razie musimy z nich zrezygnować.

— Następnym razem przywiozę ze sobą rower! — zapowiedział Pawełek buntowniczo.

— Ciekawe, dlaczego nikt w niej nie grzebie — zastanowiła się Janeczka, spoglądając do tyłu na oddalającą się wreszcie górę.

— Może nie wiedzą, że w takich górach siedzą diamenty...

Byli już blisko Sougeur, kiedy od strony góry dobiegł ich odgłos jakby tłumionego wybuchu, po nim zaś drugi i trzeci. Pani Krystyna wzdrygnęła się lekko.

— Czy jesteś zupełnie pewna, że to nie wulkan...?

— Jakby był wulkan, to by dymiło.

— Zdaje się, że jednak w niej grzebią! — westchnął Pawełek.

— Bardzo jestem zadowolona, że mamy inną drogę i nie musimy wracać tamtędy — powiedziała pani Krystyna. — Proszę, macie Sougeur. Co tu chcecie oglądać?

Jedynym zyskiem z pobytu w upragnionym miasteczku okazało się dwa kilo kurzych wątróbek, które pani Krystyna kupiła bardzo tanio w specjalnym sklepie z drobiem. Dzięki temu zakupowi uznała wycieczkę za nader owocną i użyteczną.

Janeczka i Pawełek dojechali do domu w głębokiej zadumie.

— No? — powiedział Pawełek, myjąc ręce. — Co o tym myślisz?

— No więc właśnie — odparła jego siostra. — Oddaj to mydło. A jeżeli on miał na myśli tę diamentową górę? W niej mogą być najprawdziwsze i najwspanialsze skarby. Tylko wątpię, czy tam wystarczy odwalenie jednego kamienia.

— Z tego, co było słyhać, to tam się odwalił nie jeden...

— Dzieci, kolacja na stole! — zawołała pani Krystyna i odwróciła się do męża. — Tych wątróbek wystarczy mi na trzy dni, w lodówce przetrzymają. I słuchaj, tam coś wybuchło. Słyszeliśmy takie huki akurat w tej górze albo może obok niej. Co to znaczy? Janeczka twierdzi, że to nie może być wulkan.

— Twierdzą to samo — odparł pan Chabrowicz, siadając przy stole. — Chociaż góra jest niewątpliwie pochodzenia wulkanicznego. Ale te huki jej nie dotyczą. Tam zaraz dalej jest czynny kamieniołom i w nim coś wysadzają. Co to jest, to coś?

— Sałatka z rzepy. A góry nie eksploatują?
— O ile wiem, chyba nie. Nic na ten temat nie słyszałem. Słuchaj, to jest świetne! Znakomite!

— Taką sałatkę mogę robić nawet codziennie, jeżeli sobie życzysz. Czy rzeczywiście w takiej górze, jak tamta, mogą być diamenty?

— Mogą. Niekoniecznie muszą, ale nie jest to wykluczone. Mogą się w niej znaleźć rozmaite minerały i kruszce...

Pan Roman wdał się w obszernie wyjaśnienia natury geologicznej. Janeczka i Pawełek słuchali bez słowa, pani Krystyna dziwiła się opuszczeniu góry, która mogła zawierać w sobie nieprzeliczone bogactwa. Pan Roman w końcu wzruszył ramionami.

— Moja droga. Algieria to jest podobno kraj baranów, prawda? A ja na własne oczy widziałem tu baraninę importowaną z Nowej Zelandii. Pieczęć była na mięsie. W kraju, który jest zdolny do czegoś takiego, nic mnie już nie zdziwi. To jest tak, jakbyśmy my importowali węgiel i sól kamienną...

— No i masz! — powiedział z gniewem Pawełek, wychodząc po kolacji do ogródka. — Co teraz? Tu kamieniołom i tam kamieniołom! I co ty na to?

— Nic — odparła Janeczka i zeszła ze schodów. — Najpierw musimy sprawdzić to, co mamy bliżej, a potem zaczniemy się martwić. W każdym razie wiadomo, że tu musi chodzić o kamieniołomy. Chodź, zabierzemy Węgierki i pogramy w piłkę....

* * *

Pani Krystyna oddaliła się z domu zaraz po śniadaniu, z czego jej dzieci skorzystały bez chwili zwłoki. Janeczka zrezygnowała z zakręcania Pawełkowi loków i postanowiła poprzestać na białku, sandałów nie trzeba już było malować, przeistoczyli się zatem w arabskie dzieci w ciągu kwadransa. W pół godziny później byli już w kamieniołomie. Janeczka niosła lampę w wielkiej, plastikowej torbie.

— Do bani taki kraj! — oznajmiła z urazą, złażąc z ostatniego zbocza. — Ona jest ciężka okropnie. Co to za kretyński pomysł, żebym ja ją miała nosić!

— Jak ja będę niósł, od razu podpadniemy — zgromił ją Pawełek. — Nic nie poradzę, żaden chłopak niczego nie niesie. Chyba że leci sam.

— Bardzo dobrze, w takim razie do domu będziemy wracali oddzielnie...

W kamieniołomie wrzała normalna praca. Przy kupach kamieni i żwiru stały ciężarówki, wokół nich siedziało sześć osób. Od czasu do czasu jedna z tych osób podnosiła się, wrzucała na którąś ciężarówkę kamień albo dwie łopaty żwiru i siadała ponownie. Przy szosie i w pobliżu dziury nie było nikogo.

Dziura okazała się głębsza, niż pierwotnie sądzili. Zaraz za ciasnym wejściem rozszerzała się niesymetrycznie na boki, z prawej strony tworzyła dostrzeżony już płytki kąt, bardziej na lewo zaś osiągała przeszło trzy metry, wsuwając w środek góry jakby zwężający się dziób. Wyglądała tak, jakby coś wydłubało ją w litej skale, gdzieśgdzie uzupełniając wielkimi głazami. Z lewej strony odmienny nieco kawał kamienia ścieśniał wejście, tworząc lekko wypukły brzuch. Dno, bardzo nierówne — stanowiło mieszaninę, skały, piasku i żwiru.

— Zostawiwszy na straży psa, Janeczka i Pawełek uroczyście zapalili lampę. Cztery płomyki zamigotały, rozjaśniając wnętrze dziury w stopniu niewielkim, ponieważ konkurencję stanowiło słońce. Nie docierało wprawdzie do prawego kąta i szczeliny za brzuchem, ale świeciło prawie tak samo, jak przez małe okno w mieszkaniu.

— Stań w wejściu i zasłoń trochę — polecił Pawełek. Janeczka cofnęła się do wejścia, rozpościerając jak najszerzej spódnicę pani Krystyny. Pawełek w skupieniu

ogłądał dziurę kawałek po kawałku, przesuając lampę.

— Ty, coś tu widzę! — zawołał po chwili. — Chodź, popatrz!

Janeczka poniechała zaciemniania dziury i wsunęła się głębiej.

— No? Co tam jest?

— Nie jest, tylko było. Zobacz. Coś tu leżało, nie? Odcisnęło się.

— Oddaj mi lampę i zasłoń światło.

W prawym kącie z wąziutkiej szczeliny pomiędzy głazami po odrobinie sypał się piasek. Usłął dno w tym miejscu grubą warstwą. Obniżywszy i przesunąwszy lampę, Janeczka ujrzała w niej ugniecione i odcisnięte jakby półkole. Wezwała psa.

Chaber obwąchał dokładnie tajemniczy ślad i jak po sznurku ruszył wprost do znajomej szopy. Pawełek zatrzymał go.

— Iiiii... — powiedział rozczarowany. — To były te ich pochowane rzeczy. Na co nam to teraz...

— No to przecież od początku mówiłam, że on schował coś w dziurze! — zdenerwowała się Janeczka. — Nie wiem, po co ty to oglądasz? Była mowa o odwalaniu, nie? Masz zobaczyć, który kamień trzeba odwalić!

— Jeżeli coś odwalić, to tylko to! — odparł stanowczo Pawełek i poklepał brzuch. — Można nawet całkiem łatwo. Tu się podetnie co trzeba... O tu. I zrobi się mały wybuch. Nieduży, tyle, żeby się odwaliło, a nie zawaliło całkiem. Reszta się niezłe trzyma...

W tym momencie z góry spadł kamień. Pawełek popatrzył nań, po czym uniósł lampę i zadarł głowę. Dziura w najwyższym miejscu osiągała przeszło trzy metry, może nawet cztery, jeszcze wyżej zaś ciągnęło się jakby wąskie pęknięcie, którego przedtem nie zauważył. Przyjrzał mu się teraz uważnie.

— Nie wiem, czy stamtąd coś nie zleci — dodał trochę niepewnie. — Ale to wszystko skała, najwyżej się ta szpara zejdzie i podeprze wzajemnie. No, nie wiem...

Janeczka była pełna wahania. Jej zdaniem, coś tu nie grało. Lampa nie została wykorzystana i nie spełniła żadnego zadania. Wszystko to samo Pawełek mógł zobaczyć przy świetle latarki elektrycznej. Czyli coś tu było nie tak...

— Przypatrz się jeszcze! — rozkazała. — Lampa powinna coś pokazać, bo inaczej nic się nie zgadza. Ja zasłoń, a ty patrz!

Pawełek z powątpiewaniem spojrział na siostrę i wlaź dalej w głąb dziury. Podnosił i opuszczał lampę, pilnie badając w jej świetle nierówne, kamienne ściany. Wcisnął się w sam koniec dzioba i obejrzał idącą z góry na dół cieniutką, prawie niewidoczną szczelinę. Potem odwrócił się w stronę wejścia i znów uniósł lampę. Już chciał zawiadomić Janeczkę, że nic nie widzi, kiedy nagle coś go tknęło. Zbliżył rękę z lampą do samej ściany.

— Ejże! — zawołał półgłosem, z napięciem. — Chodź no tutaj! Popatrz, bo może mi się wydaje...

Obydwoje przycisnęli się do ściany, gniotąc się w samym końcu dzioba. Pawełek znów uniósł lampę, a potem powoli ją opuścił. Janeczka poczuła na plecach dreszcz emocji.

W świetle przytkniętej do samej ściany lampy istotnie coś się pokazało. Dotykająca wypukłego brzucha skała wyglądała tak, jakby była nań nasunięta. Blask dnia docierał tu w znacznie zmniejszonym stopniu i nierówna, pokruszona krawędź, oświetlona od tyłu czterema płomykami, rzucała cień. Kiedy Pawełek powoli opuszczał lampę, ukazujący się stopniowo cień tworzył kształt wielkiego, trochę przyplaszczonego S...

— Jak to nie jest to, to niech ja pierzem porosnę! — zawyrokował Pawełek, zdmuchnąwszy cztery płomyki i wylazłszy na świat. — Żadnych zakłęb krzyczał nie będę, to za ryzykowne... Przywalone to jest to na siebie na mur, prawie że się zrosło,

ale odwalić można. Nawet wiem jak.

Janeczka była nieopisanie przejęta.

— Czekaj, bo mnie przychodzi do głowy straszne mnóstwo rzeczy. Po pierwsze, chodźmy stąd, bo w końcu zwrócą na nas uwagę. Po drugie, już rozumiem, dlaczego lampa...

— No?

— Chodź, wyjdźmy byle gdzie, to ci pokażę...

Zatrzymawszy się na pustej, wydeptanej wśród nieużytku i prowadzącej ku domowi ścieżce, Janeczka z triumfem zwróciła bratu uwagę na dekorację podstawy lampy. Arabeskowy ornament, oglądany w poprzek, tworzył wijące się dookoła, odrobinę nieregularne S, takie samo jak to, które się pokazało, na kamiennym brzuchu. Pawełek aż poczerwieniał z emocji. Starając się nie przechylać lampy, żeby nie wylać z niej, oliwy, przekrzywił głowę i kontemplował S.

— No proszę! Wcale tego przedtem nie zauważyłem, ale i tak wiedziałem, że to musi być to!

— Czekaj, bo to nie, wszystko. Po trzecie, ja nie wiem... Lampa... Czekaj... ale przecież to samo można było zobaczyć w środku tej dziury z latarką elektryczną, nie? To co to znaczy?

— Wcale nie wiem, czy to samo. Latarką już tam świeciliśmy i nic. A po drugie...

— Nie, po czwarte...

— U mnie po drugie. Niechby nawet ktoś to zobaczył przy latarce, i co? Nic mu do głowy nie przyjdzie. A przy lampie wszystko od razu wiadomo!

Janeczka natychmiast zrozumiała, co jej brat ma na .myśli. Jakim sposobem i z jakiej przyczyny tajemnicze S na kamiennym brzuchu miałyby zmieniać swój charakter i nabierać określonego znaczenia, zależnie od źródła światła, nie potrafiłaby wyjaśnić, niemniej wyraźnie czuła, że Pawełek ma rację. Przy świetle elektrycznej latarki niczego nie dałoby się odgadnąć. Być może jakieś znaczenie miał także dekoracyjny ornament, tworzący ten sam kształt...

— No dobrze, ale po czwarte, gdyby się wiedziało o dziurze, można by świecić byle jaką lampą. A powinno być tak, że dziurę można znaleźć wyłącznie dzięki lampie. Tymczasem znaleźliśmy ją, jak nam lampę ukradli, więc mnie się tu coś nie zgadza.

— Po pierwsze, to nie myśmy znaleźli dziurę, tylko Chaber...

— Ach...! — krzyknęła Janeczka w nagłym olśnieniu.

Milczała przez chwilę, nie odpowiadając na niecierpliwe pytania Pawełka. Wreszcie odetchnęła głęboko. — Już wiem — rzekła z triumfem. — Wyleciało mi z głowy, że to Chaber. Dzięki niemu przedstawiają nam się etapy. Czekaj, bo tego jest bardzo dużo. Po pierwsze...

— Zdaje się, że już miałaś po czwarte czy ileś tam.

— Nie, teraz będzie od początku. Po pierwsze, dziurę znalazł także ten z szopy i zobacz sam, nic mu do głowy nie przyszło.

— Niech wyłusieję, jeżeli nie chowa tam kradzionych rzeczy!

— Pewnie, że chowa. Ale nic więcej. Nie ma lampy, więc nic nie wie. Po drugie, na tej lampie musi być jakiś znak, że trzeba szukać w tym kamieniołomie tutaj, a nie w jakimś innym.

— To podrapane na dnie!

— No właśnie. Po trzecie, wiadomości o skarbie już się rozeszły, musiały się rozejść, o każdym skarbie jest zawsze jakieś gadanie i coś tam wiadomo. To jest na pewno stary skarb.

— Potrzymaj! — przerwał stanowczo Pawełek i wręczył jej lampę. Wygrzebawszy z kieszeni świstek papieru, podjął: — Proszę, zgadza się. Ta osoba wiedziała o

kamieniołomie, ale możliwe, że nie wiedziała, gdzie jest kamieniołom. Może nie była pewna. Mnie się wydaje, że wchodzi jej w paradę ten kamieniołom po drodze do Sougeur i temu komuś kazała sprawdzić... O rany, to już wiadomo, o co chodzi z tym Sougeur! Nie Sougeur, tylko kamieniołom na drodze!

— Toteż właśnie — przyświadczyła z satysfakcją Janeczka. — Jeszcze mogła mu się płatać ta diamentowa góra. Wiedział, że skarby, ale nie wiedział jakie. Sougeur mamy z głowy. A różne dziury są także w Wąwozie Małp i ten jeden kazał temu drugiemu to wszystko posprawdzać. Możliwe, że o lampie w ogóle nic nie wiedział, i możliwe, że myśmy na nią trafili przypadkiem. Może różne osoby ją sprzedawały i kradły, i może było tak, że ciągle jeden miał lampę, ale nie wiedział o skarbie, a drugi wiedział o skarbie, ale nie miał lampy i tak w kółko. A w ogóle my byśmy też nie mieli o tym pojęcia, żeby nie Chaber.

Pawełek wzrokiem nie do opisania popatrzył na kręcącego się i wężącego po ugorze psa. Chaber, jakby wiedział, że o nim mowa, spojrzął ku niemu i zamachał ogonem.

— Po czwarte, to możliwe, że coś się zmieniło — ciągnęła Janeczka. — Tu są trzęsienia ziemi i inne takie. W tych skałach w kamieniołomie mogło się coś przekreślić do góry nogami, jedno się zapadło, a drugie wypchnęło do góry. Mogła tam być jaskinia i wejście, ale dawno temu zawaliło się, zasypało i wejścia nie ma. Możliwe, że kiedyś tam kamień się otwierał, ale teraz już nie i trzeba go odwalić...

Pawełek kiwał głową, przytakując rozważaniom siostry. Skarby Sezamu pchały się same natrętnym skojarzeniem. Kiedyś, dawno temu, kunsztownie skonstruowane wejścia otwierały się na odpowiednie zaklęcie. Obecnie czasy się zmieniły, przywalone kamieniami konstrukcje zniszczyły się i zardzewiały, zresztą, kto dzisiaj wierzy w zaklęcia... Poza tym technika poszła ostro do przodu. Jasną jest rzeczą, że obecnie zagradzający wejście kamień należy zwyczajnie wysadzić w powietrze, posługując się materiałem wybuchowym, niedostępnym takiemu na przykład Ali Babie...

Konieczność zastosowania nowoczesnych, zgodnych z duchem czasu metod wydawała im się tak naturalna i normalna, że nawet nie musieli o tym dyskutować. Rzecz rozumiała się sama przez się.

— Na wszelki wypadek musimy pilnować, żeby nikt nie przeczytał tego wydrapanego na spodzie — powiedziała Janeczka, chowając lampę do torby i podnosząc — Zabierz to, możesz iść oddzielnie. I zastanów się poważnie nad tym wybuchem...

* * *

Początek drogi do Mostaganem pani Krystyna oceniła jako nowy rodzaj zakrętów. Istotnie, były mniej ściśnięte, miały jakby więcej rozmachu i stwarzały cudownie piękne widoki, ale za to nie ustawały ani na chwilę. Dopiero po czterdziestu kilometrach droga zaczęła być zwyczajną, krętą drogą. Dogonili na niej długi sznur samochodów, wśród których było kilka taksówek i dwa autobusy. Cała kawalkada hałasowała przeraźliwie, samochody ryczały klaksonami, a pasażerowie w autobusach trąbili na trąbkach i kwiczeli na jakichś piszczałkach. Pan Roman rozpoczął manewr wyprzedzania i również nacisnął klakson.

— Czy oni poszaleli, a ty się zaraziliś? — spytała pani Krystyna ze zdziwieniem.

— Nie — odparł pan Roman. — To jest arabskie wesele. Tu jest taki zwyczaj, wesele musi jechać z możliwie największym hałasem.

— A ty po co trąbisz?

— Z grzeczności. Skoro już się wpycham pomiędzy nich, niech im przynajmniej okażą uszanowanie.

Pawełek odniósł się do tych weselnych pomysłów z wielkim uznaniem i pożałował, że sam nie dysponuje żadnym instrumentem. W pobliżu Relizane spotkali jeszcze jedno wesele, które jechało w przeciwną stronę.

— Najwięcej wesel odbywa się właśnie, zaraz po zakończeniu Ramadanu — poinformował pan Roman, — Ramadan skończył się przedwczoraj, więc sami widzicie.

Przez Mostaganem, które okazało się wielkim i pięknym miastem, przejechali bez zatrzymania i skręcili w prawo, żeby gdzieś tam dalej zjechać na plażę. Daleko przed nimi był pan Krzak, za nimi pan Ostrowski i pan Kawalkiewicz. Wszyscy jechali nad morze.

Przez półtora tygodnia nie wiało już sirocco i pogoda była przepiękna. Morze Śródziemne miało przejrzystość szkła. Dzika plaża zaludniona była bardzo miernie, prawie wyłącznie przez znajome osoby.

— Musisz koniecznie zaprosić Monikę! — powiedziała pani Krystyna, padając na fotel z dmuchanego materaca, ulokowany w cieniu wielkiego, plażowego parasola. — Wydziwiała nad listą mienia. Dopiero tutaj widać, że to nie są żadne wygłupy, niech przyjedzie i sama zobaczy. Tylko zaproś ją w okresie letnim, tak jak teraz. I zaproponuj jej, żeby tu posiedziała bez parasola.

— Można niby zrobić sobie daszek na przykład z prześcieradła na jakichś patykach — odparł pan Roman i rozłożył turystyczne krzesło. — Jedną stronę przyczepić chociażby do samochodu. Ale to nie to samo, parasol jest wyższy i lepiej ocienia. Czekaj, spróbuję zakopać arbuza w piasku i zobaczymy, co z tego wyniknie.

— Tylko zakop głęboko. Czy naszym dzieciom to słońce nie zaszkodzi?

Pan Roman z saperką w dłoni popatrzył w kierunku morza.

— Są tak czarni, że już im nic nie powinno zaszkodzić...

— Dziwi mnie, że im włosy nie zjaśniały. Jakieś takie inne mają niż zazwyczaj. Jakby szarawe. Może to kurz? Ale przecież myją głowy, sama widziałam...

Z morza wylał pan Krzak, a plażą podeszli państwo Zwijkowie. Czym prędzej zanurzyli się w cień parasola.

— Cały Tiaret na plaży, a złodzieje tam mają używanie — powiedział smętnie pan Zwijek, rozkładając krzesła sobie i żonie. — Zdaje się, że nikt nie został.

— Andrzej Łopatko został — powiedział pan Krzak. — Miał pilnować, ale powiedzieliśmy mu, żeby się za bardzo nie starał. Niech kradną, pojutrze się ze śmiechu nie pozbierają. Wszystko poznaczone. Co ty robisz?

— Zakopuję arbuza.

— Człowieku, rozgrzewki potrzebujesz?! Za zimno ci?!

— On się nam ugotuje w tym słońcu...

— W takim razie zjedźmy go od razu, póki jeszcze jest chłodny — powiedziała stanowczo pani Krystyna. — Krzak ma rację, w tych warunkach nie pracują nawet plemiona z Afryki Równikowej...!

Janeczka i Pawełek pod parasolem siedzieli wyłącznie w czasie jedzenia. Poza tym na zmianę, to przebywali w wodzie, to łazili po plaży. Wszędzie leżały w piasku prześliczne muszle, wielkie jak pół dłoni, brązowo-białe, wzorzyste, niektóre z oryginalnymi kolcami. Były także gładkie, z różowym i fioletowym wnętrzem. Po południu zbiór nie mieścił się już w torbie na zakupy.

Do domu wyruszyli trochę wcześniej niż inni, pani Krystyna bowiem chciała zrobić zakupy. Wielka hala targowa w Mostaganem wypełniona była głównie rybami. Całkowicie nieznane gatunki leżały w stosach na ladzie, niektóre w całości, inne wypatroszone i podzielone na kawałki. Janeczka i Pawełek z zachwytem odnieśli się

do propozycji nabycia rekina. Mieli nadzieję, że będzie to cały rekin, ostatecznie może niewielkich rozmiarów, i rozczarowali się, widząc po prostu ogromne kawały mięsa, krojone nożem i rąbane tasakiem. Pocieszyło ich zapewnienie, że mięso pochodzi z rekina bardzo dużego. Kupili jeszcze jakieś inne ryby, niewielkie, z bardzo wylupiastymi oczami, o których pan Roman wiedział, że są wyjątkowo smaczne i mało ościste. Z wielkim trudem wyciągnął w końcu swoją żonę z precudownej hali.

Dojeżdżając znów do Relizane, natknęli się na jadący z przeciwka samochód znajomej marki. Dwa polskie fiaty zamrugwały do siebie światłami i zwolniły.

— Sęczykowscy! — zawołał pan Roman i zahamował.

— Sęczykowscy tutaj! — wykrzyknęła pani Krystyna. — Coś podobnego!

— Jak to, nie mówiłem ci? Od dwóch lat siedzą w Oranie!

— Hej, jak się macie? Cześć, Krystyna! — zawołał pan Sęczykowski.

Państwo Sęczykowscy, starzy znajomi państwa Chabrowiczów, wracali właśnie do domu z wizyty w El Asnam. Zaprośili ich do siebie na cały weekend, obiecując pokazać pani Krystynie ekskluzywny ośrodek wczasowy w Andaluzach. Państwo Chabrowiczowie z radością przyjęli zaproszenie i dwa fiaty rozjechały się w dwóch przeciwnych kierunkach.

W domu wszystko znaleźli w porządku. Nikt się nie włamał, nikt niczego nie ukradł. Pawełek był trochę niezadowolony.

— I na co to było skrobać na wszystkim te iks siedem? Cała robota zmarnowana! Oni chyba o tym wiedzą i już nigdy nic nie ukradną!

— Byłoby to szczęście bez granic — rzekł stanowczo pan Roman. — Wcale nam nie zależy na zwycięskiej wojnie, tylko na zachowaniu mienia. Znacznie bezpieczniejsze.

— E tam! Wszystkie nasze odkrycia na nic! Do bani...

Janeczka przywołała brata do porządku.

— Puknij się, przecież nie przyjechaliśmy tutaj łapać złodziei! Zdaje się, że masz dosyć roboty i bez nich, nie? Miałeś się zastanowić, jak odwalić kamień!

— Wielkie mi co — mruknął Pawełek, ale zaniechał narzekań.

Zaraz nazajutrz zasadził Janeczkę do roboty. W samo południe można było tylko siedzieć z mokrym gałganem na plecach, Janeczka zatem nie protestowała. Posłusznie przystąpiła razem z bratem do zeskrobywania łepków z zapalek.

— I na co to ma być? — spytała podejrzliwie, napoczynając drugie pudełko.

— Na lont — wyjaśnił z wyższością Pawełek. — Potrzeba nam dużo, bo muszę zrobić próby. Jeszcze nie wiem, jaka długość będzie odpowiednia. Musimy zdążyć uciec na bezpieczną odległość.

— A jeszcze mówiłeś, że rozwalisz tę pułapkę w Wąwozie Małp.

— Toteż tym bardziej. Warto by się dowiedzieć, czy już jej kto nie załatwił. ..

— Nie wiem jak. To znaczy, nie wiem kiedy. W przyszłym tygodniu mamy jechać do Oranu.

— Coś trzeba wykombinować, żeby tam pojechać, bo powiem ci, że mnie głupio. I jeszcze trzeba mieć trochę czasu na te sztuki z rozwalaniem. Zostawić tego na zawsze nie możemy, bo to by było świństwo.

Przez chwilę, nic nie mówiąc, pracowicie zeskrobywali łepki.

— Ja bym zrobiła tak — odezwała się Janeczka po namyśle. — Nawet i bez wybuchu, żeby nie było dużego hałasu. Parę siatek bym wzięła albo toreb, albo czegoś takiego. Włożyłabym do tego kamienie, po jednym, i ostrożnie, albo nie po jednym dużym, tylko dużo małych i te kamienie w torbach położyłabym na kupie zamiast tych luzem. Do toreb trzeba przywiązać długie sznurki. Wyszląbym i pociągnęła za sznurki i wtedy te kamienie w torbach by zlazły. A resztę załatwiłby

sam pień. Nawet gdyby porządnie gruchnęło, to zawsze byłoby ciszej niż wybuch.

Pawełek ze zmarszczoną brwią oceniał pomysł siostry.

— Można i tak, dlaczego nie? Tylko na to potrzebne jest o wiele więcej czasu. Wybuch, to podłożyć, podpalić i w nogi, a tu by się trzeba kotłować z pół godziny. Nie wiem, czy nas tam zostawią na tak długo.

— To przygotować sobie i jedno, i drugie, a potem zrobić to, na co będziemy mieli czas. Jakoś się do tego Wąwozu Małp dostaniemy. W ostateczności uprzemy się, żeby pojechać tak sobie.

— Okropnie wielka ta Algieria! — mruknął Pawełek z lekką urazą.

— Dużo jeszcze? — spytała trochę niecierpliwie Janeczka, przegarniając oskrobaną zapalką proszek w połówce mydelniczki.

Pawełek zajrzał do mydelniczki i również przegarnął proszek.

— Na próbę może wystarczy. Czekać, zrobię lont i zamoczę, a ty skrob dalej.

Niszcząc kolejne pudełko zapalek, Janeczka z zaciekawieniem przyglądała się bratu. Pawełek nalał do mydelniczki odrobinę wody i wymieszał zawiesinę. Następnie odciął od kłębka pani Krystyny nieco więcej niż dwa metry włóczki, złożył ją na pół, skrzył porządnie, znów złożył na pół i puścił jeden koniec. Sznurek skrzył się sam. Pawełek przyjrzał mu się i zawahał.

— Cienki trochę. No nic, w razie czego się pogrubi...

— Dlaczego dołałeś do tego wody? — spytała Janeczka nieufnie. — Przecież ma się palić. Woda się będzie paliła?

— Już ja wiem, co robię. Będzie się paliło, jak wyschnie.

Wymieszał proszek z wodą jeszcze raz i ostrożnie zaczął w nim zanurzać skrecony sznurek. Sznurek nasiąknął błyskawicznie, ale pokruszone łepki od zapalek nie chciały się do niego przyczepiać. Pawełek zafrasował się nieco.

— Niedobrze...

Podrapał się po głowie, zastanowił i poszedł do kuchni po łyżeczkę.

— Wynieś śmieci — powiedziała kończąca obiad pani Krystyna.

— Teraz zaraz? — oburzył się Pawełek.

— Teraz zaraz. Jest pełno, a muszę gdzieś postawić drugą torbę.

Pawełek westchnął ciężko, zabrał z kąta wielką, plastikową czarną torbę ze śmieciami i wyniósł ją pod latarnię przy ulicy. Wzdłuż pobocza, pod wszystkimi niemal latarniami stały już takie same czarne torby, po które o rozmaitych porach przyjeżdżali śmieciarze. Część z nich była poprzewracana i rozgrzebana.

Pawełek wrócił bardzo szybko.

— Hej, tu przyszedł osioł! — zawołał, wpadając do domu. — Stoi przed naszą furtką. Dajmy mu coś!

Janeczka zerwała się natychmiast.

— Gdzie osioł? Chcę zobaczyć!

W wąskim przejściu między ogrodzeniami istotnie stał osioł. Wyglądał bardzo sympatycznie, ale wydawał się smętny i zrezygnowany. Janeczka biegiem wpadła do kuchni.

— Dajmy mu coś do zjedzenia! Co on jada? Jest nieszkodliwy, Chaber nic nie mówi!

— Możecie wziąć stare bagietki, leżą na dole w kredensie — pozwoliła pani Krystyna. — Tylko nie dotykajcie go przypadkiem i uważajcie, żeby was nie ugryzł.

— E tam, ugryzł! — prychnął Pawełek wybiegając.

Osiół sięgnął pyskiem do bagietki bez chwili wahania, ale też bez pośpiechu i z wielką godnością. Pogryzł stare pieczywo zdumiewająco szybko i z taką samą godnością sięgnął po następny kawałek. Nie ruszał się z miejsca i zjadał stare bagietki tak, jakby poczęstunek akurat w tym miejscu uważał za rzecz słuszną i naturalną,

której właśnie oczekiwał. Chaber siedział tuż obok i przyglądał mu się, przekrzywiając łeb.

— Bardzo mi przykro, nie mamy więcej — powiedziała Janeczka, kiedy cały zapas starych bagietek został wyczerpany.

Osiół nie raczył nawet zastrzyc uszami. Stał jak przedtem i obojętnym wzrokiem patrzył na furtkę pana Kawalkiewicza. Wydawał się bardzo czysty i Janeczka miała wielką ochotę go poklepać.

— No, w każdym razie miał jakąś odmianę po tych wszystkich ostach — powiedział pocieszająco Pawełek. — Jeżeli przyjdzie jutro, damy mu dzisiejsze bagietki.

— Może mu dać jeszcze skórki od arbuza?

— Skórki od arbuza właśnie wyniosłem w śmieciach. Jak będzie miał rozum w głowie, pójdzie sobie i znajdzie.

Osiół, jakby zrozumiał rozmowę, ruszył nagle i wolnym, dostojnym krokiem podążył w kierunku ulicy. Przed furtką Węgrów zatrzymał się na chwilę, zastanowił się i poszedł dalej.

Chaber podniósł się i powęszył w przeciwnym kierunku, Janeczka obejrzała się. — O, krowa! Przeszli do końca wąskiej uliczki między domami i wśród wspaniale wybudowanych ostów ujrzeli krowy i trzy kozy. Lazły wolno, pasąc się po drodze. Za nimi pojawiło się dwóch arabskich wyrostków, z których jeden miał bat, był więc zapewne pastuchem. Obaj z wielkim zajęciem przyglądali się pani Krystynie, widocznej w oknie kuchni, z drugiej strony domku.

— Dwóch pastuchów do jednej krowy na krzyż — powiedział Pawełek wzgardliwie. — A tam dwudziestu dziewięciu wielbłądów pilnował jeden nomada!

— Jeden pastuch — skorygowała Janeczka. — Ten drugi lezie z nim do towarzystwa. Może i dobrze ojciec zrobił, że ogrodził, bo jestem pewna, że wleźliby nam do ogródka.

— Panu Więckowskiemu krowy zeżarły całe nagietki i bluszcz. On ma akurat taki sam kawałek bez ogrodzenia, jak my.

Przyglądali się jeszcze przez chwilę, ale morderczy upał wypędził ich z tego wąskiego przejścia bez przewiewu. Wydawało się, że tu, pomiędzy murami ogrodzeń, jest goręcej niż gdzie indziej. W domu było chłodniej, termowentylator w salonie rozpylał wodną mgiełkę. Pani Krystyna znajdowała się w łazience, Pawełek zatem bez przeszkód wyciągnął z szuflady łyżeczkę.

— Zeskrobuj, potrzeba jeszcze najmarniej drugie tyle — polecił Janeczce, po czym łyżeczką zaczął rozgniatać wymieszany z wodą proszek. — Za grube to jest. Zeskrobuj jakoś drobniej,

Janeczka przyglądała się jego wysiłkom.

— Na misce i tłuczkiem do kartofli — poradziła.

— Nie pójde po miskę, bo matka zaraz każe nakrywać do stołu. Chcę, żeby mi to zaczęło schnąć. Zresztą nie potrzeba, gniecie się całkiem nieźle.

W ugniecionej i rozdrobnionej zawieszynie znów zanurzył swój sznurek. Drobiny łąpków zapalczanych przyczepiły się do niego gęściej i porządniej. Z wielką starannością Pawełek moczył sznurek w mydelniczce partiami, nasuwając nań proszek i ostrożnie wyciągając część już spreparowaną. Zamoczył w końcu całe pół metra i stał, trzymając go za końce.

— No i co teraz? — powiedział z niesmakiem. — Muszę go gdzieś położyć do wysuszenia. Co to za okna takie, kompletnie bez żadnych parapetów!

— Na schodach — zaproponowała Janeczka.

— Jeszcze czego! Żeby ojciec zobaczył? Od razu by wiedział, co to jest!

— To na ziemi, zwyczajnie. Na końcu ogródka, pod siatką. Tam teraz świeci

słońce, a ojciec nie będzie latał po ogródku, bo ma mało czasu.

— Dobra, to otwórz mi drzwi.

— Dzieci, nakryjcie do stołu! — zawołała z kuchni pani Krystyna.

— Za chwilę! — odkrzyknęła Janeczka z przedpokoju. — Zaraz idziemy.

Pawełek pieczołowicie ułożył wyprostowany sznurek na wysuszonej glinie.

Przyglądał mu się przez chwilę, po czym przeniósł go na ostatnią z płyt chodnikowych, z których ułożone było przejście przez ogródek. Rozejrzał się po skąpej trawie i nielicznych kępkach kwitnącej portulaki.

— Zasłoniłbym to czymś — mruknął. — Czekaj, postawimy tu któreś krzesło.

— Ale turystyczne, bo zwyczajne będą potrzebne do obiadu.

— To leć do tego stołu, a ja tu ustawię..:

Pan Chabrowicz na stojące w ogródku krzesło nie zwrócił najmniejszej uwagi. Zaraz po obiedzie odjechał znowu do pracy. Pani Krystyna zażądała pomocy przy zmywaniu, bo woda miała słabe ciśnienie i gaz się nie zapalał.

— Ja będę zmywała, a wy mi będziecie polewać z czajnika. Zmywanie w zimnej wodzie to do niczego. I na wszelki wypadek napuście na zapas do tej plastikowej wanienki.

— Może i do bidonów? — zaproponował Pawełek.

— Do bidonów nie, bo i tak się pojedzie dzisiaj do źródelka po wodę do picia.

Natychmiast po zakończeniu zmywania woda zaczęła lecieć lepiej i gaz się zapalił. Pani Krystyna włączyła pralkę, po czym zajęła się panią Zwijkową i panią Ostrowską, które przyjechały z wizytą. Pawełek poszedł pomacać sznurek.

— Wygląda jak suchy, ale niech jeszcze poleży dla pewności. Próbę zrobimy w ogródku pana Kawałekiewicza. Ogródka to on wcale nie ma, a za to te kamienie, co tam leżą, są doskonałe. Chociaż nie, lepiej na ziemi. Ziemia u niego jest też doskonała, ubita i nic nie rośnie.

— Dużo tego jeszcze? — spytała cierpko Janeczka, wciąż zajęta zeszkrobaniem zapalczanych łepków.

Pawełek przesypał suchy proszek z drugiej połowy mydelniczki do tej pierwszej, w której większość wody zdążyła już wyparować i wymieszał wszystko łyżeczką.

— No, może na razie wystarczy. Zobaczymy po próbie...

Ogródek pana Kawałekiewicza, składający się z płaskich kamieni i ubitej gliny, ogrodzony był murem od ich strony i od strony wąskiego przejścia. Brakowało mu całkowicie ogrodzenia od strony ulicy. Pawełek zatroskał się tym nieco, od strony ulicy mógł ich ktoś zobaczyć. Przeniósł sznurek na upatrzone miejsce i wyszedł rozejrzeć się po okolicy.

Wszędzie panował święty spokój. Kooperanci byli w pracy, Węgierka ze swoimi córkami gdzieś pojechała, na jezdni, za ich samochodem, stał tylko samochód pani Zwijkowej. Krowy razem z pastuchami już się oddaliły, nikt się nigdzie w pobliżu nie kręcił i dopiero na samym końcu ulicy widać było troje arabskich dzieci, zajętych rozgrzebywaniem torby ze śmieciami. Pawełek ocenił, że zanim przez wszystkie kolejne torby dotrą pod ich dom, minie bardzo dużo czasu, i wrócił uspokojony.

Janeczka czekała przy sznurku cierpliwie, ogromnie zainteresowana.

— Ty patrz na zegarek — rozkazał brat. — Na sekundnik. Krzyknę „już” i potem znów krzyknę „już”. Bardzo ważne jest, ile sekund to będzie trwało.

Uroczyście zapalił zapalnik i przytknął ją do końca sznurka.

— Już! — krzyknął głosem zduszonym z przejęcia. Koniec sznurka prysnął, zapalił się i wesoły płomyk jął biec po loncie, niezbyt szybko, trochę nierówno, to zwalniając i zatrzymując się, to błyskając mocniej i zagarniając coraz to nowe drobiny zapalczanych łepków.

— Cudo! — zachwycił się uszczęśliwiony Pawełek. Janeczka, po spojrzeniu na

zegarek i zapamiętaniu położenia wszystkich wskazówek, nie odrywała już oczu od palącego się sznurka. Była również zachwycona. Spalona część zwęglała się w grudki. W chwilach, kiedy płomyk zatrzymywał się i palił w miejscu, ściągał resztę sznurka ku sobie. Nie zapalona jeszcze część kurczyła się i pełzła ku niemu. Oczarowany swoim lontem Pawełek nie zwrócił na to uwagi.

— Świetnie idzie! — zawyrokował radośnie. — Akurat tak, jak trzeba! Ile już czasu?

Janeczka spojrzała na zegarek.

— Dwadzieścia sekund.

— Bardzo dobrze! Było pół metra. To już chyba połowa...

Sznurek dopalił się do końca i zgasł, buchając na pożegnanie mocniejszym płomyczkiem.

— Razem równo czterdzieści sekund — zakomunikowała Janeczka, niezmiernie przejęta.

— Pierwszorędnie! — ucieszył się Pawełek. — Pół metra, czterdzieści sekund, znaczy metr, osiemdziesiąt sekund. Minuta i dwadzieścia sekund, wystarczy. Przez minutę i dwadzieścia sekund można zalecieć Bóg wie gdzie!

— Może lepiej spróbujmy gdzie — poradziła Janeczka przezornie.

— Myślisz? Możemy zrobić próbę. Chodź, będziesz patrzyła na zegarek, a ja będę leciał. Krzykniesz „już”, a potem znów krzykniesz „już”, jak minie minuta i dwadzieścia sekund.

Nie bacząc w zapale na morderczy upał, Pawełek ustawił się do startu obok samochodu ojca. Janeczka odczekała, aż sekundowa wskazówka dojdzie do dwunastki.

— Już! — wrzasnęła przeraźliwie.

Pawełek runął przed siebie jak oszalały. Do końca prostego odcinka ulicy było nie więcej niż dwieście metrów. Osiągnął ten koniec po dwudziestu ośmiu sekundach, kiedy Janeczka była jeszcze daleka od wydawania następnych okrzyków. Zatrzymał się, zziąjany i spocony, bo przed nim był zakręt, który skryłby go przed oczami siostry, i obejrzał się w obawie, że może nie dosłyszał sygnału. Arabskie dzieci wystraszyły się i śmiertelnie, poderwały znad torby ze śmieciami i uciekły.

Janeczka rękami czyniła gesty wzywające do powrotu.

— Leciałeś do końca dwadzieścia osiem sekund — oznajmiła, kiedy brat dotarł do niej dość wolnym krokiem. — Mogłeś przelecieć jeszcze dwa razy tyle. Teraz ja.

Biegając w tempie dość umiarkowanym, osiągnęła zakręt po trzydziestu pięciu sekundach. Wróciła jeszcze wolniej niż Pawełek.

— Myśmy chyba zgłupieli — powiedziała z najgłębszym niesmakiem. — Nie wiem, po co latamy w tym nieziemskim upale. Tak, jakby nie było wiadomo, ile można przelecieć przez dwadzieścia sekund...

Pawełek jakby nagle otrzeźwiał i spojrzał na nią z oburzeniem.

— W jedenaście sekund robi się stumetrówkę, a rekord jest poniżej dziesięciu. Wszyscy to wiedzą. Sama wymyśliłaś, żeby latać!

— Toteż właśnie, chyba dostałam pomieszania zmysłów z gorąca. Ty też rychło sobie przypomniałeś o tym rekordzie! Czy ty chcesz robić wybuch w dzień?!

— Coś ty? Tylko w nocy!

— Całe szczęście.— W nocy jest odrobinę chłodniej...

— W ogóle ani w nocy, ani w dzień nie musimy tyle latać. Robię metr sznurka, możemy uciekać spacerem. Niech on już będzie gotowy, a potem zajmę się materiałem wybuchowym. Proszę, jaka ta bawełna jest doskonała, mówiłem, że tylko czysta bawełna!

Na wszelki wypadek doskrobali jeszcze łepki z dwóch pudełek zapalek, nie

zwracając uwagi na dobór produktu. Zapałki pochodziły z różnych zakupów i niektóre miały łepki czarne, a niektóre czerwone. Wymieszali je razem, rozdzielając na dwie połówki mydelniczki i Pawełek do jednej z nich dołał odrobinę wody. Z kłębka pani Krystyny odciął starannie odmierzone cztery i pół metra włóczki, złożył na pół i przyczepiwszy do klamki, zaczął skręcać. Janeczka sięgnęła po kłębek.

— Bawełna... akryliczna... błyszcząca... — przeczytała, obracając go.

Pawełek powstrzymał skręcanie sznurka.

— Co? — spytał zaskoczony.

— Bawełna akryliczna błyszcząca — powtórzyła Janeczka. — Tak tu jest napisane.

— Niemożliwe! Jak to, akryliczna... To ma być czysta bawełna!

— No zobacz sam. Cotton acrylique brillant. Bawełna akryliczna błyszcząca. Na czystej bawełnie jest napisane pure cotton, widziałam na własne oczy na mojej piżamie.

Stropiony, zaskoczony i niemal obrażony Pawełek przytrzymał łokciem skręcany sznurek i wyjął jej kłębek z rąk. Mamrocząc przeczytał napis i zawahał się na moment.

— No to widocznie bawełna akryliczna jest jeszcze lepsza niż czysta — zawyrokował stanowczo, odkładając kłębek i znów przystępując do skręcania. — Czy błyszcząca, czy nie, to już wszystko jedno. Nadaje się jak rzadko i żadnych grymasów nie będę stroił. Która godzina? Czy to zdąży wyschnąć, zanim ojciec wróci?

— Na słońcu wyschnie za pół godziny. I już wiem, gdzie trzeba położyć.

— No?

— Na wierzchu muru. Na ogrodzeniu. Na tym kawałku między nami a panem Kawalkiewiczem. Nikt nawet nie spojrzy w tamtą stronę, a zresztą jest i tak za wysoko, żeby zobaczyć wierzch.

— Bomba! A słońce na to świeci jak dzikie od początku do końca! Tylko muszę na czymś stanąć, żeby porządnie rozprostować.

— Na krześle?

— Nie, krzesło jest do bani, za niskie. Rękami sięgnę, ale oczami nie zobaczę... Już wiem! Na bidonie. Jak wytrzyma pięćdziesiąt litrów wody, to wytrzyma i mnie.

Pani Krystyna razem z panią Zwijkową i panią Ostrowską piła kawę w salonie i nie zwróciła żadnej uwagi na wynoszenie z łazienki ogromnych, plastikowych bań na wodę. Z jedną Pawełek miał niejakie trudności, wołał bowiem nie ryzykować opróżnienia jej i razem z naczyniem dygował przeszło dziesięć litrów wody. Za to bidon był bardziej stabilny. Już po paru minutach porządnie wyprostowany sznurek znalazł się na murze ogrodzenia pomiędzy dwoma domkami. Bidony wróciły do łazienki.

— Teraz zrobimy próbę z materiałem wybuchowym — zarządził Pawełek, uporawszy się z lontem. — Ty stań w drzwiach i patrz, co one tam robią, bo muszę wziąć parę rzeczy z kuchni. Jak znam życie, tak matka wejdzie akurat, jak będę brał, i od razu zgadnie, że albo jestem ranny, albo mam co najmniej cholere.

— Bo co to jest, to coś, co musisz brać?

— Węgiel drzewny i nadmanganian potasu. Jedno na brzuch, a drugie na odkażanie. Zresztą, cukier też podejrzany, bo niby na co mi cukier? Jeść go będę czy jak?

— To czekaj, niech popatrzę.

Pani Krystyna zdecydowała się właśnie podać do kawy wino z wodą mineralną i weszła do kuchni. Zastąpiła swoje dzieci nad miską brzoskwiń. Zaczynały je powoli i z niezwykłą starannością obierać ze skórki. Nie zwróciła na nie uwagi, bardzo zajęta rozmową z goszczącymi paniami, ponieważ omawiana była akurat nad wyraz

interesująca sprawa skór zamszowych, które można było dostać u hurtownika w Algierze. Po chwili znów weszła do kuchni po lód z lodówki. Dzieci cierpliwie i coraz wolniej obierały brzoskwinie. Pani Krystyna zabrała lód i usiadła na fotelu. Janeczka z połowicznie obranym owocem stanęła w drzwiach pomiędzy kuchnią i salonem.

Ledwo Pawełek zdążył otworzyć górne drzwiczki kredensu, pani Krystyna znów się podniosła. Janeczka uczyniła krok do tyłu i Pawełek w mgnieniu oka znalazł się przy stole. Pani Krystyna zapaliła gaz pod czajnikiem, po czym wróciła do salonu. Janeczka stanęła w drzwiach, Pawełek otworzył drzwiczki kredensu. Pani Krystyna zerwała się, Janeczka cofnęła się gwałtownie, Pawełek puknął drzwiczkami kredensu i chwycił następną brzoskwinie. Pani Krystyna jednakże nie udała się do kuchni, tylko do sypialni, skąd natychmiast wróciła, przynosząc skórzany pasek. Pasek posłużył jako materiał porównawczy. Pani Zwijkowa i pani Ostrowska oglądały go, twierdząc, że jest trochę bardziej czerwony, skóry natomiast prawie takie same, tylko nieco bardziej rude. Pani Krystyna stała przed drzwiami kuchni, spoglądając na czajnik. Zdenerwowany Pawełek pożarł brzoskwinie razem ze skórą.

— To jest po prostu nieodpowiednia chwila — orzekła półgłosem Janeczka, kiedy pani Krystyna kolejny raz wyszła z kuchni z trzema następnymi filiżankami kawy. — Zwyczajny pech. Dajmy temu spokój, weźmiesz wszystko kiedy indziej. Albo możemy im powiedzieć, że pozmywamy po kolacji.

— Już bym wolał to mieć z głowy, bo może trzeba będzie zrobić parę prób. Ale nie mogę znaleźć tego węgla...

Pani Krystyna stała w progu, a Pawełek pośpiesznie pożerał brzoskwinie z miski i gapił się na gąszcz ostów za oknem. Przecknął się nagle.

— No? — spytał z ożywieniem. — Może teraz...?

— Teraz to one właśnie wychodzą...

Pani Krystyna odprowadziła wychodzące panie do furtki. Pawełek przez ten czas odsypał sobie trzy łyżeczki cukru do plastikowej torebki i znalazł opakowanie, w którym ocalały tylko trzy tabletki węgla. Zapasowych opakowań znaleźć nie zdążył, bo pani Krystyna wróciła.

— Dzieci, muszę wykończyć pranie — powiedziała z lekkim roztargnieniem. — Pomożecie mi wieszać. I przelejcie gdzieś wodę z dużego bidonu, pojedziecie później z ojcem po wodę do źródła.

— Z tego wszystkiego mamy jedną korzyść — oznajmiła Janeczka, kiedy po rozwieszeniu prania w ogródku pani Krystyna rozpoczęła w kuchni przygotowania do kolacji, jej dzieci zaś wyszły na ulicę wyglądać ojca.

— Jaką? — zainteresował się Pawełek.

— Nie słuchałeś wcale, co one mówiły. A ja słuchałam. Matka będzie chciała pojechać do hurtownika od skór w Algierze w jakiś dzień powszedni, a nie w święto.

— To co nam z tego przyjdzie?

— W powszedni dzień podobno ma do Algieru pojechać pan Krzak, służbowo. A pan Krzak zawsze jeździ przez Medeę, bo ma tam jakieś interesy. Tak one mówiły.

Pawełek natychmiast docenił wagę informacji.

— A wraca jak? Też przez Medeę?

— Też.

— Rany, to dla nas jedyna szansa! Trzeba ich namówić, żeby nas też zabrali.

— I jeszcze gorzej, trzeba ich namówić, żeby nas zostawili w Wąwozie Małym i zabrali dopiero, jak będą wracać.

— Pan Krzak dałby się namówić! — westchnął Pawełek i kopnął kawałek wysuszonej baraniej kości. — On jest równy facet i wszyscy tu mówią, że ma głupie pomysły. Ale nie wiem, jak matka.

— Spróbujemy być potwornie rozsądni i uczepimy się małp.
— Zeszłym razem wcale nie było małp, zauważyłaś? Gdzieś się pochowały.
— Pochowały się, bo było trzęsienie ziemi. Ale nie musi przecież być trzęsienia ziemi za każdym razem, kiedy jedziemy do Wąwozu Małp, nie?
— Pewnie, że nie. Zresztą, w razie czego Chaber powie, czy będzie.

Myszkujący po obu stronach jezdni Chaber nagle podniósł uszy, spojrzął w dal i dopadł ich w radosnych podskokach.

— Ojciec jedzie — powiedział Pawełek. — Skąd on to wie, jak pragnę kichnąć, przecież jeszcze nawet samochodu nie słyhać. A w dodatku to jest samochód pana Kawalkiewicza!

Pan Roman, który rzeczywiście nadjechał w chwilę potem, od razu zawiadomił panią Krystynę, że po kolacji idą z wizytą. Są zaproszeni do pana Rogalińskiego na urodziny. Pani Krystyna ucieszyła się z tego bardzo, ponieważ obok pana Rogalińskiego mieszkał pan Krzak, na którego, zgodnie z przewidywaniami Janeczki, miała zakusy. Urodziny miały być uroczyste i bardzo huczne.

Było już prawie ciemno, kiedy pan Kawalkiewicz wyszedł ze swojego domku. Był również zaproszony na urodziny pana Rogalińskiego, ale po powrocie z pracy zaczął pisać bardzo ważny list do żony i nie zauważył upływu czasu. Zastanawiał się teraz, czy jechać od razu na tę uroczystość, czy też wstąpić przedtem do mieszkającego na końcu osiedla pana Więckiego, od którego chciał pożyczyć dętkę. W zadumie zapalił papierosa, pomyślał, że pewnie pan Więcki już tam jest, na tych urodzinach, i zdecydował się jechać. Machnął niedbale zapaloną zapalką i odrzucił ją gdzieś w bok.

Zapalka wcale nie zgasła. Paląc się pięknym łukiem poleciała w prawo i upadła akurat na wierzch muru dzielącego domek pana Kawalkiewicza od domku państwa Chabrowiczów. Pan Kawalkiewicz uczynił ledwo dwa kroki, kiedy na murze zapłonął nagle wesoły ogienek, rozdzielił się na dwa ogienki i oba jęły wędrować w dwie przeciwne strony, oddalając się od siebie. W ciemnościach były doskonale widoczne i pan Kawalkiewicz osłupiał.

Przestał bez najmniejszego poruszenia całe czterdzieści sekund, aż oba ogienki zgasły, wpatrując się w nie ze śmiertelnym zdumieniem. Zjawisko było tak niezwykle, że w ogóle nie mógł go pojąć i całą drogę do pana Rogalińskiego usiłował odgadnąć, co też to mogło być. Był jednakże człowiekiem nieśmiałym i raczej zamkniętym w sobie i dlatego nikomu o owej osobliwości nie powiedział ani słowa...

Pawełek utłukł porządnie młotkiem na desce pół łyżeczki cukru, rozgniół i rozproszkował jedną tabletkę węgla, wymieszał to razem, dodał odrobinę nadmanganianu potasu i po namyśle dosypał trochę łepków zapalczanych z suchej mydelniczki. Mieszaninę upchnął w rozek plastikowej torebki, zawiązał nitką i odciął niepotrzebną część plastiku. Następnie z wielką uwagą wymieszał drugą porcję, podwójną, upchnął ją w drugi róg torebki i również zawiązał. Przyglądał się temu przez chwilę, spojrzął w okno i nagle podskoczył na krześle.

— Ale kretyn ze mnie! — wykrzyknął z gniewem.

— Co się stało? — zaniepokoiła się Janeczka.

— Oboje chyba zgłupieliśmy. Jak ja teraz zdejmę ten lont, kiedy w bidonach jest sto litrów wody? Na co mam wejść? A nie ma wielkiej nadziei, żeby jutro było dużo mniej, to niby co? Mam wlec pod parkan sto kilo ciężaru?!

Janeczka przez chwilę milczała.

— A kiedy to nam będzie potrzebne? Bo może by poleżało przez parę dni, aż się tę wodę zużyje?

— No coś ty?! Po pierwsze, ile mamy czekać z tym wybuchem? A po drugie, jak znów będzie wiatr? Już nie mówię, że nam zwieje, ale zakurzy tak, że nie będzie

chciało się palić. Trzeba zdjąć!

— A jak zdejmiesz, to co z tym zrobisz? Gdzie schowasz?

— Byle gdzie. Chociażby pod łóżko.

— Mamusia codziennie sprząta.

— No więc gdzie indziej. Najpierw niech ja wiem, jak to zdejmę, potem się będę zastanawiał, gdzie schować. I trzeba zdjąć teraz, póki nikogo nie ma!

Janeczka znów przez chwilę milczała.

— Głupi jesteś, możesz wejść na byle co, ostatecznie na krzesło. Nie potrzebujesz na to patrzeć, wystarczy, że sięgniesz rękami. Zdejmij zaraz, a ja się zastanowię, gdzie schować.

Pawełek chwycił wyściełane gąbką krzesło i wybiegł z domu. Janeczka zapaliła lampę nad drzwiami i w ogródku zrobiło się widno. Pawełek ustawił krzesło możliwie równo, wypróbował i wlaż na nie. Uginało się pod nogami, ale tkwiło pod murem prosto i solidnie. Janeczka patrzyła na brata, stojąc na schodkach i przebiegając myślą całe wnętrze domku w poszukiwaniu kryjówki dla lontu.

Pawełek sterczał na krześle, macając rękami po murze.

— Ty! — syknął niespokojnie. — Tego tu nie ma!

— Jak to nie ma?

— No nie ma! Jak Boga kocham. Nie ma!

— Może spadło? Czekaj, pójde zobaczyć od strony pana Kawalkiewicza.

Furtka nie była zamknięta. Janeczka wybiegła szybko, okrążyła ogrodzenie i wpadła do ogródka pana Kawalkiewicza. Lontu nie było nigdzie.

— Nie ma — oznajmiła, wracając do brata. — Nic z tego nie rozumiem. Ktoś nam to ukradł?

— Trzeba spojrzeć wyżej, bo coś tu czuję pod palcami — odparł ponuro Pawełek.

— Nie ma siły, muszę na coś wleźć.

Przelewanie wody z jednego bidonu do wszystkich naczyń, jakie znaleźli w domu, do garnków, szklanek, butelek po wodzie mineralnej, do salatek i nawet talerzy, trwało potwornie długo. W końcu w bidonie zostało już tylko tyle, że Pawełek, acz z wysiłkiem, mógł go unieść i dowlec pod ogrodzenie.

— Nic nie rozumiem — oznajmił, w skupieniu badając powierzchnię muru. — Wygląda, jakby się spalił. Popatrz i ty, bo może ja mam zaćmienia.

Zamieniwszy się z bratem, Janeczka pilnie obejrzała długi rząd zwęglonych grudek, trochę już porozrzucanych poprzednim macaniem Pawełka.

— Wygląda tak samo, jak to spalone na ziemi — oceniła. — Chyba on się rzeczywiście spalił. Jakim sposobem?

Pawełek znów wlaż na bidon. Zmartwieni, niespokojni i zdenerwowani, doszli po długim namyśle do przekonania, iż zawiniło słońce. Widocznie pod wpływem strasznego żaru lont sam się zapalił. Innego wytłumaczenia nie było.

— Trzeba to posprzątać — rzekła stanowczo Janeczka. — Czekaj, przyniosę ci szczotkę i pozamiatasz ten wierzch.

— Po co?

— Nie wiem. Na wszelki wypadek. Lepiej, żeby nie było żadnego śladu.

Usunąwszy z pedantyczną dokładnością wszystkie czarne drobiny, Pawełek przytaszczył bidon z powrotem do łazienki i przystąpił do wlewania doń całej wody ze wszystkich naczyń.

— No tak, to teraz znów nie mamy lontu — powiedział z irytacją. — Same przeszkody. Już całkiem przestaję się dziwić, że tamten ktoś nie wy dostał skarbu. W dodatku, zdaje się, że tego węgla będzie za mało, nawet gdybym zużył wszystek, a trzeba trochę zostawić, żeby się nie połapali.

— To co będzie?

— Nic, zrobię węgiel. Wiem jak. I nie ma siły, muszę zrobić nowy lont, ale naprawdę nie wiem, gdzie go położyć do wysuszenia!

— Czy to znaczy, że znów trzeba będzie skrobać zapałki? — spytała sucho Janeczka, podając mu następny talerz.

— A jak? Tych resztek zostało tyle co kot napłakał. Westchnąwszy ciężko, Janeczka zaczęła mu podawać butelki.

— Do wysuszenia wiem, gdzie położyć — rzekła po chwili. — Też na murze, to znaczy niezupełnie na murze, tylko na siatce. Na tamtym kawałku, który ojciec grodził. Ta siatka ma u góry takie wystające kawałki, takie końce, związane na słupy, one sterczą jak widelki i lont może na tym poleżeć.

— I znów się zapali!

— Nie, będziemy pilnować. Jak tylko wyschnie, zabierze się go stamtąd. A tam jest niżej i można dosięgnąć z ziemi, więc w ogóle będzie łatwiej.

— A potem co?

— A potem nie wiem. W nocy mógłby leżeć pod łóżkiem, bo w nocy mamusia nie sprząta, ale zaraz po śniadaniu trzeba bo wynieść gdzie indziej. W dzień może leżeć w ogródku, pod murem, w cieniu.

— Gdzie ty masz cień po śniadaniu?!

— O Boże drogi... No rzeczywiście, nie ma. Dopiero wieczorem robi się z tamtej strony. No nie wiem... To okropnie trudny kraj, ta Arabia!

— No więc musimy to po prostu porządnie zorganizować — zdecydował Pawełek i obejrzał się. — Jest tam jeszcze jakaś woda? Bo tu już prawie pełno.

— Nie, już koniec. Trzeba pochować te wszystkie naczynia. Jak zorganizować?

— Z sensem. Zrobić lont zaraz po obiedzie, wysuszyć na siatce, zabrać do domu i tej samej nocy zrobić wybuch. Żeby to nie leżało. Znaczący, wszystko jednym ciągiem.

— Czyli musimy sobie wybrać odpowiednią noc?

— A co tu wybierać, każda odpowiednia.

— Wcale nie. Nie możemy wybierać takiej, kiedy na drugi dzień gdzieś się jedzie, bo będziemy okropnie niewyspani. I przyjęcia są bardzo niedobre, wszyscy wracają do domu Bóg wie kiedy. I w ogóle uważam, że najpierw trzeba załatwić Wąwóz Małp.

— Bo co?

— Bo mieliśmy być bardzo rozsądni. Nie wiadomo, co będzie, jak rozwalimy dziurę. Na wszelki wypadek Wąwóz Małp powinien być pierwszy.

— Może i masz rację. No dobra, ale próbę wybuchu musimy zrobić... I nie wiadomo, kiedy pan Krzak będzie jechał!

Pan Krzak, jak się nazajutrz okazało, nie znał terminu swojej służbowej podróży, przewidywał jednak, że nie będzie to wcześniej niż w przyszłym tygodniu. Chętnie zgodził się na zabranie ze sobą pani Krystyny i sam zaproponował, żeby dzieci pojechały również. Dzieci z miejsca zgłosiły propozycję pozostawienia ich w Wąwozie Małp.

W pierwszej chwili pani Krystyna zaprotestowała z wielką energią, ale zaraz zaczęła się wahać. Argument, że przecież zostali już w tym wąwozie i to w czasie trzęsienia ziemi, i nic się nie stało, dotarł do niej i pogłębił wahanie. Stało wreszcie na tym, że pozostaną w Wąwozie Małp na te cztery godziny, jeżeli pan Krzak się zgodzi.

— Sprawę mamy jak w banku, bo on się podobno zgadza na wszystkie takie hopki — rzekł Pawełek, wlokąc się wolno po zarośniętym ostami torze kolejowym.

— Trzeba się będzie odpowiednio przygotować. Możliwe, że załatwimy sprawę tymi torbami i wyciąganiem za sznurki.

— Tam jest drzewo — zauważyła Janeczka, wskazując brodą drzewo rosnące przy

torze. — Zróbmy próbę blisko drzewa, żeby mieć cień.

— Może być blisko drzewa, dlaczego nie...

Nie używany tor kolejowy stanowił idealne miejsce dla przeprowadzenia próby działania materiałów wybuchowych. Wczesnym popołudniem nie było tu żywego ducha. Oba osiedla, ich i to drugie, po przeciwnej stronie toru, zostały już za nimi co najmniej o ćwierć kilometra. Od szosy przegradzało lekkie wzniesienie, zasłaniające widok. Nieużytki dookoła były suche jak pieprz i zaśmiecone tysiącem najrozmaitszych rzeczy. Jedno jedyne drzewo, stare i rozgałęzione, robiło wrażenie błogosławionej oazy wśród niemiłosiernego żaru.

Pawełek złożył pod drzewem przyniesione przedmioty i odliczył jeszcze wzdłuż toru dwadzieścia kroków. Mniejszy rożek z piorunującą mieszaniną obłożył małymi kamykami i podsunął pod spód koniec bardzo krótkiego lontu. Dwadzieścia centymetrów lontu, który powinien płonąć nie krócej niż piętnaście sekund, wystarczało najzupełniej, żeby przebiec te dwadzieścia kroków i oglądać wybuch z cienia pod drzewem. Wiatr wiał w sposób zdecydowany i dostosowanie się do jego kierunku nie przedstawiało trudności.

Siedząca pod drzewem Janeczka na wszelki wypadek przywołała do siebie Chabra i objęła go za szyję. Pawełek zapalił zapałkę, która zgasła natychmiast. Zapalił zatem trzy razem, chwilę osłaniał je dłonią, przytknął do lontu, po czym poderwał się i popędził do siostry.

Obydwoje czekali chwilę w napięciu, wpatrzni w wesoły płomyk. Wiatr dmuchnął w płomyk i popchnął go w kierunku plastikowego rożka. Plastikowy rożek zareagował niezbyt efektownie. Pyknęło lekko, błysnęło odrobinę i zgasło. Kamyki dookoła pozostały prawie nie naruszone.

— Marnie — skrzywił się Pawełek. — Za małe to było. Czekać, wypróbujemy drugie, to jest dwa razy większe.

— Mnie się wydaje, że nic by się nie stało, nawet gdybyśmy to mieli pod nogami — stwierdziła nieco rozczarowana Janeczka.

— No pewnie, że nic. Ale na wszelki wypadek ostrożność trzeba zachować. Zobaczmy teraz...

Drugi lont był nieco dłuższy, miał 25 centymetrów. Ulokowawszy większy rożek w tym samym miejscu co poprzedni, Pawełek ułożył dookoła cztery kamienie i piątą na wierzchu. Od razu zapalił trzy zapałki i w pięć sekund później znalazł się obok siostry.

Wiatr zrobił to samo co poprzednio. Tym razem huknęło lekko, błysnęło troszeczkę mocniej i pięć kamieni rozsypało się we wszystkie strony.

— Doskonale! — ucieszył się Pawełek. — Znaczący, do tamtego kamienia to musi być tak ze sto razy większe. Znaczący, choćbym pękł, tego węgla mi nie starczy. Musimy szukać drewna na opał.

Janeczka popatrzyła na drzewo, pod którym siedzieli. Było zielone, świeże i nie miało ani jednej, najmniejszej bodaj, suchej gałązeczki. Westchnęła ciężko.

— Nigdzie tu nie widziałam żadnego drewna na opał. Ale coś rośnie tam dalej, na lewo.

— Gdzie dalej, na lewo?

— Jak od nas się jedzie do miasta, to skręca się w prawo. Na lewo nie ma ulicy, tylko jakaś taka dziwna droga. Tam rośnie coś takiego, co wygląda jak suche drzewa.

— Bardzo dobrze, pójdziemy tam jeszcze dzisiaj. Trochę mało czasu mamy, bo ta produkcja węgla musi potrwać. I jeszcze nie wiem, jak to zrobić, żeby nikt tego nie zobaczył...

Pan Kawalkiewicz, wróciwszy do domu po pracy, przypomniał sobie o intrygującym zjawisku z poprzedniego wieczora. Podeszedł do ogrodzenia i wspiał się

na palce, ale nic mu z tego nie przyszło, ponieważ ogrodzenie miało wysokość dwa metry i dziesięć centymetrów. Pomyślał chwilę, wrócił do domku i po chwili wyszedł z krzesłem. Wszedł na nie i obejrzał wierzch muru. Ujrzał na nim coś w rodzaju poprzerywanych kawałków ciemnej smugi i nic więcej.

Równocześnie ujrzał go od strony ulicy Węgier, mąż Węgierki, który właśnie w tej samej chwili przyjechał i wysiadł z samochodu. Zatrzymał się, z ciekawością popatrzył na tył pana Kawałekiewicza zagląającego do ogródka państwa Chabrowiczów i poszedł do domu.

* * *

Upał wzmógł się, niebo zaczęło się robić pomarańczowe i nadeszło sirocco.

— Bardzo się cieszę, że Sęczykowscy zaprosili nas do Oranu — powiedziała pani Krystyna. — Z dwojga złego wolę już chyba sirocco nad morzem niż sirocco w głębi lądu.

— Nad morzem będzie nieprzyjemnie — ostrzegł pan Roman. — Ale może zdołamy się wykapać, zobaczymy. Kawałekiewicz mówi, że nigdzie nie jedzie, zostawię mu nasze klucze i będzie się tu kręcił, żeby się wydawało, że jesteśmy w domu. Dzięki temu może nas jednak nie okradną.

— Nie chcę wymówić w złą godzinę, ale jakoś ostatnio nie słychać o kradzieżach?

— Bywa tak, że długo jest spokój ...

— Lampę zabieramy — powiedziała Janeczka do Pawełka. — Mogą nie kraść niczego, ale na nią czatują, tego jestem pewna. Żadnego zostawiania!

— Włóż ją do jakiejś torby, schowam rano w samochodzie...

Droga wydawała się mniej piękna, bo tumany pyłu zasłaniały pejzaż i niweczyły piękne widoki. W Oranie znaleźli się wczesnym popołudniem i objechali całe miasto, robiąc zakupy. Zgodnie z panującymi zwyczajami pani Krystyna miała zaopatrzyć dom państwa Sęczykowskich w produkty spożywcze na jutrzejszy obiad.

— Ależ ten Oran jest piękny! — wykrzyknęła zaskoczona. — Dlaczego Camus napisał, że jest brzydki? Oczu ten człowiek nie miał, czy co?

— Dziwię się właśnie od pierwszej chwili, kiedy to wszystko zobaczyłem — odparł pan Roman. — Może ta dżuma wszystko mu obrzydziła. Albo może był brzydki kiedyś, a przez ostatnie pięćdziesiąt lat wypiękniał.

— Nonsens, malowniczość nie wylęgła mu się w ostatnim czasie!

Państwo Sęczykowscy mieszkali w śródmieściu, w wielkiej i bardzo eleganckiej kamienicy. Mieli cztery ogromne pokoje i łazienkę, w której ludowy zespół mógłby tańczyć mazura. Pani Krystyna prawie pozazdrościła im nowoczesnego, służbowego umeblowania.

Zaraz po obiedzie wszyscy razem pojechali oglądać Andaluzy, wytworny kurort nad morzem. Janeczka i Pawełek obojętnie potraktowali cudownie piękne domki letniskowe, restauracje, kawiarnie, szatnie i pawiloniki handlowe, z uznaniem, ale krótko popatrzyli na kępy kaktusów, palm i jakichś niezwykłych, kolorowych kwiatów. Interesowała ich głównie kąpiel w morzu.

Morze jednak, zgodnie z przewidywaniami pana Romana, zniechęcało do kąpieli. Było wzburzone, co jeszcze nie przeszkadzałoby zbyt, ale każda fala niosła ze sobą zawieszinę, która czyniła wodę mętą. Na wysychającej skórze pozostawał brudny pył. Wiatr podnosił tumany piasku i sypał nim w oczy. Dzień nadawał się raczej do zwiedzania i oglądania różnych osobliwości, a nie do pobytu na plaży. Niemniej było tu znacznie chłodniej niż w Tiarecie i nikt nie żałował przyjazdu.

— Jutro pojedziemy na górę do twierdzy i zobaczycie Oran z lotu ptaka — obiecał

pan Sęczykowski. — Sama droga zresztą też jest warta obejrzenia. A dzisiaj możemy trochę pojeździć po okolicy.

— Tylko nie za długo, bo ja muszę zrobić kolację ekstra super — powiedziała pani Sęczykowska i zachichotała.

Pani Sęczykowska była nieduża, okrągłutka i tłuściutka. Chichotała co chwila, ze wszystkiego była zawsze zadowolona i budziła powszechną sympatię.

— Pomogę ci — zaofiarowała się pani Krystyna. — Chociaż nie wiem, po co ci kolacja ekstra super. Dla nas?

— Wcale nie tylko dla was, niech ci nie przyjdzie do głowy mieć wyrzuty sumienia. Będziemy mieli jeszcze gości. Arab, ale bardzo niezwykły i zupełnie zeuropeizowany. Bardzo go lubię. Nie będziesz mi pomagała, prawie wszystko mam już przygotowane i dam sobie radę, a ty połataj po mieście. Tu można kupić bardzo piękne rzeczy, a wszystkie sklepy są otwarte.

Pan Chabrowicz wydał z siebie cichy jęk, a pani Sęczykowska znów zachichotała.

— Oj, przecież nie mówię, że ona musi zaraz kupować te najdroższe rzeczy! Tańsze też są ładne!

— Cóż by to była za przyjemność, zrujnować męża! — wykrzyknęła z ożywieniem pani Krystyna. — Można sobie o tym poczytać w staroświeckich romansach,

w naturze coś takiego już się nie zdarza. Ale chętnie obejrzę sobie przynajmniej możliwości.

Sklepy istotnie okazały się bardzo interesujące. Przy jednym z nich zastała Janeczka. W otwartych drzwiach wisiało poncho dla dziewczynki w cudownym, szaro-niebieskim kolorze z czerwonymi ozdobami. Pani Krystyna obejrzała je dokładnie i nakłoniła córkę do ruszenia się z miejsca uwagą, że poncho jest nieco szorstkie i gryzie, i obietnicą zrobienia jej identycznego z miękkiej wełny. Zaraz o dwa sklepy dalej kupiła odpowiednią wełnę, co wypadło pięć razy taniej. Pawełka absolutnie zafascynowała jakieś dziwne bębny, piszczałki i inne instrumenty muzyczne, przeznaczone najwyraźniej do robienia przeraźliwego hałasu, po czym obydwójce ugrzęźli na mur przed wystawą, na której znajdowały się rzeczy już zupełnie niezwykłe. Muszle, skorupiaki i jakieś dziwne, rozczłonkowane kamienie, wyglądające, jakby były zrobione z mnóstwa płatków. Państwo Chabrowiczowie, dostrzegłszy nagle brak dzieci, wrócili po nie.

— To są róże pustynne — powiedział pan Sęczykowski. — Mam taką jedną, sam ją znalazłem na pustyni.

— Naprawdę można coś takiego samemu znaleźć? — zainteresowała się zachłannie Janeczka.

— Oczywiście, że można, ale trzeba w tym celu jechać na prawdziwą pustynię. To jest piasek. Wiatr go ubija w taki kształt. Podobno róża pustynna włożona do wody rozpuszcza się i zamienia w warstwę piasku. Nie wiem, co się z nią potem dzieje, więc wolałem nie robić eksperymentów.

Janeczka i Pawełek wymienili błyskawicznie spojrzenia. Już wiedzieli, że tej pustyni nie przepuszczą. W chwilę potem pani Krystyna prawie straciła przytomność w sklepie, który był czymś w rodzaju algierskiej Cepelii. Całą ladę zajmowała srebrna, kabylska biżuteria.

— Nie domagam się zaraz naszyjnika — powiedziała do męża. — Ale ranne pantofle złotem haftowane musisz mi kupić! Inaczej stąd nie wyjdę.

— Co to za szczęście, że ja nie mam jeszcze żadnych oszczędności! — westchnął w popłochu pan Roman. — Poszłyby wszystkie do ostatniego grosza!

— Nic straconego, przyjedziemy tu jeszcze raz, jak już będziesz miał oszczędności...

— Wracając do sprawy — powiedział pan Sęczykowski, kiedy już wszyscy razem wyszli ze sklepu. — Ten Hakim jest chyba czymś w rodzaju dyrektora departamentu w tutejszym MSW. Nie mogę się połapać w ich układach służbowych, ale mam wrażenie, że podlega mu cała policja.

— Hakim to imię czy nazwisko? — spytała pani Krystyna.

— Imię, na nazwisko ma Khedar. Hakim Khedar. A równocześnie robi takie wrażenie, jakby się zajmował drobnymi szczegółami, można powiedzieć, że jest za pan brat z każdym policjantem na rogu ulicy...

— W tym nie widzę nic nadzwyczajnego — przerwał pan Roman. — Ostatniego dnia Ramadanu dyrektor mojej firmy spędził cały dzień siedząc na progu i gawędząc z cieciami.

Janeczka i Pawełek zaczęli się uważniej przysłuchiwać rozmowie dorosłych.

— No owszem, dziwne są trochę te ich wzajemne stosunki — przyznał pan Sęczykowski. — W każdym razie facet jest wszechstronnie wykształcony, poliglota, nieprzeciętnie bystry...

— Skąd go znasz?

— Poznałem go we Francji cztery lata temu. Da się lubić, jest bardzo uczynny, pomógł już paru osobom przy załatwianiu kontraktów i jakoś przyłgnął do nas. Mieszka w Algierze, ale czasem tu przyjeżdża i wtedy się zawsze widzimy.

— Chętnie go poznam — powiedział pan Roman. — Chcę zobaczyć rzetelnie wykształconego Araba. Mój szef, który studiował w Paryżu, do tej pory, nie może zrozumieć, po co projektantowi jest potrzebna lokalizacja szczegółowa. Rogaliński się upierał, więc szef, żeby się odczepić, namazał mu flamastrem byle jakie miejsce na mapie terenu. Rogaliński się rozzłościł, zrobił projekt dokładnie w tym samym miejscu i potem okazało się, że wszedł akurat w połowę istniejącego obiektu przemysłowego.

— Zgadza się, mnie dali badania gruntu, dotyczące skalistego pagórka, a w terenie okazało się, że tam płynie oued w szczerzej glinie, skały i pagórka natomiast nie ma ani śladu.

— Opowiadacie straszne rzeczy — stwierdziła pani Krystyna. — Czy oni wszyscy popełniają takie dziwactwa?

— Wszyscy co do jednego — zapewnił pan Sęczykowski. — Dlatego właśnie potrzebni im są kooperanci. Ale to jest kwestia mentalności, charakteru. Arabowie lekceważą sobie wszystko, z wyjątkiem handlu. Żadnej innej pracy nie traktują poważnie. Dla nich w ogóle handel to jedyne zajęcie, które nie przynosi wstydu, to nawet nie praca, to przyjemność. I mają do tego talent.

— Słusznie — przyznała pani Krystyna. — Przypomnijcie sobie baśnie z tysiąca i jednej nocy. Tam właściwie nie ma prawie mowy o żadnej innej pracy, żadnym innym zawodzie, jak tylko o kupiectwie. Dopiero teraz to dostrzegam. Kupić towary, sprzedać i tak się wzbogacić, handel, handel i jeszcze raz handel.

— Można i tak, czemu nie — rzekł pan Roman. — Oni sobie będą handlować, a do zawodów technicznych wynajmą specjalistów. Tym bardziej chciałbym poznać Araba, który myśli europejskimi kategoriami.

— Toteż właśnie dzisiaj go poznasz.

Arabski gość państwa Sęczykowskich przyszedł punktualnie. Janeczka i Pawełek przyjrzeni mu się z ciekawością i ocenili go pozytywnie. Był średniego wzrostu, szczupły, czarny jak prawdziwy Arab i ubrany jak normalny człowiek na wizytę. Mówił po francusku jak Francuz i po angielsku jak Anglik, a przy tym był wesoły, sympatyczny i bezpośredni.

Bardzo szybko do rozmowy wdarł się temat kradzieży w Tiarecie. Pan Hakim zainteresował się nim grzecznie, przyznał, że zwalczanie złodziejstwa napotyka na

okropne trudności, potwierdził opinię pana Romana o możliwości mściwego odwetu i przypomniał o tutejszych obyczajach.

— Poczucie rodzinnej solidarności jest u nas zakorzenione tak głęboko, że nie można się z nim nie liczyć — powiedział.

— No tak, ale oni was kompromitują — rzekła pani Krystyna. — Arabscy złodzieje kompromitują Algierię tak samo, jak polscy złodzieje kompromitują Polskę.

— Wy macie łatwiejszą sytuację. U was człowiek uczciwy nie będzie przechowywał kradzionych rzeczy, prawda? Musi to być albo wspólnik złodzieja, albo zawodowy paser. A u nas kradziony przedmiot ukryje brat, kuzyn, ciotka, przyjaciel, ktokolwiek. I nie uważa tego za przestępstwo, bo obowiązek udzielenia pomocy krewnemu jest ponad wszystkim. Dlatego dowody kradzieży wymykają się z rąk policji. Nikt nie wie, dokąd mogły zawędrować już w godzinę po popełnieniu przestępstwa.

— Moje dzieci wiedzą — mruknął pan Roman.

— Proszę? — zdziwił się Hakim.

Pan Roman zakłopotał się odrobinę.

— Zdaje się, że moje dzieci wiedzą bardzo dokładnie, kto i gdzie przechowuje skradzione rzeczy, a także znają złodziei. Zabroniłem im to ujawnić, bo się o nie zwyczajnie boję.

Pan Hakim ze zdumieniem przyjrzał się Janeczce i Pawełkowi, którzy patrzyli na niego niewinnie szeroko otwartymi, niebieskimi oczami.

— Tak — potwierdziła Janeczka uprzejmie. — My to wiemy.

— Skąd...?

— Mają pomocnika — wyjaśniła pani Krystyna. — Śpi pod kanapą.

Pan Hakim obejrzał się. Rozciągnięty na całą długość Chaber rzeczywiście drzemał sobie spokojnie na dywaniku obok kanapy.

I pan Hakim, i państwo Sęczykowscy mieli w oczach tak wielki znak zapytania, że państwo Chabrowiczowie poczuli się zmuszeni opowiedzieć o spółce ich dzieci z psem. Zainteresowanie wzbudzili ogromne, a pan Hakim zamyślił się głęboko.

— Czy macie jeszcze tę kieszeń złodzieja, którą pies oberwał? — spytał Pawełek.

— Pewnie, że mamy — odparł Pawełek. — Schowaliśmy ją w plastikowej torebce, żeby nie straciła zapachu. Na wszelki wypadek.

— Jakie mądre dzieci! — wykrzyknął pan Hakim i pani Krystyna popatrzyła na niego z wyraźną sympatią i życzliwością.

Potem znów się zamyślił i jeszcze raz poprosił o zrelacjonowanie mu wszystkich szczegółów. Janeczka i Pawełek opowiadali bez żadnego oporu, ponieważ język francuski, którym się posługiwali, pozwalał spokojnie zastanowić się nad każdym zdaniem i ominąć wszystko to, czego mówić nie należało. Pan Sęczykowski, który mówił po francusku doskonale, pomagał, podpowiadał i tłumaczył. Panu Hakimowi zaczęły błyszczeć czarne oczy.

— W razie, gdybym przypadkiem był w Tiarecie — powiedział w końcu — czy mógłbym państwu złożyć wizytę...?

— Ależ oczywiście! — wykrzyknęli państwo Chabrowiczowie równocześnie, a pani Krystyna żywo dodała: — Przyjedźcie w ogóle wszyscy. Zapraszam was na przyszły weekend. Urządzimy sobie wspólny piknik.

— Na przyszły nie, bo będziemy mieli gości — odparła pani Sęczykowska. — Ale za dwa tygodnie z przyjemnością. Nigdy tam nie byłam, bardzo chętnie pojedę.

— Pan oczywiście będzie mile widziany każdego dnia i o każdej porze — powiedział pan Roman do pana Hakima. — Niezależnie od weekendu i pikniku...

* * *

Zaraz nazajutrz po powrocie z Oranu przyszedł pan Krzak z informacją, że do Algieru jedzie w środę rano. Pawełek aż jęknął.

— Rany, nic nie mam! Czy my przez jutro zdążymy...?

— Plastikowych toreb jest ze sto — pocieszyła go Janeczka. — Tylko o sznurki trzeba się postarać.

— No właśnie, sznurki! Gdzie te sznurki, które ojciec przywiózł? Przecież sam mu wybierałem najlepsze! Co to jest, że ja ich nigdzie nie widzę?!

Janeczka popatrzyła na brata dziwnym wzrokiem i popukała się w czoło.

— Naprawdę nie widzisz tych sznurków, które ojciec przywiózł?

— A ty widzisz? Gdzie...?

— Chyba zgłupiałeś. A to? Wydaje ci się, że co to jest?

Pawełek spojrział w okno. Przywiezione przez pana Chabrowicza sznurki porozciągane były w połowie ogródka pomiędzy murem a domkiem w charakterze sznurków od bielizny. Sam kilka dni temu pomagał na nich wieszać pranie...

Długą chwilę milczał, głęboko rozgoryczony.

— Całe szczęście, że tu można kupić sznurka, ile się chce — mruknął. — Ale węgla nie mam. Przy węglu zejdzie cały dzień, bo to się musi rozhajcować.

— Przez jutro się nie zdąży? Przecież drewno mamy. Pawełek, drapiąc się po głowie, obejrzał upakowany w pudle stosik grubszych i cieńszych patyków, obłamanych z drzewek cierniowych wypatrzonych przez Janeczkę. Skupił się, zastanowił i nagle rozkwitło w nim natchnienie.

— Dobra, to jutro od rana palimy ogień. Ty się dowiedz dyplomatycznie, czy matce nie będzie potrzebny ten największy garnek...

— Który największy garnek? Ten taki wielki jak kocioł?

— Ten. Mniejszy się nie nadaje.

— Nie będzie jej potrzebny, w ogóle go nie używa. Jest za duży.

— Dla mnie w sam raz. Trzeba go wcześniej wyciągnąć. Musimy jechać do miasta, żeby kupić sznurek, przez ten czas Chaber będzie pilnował...

— Czego będzie pilnował?

— Tego garnka. Rozpalimy w ostach i nie przed naszym oknem, tylko trochę dalej, może być przed oknem pana Kawalkiewicza. Suche osty potrzebne, idziemy zbierać!

— Oszalałeś, przecież jest ciemno!

— A, ciemno... No dobrze, to jutro od rana!

Naciąwszy za pomocą tasaka i sekatora grubych, zdrewniałych, suchych łodyg, pokłuty i podrapany Pawełek zaraz po śniadaniu rozpalił za domkiem pana Kawalkiewicza niewielkie ognisko. Troskliwie ułożył w ognisku wszystkie kawałki cierniowego drzewka i pilnował ich czujnie, siedząc na wielkim garnku odwróconym do góry dnem. Od czasu do czasu przymierzał garnek do ogniska, domagając się od siostry uzupełnienia płonącego zbyt szybko kolczastego opału.

Cierniowe drzewko zajęło się wreszcie. Pawełek wyczekał chwili, kiedy rozpalilo się porządnie i cały płonący stos nakrył garnkiem. Wyprostował się i odsapnął z ulgą.

— Przecież to zgaśnie — powiedziała stojąca obok Janeczka. — Tam nie ma powietrza. Żeby się coś paliło, musi być powietrze.

— Właśnie musi się udusić samo w sobie bez powietrza — odparł pouczająco Pawełek. — Tak się robi węgiel drzewny. Ale od razu ci powiem, że na dwa wybuchy nie starczy i nie ma siły, jedziemy po sznurki!

Aż do wieczora Chaber pilnował sterczącego wśród ostów do góry dnem garnka.

Dwa kłębki cienkiego, mocnego sznurka zostały kupione bez najmniejszych kłopotów. Janeczka uzbierała trzydzieści plastikowych toreb. Przygotowania do podróży zostały ukończone.

— Co prawda nikt się akurat przez to całe sirocco nie pokłócił — rzekł melancholijnie Pawełek o zachodzie słońca, z wielką ostrożnością unosząc wreszcie garnek znad byłego ogniska — ale że ja zgłupiałem do reszty, to pewne.

— Bo co? — zaniepokoiła się Janeczka. — Coś tu źle wyszło?

Pawełek delikatnie i w skupieniu pomacał czarny kawałek.

— Nie, tutaj wyszło doskonale. Tylko po co ja się z tym tak śpieszyłem, skoro i tak w Wąwozie Małym nie będziemy robić wybuchu? Cztery godziny na sznurki nam wystarczy, nie? Jeszcze ciepłe... No nic, w każdym razie mamy gotowe. Teraz tylko zebrać do czegoś...

— Do tego garnka najlepiej. Na noc postawimy w ogródku, a jutro rano schowamy w szafie. I lepiej przykryj przykrywką, bo ja nie wiem, czy to się przypadkiem nie zapali...

Pan Krzak przyjechał po nich o ósmej rano.

— Wiatr wieje od południowego wschodu — zawiadomił radośnie. — Możliwe, że w Algierze ta zabawa się już skończyła, ale na sawannach jeszcze będzie fajnie. Jedziemy?

Pan Roman, który udawał się do pracy na wpół do dziewiątej, pomógł im ulokować się w samochodzie i ruszyli.

Na sawannach rzeczywiście było fajnie.

— Jezus Mario, co to jest? — spytała przerażona pani Krystyna. — Mgła?

— Burza piaskowa — odparł pan Krzak. — Na pustyni już byśmy z tego nie wyszli, ale tutaj się przejedzie. Zamknijcie wszystkie okna!

— No! — powiedział z satysfakcją Pawełek. — Wreszcie coś...!

Widoczność spadła do dwudziestu metrów. Nie zważając na to, pan Krzak grzał z szybkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę, wbijając się w gęste chmury. Chwilami widać było, jak szaro-rudy tuman pyłu pędzi z pustej przestrzeni na szosę, wznosi się i opada, za nim zaś pojawia się następny tuman. Okna w samochodzie były ściśle zamknięte. Pani Krystyna poczuła nagle, że głuchnie jak we wznoszącym się szybko samolocie. Musiała poruszyć szczękami, żeby sobie odblokować uszy.

— Przystają słyszeć — powiedziała niespokojnie. — Czy to tak w uszy nawiewa? Którędy?

— Nie, to ciśnienie się zmienia. Burza piaskowa to niezła heca. Ja to nawet dość lubię.

— Czy nie mogliśmy jechać odrobinę wolniej...?

— Wykluczone, trzeba prędzej przelecieć, bo nas ten upał wykończy. Do Boughzoul droga jak stół, można sobie pozwalać.

— Rzeczywiście na dworze nie jest chłodniej? — spytała niedowierzająco Janeczka i odlepiła sobie od pleców sukienkę.

— A sprawdź! — zaśmiał się pan Krzak. Wykorzystując moment pomiędzy nadlatującymi chmurami pyłu, Janeczka odkręciła okno i wystawiła rękę. Cofnęła ją czym prędzej, ponieważ powietrze ją oparzyło. Pawełek spojrzał na nią podejrzliwie, odkręcił swoją szybę, również wystawił rękę i cofnął ją jeszcze szybciej. Pani Krystyna obejrzała się na swoje dzieci i również uczyniła próbę.

— Nie do wiary! — wykrzyknęła wstrząśnięta. — Przecież to parzy!

— To jest wiatr z pustyni — przypomniał pan Krzak. — Zasypuje ich z każdym rokiem bardziej, jeszcze trochę, a tej Algierii w ogóle nie będzie. W zimie są tu zamiecie śnieżne, a na wiosnę i na jesieni można się utopić w glinie. Interesujący kraj!

— To jest burza ekstraklasa! — zaopiniował Pawełek, pełen podziwu.

Usytuowanie słońca na niebie można było odgadnąć tylko po tym, że w jednym miejscu to coś nad głowami było bardziej pomarańczowe. Cała reszta nieba zasnutą była równomiernie gęstym, rudym tumanem. Dopiero w górach sytuacja uległa niejakej poprawie, wiatr wiał odrobinę mniej gwałtownie i nie widać już było pędzących chmur pyłu.

W Wąwozie Małp pani Krystyna przeżyła jeszcze ostatnią chwilę wahania, którą przełamał pan Krzak.

— Najdalej za cztery godziny będziemy już z powrotem, a co im się może stać przez ten czas? Tu są małpy, a małpy przebywają tylko tam, gdzie jest bezpiecznie. Już one mają swój rozum.

Pani Krystyna zatem machnęła ręką. Zdziwiło ją trochę, że dzieci wysiadają z jakąś dużą ilością tobołów, ale pomyślała, że pewnie wzięli więcej pożywienia dla małp. Pan Krzak prysnął żwirem spod kół i Janeczka, Pawełek i pies zostali sami.

Chaber przede wszystkim napił się wody. Pawełek rozejrzał się i podrapał w głowę.

— Jak robimy? — spytał. — Złazimy na dół razem z całym nabojem?

Janeczka ustawiła obok siebie torby. W jednej było trzydzieści plastikowych toreb na zakupy, które czyniły ją bardzo pękata, w drugiej dwa kłębki sznurka, nożyczki, latarka elektryczna i lampa, a w trzeciej dwie litrowe butle z wodą mineralną, kanapki i owoce dla nich, w czwartej zaś trzy bagietki i owoce dla małp. Przyjrzała się temu wszystkiemu.

— Jeżeli najpierw nakarmimy małpy, odpadnie nam tylko jeden pakunek — rzekła z namysłem. — Trzy są potrzebne do końca. Jeden pakunek, to już żadna różnica, ja wolę najpierw odwalić robotę, a potem się zająć małpami, a nie odwrotnie.

— Małpy w ogóle są, więc trzęsienia ziemi nie będzie — stwierdził Pawełek, rozglądając się dookoła. — Dobra, ja też tak wolę. Złazimy ze wszystkim.

Szczelina wyglądała tak samo, jak ją zostawili. Wielki kamień tkwił pomiędzy pionowymi ścianami, wsparty na pniu drzewa. Doznali na ten widok niebotycznej ulgi, bo wciąż mieli obawy, że ktoś wpadł w sporządzoną przez nich pułapkę i zginał, przygnieciony głazem lub też poturbowany podskakującym pniem. Zatrzymali się przed wejściem.

— Chaber — powiedziała Janeczka. — Zobacz, piesku! Czy możemy tam wejść?

Uczyli krok ku szczelinie. Chaber obejrzał się na nią, podbiegł do przodu i powęszył. Obejrzał się jeszcze raz, znów powęszył i usiadł.

— No i co to ma być? — spytał stropiony Pawełek.

— My tam chcemy iść — powtórzyła Janeczka. — Zobacz., czy można. Chaber, tam!

Pies podniósł się i ruszył do przodu jakoś ostrożnie. W wejściu do szczeliny zatrzymał się, cofnął o krok, obejrzał i pobiegł w głąb. Był skupiony i napięty.

— Nie jest cudownie, ale wejść można — przetłumaczyła Janeczka. — On tam węszy niebezpieczeństwo.

— Wcale mu się nie dziwię — mruknął Pawełek i chwycił trzy torby. — Ja też tam węszyć niebezpieczeństwo. I tak cud, że to się jeszcze trzyma... No, pod kamieniem biegiem, ale ostrożnie!

Kiedy przebiegali długim, blisko dziesięciometrowym tunelem, coś u góry zazgrzytało i posypał się drobny żwirek. Kupa kamieni na końcu pnia leżała, jak ją Pawełek ułożył. Chaber myszkował po całym dnie szczeliny. Poruszał się jakoś bardzo ostrożnie, na lekko ugiętych, sprężynujących nogach, nieufny i niespokojny.

— Nie podoba mu się tu — rzekła Janeczka, obserwując go. — Bierzemy się do roboty, im prędzej, tym lepiej!

Pawełek zgodził się z nią.

— Dobra, to ty siadaj na pniu i trzymaj, a ja będę ładował. Możesz zawiązywać sznurkami, będę ci pokazywał, tylko ruszać się już niech cię ręka boska broni! Zaczynamy!

Dwa największe kamienie nie chciały się zmieścić do plastikowych toreb, Pawełek zatem omotał je sznurkiem bez opakowania. Odmierzył dwadzieścia metrów i odciął. Janeczka starannie zawiązywała trzy torby napchane mniejszymi kamieniami. W połowie stosu wydawało jej się, że poczuła pod sobą drgnięcie.

— Rusza się — zawiadomiła brata. — Zdaje się, że już mnie zaczyna pchać. Może dosyć tego będzie.

— Jeszcze ze dwa, na wszelki wypadek. Ma to lecieć, to już niech polecą. Czekać, zobaczą...

Zdjął ze stosu dwa kamienie i przytrzymał pień rękami. Janeczka uniosła się lekko, pień drgnął mocniej. U góry zgrzytnęło i zatrzeszczało, posypały się drobne kamyki i piasek. Chaber obejrzał się i podbiegł do nich.

— Dobra, będzie dosyć. Siedź porządnie! Zwiąż jeszcze te dwa, a ja będę układał z powrotem.

— Tylko zostaw im długie końce, żebyśmy mogli się trochę oddalić.

Po kilku chwilach stos, złożony z licznych, plastikowych, mocno wypchanych toreb, był gotowy. Janeczka podniosła się. Pień leżał spokojnie, ale u góry wciąż zgrzytało, trzeszczało i sypało drobnymi kamykami. Pawełek zebrał w garść końce długich sznurków.

— Weź jedną torbę, tę z butelkami, a ja wezmę dwie — polecił. — I leć pierwsza, żebyś mi nie weszła na sznurki. Od razu biegiem.

U góry zgrzytnęło i zatrzeszczało mocniej. Na moment zawahali się, a potem z determinacją skoczyli do przodu.

Pies był szybszy. W jednym mgnieniu oka znalazł się przed nimi, wpadł im pod nogi i zastawił drogę. Potknęli się o niego i w tym samym momencie z okropnym trzaskiem olbrzymi, długi głaz runął.

Runął właściwie bez impetu. Trzymające go drzewo wyschło, już wcześniej zaczęło się nadłamywać i teraz jego wsparty na wystającej skale cieńszy koniec pękł ostatecznie. Kawałki drewna, miażdżone pomiędzy kamieniami, odrobinę przeszkodziły i głaz obsuwał się w ciasnych ściankach całe półtorej sekundy. Gruchnął średnio. Gdyby biegli dalej, w chwili upadku znaleźliby się akurat pod nim.

Zanim przestraszył zdążył ich zdławić i unieruchomić, odruchowo szarpnęli się do tyłu. Z góry nad głazem, dookoła, z pionowych ścian sypały się kamienie. Nie wiadomo jakim sposobem znaleźli się nagle w drugim końcu szczeliny, wtuleni w skałę razem z kurczowo ściskanymi w rękach torbami. Coś jęknęło, zazgrzytało, skała przed nimi, nad głazem, drgnęła, przechyliła się i majestatycznie zjechała w dół. Za nią posypały się jakieś odłamki i wszystko ucichło.

Pierwszy poruszył się przytulony do ich nóg Chaber. Odbiegł dwa kroki, wsiadł i kichnął, po czym podniósł się i wesoło zamachał ogonem. Janeczka poczuła, jak straszliwa, dławiąca gęź w jej gardle mięknie i zaczyna się zmniejszać. Złapała oddech. Pawełek oderwał plecy od skalnej ściany i również odetchnął głęboko.

— Coś mi się widzi, że ten pies uratował nam życie — powiedział ochryple i uprzytomnił sobie, że w ustach i w nosie ma pełno jakiegoś pyłu. Odchrząknął. Wytarcie nosa wydawało mu się niezbędne, nie wiedział jednak, jakby mógł to zrobić. Obie ręce miał zajęte.

Janeczka powoli opuściła na ziemię torbę z butelkami, które jakimś cudem się nie stłukły i ukłękła. Objęła psa za szyję.

— Och, pieseczku! — wyszeptała z wysiłkiem. — Och, mój najdroższy

pieseczku...

Rozpromieniony i całkowicie już spokojny Chaber radośnie oblizwał jej całą twarz. Doskonale rozumiał, że pani jest z niego bardzo zadowolona i czuł się szczęśliwy. Pawełek uświadomił sobie wreszcie, że niepotrzebnie ściska w rękach bagażę, odłożył je i również padł na kolana. Chaber miał wyjątkową okazję wylizania swoich państwa dokumentnie i skorzystał z tego z całego serca.

Po długiej chwili Pawełek wyciągnął wreszcie chusteczkę z kieszeni i wytarł nos.

— Według tego, co on mówi, nic już więcej nie będzie — zawyrokował podnosząc się. — Pułapkę mamy z głowy, obeszło się bez ofiar.

Janeczka podniosła się również i popatrzyła na zawalone przejście.

— Nie jestem pewna, czy to był najlepszy sposób — rzekła krytycznie. — Ciekawi mnie bardzo, jak stąd teraz wyjdziemy.

Pawełek spojrział na nią z niesmakiem, zbliżył się do głazów i obejrzał je dokładnie. Wypełniały szczelinę do wysokości prawie pięciu metrów. Leżały ściśle jeden na drugim, dopasowane dokładnie i tylko przy samej ścianie tworzyły prześwit nieco większy od ludzkiej głowy. Wspiąwszy się na nierówności dolnego głazu, zajrzał w prześwit i wydało mu się, że ten górny jest krótszy. W każdym razie widać było, że ta ciasna szpara gdzieś tam się kończy. Zlął z głazu i spojrział w górę. Oba wielkie odłamy skalne były nierówne, ale ułożyły się bardzo głupio i niewygodnie. Nie dość, że pionowo, to jeszcze ten górny trochę wystawał i nie sposób było nań się dostać. Cofnął się bardziej i popatrzył na ściany szczeliny. Wznosiły się również zupełnie pionowo, prawie bez nierówności, bez najmniejszej możliwości zaczepienia się na nich gdziekolwiek. Dopiero na samej górze, okropnie wysoko, widać było rosnące krzaki i drzewa.

Janeczka, obserwując brata, odkręciła kapsel butelki z wodą mineralną.

— I tak jeszcze dobrze, że mamy co pić — zauważyła smętnie. — Chociaż trzeba oszczędzać, bo musi starczyć dla Chabra. Chcesz trochę?

Pawełek kiwnął głową, wziął od niej butelkę i napił się umiarkowanie. Wciąż rozglądał się po skalnych ścianach, myśląc intensywnie. Wysoko u góry, na krawędzi szczeliny ukazała się małpa. Usiadła i zaczęła się drapać, patrząc na nich z wyraźnym zaciekawieniem.

Janeczka uwolniła od kamieni jedną plastikową torbę, ułożyła ją na kształt miski i naląła wody dla psa. Chaber wychłęptał ją od razu.

— No i co? — spytała cierpko.

— Możliwe, że dla małp to tu jest całkiem niezłe i bardzo bezpiecznie — odparł Pawełek ponuro. — Ale jak dla nas, to nie wiem...

— Nie zostaniemy tu przecież do końca życia?

— Byłoby to chyba dosyć krótkie życie. Nie jest słodko. Czekać, bo jeszcze jestem trochę skołowany, ale coś trzeba wykombinować.

— Może szkoda, że nie wzięliśmy materiałów wybuchowych?

— I co by nam z tego przyszło, gdybyśmy wzięli?

— Zrobilibyśmy wybuch. Wypchnęłyby się te skały. Pawełek spojrział na siostrę ze szczerą zgrozą.

— Skały może by się i wypchnęły, ale po nas już by śladu nie zostało. Wybuch w tej ciasnocie, rany boskie... Wybij to sobie z głowy od razu i nawet jeszcze wcześniej.

— Mamy sznurki.

— Sznurki, sznurki... — mruknął Pawełek. — Możemy się powiesić. Nie, też nie ma na czym. Czekać, sznurki...

Zamilkł nagle i znieruchomiał, wpatrzony w zwoje rozwłóconego sznurka. Janeczka zaczęła tracić cierpliwość.

— Myśl trochę prędzej, bo już nie mamy więcej niż dwie i pół godziny. Jak matka nadjedzie, musimy być na górze. Wiesz, jak jest, póki wszystko w porządku, możemy robić, co chcemy, ale jeden wygłup i do widzenia.

— Nie denerwuj mnie! — zirytował się Pawełek. — Możesz też myśleć! Co ja jestem, cudotwórca?

Chaber od pierwszej chwili wyczuł narastające zdenerwowanie swoich państwa. Zaległa siew nim wyraźna, zdecydowana potrzeba zrobienia czegoś. Obiegł dookoła kamienną pułapkę, powęszył wzdłuż ścian, po czym utkwiał przy głazach zawalających przejście. W skupieniu węszył pod nimi, wspiął się przednimi łapami na kamień, powęszył w górze, wrócił na dół i drapnął łapami pod kamieniem. Wygrzebał niewielką dziurę i wetknął w nią nos.

— On też wie, że przejście jest tamtędy! — westchnął Pawełek.

— Że przejście było tamtędy — skorygowała Janeczka. — Czy tam nie ma jakiejś dziury? Niechby chociaż pies przeszedł. Z dwojga złego wolę, żeby nam wszystkiego zabronili, niż umrzeć tutaj. W dodatku jest gorąco.

Stojące w zenicie słońce, mimo iż osłonięte rudymi chmurami, sięgało żarem w głąb szczeliny. Przewiewu nie było najmniejszego i upał panował tam jak w piecu. Z emocji nie zwracali na to dotychczas uwagi.

— Jest tam dziura, ale wysoko — powiedział w zamyśleniu Pawełek. — Czekaj, chyba coś mi zaczyna chodzić po głowie. Nie będziemy tu przecież siedzieć jak takie tępe głąby, czekaj...

Rozejrzał się, chwycił kamień ze stosu i ze stęknieniem przeniósł go pod kamienną zaporę. Otarł pot z czoła i przeniósł drugi. Janeczka podniosła się ze skalnego występu, na którym siedziała, oczekując rezultatu medytacji brata. Zrozumiała, o co mu chodzi, i zaczęła podawać mniejsze kamienie ze stosu...

* * *

Pani Krystyna odczekała, aż pan Krzak załatwi swoje sprawy służbowe, zajrzała przez ten czas do paru sklepów, po czym razem pojechali do hurtownika, u którego były skóry. Trafili na olśniewający wybór towaru. Ograniczona niewielką ilością pieniędzy pani Krystyna musiała się opanować i zużyła olbrzymią ilość siły na podjęcie decyzji, co bierze, a z czego rezygnuje. Pan Krzak wziął na siebie ciężar targów i zrobił przedstawienie, jakiego nigdy w życiu nie widziała. Obaj z kupcem machali rękami, wrywali sobie włosy z głowy, tupali nogami, szarpali na sobie odzież, jeden ze wstrętem odrzucał wybrane przez nią skóry gdzieś w kąt, drugi roztkliwiał się nad nimi i czule przyciskał do serca, odbiegali od siebie i znów wracali. Wreszcie, ku własnemu zdumieniu, pani Krystyna zorientowała się, że w wyniku tej całej szopki może kupić o połowę więcej, niż pierwotnie sądziła. Zaniepokoiła się, czy zmaltretowany przez pana Krzaka kupiec nie zechce się na nim zemścić, i do reszty zdumiało ją to, że po zakończeniu transakcji pożegnali się najprzyjaźniej w świecie, wśród wzajemnych najlepszych życzeń. Kupiec patrzył na pana Krzaka wręcz z jakąś czułością i tkliwie.

— I tak zapłaciłaś więcej, niżby zapłacił jakiś Arab — oznajmił pan Krzak ruszając. — Ale trochę nam się udało utargować.

— Nam? — wykrzyknęła pani Krystyna. — Przecież się słowem nie odezwałam! Sam się targowałeś, myślałam, że on cię pobije!

— A skąd! Oni to bardzo lubią, targowanie się to ich największa przyjemność. Mogę im zrobić tę przyjemność, co mi szkodzi.

Pan Krzak był taki wesoły, zadowolony z życia i beztroski, że pani Krystyna

wpadła w doskonały humor. Dopiero spojrzawszy na zegarek, przypomniała sobie o dzieciach i zaniepokoiła się nieco.

— Oni tam siedzą już dobre cztery godziny! Jedźmy natychmiast!

— No przecież jedziemy — powiedział pan Krzak, nieco zaskoczony, bo istotnie jechał i zdążył już nawet wyjechać z miasta. — Nic im się tam nie stanie, Beduini ich nie porwą... O kurczę, a to co...?

Na drodze był wypadek. Wpadły na siebie dwie wielkie ciężarówki i zatarasowały całą szosę. Policja zatrzymywała wszystkie inne samochody i przed nimi utworzył się już długi sznur. Pan Krzak poszedł się dowiedzieć, jak długo to będzie trwało.

— Zawracamy — zdecydował wróciwszy. — To jest dopiero początek, cztery godziny murowane. Musimy się dostać do Blidy okrężną drogą, czekaj, którądy... Przez Larbę.

— O Boże jedyny... — jęknęła cichutko pani Krystyna.

Dopiero po półtorej godzinie skręcili na szosę ku Medei...

* * *

Opływając potem, Pawełek wybudował z kamieni jakby dwa wielkie stopnie przy zagrządzającym drogę głazie. Stojąc na drugim z nich, mógł swobodnie sięgnąć do prześwitu pomiędzy kamieniami. Stopnie ruszały się, rozjeżdżały i co chwilę trzeba je było poprawiać i umacniać.

— Ja nie wiem, co to jest, że ja tu wiecznie muszę się kotłować z jakimiś kamieniami — powiedział z urazą. — Już bym chyba z tego Pałac Kultury wybudował. Jest tam jeszcze trochę wody?

— Cała butelka — odparła zimno Janeczka. — Matka przyjedzie za godzinę. Co teraz?

— Teraz trzeba, żeby Chaber spróbował. Zaraz... Napiwszy się bardzo oszczędnie, Pawełek zmierzył wzrokiem wysokość kamiennych stopni i odstawił butelkę.

— Z tego nie sięgnie, nie ma gdzie skoczyć. Czekaj, ja na to wejść, a on niech mi skoczy na plecy. Załatw to z nim.

Chaber już dawno był gotów do akcji. Kręcił się wokół nich niecierpliwie, czekając swojej kolejki. Pawełek wlaź na drugi stopień, ulokował się solidnie, wsparł rękami o ścianę i pochylił.

— Chaber, hop! — rozkazała Janeczka, wskazując jego plecy.

Pies przymierzył się, przysiadł, odbił się potężnie i jednym skokiem znalazł się na plecach Pawełka. Pawełek zachwiał się nieco, ale nie zleciał. Chaber trafił do prześwitu bezbłędnie i bez dalszych wskazówek. Wspiął się z pleców Pawełka, powęszył i zaczął się wczołgiwać.

— Żeby mu się tylko nic nie stało — wyszeptała Janeczka niespokojnie.

— Już on wie, co robi — odparł Pawełek z przekonaniem. Wyprostował się ostrożnie, zajrzał w szparę za Chabrem i przez chwilę patrzył w napięciu.

Chaber czołgał się długim, ciasnym tunelem bez wielkiego trudu. Nagle znikł mu z oczu.

— Przelazł! — wrzasnął Pawełek z triumfem i zleciał z kamiennego stopnia, który rozjechał mu się pod nogami.

— Ufff — sapnęła z ulgą Janeczka i usiadła na rozgrzebanym stosie. — Całe szczęście! Co teraz?

— Nie mam pojęcia na razie. Liczę na to, że pies coś wymyśli. W najgorszym razie sprowadzi tu matkę z panem Krzakiem i może oni nas jakoś wywloką.

Mimo upału spokojna już o psa Janeczka odzyskała całkowicie przytomność umysłu.

— Musimy się zastanowić, co powinni zrobić, bo oni będą zaskoczeni i w pierwszej chwili całkiem z tego zbaranieją. Trzeba będzie im powiedzieć, jak mają pomagać. No?

Pawełek usiadł na kamieniu obok niej, rozmasował po sobie pot zmieszany z kurzem i pyłem i rozejrzał się po szczelinie.

— Czy ja wiem... Najlepiej byłoby opuścić nam tu na dół jaką drabinę, ale zdaje się, że takiej długości drabin nie ma nawet straż pożarna. Może linę?

— Drabinę sznurową — podsunęła Janeczka.

— Drabina sznurowa niezła, tylko nie wiem, skąd ją wezmę.

— Przecież mamy sznurki. Drabinę sznurową robi się ze sznurków, nie?

Pawełek podniósł z ziemi jeden z poniewierających się sznurków i skrzywił się niechętnie.

— Trochę cienki. Nie wiem, ile wytrzyma.

— Przecież można go pogrubić — zniecierpliwiała się Janeczka. — Upleść cztery razem. Mamy tego dwa kłębki, to jest czterysta metrów! Musimy coś zrobić, bo to jeszcze nie koniec!

— A co, ja do tej pory leżałem do góry brzuchem i dłubałem w nosie?! — obraził się Pawełek. — Niech może wytchnę trochę, o rany, ile tego jeszcze...?

— Pleść sznurki można na siedząco.

— No dobra, masz całkowicie rację... Pleść można faktycznie na siedząco.

Janeczka pobierała wszystkie sznurki przywiązane do plastikowych toreb, wyciągnęła nie napoczęty jeszcze kłębek i przyniosła bratu. Pawełek spróbował, jaka grubość będzie odpowiednia.

— Po cztery wystarczy. Wyjdzie nam z tego sto metrów liny. Dobra, pleciemy. Idź z tym na drugi koniec, a ja tu będę skręcał.

Z góry dobiegło ich nagle krótkie szczeknięcie. Zadarli głowy, na krawędzi szczeliny kręcił się Chaber.

— Mamusia! — zawołała Janeczka. — Chaber, gdzie mamusia?

Pies pokręcił się jeszcze trochę i usiadł.

— Chwalić Boga, matki narazić nie ma — ucieszył się Pawełek. — Ale widzisz? On też uważa, że należy opuścić coś z góry. Może by wziął linę ze sobą i drugi koniec nam zrzucił...

— I jeszcze zawiązał supeł dookoła drzewa, co? Nie wymagaj od niego za wiele!

— No nie... ale czekaj... My tu jeden koniec, a pies gdzieś tam drugi koniec...

Czekaj, chyba mam pomysł!

W śmiertelnie zmęczonego Pawełka wstąpiło nagle nowe życie. Zerwał się z kamienia, odbiegł kilka kroków i z uwagą zbadał wzrokiem oba zawałające przejście głązy.

— Tu jest niżej niż dookoła — ocenił. — Dałoby się na to wleźć, potem już mięta, byle tylko się przepchać przez ten dół. Popatrz, tędy, gdyby tu mieć linę...

— Wiem! — krzyknęła Janeczka i zerwała się również. — Chaber, piesku, czekaj tam! Czekaj! Trzeba zrobić tak, popatrz, jeden koniec przerzucić na drugą stronę, a drugi tu trzymać. Chaber nam przyniesie ten przerzucony koniec przez dziurę i będziemy mieli taką pętlę przez cały głąz...

— Ha! — wrzasnął radośnie Pawełek. — To jest myśl! Jazda, skręcamy prędzej!

W pół godziny później całe dno szczeliny usłane było zwojami nie tyle może liny, ile bardzo grubego sznura. Parę metrów sznurka pozostawiono oddzielnie, przewidując transport trzech pozostałych toreb. Chaber warował wysoko, na krawędzi szczeliny, pofukując niekiedy na małpy.

Pawełek dokonywał skomplikowanych obliczeń.

— Dziesięć metrów w jedną stronę — mamrotał. — I z powrotem, to razem dwadzieścia. I do góry, to razem trzydzieści. Tu będzie początek, a reszta tam, od początku pięć metrów... Dobra, już wiem.

Odmierzył pięć metrów sznura i starannie przywiązał do niego w dwóch miejscach dodatkowy sznur.

W ten sposób pięć metrów sznura było podwójnie. Do obu sznurów przywiązał w paru miejscach kawałki poprzeczne, z całej siły zaciskając węzły.

— W to będzie można zaczepić nogę — wyjaśnił Janeczka. — Najgorzej tu, na dole. Byle się dostać na wierzch... Czekać, w jednym miejscu chociaż trzeba usztywnić, bo inaczej nam tę nogę odetnie. Czym by tu...

Jedynym sztywnym przedmiotem, jakim dysponowali, był reflektor elektryczny. Pawełek owinał go sznurkiem tak szczelnie, że zamienił się w coś w rodzaju niesymetrycznego wrzeciona.

— Tak się zastanawiałem, na co nam ta latarka w biały dzień — rzekł filozoficznie, kiwając głową. — Zabrałem ją na wszelki wypadek. I proszę, jak rozumnie!

— Według zegarka, matka właśnie nadjeżdża — zwróciła uwagę Janeczka złowieszczym głosem.

— To co poradzę? Zresztą i tak nas tu nie znajdą. Trzeba tylko przytrzymać psa, żeby nie poleciał z donosem. Będą się tam rozglądali, a tymczasem sami wyjdziemy.

Janeczka wezwała pasa, każąc mu wrócić tą samą drogą, jaką wyszedł. Chaber znikł z krawędzi szczeliny i po paru chwilach ukazał się w otworze prześwitu. Zawahał się przed skokiem z wysokości prawie trzech metrów, ale już zaczął wysuwać łapy. Janeczka go powstrzymała.

— Czekać tam! Waruj! Czekać spokojnie!

— Lepiej, żeby tu posiedział, bo teraz będę rzucił — rzekł Pawełek. — Jeszcze bym go trafił.

Przywiązał już wrzeciono z latarki do dwóch idących równolegle linek, ułożył wszystko w luźne pętle, znalazł drugi koniec sznura i z kolei przywiązał do niego średni kamień. Ujął linkę w odległości metra od kamienia, ułożył się na najwyższym kawałku dna i spojrzał na siostrę.

— No, to teraz będzie cyrk. Schowaj się gdzieś, bo jak mi się uda, to się tak zdziwię, jak się w życiu nie zdziwiłem.

— Gdzie niby mam się schować? — spytała cierpko Janeczka. — Pod kamieniem jak skorpion?

— A chociażby! Wleź do kąta i zasłoń się czymś! Skul się, żeby cię było jak najmniej!

Popukawszy się w głowę i wzruszywszy ramionami, Janeczka posłusznie skuliła się w kącie za rumowiskiem dwóch wielkich stopni. Ujęła w dłonie duży, płaski kamień i zasłoniła się nim, wyglądając z jednej strony. Pawełek sprawdził, czy czterdzieści metrów linki leży swobodnie i łatwo da się poderwać, po czym zaczął kręcić uwiązany na końcu kamieniem.

Wiatrak stopniowo nabrał rozpędu. Chaber cofnął się nieco w głąb prześwitu. Pawełek, napięty i skupiony, kręcił coraz szybciej, po czym nagle, wybrawszy moment, puścił sznurek. Kamień poleciał gdzieś wysoko w górę, uwiązana do niego linka poszybowała za nim, pociągając za sobą ułożone na dnie szczeliny zwoje. Za górnym głazem głośno załomotało i linka znieruchomiała.

Pawełek stał przez chwilę, gapiąc się na zwisający z głazów sznur. Janeczka odłożyła swoją tarczę.

— No? — spytała z nadzieją. Pawełek ocknął się z zapatrzenia.

— Nikt mi nie uwierzy — rzekł głucho. — Gdyby mi ktoś coś takiego opowiadał, też bym nie uwierzył. Popatrz, przeleciał...!

Janeczka poderwała się zza rumowiska.

— Chaber, przynieś! Idź, piesku, i przynieś tędy! Prędko!

Chaber nie mógł się odwrócić w ciasnej szparze. Wycofał się, pełznąć tyłem. Szło mu nieco trudniej niż przodem, ale dawał sobie radę. Brat i siostra czekali w napięciu, z bijącym sercem.

— Czy aby się do niego dostanie — szepnął Pawełek zdławionym głosem. — Nie wiadomo, gdzie upadł...

Czekali jeszcze, wydawało im się, że trwa to pół roku. Linka na głazach ruszyła nagle i zaczęła pełznąć w górę. Janeczka i Pawełek wstrzymali dech, nie odrywając oczu od otworu prześwitu i poniechawszy nawet mrugania. W otworze ukazał się wreszcie łeb psa, który w pysku trzymał kamień.

— Ma!!! — wrzasnął entuzjastycznie Pawełek. — Daj, piesku, daj!

— Czekaj! — wrzasnęła Janeczka. — Ty głupi, jeszcze przegryzie sznurek, żeby ci dać twój święty kamień! Włóż na to!!!

Chaber usiłował zrzucić panu kamień, ale kamień nie chciał spadać i dyndał się tuż pod psim pyskiem. Chwytał go w zęby, próbując uwolnić od tego czegoś, co go trzymało. Pawełek trzęsącymi się z pośpiechu rękami poprawiał kamienne stopnie, włożył wreszcie, sięgnął ręką. Janeczka czujnie obserwowała jego wysiłki.

— Nie ciągnij! — ostrzegła gwałtownie. — Niech pies najpierw wyjdzie! Ten sznurek może mu zrobić coś złego! Wychodź, Chaber! Z powrotem! Wychodź!

Nadzwyczajnie zainteresowany doskonałą zabawą Chaber wycofał się posłusznie. Pawełek tkwił na rozlatujących się kamieniach, z wysiłkiem utrzymując równowagę i kurczowo ściskając koniec sznura. Za nisko się znajdował, żeby móc zajrzeć do prześwitu.

— Już! — powiedziała Janeczka po chwili. — Dusza mi mówi, że on już wyszedł.

Z wielką ulgą Pawełek zjechał z kamieni i zaczął ciągnąć za sznur. Reszta zwojów z dna szczeliny wlaźła na głazy, wrzeczono z latarki zaczęło się na pierwszym występie skalnym. Pawełek nieco poluzował.

— Weź to i odciągnij — polecił Janeczce. — Do góry albo jak chcesz. Żeby odstawało.

Pociągnął jeszcze trochę, rozejrzał się i zaczął przywiązywać do swojego końca liny napelnione uprzednio kamieniami torby. Chaber pojawił się na górze i szcęknięciem dał znać o swojej obecności. Doskonale czuł, że jego państwo przestali już być zdenerwowani i teraz są tylko zajęci jakąś męczącą, ale bardzo atrakcyjną pracą. W każdej chwili gotów był wziąć w niej udział, równocześnie jednak bez żadnej wątpliwości wiedział, że na razie nie będzie potrzebny.

Torby z kamieniami ważyły razem najmniej dwieście kilo. Mimo szarpania i pociągania linki nawet nie drgnęły. Pawełek przyczepił do nich jeszcze i ten drugi koniec, podwójny, po czym sapnął i otarł zalane potem oczy.

— Przystępujemy do ostatniej fazy operacji pułapka — oznajmił uroczyście. — Włazisz pierwsza. Jak się znajdziesz na górze... Czekaj, włazisz ze sznurkiem, jak się znajdziesz na górze, to po pierwsze wciągniesz torby, a po drugie znajdziesz jakiś kamień i podłożysz pod linkę, żeby odstawała. Bo inaczej się przyciśnię do kamienia i nie będę mógł jej złapać.

— Przecież odstaje?

— Ale przestanie odstawać, jak tu utnę. A utnę dlatego, że zamierzam odzyskać latarkę, nie zostawię jej tu na wieki. No, włóż!

Włazenie po elemencie pośrednim pomiędzy linką a drabinką sznurową nie było najłatwiejszą rzeczą na świecie. Pod samym wierzchem Janeczka utknęła. Naprężony

sznur, dołem odstający, tutaj przylegał już ściśle do skały i trudno było go uchwycić. Nie wiadomo, jak długo tkwiłaby w tym przelomowym miejscu, gdyby nie pomógł Chaber. Szczeknął nagle krótko i znikł z krawędzi. Na myśl, że może nadjechała matka, którą pies tu przyprowadzi i która ujrzy swojego syna na dnie kamiennej pułapki i córkę zawieszoną na linie prawie pięć metrów nad ziemią, Janeczka doznała przyplitywu nadludzkich sił. W jednym mgnieniu oka wymacała jakąś nierówność, kolanem sięgnęła następnej poprzeczki, gwałtownym zrywem rzuciła całe ciało ku górze i wsparła się brzuchem na krawędzi. Dalszy kawałek skały był już prawie poziomy i wlała nań na czworakach, zziębła i spocona. Zatrzymała się i odetchnęła.

— No? — wrzasnął Pawełek z dołu. — Jak tam jest?

Janeczka rozejrzała się. Było nieźle. Trzy metry bardzo nierównej, połamanej skały, a dalej coś w dół. Linka odchodziła w bok, zapewne gdzieś tam znajdował się początek owej szpary, którą przelazł Chaber. Na czworakach przelazła trzy metry ostrych połamańców i spojrzała w dół. Skośna, stromo nachylona, nierówna płaszczyzna kamienia schodziła aż do dolnego głazu, z którego zejście nie przedstawiało trudności. Czekał tam już uradowany Chaber.

— Skoro tak dobrze wiedziałeś, że przejdę, trzeba mi to było powiedzieć — rzekła do niego z wyrzutem i wciąż na czworakach wróciła do Pawełka. — W ogóle nie ma sprawy — zawiadomiła go. — Dawaj te torby. Dalej już się schodzi jak po schodach.

— To jeszcze zobacz, czy matka już jest, i znajdź jakiś kamień do podłożenia...

Z drugiego końca trzymetrowego kamienia parking był doskonale widoczny, chociaż znajdował się wysoko w górze. Nie stał na nim żaden samochód. Pełna ulgi, Janeczka wyszukała mniej więcej odpowiedni odłamek i znów wróciła w stronę Pawełka. Wciągnęła torby i ułożyła je za sobą. Podłożyła odłamek pod początek części udającej drabinkę. Pawełek, nie bawiąc się w odplątywanie węzłów, odciął dół drabinki scyzorykiem.

— Trzymaj ten kamień, dopóki nie zacznę wlaźać, bo mi zleci na głowę! — zawołał do siostry.

W dwie minuty później był już na górze. Wciągnął za sobą linkę, odciął wrzeczono z reflektorka i zabrawszy torby, razem zsunęli się w dół.

Parking przy szosie wydał się im najpiękniejszym i najbezpieczniejszym miejscem na ziemi. Dopiero dotarłszy tutaj, uprzytomnili sobie, że przez cały czas nic nie jedli i są śmiertelnie głodni. Zewsząd wylazły małpy. Ulokowani wygodnie na wielkich kamieniach, karmiąc na zmianę to siebie, to zwierzęta, rozkoszowali się odpoczynkiem.

— Za żadne skarby świata więcej tu nie przyjadę — powiedziała Janeczka tonem niezłomnej decyzji. — Mam dość tego Wąwozu Małp na całe życie. To jest jakieś wyjątkowo skomplikowane miejsce.

— Zgadza się — przyświadczył żarliwie Pawełek. — Żeby tu były nie wiem jakie bogactwa i drogocенności, kicham na wszystkie! Niech się teraz kto inny wygłupia. Rąk i nóg nie czuję!

— Pułapkę mamy z głowy. Popatrz, co by z nami było bez Chabra? Sama już nie wiem, co dla niego zrobić, to jest bóstwo, nie pies!

Zajęty odplątywaniem sznurka z latarki, Pawełek popatrzył na psa wesoło zabawiającego się z małpami. Westchnął.

— Chyba mu pozwolę oblizywać się trzy razy dziennie. On to bardzo lubi. Powinniśmy go nosić na rękach, ale nie jestem pewien, czy by mu się to podobało.

Janeczka z czułością przyjrzała się psu, a potem spojrzała na zegarek.

— Spóźnili się już godzinę i dziesięć minut. Na wszelki wypadek dawajmy to wszystko małpom trochę wolniej. Po bardzo małym kawałeczku.

— Bo co?

— Bo jak nam się skończy całe jedzenie, a oni jeszcze nie nadjadą, mogą się na nas obrazić. I zaczną rzucać kamieniami jak te arabskie dzieci...

Pani Krystyna z panem Krzakiem nadjechali spóźnieni o godzinę i czterdzieści minut. Pani Krystyna była trochę blada, bo pan Krzak nadrabiał spóźnienie i wszystkie zakręty przechodził kontrolowanym poślizgiem. Mniejszą ulgę sprawił jej widok dzieci całych i zdrowych niż myśl, że teraz już nie będzie trzeba się spieszyć.

Dzieci na widok samochodu podniosły się dość niemrawo i niedbale wysypały z torby na ziemię resztki bułek i owoców.

— No proszę, mówiłem, że im się nic nie stanie! — zawołał wesoło pan Krzak. — No i jak? Zwiedziliście wąwóz dokładnie?

— Bardzo dokładnie — odparł z przekonaniem Pawełek, wsiadając do samochodu. — Wszystko wiemy i więcej tu przyjeżdżać nie musimy.

— Bardzo męczące to zwiedzanie — dodała Janeczka i westchnęła. — Teraz będziemy się zajmować wyłącznie zwiedzaniem wypoczynkowym.

* * *

W środę rano na dnie kamieniołomu odbywała się normalna praca. Jedna pusta ciężarówka czekała na załadowanie, jej kierowca drzemał na przyłbie piasku.

Dwóch robotników z łopatami, siedząc na stosie kamieni, paliło papierosy i popijało coca-cola. Dwóch innych ludzi gawędziło w cieniu dużego baraku, a trzeci zląził ze zbocza od strony slumsów. Poza tym nie było nikogo i nie działo się nic.

Janeczka i Pawełek zbliżali się do dziury powoli i niedbale, przykucając co chwila i symulując zabawę kamieniami. Ten schodzący ze zbocza popatrzył na nich. Patrzył dość długą chwilę i nawet się zatrzymał. Potem jednak uznał widocznie, iż nie są godni uwagi, bo ruszył dalej, nie spoglądając w ich kierunku.

Na wszelki wypadek zaczekali, aż zszedł na sam dół i zniknął za barakiem, tam gdzie ci dwaj gawędzili. Dopiero, kiedy stał się niewidoczny, podeszli te kilkanaście kroków dalej.

Dziura wyglądała jak przedtem, nic się w niej nie zmieniło. Czarnowłosa Janeczka w długiej, kwiciastej, czerwonej spódnicy i wypuszczonej na nią bluzce posiedziała trochę przy wejściu. Czarnowłosa Pawełek w długich spodniach i przeraźliwie pomarańczowej koszulce przyjrzał się w skupieniu miejscu, gdzie na wielką bułę zachodziła skała, tworząca kształt litery S. Pogrzebał trochę w żwirze i piasku na dnie, stwierdził, iż najwłaściwszym miejscem dla umieszczenia ładunku wybuchowego jest podnóże brzucha, sprawdził, czy ma dość przestrzeni dla rozciągnięcia lontu, z zadowoleniem kiwnął głową i wyszedł na zewnątrz.

— Wynosimy się stąd — powiedziała półgłosem Janeczka. — Po pierwsze ten z szopy nas podgląda, a po drugie poznałam tego, który schodził z góry.

Podskakując, podbiegając po kilka kroków i wciąż udając, że się bawią, ruszyli ku wyjściu z kamieniołomu.

— Po pierwsze, skąd wiesz, że nas podglądają, a po drugie, kto to był ten z góry? — spytał przyciszonym głosem Pawełek.

— Chaber powiedział o tym z szopy. A ten z góry... Od razu wiedziałam, że go znamy, i przypomniałam sobie skąd. To był ten, któremu tamten z krzywym okiem dawał znaki na suku w Mahdii. Ten starszy, który wyszedł jako drugi z gałganiej budy.

Pawełek przez chwilę wygrzebywał z zakamarków pamięci twarz i sylwetkę Araba z Mahdii.

— A ten co tu robi? — skrzywił się z niechęcią. Znow się czają, żeby coś ukraść?

Jeszcze tylko tego nam brakowało!

— Właśnie się zastanawiam, czy by ich jakoś nie zniechęcić. Zamieszanie ze złodziejami na pewno nam przeszkodzi, a poza tym zajmą dziurę.

— W jakim sensie zajmą?

— Pochowają tam kradzione rzeczy. Ten z okiem na pewno znów coś ukradnie dla siebie, tak jak poprzednio. Teraz tam nic nie leżało?

— Nic, ale nie patrzyłem na ślady. Nie jestem pewien, czy były tylko stare, czy też może jakieś nowe. Ty masz rację, że dobrze by było ich przepłoszyć, ale nie wiem jak. Przecież nie pójdziemy ich namawiać, żeby to przełożyli na kiedy indziej,

— Sprowadzić tu tego pana Hakima. Co o tym myślisz? Przy nim nie ośmielią się kraść,

— No rzeczywiście, za to przy nim będę robił wybuch! Jeszcze czego!

— Masz rację, też źle. Może płatać się tam na górze koło ich magazynu?

— Żeby nas rozpoznali? Co cię napadło, że masz jakieś takie samobójcze pomysły?

— No nie wiem. Jestem zdenerwowana. Coś mi się nie podoba, ale nie wiem co. Na wszelki wypadek nie rób wybuchu, dopóki ten z Mahdii stąd nie odjedzie.

— A skąd będziemy wiedzieli, kiedy odjedzie?

Janeczka zatrzymała się nagle jak wryta.

— Wiesz, że ja naprawdę mam jakieś zaćmienie umysłowe — powiedziała z irytacją. — Jak można było...! Oczywiście, że musimy to wiedzieć! Chaber!

Pawełek z miejsca zawrócił. Nie symulując już żadnej zabawy, biegiem dopadli kamieniołomu. Kryjąc się za przyzami żwiru i odłamkami skał, dotarli w pobliże szopy. Mieli szczęście, człowiek z Mahdii, który przedtem rozmawiał za barakiem z tamtymi dwoma, teraz zaglądał właśnie do szopy. Ukryci po drugiej stronie czekali na jego odejście. Janeczka najcichszym szeptem udzielała instrukcji psu.

— Chaber, ten! Zapamiętaj go, piesku. To człowiek z Mahdii, człowiek z Mahdii. Gdzie człowiek z Mahdii?

Chaber, który każde słowo rozumiał doskonale, spojrział z wyrzutem i wyciągnął pysk w stronę człowieka z Mahdii...

— Tak, to ten. Dobry piesek. Zapamiętaj go! Człowiek z Mahdii...

— Dobra, teraz już nam nie zginie, chyba żeby pofrunął w powietrze — szepnął Pawełek. — Szkoda, że nie można mu oderwać kieszeni, ale i tak on go znajdzie. Wracamy?

— Zaraz. Popatrzmy, dokąd stąd pójdzie... Człowiek z Mahdii opuścił szopę po kwadransie i odszedł tą samą drogą, jaką tu przyszedł, wdrapując się po zboczu. Janeczka jeszcze raz pokazała go psu.

— Warto by było od razu pójść za nim chociaż kawałek! — westchnął z żalem Pawełek.

— Pewnie że warto, ale nie da rady. Musimy przed obiadem zmyć z siebie te arabskie kolory...

Usuwanie charakteryzacji stanowiło tym razem kłopot straszliwy, ponieważ pani Krystyna była w domu. Dopiero po licznych wysiłkach i długim czatowaniu udało im się przeniknąć do łazienki, gdzie z konieczności spędzili prawie cały czas aż do przyjazdu ojca.

Zaraz po obiedzie spadł deszcz, taki sam jak poprzednim razem, i sirocco skończyło się definitywnie. Zrobiło się odrobinę chłodniej. Pani Krystyna poszła z wizytą do Węgierki, a potem obie razem postanowiły wybrać się do miasta, żeby kupić kordonku do haftów.

— Uczerniamy się? — spytał Pawełek, patrząc na wychodzącą matkę.

— Nie mam już siły! — jęknęła Janeczka. — Może jeden raz, wyjątkowo,

chodźmy jako my. Ostatecznie, we własnej osobie pokazujemy się rzadko!

— To nie wiem, po co mam lecieć taki kawał. Moglibyśmy pojechać z matką pod osiedle dostojników. Stamtąd jest o wiele bliżej.

Janeczka zerwała się z miejsca.

— Chaber, goń mamusię! Niech zaczeka!

Chaber pomknął na ulicę i zdążył zawiadomić wsiadającą do samochodu panią Krystynę, że dzieci mają do niej jakiś interes. Dojechali do miasta, pani Krystyna skrzyła na peryferie i wysiedli u podnóża osiedla dostojników. Stąd do slumsów i kamieniołomu był już niewielki kawałek drogi.

Nie musieli złązić z boczem kamieniołomu w dół, ponieważ Chaber wyłowił ślad człowieka z Mahdii już na górze. Poszedł tym śladem między nędzne, brudne lepianki. Nie pchali się za nim, patrzyli z daleka, Chaber zaś, jakby rozumiał, że nie należy się zbytnio pokazywać, skradał się i krył z nadzwyczajną zręcznością, oglądając się na nich tylko od czasu do czasu.

— Głupio robimy beznadziejnie — stwierdził Pawełek z niezadowoleniem. — To tam, gdzie ostatecznie możemy się pętać bez niczego, byliśmy przebrani, a tu, gdzie koniecznie powinniśmy być przebrani, to nie. Wszystko odwrotnie.

— Może i lepiej, że nie. Jeszcze by kto coś do nas powiedział.

— No i cóż takiego, odpowiem mu harła balia i dobrze. Ale, słyszałem nowe słowo. Jakieś takie ajtla hrajtla, czy coś w tym rodzaju. Mogę z nim gadać do upojenia.

— Lepiej patrz, co Chaber pokazuje. Ten z Mahdii był w domu złodzieja z krzywym okiem. Posiedział u niego trochę, a potem poszedł tam. I tam.

— Do trzech domów. Wszystko złodzieje...?

— Niekoniecznie, mógł chodzić do różnych ludzi z wizytą dla niepoznaki. No, dalej!

Chaber opuścił slumsy i ruszył w dół.

— Wygląda na to, że stąd poszedł do miasta — zauważył Pawełek, biegnąc za psem.

Człowiek z Mahdii pokręcił się po ulicach, odwiedził kawiarnię, był w sklepie z jakimiś chemikaliami, po czym wszedł do budynku mieszkalnego. Musiał tam siedzieć dość długo i wyjść niedawno, bo Chaber ożywił się wyraźnie, co oznaczało, że trafił na najnowszy, świeżutki ślad. Przebiegli za nim niewielki kawałek, wplątali się w małe, stare uliczki i nagle zabawa uległa zakończeniu. Trop znikł. Chaber powęszył w miejscu, pokręcił się na skraju chodnika i usiadł, niespokojny, zdenerwowany i zawstydzony. Przepraszająco spojrzał, na Janeczkę.

— W złą godzinę wymówiłeś, że pofrunie w powietrze — powiedziała zgryźliwie do brata, pocieszając psa.

— Odjechał stąd samochodem — zmartwił się Pawełek. — Ale to może oznaczać, że już pojechał do Mahdii. Znaczy, mamy go z głowy.

— Zapamiętajmy sobie ten dom, gdzie siedział najdłużej i możemy wracać.

— Dobrze by było trafić na matkę. Nie musielibyśmy lecieć taki kawał.

— To idźmy przez miasto. One pojechały do sklepów z niemi. Tak prędko stamtąd nie wyszły, nie ma obawy. Zresztą... Chaber, teraz szukamy mamusi!

Samochód, panią Krystynę i Węgierkę odnaleźli w ostatniej chwili, w ostatnim sklepie, już wychodzące. Razem z nimi wrócili do domu.

Chaber wyskoczył z samochodu pierwszy. Już miał ruszyć do przejścia między ogrodzeniami, kiedy nagle zatrzymał się i skamieniał. Obrócił się w kierunku zamykającego ulicę placu, w kierunku toru kolejowego, sąsiedniego osiedla, szosy, cmentarza i wielkiej góry. Warknął cichutko, spojrzał na Janeczkę, podbiegł kilka kroków i wystawił zwierzynę.

Janeczka i Pawełek na moment znieruchomieli. Wyciągająca z samochodu paczki pani Krystyna na szczęście nic nie zauważyła. Obie z Węgierką zeszyły z jezdni do przejścia.

— Spokój, Chaber! — powiedziała cicho Janeczka. — Dobrze, już wiemy. Czekaj...

— Róbmy cokolwiek, bo on się połapie — szepnął niespokojnie Pawełek. — Gdzie on w ogóle jest? Bawmy się w coś!

— Leć do domu po piłkę!

W chwilę potem Pawełek wybiegł znów na ulicę, podrzucając piłkę. Janeczka siedziała w kucki obok psa i udawała, że mu poprawia obrozę.

— Człowiek z Mahdii — szepnęła mu do ucha. — Pokaż go! Ostrożnie! Kryj się!

Chaber z miejsca poszedł wprost w stronę toru kolejowego. Prawie tuż za torem, przed następnym osiedlem, znajdował się mały parking. Stał na nim tylko jeden samochód, bo wszyscy mieszkańcy osiedla byli w pracy. Wystawiwszy ponownie zwierzyne, pies przypadł za kępą wysokich ostów.

Z samochodu wysiadł jakiś człowiek, zatrzymał się, popatrzył i poszedł wprost ku nim.

— Rany, to on! — wymamrotał Pawełek. — Grajmy w tę piłkę!

Przez chwilę rzucali piłkę wzajemnie do siebie, gubiąc ją ustawicznie, bo nie mieli siły nie spoglądać na tego człowieka. Przebiegli przez placyk, zwolnili, zatrzymali się i przysiedli na stosie leżących tam jakichś betonowych elementów konstrukcyjnych. Janeczka zaczęła wytrzępywać piasek z sandała. Pawełek odbijał piłkę o asfalt.

Człowiek z Mahdii przeszedł przez tor i zbliżył się do nich. Zatrzymał się w odległości kilku kroków i stał, przyglądając się im. Usiłowali udawać, że go nie widzą, ale w końcu stało się to niemożliwe. Spojrzeli zatem, wszelkimi siłami starając się uczynić to obojętnie i z roztargnieniem.

Człowiek postąpił ku nim jeszcze jeden krok.

— He! — powiedział, czyniąc gest dookoła głowy. — Czarne włosy!

Powiedział to po francusku, ale wątpliwości nie mogło być najmniejszych. Janeczka i Pawełek zdrętwieli. Zrobiło im się równocześnie zimno i gorąco.

— Czarne włosy i niebieskie oczy — powiedział człowiek i roześmiał się. — I pies. Gdzie wasz pies?

Janeczka doskonale wiedziała, gdzie jest ich pies. Chaber przemknął właśnie pomiędzy wysuszonymi zielskami i skrył się za stosem betonowych płyt. Pilnie uważała, żeby nie spojrzeć w tamtą stronę. Pawełek przestał klepać piłkę i trwał w bezruchu.

— Coście robili tam? — spytał człowiek jakoś pobłaźliwie i jakby trochę drwiąco. — Czego chcecie? Ja wiem wszystko!

Rozumieli go tak, jakby mówił po polsku. Gapili się na niego bez słowa. Człowiek zmarszczył lekko brwi.

— Zaglądać tu, zaglądać tam... Co chcecie zobaczyć? Co chcecie znaleźć! Mówię wam, ja wiem wszystko! A wy nie będziecie wiedzieć nic!

— A chała — powiedział nagle Pawełek zuchwale i przeszedł na język francuski. — My wiemy więcej!

— Co? — zdziwił się człowiek, jakby trochę zaskoczony.

— Zgłupiałeś — powiedziała ze zgrozą Janeczka.

W Pawełka wstąpił nagle duch szaleństwa.

— Co tam...! My wiemy więcej. Pan nie wie, że jeden złodziej kradnie dla siebie samego. I potem kupić-sprzedać dla siebie... Zaraz. Ty, jak to będzie „oddzielnie”?

— Separement... — wyszeptała Janeczka.

— O, właśnie. On kradnie oddzielnie. My to wiemy, a pan nie wie! Pan nic nie

wie!

Człowiek z Mahdii stał jak skamieniały i ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się Pawełkowi.

— Jaki złodziej?— spytał po chwili.

— Z jajkiem — odparł Pawełek. — O rany, nie. Z oczami. No...!

Rezygnując z obcego języka, ściągnął lekko w dół kącik prawego oka i wciągnął policzki, pokazując chudą twarz. Człowiek z Mahdii poruszył się gwałtownie.

— He! — krzyknął groźnie.

Pawełek patrzył na niego wyzywająco i z determinacją. Janeczka zdecydowała się wtrącić.

— Tak, proszę pana — rzekła grzecznie. — To prawda. On dobrze mówi.

Człowiek z Mahdii przyglądał im się jeszcze przez długą chwilę z wyraźnym namysłem. Twarz mu nagle złagodniała.

— Dziękuję, moje dzieci — powiedział dobrotliwie i łagodnie. — Rzeczywiście wiecie więcej. Ale będzie lepiej dla was zostać tu, w domu. Nie szperajcie już nigdzie. Do widzenia.

Odwrócił się i odszedł. W kamiennym milczeniu patrzyli, jak przeszedł przez tor i wsiadł do samochodu. Samochód ruszył i znikł pomiędzy domkami, w ulicze osiedla.

Janeczka odwróciła się do brata.

— Czy ci coś na umysł padło? — spytała z irytacją. — Jakiś fijoł cię opętał czy co?

— A co, miałem mu powiedzieć, że szukamy skarbu, tak? — odparł Pawełek zgryźliwie i chmurnie. — Rozpoznał nas przecież, nie? Kurczę flak! Jeżeli wie coś o skarbie, trzeba go było zmylić. Pomyślałem, że jedyna rzecz, to namącić tymi złodziejami!

Janeczka otworzyła usta i zamknęła je. Zastanawiała się intensywnie przez całe pół minuty.

— Jeżeli wie coś o skarbie, zrobiłeś bardzo dobrze — rzekła wreszcie z wahaniem.

— Ale jeżeli o skarbie nie ma pojęcia, a za to należy do złodziejskiej szajki...

— Głowę daję, że należy do złodziejskiej szajki...

— To nie wiem, czy nie lepiej od razu jechać do Wąwozu Małp i tam się zamknąć do końca wakacji. Już nawet Chaber nie da rady...

— Pojechał do Mahdii — przerwał Pawełek, wciąż pełen zuchwałej determinacji.

— Wywalamy kamień dzisiaj w nocy, zabieramy skarb i w nogi!

— Jak w nogi, gdzie w nogi?! Gdzie się mamy podziać?!

— Byle gdzie, ta Algieria jest bardzo duża...

— Na piechotę pójdziemy na pustynię i tam się zagrzebiemy w piasku, tak?!

Pawełek zreflektował się nieco. — No nie... Do Polski też nie, ja jeszcze nie chcę wracać. Zmarnowałyby się nam wakacje... Zabierzemy skarb i schowamy gdzieś! Nic nam nie będą mogli udowodnić!

— W takim razie musimy jeszcze raz umyć głowę — rzekła zimno Janeczka po chwili milczenia. — Żeby nie było śladu tego czarnego. I będziemy się wypierać, nie było tam nas, tylko jakieś arabskie dzieci.

— Dobra, ale w końcu możliwe jest, że oni o skarbie nie wiedzą!

— Zrobisz ten wybuch szeptem? — Co...?

— Pytam, czy ten wybuch tak się odbędzie, że nic nie będzie słychać. Bo inaczej przyleci tam całe miasto i każda ślepa niedojda zobaczy, że coś tam było.

— Ale nie będą wiedzieli, co było, jeżeli zdążymy to zabrać.

— A jeżeli nie zdążymy...?

Pawełek przez chwilę w milczeniu pocierał brodą piłkę.

— No trudno. Ryzyk–fyzyk. Co tam, niech im nawet coś zostanie, taki potwornie chciwy to ja nie jestem. Grunt, żeby zatrzeć wszystkie ślady, żeby nie było dowodu, że to my. A potem już będziemy rozsądni do obrzydliwości i nic nam nie zrobią.

Janeczka nie była pewna, czy nic im nie zrobią. Przeciwnie, uważała, że postarają się zrobić im możliwie dużo. Rezygnacja z poszukiwań skarbu nie wchodziła jednakże w rachubę, w końcu po to tu przecież przyjechali. Pawełek miał rację, najrozumniej było załatwić sprawę od razu...

— Dobrze — powiedziała stanowczo i podniosła się z betonu. — Bierz się za ten lont, bo do wieczora musi wyschnąć. Odwalamy sprawę dzisiaj w nocy i nie ma gadania!

* * *

Świecące na niebie, trochę zamazane pół księżycyca oświetlało ziemię całkiem znośnie. Było późno, dochodziło wpół do trzeciej w nocy. Chaber penetrował teren, Janeczka i Pawełek, przytuleni do skały, czekali na jego informacje.

Nie zdołali dotrzeć tu wcześniej, bo do rodziców przyszli goście i siedzieli do północy. Potem pani Krystyna jeszcze zmywała i porządkowała, i dopiero blisko wpół do drugiej zyskali pewność, że matka i ojciec wreszcie śpią. Wymknęli się przez furtkę, zamykając ją za sobą i zabierając klucz. Janeczka trochę się wahała, czy tak będzie dobrze, ale Pawełek był zdecydowany.

— Tylko by tego brakowało, żeby nas przy tej okazji okradli. Jak zostawimy otwarte, okradną, mur beton. Wolę już wszystko inne...

Chaber wrócił i poinformował, że nikogo nie ma. Widocznie mieszkający w szopie cieć był mało obowiązkowy i lekceważył bezpieczeństwo pilnowanej placówki. Śmieiej ruszyli w kierunku dziury.

Lampę na wszelki wypadek wzięli ze sobą, ale w dziurze Pawełek wolał świecić latarką elektryczną. Duża, szczelnie wypchana, plastikowa torebka napędzała go lekkim niepokojem, wypełniając ją ingrediencje zostały bowiem zracjonalizowane i uzupełnione pewnymi dodatkami. Niesiony cały czas w wyciągniętej ku górze ręce lont dotarł na miejsce w doskonałym stanie.

Weszli do dziury obydwój, Chaber pilnował na zewnątrz. Janeczka świeciła, Pawełek przystąpił do montowania urządzenia wybuchowego. Wypchaną plastikową torebkę zawiązał ściśle i porządnie. Reszta plastiku tworzyła dookoła zawiązanego miejsca szeroką, pofałdowaną kryzę, do której wetknął koniec lontu, jeszcze raz mocno zawiązując. Wygrzebawszy spod wypukłego brzucha trochę żwiru, dogrzebał się do litej skały i dał spokój. Ulokował torebkę dokładnie w miejsca zetknięcia się brzucha z nachodzącą nań skałą, u samego podnóża litery S. Metr lontu wyprostował w głąb dziury, po czym w skupieniu obejrzał swoje dzieło.

— No, to by było to! — rzekł dumnie. — Jak tu gruchnie, to nie ma siły, ten kamień musi się odwalić. Poczekaj w wejściu, a jak zapalę, od razu leć. Żebyś nie wpadł na ciebie, jak też będę wylatywał.

Janeczka cofnęła się ku wyjściu z dziury, tuląc do piersi torbę z lampą. Pawełek zapalił zapalnik i przytknął ją do końca lotu. Ogień chwycił od razu, wesoły płomyk ruszył po bawełniano–akrylowym sznurku, cichutko potrzaskując.

Nie zwlekając ani sekundy, Pawełek skoczył do wyjścia. Janeczki już tam nie było, biegła w stronę wyjazdu z kamieniołomu, szeptem wzywając psa. Pawełek spojrzawszy przez ramię, dostrzegł podskakujący płomyk i pognął za siostrą.

Upatrzone bezpieczne miejsce znajdowało się jakieś trzydzieści metrów dalej, za wystającym odłamek rzetelnej skały. Dopadli go w mgnieniu oka. Pawełek wyrwał

siostrze latarkę i oświetlił zegarek. Przykucnęli, Janeczka przytuliła do siebie Chabra.

— Jedenaście — szepnął Pawełek. — Ileśmy tu lecieli? Pięć sekund niech będzie... To już osiemnaście. Dwadzieścia...

Razem wpatrywali się w oświetlony elektryczną latarką sekundnik. Wskazówka laża jak za pogrzebem.

— Trzydzieści pięć — mamrotał niebotycznie przejęty Pawełek. — Do domu byśmy zdążyli dolecieć, trzeba było zrobić krótszy lont. Czterdzieści...

Kiedy minęła minuta i dziesięć sekund, emocja osiągnęła szczyty. Pawełek wsparł na kolanach obie ręce, i tę z zegarkiem, i tę z latarką, żeby mu się nie trzęsły. Napięty, sprężony, zeszywniały Chaber próbował wyzwolić się z trzymających go objęć, Janeczka przycisnęła go do siebie mocniej.

— Minuta piętnaście, minuta szesnaście — liczył Pawełek zduszonym szeptem. — Siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście...

Przy dwudziestu ośmiu przestał liczyć. Podniósł głowę, zdezorientowany i niespokojny.

— Co jest...? Mogłem się rąbnąć o pięć sekund, ale przecież nie o tyle...

W dziurze wesoly płomyk podskakiwał, zatrzymywał się i znów ruszał przed siebie. W chwilach zatrzymywania ściągał ku sobie nie objętą jeszcze ogniem część sznurka. Ściągał tak silnie i tak uporczywie, że umieszczona na lekkiej pochyłości, śliska, plastikowa torebka nie oparła się i zjechała kawałek. Potem zjechała jeszcze następny kawałek i w ten sposób przesunęła się o przeszło dziesięć centymetrów. Leżała teraz nie pod wypukłym brzuchem, a niejako na otwartej przestrzeni.

Wesoly płomyk dotarł wreszcie do rozcapierzonej kryzy z plastiku. W mgnieniu oka plastik zaskwierczał, zwęglił się i utworzył twardą, nieprzeniknioną kulę. Pawełek nie przebierał w torebkach, wziął pierwszą z brzegu. Trafił akurat na taką, która nie buchała płomieniem, tylko zwęgląła się, kurcząc.

Płomyk, natknąwszy się na zwęgloną kulę, nie miał żadnych szans. Nie zdołał przebić się do wnętrza rzetelnie zaciśniętej torebki, a guli żadna siła na świecie nie potrafiłaby zapalić. Stłamszony kompletnie, najzwyczajniej zgasł.

W bezpiecznym miejscu pod skałą, oszołomiony, zdumiony i oburzony Pawełek przysiadł na piętach. Janeczka zaczynała poszczekiwać zębami. Chaber wyrывa} jej się z całej siły.

— Dwie minuty i pięć sekund — wyszeptęła. — Niemożliwe, żeby się palił tyle czasu! Co to ma znaczyć?

— Nie wiem — odszepnął nerwowo Pawełek. — Poczekajmy jeszcze. Może mu coś... O rany, trzymaj psa! Niech on tam nie leci!!!

— Chaber...!!!

Chaber uwolnił wreszcie łeb z roztrzęsionych ramion swojej pani i wyskoczył spod skały. Od razu przypadł do ziemi. Janeczka i Pawełek dzikimi sykami wzywali go do powrotu. Pokiwał przepaszająco ogonem, ale nie wrócił, przeciwnie, skradając się i pełznąć podążył w głąb kamieniołomu. Janeczka już poderwała się, żeby biec za nim, ale nagle opadła na kamienie z powrotem.

— Czekaj, on przecież wszystko wie! Jeżeli tam poszedł, to znaczy, że wybuchu nie będzie!

Pawełek zgasił latarkę, nie warto było patrzeć na zegarek. Milczał przez chwilę.

— Chyba on zgasł, ten podlec skończony — szepnął z rozgoryczeniem. — Kurczę blade... Nie mam drugiego lontu. O rany, ale przecież nie możemy tego tam zostawić!

— Dlaczego? Jak zgasło, to niech sobie leży. Jutro przyjdziemy z drugim lontem...

— No coś ty?! Nie daj Boże, jeszcze tam kto rzuci zapalną! Albo walnie czymś, od

walnięcia to wybuchu jeszcze lepiej! Rany kota, zdaje się, że zrobiliśmy drugą pułapkę, jeszcze lepszą niż tamta! Trzeba po to iść...!

Janeczka chwyciła brata za rękaw.

— Czekaj, nie wygłupiaj się! Nie chodź, będzie jak w Wąwozie Małp! Czekaj, niech ja się zastanowię...! Nikt tam nic nie rzuci tak zaraz, jutro jest wolna sobota, to znaczy, chciałam powiedzieć wolny czwartek! Jutro tu nie pracują!

— Ale w poniedziałek przyjdą! Znaczą, w sobotę! Nie mogę tego tam zostawić! To jest piguła na byka!

— No dobrze, ale do poniedziałku masz czas!

— Do soboty...

— Wszystko jedno! Masz czas, nie możesz tam iść inaczej, jak tylko z Chabrem.

— Słusznie... O rany, gdzie ten pies?! Gdzie on poleciał?!

W tym momencie Chaber pojawił się z powrotem. Przyniósł wiadomości po prostu przerażające. Całym zachowaniem, całym sobą, informował, że w kamieniołomie są ludzie. Idą i już są blisko, i w ogóle wszystko jest okropnie nie w porządku...

Nie sposób go było nie zrozumieć. Pawełek wydał z siebie rozpaczliwy jęk. Janeczka poczuła zimny dreszcz na plecach. Jeżeli ci ludzie wiedzą o skarbie, jeżeli też na niego czatują, jeżeli wejdą do dziury...

Z wysiłkiem zdobyła się na odrobinę zdrowego rozsądku.

— Jeżeli wejdą do dziury, to przecież nie po ciemku! — szepnęła niepewnie. — Będą świecić i zobaczą to. Połapią się, to tak wygląda...

— To nijak nie wygląda, to wygląda jak brudny piasek! I w dodatku leży wepchnięte pod tę bułę! Mogą wcale nie zauważyć!

— No więc nie można pozwolić, żeby tam weszli! Zatrzymać ich, nie dopuścić do dziury! Spójrzmy w ogóle, co się tam dzieje...

Na czworakach wychylili się zza skały. W świetle księżycy ujrzeli najpierw dwie sylwetki, z których jedna podbiegła właśnie do szopy, a druga zjeżdżała po zboczu. Potem, przyjrawszy się pilniej, dostrzegli trzecią, bliżej wjazdu, tulącą się do kamieni u podnóża. Chaber zawiadamiał, że gdzieś dalej jest jeszcze ktoś.

Tkwiąc w czarnym cieniu skały, Janeczka i Pawełek czekali w napięciu. Druga sylwetka zjechała po zboczu na dno i szybko przemknęła do szopy, znikając w jej wnętrzu. Ten przy wyjeździe na moment wsunął się w plamę światła i dał jakiś znak ręką. Ze zbocza, kryjąc się w cieniu, zaczęły zsuwać się dwie następne osoby.

Chaber powęszył, pokręcił się niespokojnie i nagle znikł. Zdenerwowanie i napięcie swoich państwa wyczuwał bezbłędnie i wiedział nawet, że jest ono zupełnie inne niż tamto poprzednie, kiedy siedzieli pod skałą, nie pozwalając mu się ruszyć. Zbliżający się ludzie byli obcy, nieprzyjaźni, pełni wrogich uczuć i złych zamiarów. Rzecz należąca do państwa została w dziurze i ich obecne zdenerwowanie było z tym ściśle związane. W psim sercu tkwił kategoriyczny, bezwzględny nakaz obrony przedmiotu należącego do państwa...

Dwie zjeżdżające ze zbocza sylwetki znalazły się już na dole i biegły ku szopie. Trzecia pędziła od strony wjazdu. Zza szopy wyskoczył nagle jeden z tych, którzy tam weszli wcześniej, zatrzymał się gwałtownie, przywarował w cieniu. Trzech ludzi dopadło szopy od jednej strony, z drugiej oderwał się od niej kryjący się w cieniu człowiek i popędził prosto ku dziurze. W rękach coś trzymał. Janeczka i Pawełek poderwali się, chcieli coś krzyknąć, ale zabrakło im głosu. Człowiek dopadł dziury i nagle zatrzymał się jak wryty, ze zdławionym okrzykiem.

Z mroku przed dziurą wyszczerzyły się zniecka ostre, białe zęby, a uszu jego dobiegł głuchy, złowieszczy, groźny warkot.

Człowiek skamieniał. Zęby lśniły morderczą bielą, a warkot ostrzegał. Chaber na ogół nie miał najmniejszego zamiaru rzucić się na kogokolwiek bez potrzeby, ale tym

razem był zdecydowany na wszystko. Wyraźnie zawiadamiał, że dopóki jest żywy, tutaj nie wejdzie nikt.

Janeczka i Pawełkowi zabrakło nie tylko głosu, ale nawet i oddechu. W panującej dookoła ciszy wszystkie dźwięki rozlegały się niezwykle wyraźnie. Wściekły warkot psa przeraził ich do szaleństwa, nie dlatego, że Chaber miałby poszarpać człowieka, ale z obawy, że człowiek mógłby zrobić coś złego psu. Nie bacząc na nic, Janeczka już ruszyła, żeby z narażeniem życia lecieć mu na ratunek, kiedy z szopy wypadło dwóch ludzi. Runęli prosto ku tamtemu, zamartwemu przed dziurą, ktoś krzyknął coś przeraźliwie po arabsku. Tamten obejrzał się, zawahał i rzucił do ucieczki w głąb kamieniołomu. Dwaj goniący dopadli go, skotłowali się wszyscy, rozległy się krzyki, coś błysnęło...

Dwóch ludzi stało na nogach, trzeci leżał na ziemi...

Janeczka i Pawełek sens oglądanej sceny odgadli bez najmniejszych wątpliwości. Ludzie byli zajęci sobą. Z dziką determinacją, kryjąc się w cieniu zbocza, Janeczka przemknęła ku dziurze.

— Chaber!!! Już!!! Dostyc, nie trzeba!!! Chodź...!!! Pies zrozumiał, że nastąpiła zmiana. Na pozostałym w dziurze przedmiocie jego pani najwidoczniej już nie zależy, można go nie bronić. W mgnieniu oka znalazł się przy Janeczce, w następnej chwili byli już razem przy Pawełku. Pawełek nie zwlekał ani sekundy, bez słowa runęli przed siebie, od razu skręcając w bok, za podnoszącą się krawędź kamieniołomu.

Zatrzymali się dopiero na szosie. Ciężko dysząc, przysiedli w rowie. Chaber nawet nie był zziębnięty, obiegał ich dookoła, czujnie trzymając straż.

— No, to dopiero teraz... za skarby świata... nie możemy, się przyznać... że był tam... chociaż... kawałek nas... — odezwała się Janeczka przerywanym głosem. — Niech nas ręka... boska broni...!!!

— Akurat! — prychnął Pawełek, łapiąc oddech. — Nie przyznać się...! Dobrze wiesz, że to my! Chaber im się zaprezentował w całej okazałości...!

— Głupi jesteś, pokazał się tylko temu jednemu! A ten jeden jest zabity, słowa nie powie! Tamci go nie widzieli!

— Niemożliwe, warczał jak orkiestra! Co w tego psa wstąpiło?!

— No jak to co, ty! Zabrać to z dziury i zabrać to z dziury! Co ty myślisz, że on tego nie rozumie?! Bardzo dobrze wiedział, że w dziurze jest coś, co koniecznie chcesz zabrać!

— Rany, to już rozmawiać przy nim nie można?!

— Można przy nim rozmawiać rozumnie, ale nie głupio! Poza tym, kto powiedział, że to był Chaber? Tu jest pełno psów, wszędzie się płaczą! Chaber w tej chwili śpi w domu, razem z nami.

— No faktycznie. I tylko sny mamy takie więcej okropne. ..

Wydyszali już z siebie szaleńczy galop i oddech im się trochę uspokoił. Janeczka oparła łokcie na kolanach i brodę na rękach. Pawełek zsunął się nieco niżej i wsparł łokciami za sobą.

Chaber ułożył się przy nich na poboczu szosy.

— Nie możemy wrócić do domu, dopóki się nad tym wszystkim nie zastanowimy — rzekła Janeczka w zadumie po długiej chwili. — Nie wiadomo, co może być od rana.

— W każdym razie zastanawiamy się prędzej, bo ojciec wyjdzie i zobaczy, że jest zamknięty — mruknął Pawełek. — Nie wiem, czy przelezie przez ogrodzenie.

— Coś ty, głupi? Śladu nie może być, że nas nie było. Słuchaj, jeżeli ktoś jest zabity, to to jest ten z okiem...

Pawełek wyprostował się gwałtownie.

— Jeżeli zabili tego z okiem, to nie ma siły! Nikt inny mu się nie przysłużył, tylko my!

— Od razu zacznij się do tego przyzwyczajać. Jestem pewna, że tak właśnie było. Człowiek z Mahdii przyjechał jeszcze raz...

Pawełek jęknął bardzo cicho i przybrał taką samą pozycję jak Janeczka.

— Kurza twarz! Ale się znalazł szybki Bill...

— Człowiek z Mahdii chwalić się tym nie będzie, nie ma obawy. Ale jeżeli nie uważa nas za niedorozwinięte głąby, doskonale wie, że my wiemy to, co on. To jak myślisz, co będzie?

— Prosta sprawa, łby nam poukręca, zanim się zdążymy obejrzeć.

— Ale może nie wiedzieć, że myśmy to widzieli, i w ogóle może myśleć, że nic o tym nie wiemy. Nie wiemy, jak się nazywał ten z okiem, i nie wiemy, jak się nazywa człowiek z Mahdii. Możemy go nie rozpoznać.

— To jest niezła myśl, ale czy on będzie wiedział, że go nie możemy rozpoznać?

— Jeżeli ma rozum w głowie, powinien gdzieś zniknąć i w ogóle się nie pokazywać. Ale nie jestem pewna, czy możemy na to liczyć. Jedyna pociecha, że Chaber nas zawsze ostrzeże i zdążymy przed nim uciec. Nie przyjdzie nas chyba zarzynać do naszego własnego domu?

— Nie, powinien nas zamordować jakoś tak, żeby to wyglądało na przypadek. Z tym sobie damy radę. Ale czekaj, bo to nie koniec. Ja mam teraz wyrzuty sumienia.

— Bo co?

— No jak to, w końcu ten z okiem nic mi nie zawinił. A przeze mnie go zabili, nie?

— Przeze mnie też, ja cię poparłam. Ale przecież nie wiedzieliśmy, że człowiek z Mahdii od razu poleci do niego z nożem! Wiedziałaś? Bo ja nie.

— Nawet mi to do głowy nie przyszło... No coś ty, przecież gdybym wiedział, nie powiedziałbym jednego słowa!

— No więc właśnie. Mamy go na sumieniu, owszem, ale nie zasługujemy na to, żeby nas też pozabijać. Najwyżej powinniśmy teraz zadbać o jego żonę i dzieci. Nie wiem, czy on miał żonę i dzieci.

— Albo o staruszkę matkę. Nie wiem, jak zadbać...

— Uważam, że w razie gdybyśmy jednak znaleźli ten skarb, to znaczy, gdybyśmy się wreszcie do niego dostali, trzeba im oddać połowę. Tej żonie i dzieciom albo staruszcze matce. Co ty na to? Pawełek znów jęknął boleśnie.

— Z tym się zgadzam, mogę im oddać prawie cały, nie ma sprawy. Ale nie wiem, czy nie będę miał większych wyrzutów sumienia, jak tam ktoś na tej pigule wyleci w powietrze. Rany, co za potworne komplikacje!

— Co do piguły, ja się już zastanowiłam. Trudno, pójdziemy tam jutro w nocy. Dzisiaj już nie zdążymy. Chaber powie, czy można, i albo przyczepisz drugi lont, albo się ją stamtąd zabierze. Przez dzisiejszy dzień nikogo tam nie będzie, bo jest wolna sobota.

— Wolny czwartek. Nikogo nie będzie, akurat! Trup leży i nikogo nie będzie!

— Nie, czekaj, ja się zastanowiłam. Albo tego trupa wyniosą gdzie indziej, żeby nie rzucać podejrzeń na kamieniołom, albo go zostawią. Jak go zostawią, to co, myślisz, że sami polecą na policję zawiadomić o zbrodni? Musieliby być nienormalni. Więc on sobie tak poleży spokojnie aż do poniedziałku, to znaczy do soboty. A możliwe... Czekaj, przecież to jest kamieniołom! Nic w ogóle nie robią, tylko go przysypią żwirem i tyle. I odkryje go ktoś tam za rok, jak to już będzie szkielet.

— Przy tym tempie pracy mogą go odkryć dopiero za dziesięć lat. Wiesz, że ty masz rację! Owszem, jest szansa... Dobra, idziemy następnej nocy, może mi chociaż ta reszta wyrzutów sumienia odpadnie!

— No, to teraz wreszcie możemy wrócić do domu — stwierdziła Janeczka z ulgą i wyprostowała się. — Tylko musimy iść okrężną drogą, szosą aż do tego drzewa, gdzie robiliśmy próby. Przez osiedle nie możemy, bo tego osiedla pilnuje cieć i mógłby nas zobaczyć...

* * *

— Przychodzi mi do głowy, że ten pies znów okazał się mądrzejszy od nas — rzekł melancholijnie Pawełek, ustawiając krzesła przy stole, na którym Janeczka rozkładała nakrycia do śniadania. — Przecież to on nie dopuścił ludzi do dziury.

— Jednemu już to nie zrobiło wielkiej różnicy — zauważyła Janeczka.

— Jednemu! A masz pojęcie, co by było, gdyby tam wszyscy wpadli? Przy takiej kotłowaninie wyleciałoby w powietrze trzech. Dziękuję bardzo, dla mojego sumienia jeden to całkiem dosyć.

Śniadanie było dość późno, bo wszyscy zaspali. Pan Roman i pani Krystyna rozważali sprawę jakiejś krótszej wycieczki i oglądali przy jedzeniu mapę samochodową Algierii. Siedzieli jeszcze wszyscy przy stole, kiedy ktoś załomotał do furtki i wszedł pan Krzak.

— Okradli Andrzeja — zawiadomił od progu. — Obaj z Rogalińskim mamy ciężkie zmartwienie i nie wiemy, co robić. Rąbnęli mu same kosztowne rzeczy.

Janeczka i Pawełek wzdrygnęli się lekko, a państwo Chabrowiczowie porzucili mapę.

— To chyba Andrzej ma ciężkie zmartwienie, a nie wy z Rogalińskim? — powiedział pan Roman.

— Napijesz się kawy? — spytała równocześnie pani Krystyna. — Właśnie zaparzyłam świeżą.

— Owszem, chętnie, dziękuję. Właśnie, że my, bo Andrzej wczoraj zaraz po obiedzie pojechał do Algieru i zostawił dom na naszej opiece. Zastrzelili tam wieczorem, po powrocie od was i okazało się, że już z głowy. Wyłamali okiennicę, stłukli szybę i cześć pieśni.

— I co mu ukradli?

— Według naszego rozeznania radiomagnetofon, wiertarkę, termowentylator, ekspres do kawy, buty, kurtkę, czajnik i nie wiem, co jeszcze. Maszynkę do golenia chyba zabrał ze sobą. Mamy obawy, że teraz powinniśmy mu to wszystko zwrócić. Operowali swobodnie w godzinach pracy, nikogo nie było, bo Zwijkowa z Ostrowską latały gdzieś po mieście.

— Boże drogi! — wykrzyknęła zmartwiona pani Krystyna.

— Wiecie, że to już zaczyna być nie do zniesienia! — zirytował się pan Chabrowicz. — Dosyć tego terroru, nie możemy się poddawać jak stado owiec! Zaraz, a czy Andrzej miał te rzeczy pozaznaczane?

— A jak? Sam mu pomagałem skrobać wszędzie czterdzieści cztery! Nawet na butach. Właśnie dlatego przede wszystkim przyleciałem do was...

Pan Krzak urwał i niepewnie łypnął okiem na Janeczkę i Pawełka. Państwo Chabrowiczowie również spojrzeli na swoje dzieci, a potem popatrzyli na psa. Chaber, zjadłszy śniadanie, drzemał pod salonowym stołem. Janeczka i Pawełek siedzieli jak mysz pod miotłą.

— Należałoby teraz zawiadomić policję i pójść do meliny — podsunął niepewnie pan Roman. — Ale mieliśmy udawać, że nie bierzemy w tym udziału, żeby uniknąć zemsty, więc nie bardzo wiem, jak to zorganizować.

— Gdzie ten Hakim? — rozłościła się znienacka pani Krystyna. — Podobno się

tym zainteresował, miał tu przyjechać, no i co? Dzieci, co wy na to?

Janeczka i Pawełek zgodnie poczuli, że ten poranek jest jakiś niezwykle gorący. Usilnie starali się nie patrzeć na siebie wzajemnie. Nie spodziewali się tej komplikacji i nie mieli na razie pojęcia, co z tym fantem zrobić. Symulując głęboki namysł, Pawełek zmarszczył brwi i podniósł do ust szklanę z białą kawą...

* * *

Pozostawiona w osamotnionej dziurze wypchana torebka plastikowa leżała sobie spokojnie, prawie dokładnie pod szczeliną wiodącą gdzieś w górę. Co jakiś czas ze szczeliny sypał się żwirek, piasek i drobne kamyczki. Niekiedy odpadały większe kawałki kamienia, odbijały się od ścianek szczeliny rykoszetem i trafiały dookoła. Naruszona już wcześniej skała kruszyła się stopniowo. Gdzieś wyżej odłamał się cały, dość duży blok skalny, zaczął się zsuwać w dół i przecierał sobie drogę. Pod wpływem własnego ciężaru przedarł się wreszcie przez ciaśniejszą część szczeliny i runął w dół. Przeszło sto kilo kamienia nie odbijało się już nigdzie, poleciało prosto i trafiło akurat we właściwe miejsce...

* * *

Coś łupnęło głucho i tak potężnie, że cały domek zadrżał w posadach. Ziemia lekko jęknęła. Odległy grzmot urósł nagle i trwał jakby nad głowami.

— Jezus Maria, co to...?! — krzyknęła pani Krystyna. — Trzęsienie ziemi...?!

Pan Chabrowicz i pan Krzak, zrywając się z miejsca, przewrócili krzesła. Chaber poderwał się z podłogi i pisnął, Pawełek wylał na siebie resztę kawy. Janeczka zamarła, czując, jak robi jej się trochę słabo.

— Co to było, o Boże?! — dopytywała się rozpaczliwie pani Krystyna.

Wszyscy zaczęli mówić równocześnie. Janeczce słabość nagle przeszła, pochwyciła spojrzenie brata, poderwała się. Pawełek wyprysnął od stołu, kapiąc spływającą kawą. Runęli ku drzwiom.

— Dokąd...?! — wrzasnął pan Roman. — Dzieci, stać!!!

— Musimy to zobaczyć! — zawołała Janeczka gorączkowo. — Musimy to zobaczyć natychmiast!

— Co zobaczyć? — zainteresował się pan Krzak. — Gdzie wy chcecie lecieć?

— Wy wiecie, co to było?! — krzyknęła pani Krystyna.

— W kamieniołomie.. — zakwilił żałośnie Pawełek.

— Skąd wiecie, że to w kamieniołomie? — wypytywał natarczywie pan Roman.

— Wcale nie wiadomo gdzie, tylko wyraźnie było słyhać, że to w tamtej stronie!

— A pewnie! W kamieniołomie, mur beton! Musimy tam lecieć!

— Możemy podjechać — zaproponował pan Krzak z wyraźną uciechą. — Skoro oni są tacy pewni, jedźmy wszyscy! Będzie prędzej.

Dwa samochody ruszyły przed wąskiego przejścia jak do pożaru. Pan Krzak prowadził, znał jakąś krótszą drogę. Na ulicach kręcili się zaniepokojeni ludzie, krzyczeli, miotali się i rozglądali dookoła. Wyraźnie było widać, że nikt nie wie, co się stało i gdzie. Pan Krzak, trąbiąc przeraźliwie, przekraczał wszystkie arabskie przepisy ruchu.

U wjazdu do kamieniołomu znajdowały się ledwie trzy osoby dorosłe i kilkoro

dzieci, na zboczu jednak, od strony slumsów, widać było cały tłum. Wszyscy patrzyli z góry i nikt nie miał odwagi zejść na dół. Dwóch jakichś ludzi siedziało w kucki za szopą, wyglądając zza niej ostrożnie. Cały kamieniołom wypełniony był kurzem, który dopiero zaczynał powoli opadać.

Chaber wyskoczył pierwszy, Janeczka i Pawełek zaraz za nim. Pani Krystyna usiłowała ich zatrzymać.

— Daj spokój, pies wywęszy niebezpieczeństwo — powiedział pan Roman, również wysiadając pośpiesznie; — Rzeczywiście, to tutaj. Coś się chyba zawaliło.

Pan Krzak wysiadł ze swojego samochodu i gwizdnął z podziwem. Połowa dna kamieniołomu stanowiła istne rumowisko, w zboczu od góry do dołu widniała wielka wyrwa, z której z szelestem sypał się żwir. Z góry, z wystających skał, wciąż jeszcze spadały jakieś odłamki. Janeczka i Pawełek przebiegli kilkanaście kroków i zatrzymali się.

— No tak — zauważyła Janeczka z naganą. — A miałeś odwalić tylko jeden kamień...

— Za żadne skarby świata nie zapytam, czy tam kogoś nie było! — zapowiedział szaleńczo zdenerwowany Pawełek. — A mówiłem...! I skąd my teraz weźmiemy to coś dla tej żony...?

Janeczka obejrzała się.

— Chaber — zawołała gorączkowo. — Szukaj dziury! Gdzie dziura? Szukaj!

Pies ruszył w rumowisko. Nie okazywał niepokoju, co oznaczało, że przestało się już walić i nic im nie grozi. Grzęznąc w skalnym gruzie i przełaząc przez kamienie, ruszyli za nim. Rodzice i pan Krzak, po chwili wahania, poszli w ich ślady.

— Jeżeli jest jakiś nieboszczyk, on go wywęszy — mruknął ponuro przygnębiony Pawełek.

Janeczka wzdrygnęła się lekko, otworzyła usta i zamknęła je bez słowa. Siedzący w kucki za szopą ludzie zaczęli wykrzykiwać jakieś ostrzeżenia, pan Roman odkrzyknął im zapewnienie, że wszystko w porządku. Podnieśli się i uczynili kilka kroków, otrzepując się z kurzu. Chaber pchał się dalej, wciąż wężąc intensywnie i od czasu do czasu kichając, bo kurz wiercił w nosie. Nagle skoczył do przodu szybciej.

Ocierali się o kamienny brzuch w dziurze i klepali go rękami tyle razy, że ślad ich woni, pozostały na głazach, był dla psa doskonale wyczuwalny. Ogromna kamienna buła, poderwana wybuchem w ciasnej dziurze i z impetem wyrzucona ze zbocza, przeleciała kilka metrów, gruchnęła na ziemię i pękła. Reszta skalnej ściany zsunęła się po prostu za nią, rozsypując się dookoła.

Buła pękła i rozpadła się na dwie prawie równe części. Obie leżały tuż obok siebie, wnętrzem ku górze, trochę tylko przysypane odłamkami i żwirem. Chaber dotarł do nich i wystawił je triumfalnie.

Janeczka i Pawełek przeleźli za psem i skamienieli. Z nimi przedostali się przez rumowisko pani Krystyna, pan Roman i pan Krzak. W pierwszej chwili aż się zachłysłeni.

— Wielki Boże...! — wykrzyknęła oszołomiona pani Krystyna. — Ależ to skarb...!

Janeczkę i Pawelka przeszył jakby prąd elektryczny. Tkwili nad rozwaloną kamienną bułą, niezdolni nie tylko do ruchu, ale nawet do sprecyzowania jakiegokolwiek myśli w głowie.

W promieniach słońca obłe połowy buły lśniły skądś, ze swego wnętrza, precudownym blaskiem. Ogromne dzioby wypełniały je od środka, szczelnie pokrywając ich wklęsłe ściany urzekającym, tajemniczym, przejrzystym, ciemnym fioletem. Widok zapierał dech.

— No, no, no — powiedział z uznaniem pan Krzak.

— Fenomenalne! — westchnął pan Roman. — Kto by przypuszczał... Cóż za ametysty!

Chaber otrząsnął się energicznie, wznecając nowy tuman kurzu, i ruszył dalej w obchód rumowiska. Janeczka i Pawełek przełamali wreszcie swoją skamieniałość, poruszyli się niepewnie i popatrzyli na siebie. W oczach mieli śmiertelne zdumienie, zaskoczenie i cały ocean wątpliwości. Pani Krystyna postąpiła dwa kroki i pochyliła się nad bułą, nie mogąc od niej wzroku oderwać. Dwaj Arabowie spod szopy, przyglądający się im ciekawie, ruszyli w ich stronę, ze zbocza zaczęły się zsuwać co śmielsze osoby. Pan Krzak pochylił się również i podniósł dwa odłamane, fioletowe dzioby, leżące obok. Podał je Janeczce.

— To jest chyba własność waszego psa? — rzekł wyraźnie rozweselony. — Należy mu się znaleźć.

Janeczka odruchowo przyjęła dzioby, nic nie mówiąc. Pawełek oderwał oczy od lśniących fioletów i z niepokojem poszukał wzrokiem wężącego w rumowisku Chabra. Pies przeskoczył przez jakiś większy zwal, pokręcił się chwilę i nagle zastygł z nosem przy ziemi. Trwał tak kilka chwil, po czym obejrzał się na nich.

Pod Pawełkiem ugięły się nogi. Mimo zmienionej przez wyrwę konfiguracji zbocza, bez najmniejszych wątpliwości wiedział, że to jest akurat to miejsce, gdzie wczorajszej nocy padł trup. Możliwe, iż nadal leży i Chaber właśnie o tym informuje. Przez głowę przemknęła mu rozpacзлиwa myśl, żeby może, korzystając z okazji, narzucić tam więcej czegoś, zepchnąć jakieś kamienie albo co...

Od strony wjazdu do kamieniołomu dobiegł warkot i dźwięk klaksonów. Ludzie na zboczu zaczęli zsuwać się szybciej i już całym tłumem. Pan Krzak obejrzał się, przykucnął, pozbierał rozsypane wokół buły większe i mniejsze kawałki ametystów i porozdawał wszystkim, część zachowując dla siebie.

— Kto pierwszy, ten lepszy — powiedział stanowczo. — Bierzcie, bo za chwilę zwali się cała szarańcza i nawet śladu z tego nie zostanie. Rozniosą wszystko w pył, ja ich znam.

— Ach, nie! — krzyknęła gwałtownie pani Krystyna.

— To trzeba zachować, przecież nawet w Brazylii rzadko się trafia coś takiego! Roman...!

— Staszek, skocz na policję! — poprosił pan Roman.

— Ona ma rację, nie można dopuścić do zniszczenia! Potłuką wszystko!

— Policja już jest — odparł pan Krzak i wskazał za siebie. — A razem z nimi całe miasto. Ale będą mieli ubaw...!

Państwo Chabrowiczowie obejrżeli się. Przy wjeździe zatrzymywało się coraz więcej samochodów, przez rumowisko przedzierała się cała gromada ludzi, za nimi nadbiegali następni. Zaniepokoił się i natychmiast ich niepokój przeistoczył się najpierw w zdumienie, a potem w wielką ulgę, na czele przełazących rozpoznali bowiem pana Hakima.

* * *

Ze względu na obiad pani Krystyna poświęciła się i odjechała wcześniej, pozostawiając swego męża i dzieci w najbardziej atrakcyjnym miejscu na kuli ziemskiej. Pan Krzak został również i mieli wrócić z nim razem.

W kamieniołomie rozgrywały się sceny godne niemal końca świata. Cała policja vilajatu, wszystkie władze i wszyscy mieszkańcy Tiaretu i okolic kłębili się tam wśród straszliwego zamętu. Droge gruntownie zatarasowały niezliczone samochody. Wieść o odkryciu w kamieniołomach bajecznych skarbów rozeszła się dookoła w

mgnieniu oka, przy czym ilość i rodzaj skarbów rosły, im dalej, tym bardziej. W rejonie Mahdii osiągały już rozmiary niewyobrażalne.

Znalazłszy sobie bezpieczne miejsce na zboczu, Janeczka i Pawełek przyglądali się temu szaleństwu. Ojciec z panem Krzakiem pozostali na dole, starając się pomóc policji, powstrzymującej napór tłumu i próbującej rozpędzić zbiegowisko. Niektórzy ludzie zdążyli już poprzynosić z domów siekiery, drągi i młoty i usiłowali rozbijać zbocza kamieniołomu. W jednym miejscu zleciał wielki, podkopany blok skalny, który tylko cudem nikogo nie przygniótł. Razem pomieszały się burnusy, turbany, europejskie ubrania i nawet gdzieniegdzie białe chaiki kobiet. Nieprawdopodobne tłumy dzieci zwiększały zamieszanie.

— No i proszę, zobaczyli, co tu było — mruknął kaśliwie Pawełek. — Sodoma i Gomora. Nie jestem pewien, czy to jest właśnie to, o co nam chodziło...

Siedząca w ulubionej pozie, z łokciami na kolanach i brodą wspartą na dłoniach Janeczka ocknęła się z głębokiej zadumy.

— Ja w ogóle nie jestem pewna niczego — oznajmiła. — Bardzo dobrze wiem, co to jest, i powinnam była zgadnąć od razu. Ale w tej Algierii człowiek jakoś całkiem głupiej.

— Czy wiesz, co to jest?

— Ta buła, co pękła. Ten bałwan z ametystami. Ja nawet pamiętam, jak to się nazywa. W ogóle druza, a takie kuliste — geoda. W tym są kryształy minerałów.

— A owszem — przyznał Pawełek z jadowitym sarkazmem. — To nawet widać gołym okiem. I co z tego? Dlaczego niby miałaś zgadnąć od razu?

— Bo ja o tym czytałam. Największe takie geody spotyka się w Brazylii. To się wytwarza w pustkach skalnych, a do tego jeszcze ten cały Atlas, to są góry okropnie urozmaicone i tu może być wszystko. Widziałam takie coś na fotografii i dziwię się, że nic mi nie przyszło do głowy.

— A gdyby ci przyszło, to co?

— Nic. Nie wiem. To znaczy wiem, tym bardziej bym uważała, że należy to rozwalić. Tylko jakoś delikatniej.

— Ja to zrobiłem delikatnie — rzekł Pawełek z urazą. — Nie wiem, dlaczego aż tyle się porujnowało. Widocznie ta skała już w ogóle była wybrakowana.

— Możliwe: Ale czekaj, bo mnie nie o to chodzi...

— A o co?

— O skarby.

— Mało ci jeszcze? Skarby, jak stąd do Ameryki!

— Ale coś ty, puknij się! Naprawdę wierzysz, że na lampie była wydrapana wiadomość o minerałach w skale? Że ta jedna osoba drugiej osobie kazała rozwalić górę, żeby w niej znaleźć ametysty? Kto mógł wiedzieć, że tu w środku skały siedzi coś takiego?!

Pawełek, stropiony nieco, zastanawiał się przez chwilę.

— Ja o tym akurat nie czytałem — zastrzegł się ostrożnie. — A co, takich rzeczy się nie wie?

— No pewnie, że nie! Wiadomo, że gdzieś tam to bywa i tu więcej, tu mniej, a gdzie indziej wcale, ale tu akurat wcale.

— Kota masz czy co? Przecież leży! Znaczy, nie wiem, czy jeszcze leży, bo może już rozdrapali, ale że właśnie jest, widzieliśmy na własne oczy.

— Jest przez przypadek i głowę daję, że drugiej były z czymś takim nie znajdują, choćby tu wszystko nawet przesiali przez sito. No, może wyjątkowo jakaś jeszcze jedna gdzieś tu będzie, ale to też przez zwyczajny przypadek. Nikt nie może wiedzieć, że jest, dopóki jej nie znajdzie, a nawet jeśli znajdzie, to też nie wiadomo, co to ma w środku.

— A co może być w środku?
— Nie pamiętam, ale różne rzeczy. Kwarc. Albo może w ogóle byle co.
Niemożliwe, żeby ktoś wiedział na pewno, że to są skarby.
— Myślisz, że nawet jeśli ktoś widział tę bułę i zgadł, że to jest ta, jak jej tam, geola...
— Geoda.
— Geoda, to i tak jeszcze nie mógł wiedzieć, że to jest akurat z ametystami?
— No pewnie, że nie. I jeszcze taka wielka... Gdyby to było w Brazylii, mógłby się przynajmniej spodziewać, ale tutaj jest całkiem wyjątkowo. Nie, ja nie wierzę, że to o to chodziło!
Zamilkli na chwilę. Na dole działy się różne rzeczy. Pan Hakim włożył na wielki kamień i wygłaszał przemówienie po arabsku. Przemówienie musiało być niezmiernie przekonywające, bo ludzie trochę przestali się pchać. Nikt jednakże nie ruszył z miejsca i nikt nie odchodził, przeciwnie, zewsząd napływali nowi. Obserwująca tłum Janeczka drgnęła gwałtownie.
— Człowiek z Mahdii! — syknęła. — Schowajmy się!
Błyskawicznie zmienili miejsce, kryjąc się za wielkim kamieniem, gdzie leżał Chaber. Pan Chabrowicz domagał się wprawdzie, żeby go zostawili na dole, do pomocy przy odpędzaniu od groty ametystowej ludzi z nożami i tasakami, ale nie zgodzili się na to. Woleli trzymać go przy sobie i w dodatku w ukryciu. Nie należało nikomu przypominać, że to coś, co warczało w nocy przy dziurze, to był ich pies.
Człowiek z Mahdii zniknął gdzieś w tłoku, pozostali jednak obok Chabra, za kamieniem. Pawełek podgarnął sobie pod łokieć trochę mialkiego pasku.
— Zastanowiłem się — oznajmił. — To wcale nie jest niemożliwe.
— Które?
— Te skarby. Rozumiesz, mogło być tak, że osoba napisała, że możliwe, że tu są skarby i że należy sprawdzić w kamieniołomie. W różnych kamieniołomach. Napisała o kamieniołomie po drodze do Sougeur i o naszym. Możliwe, że takie były są i w Wąwozie Małp, tylko myśmy ich nie widzieli, bo, prawdę mówiąc, w Wąwozie Małp oglądaliśmy w kółko jedno miejsce. Sama mówiłaś, że w tym Atlasie może być wszystko, nie? Więc możliwe, że już raz się coś wykryło, tamten pierwszy ktoś dowiedział się, że ktoś inny znalazł taką rzecz, taką no, jak jej tam, geodę. Może z trochę mniejszym hukiem niż my i dlatego nikt więcej o tym nie wiedział...
— Zgadzam się, że zgłupiałam kompletnie — przerwała Janeczka z wielką godnością. — Ale już mi to mija. Ty masz rację. Przecież co najmniej dwa kawałki takich buł wpadły mi w oko, jak tu schodziliśmy pierwszy raz i nawet pomyślałam wtedy, że powinnam coś z tego zrozumieć. Wyleciało mi z głowy. Musimy się koniecznie dowiedzieć, co oni z tym robili!
— Z czym?
— Z innymi bułami.
— Bo co?
— Bo jeżeli zabierali stąd w całości i żadna im nie pękła, i potem dopiero rozwalili to gdzieś w wielkiej tajemnicy...
— Ha! — wrzasnął triumfalnie Pawełek. — I ktoś z naszych przypadkiem się dowiedział...!
Zerwał się zza kamienia i już zamierzał runąć w dół, ale Janeczka zatrzymała się gwałtownie.
— Oszalałeś? Gdzie lecisz?
— Dowiedzieć się, co z tym robili!
— I kogo będziesz pytał, ojca, czy co?! W tym bałaganie?! Tam jest człowiek z Mahdii!

Pawełek zreflektował się i wrócił do kryjówki za kamieniem.

— Dobra, ale musimy się dowiedzieć jak najprędzej. Nie uspokoję się, dopóki się nie dowiemy!

— Dowiemy się dyplomatycznie. Ale ja i tak jestem pewna, że zgadłeś bardzo dobrze. Wszystko się zgadza i to musiało być tak!

Przy wjeździe do kamieniołomu zrobiło się jakieś dodatkowe zamieszanie i trąbiąc przeraźliwie, przedarła się tamtędy ciężarówka z policjantami. Wskoczyli i od razu zaczęli rozpychać i usuwać stłoczonych ludzi. Z kotłowniny wydostał się pan Chabrowicz i przysłaniając oczy ręką, rozglądał się po zboczach. Janeczka wychyliła się zza kamienia i pomachała mu. Pan Chabrowicz dojrzał ją i zaczął dawać znaki, pokazując w kierunku samochodu. Obok niego pojawił się pan Krzak.

— Chcą już jechać — zmartwił się Pawełek. — Szkoda! Tu jest przedstawienie milionlecia, drugiego takiego nie będzie. Słuchaj, a może byśmy zostali, a potem wrócili piechotą?

— Coś ty, już dawno jest czas na obiad. Potem jeszcze możemy tu przyjść, a teraz ja bym pojechała, bo może się od nich czegoś dowiemy. Rozmawiali z panem Hakimem.

— A, rzeczywiście. To idziemy, tylko jakoś bokami. Nie wiem, gdzie się podział ten z Mahdii...

Pani Krystyna czekała z obiadem, niesłuchanie podekscytowana i zniecierpliwiona. Rzuciła się na wszystkich z tysiącem pytań naraz. Pan Krzak chętnie przyjął zaproszenie i został u nich. Wyciągnął z kieszeni i rozsypał po stole całą garść ametystów.

— Może to jakoś pokryje Andrzejowi koszty tego, co mu ukradli, jak myślicie? — spytał z nadzieją. — Tyle zdążyłem nabierać. Kawałek będę musiał zostawić dla żony, bo inaczej mi oczy wydrapie, jak przyjedzie, ale resztę mogę mu oddać.

— Widziałem Rogalińskiego, on też coś tam znalazł — powiedział pan Roman. — Swoją drogą, jaka to solidna rzecz, taka geoda! Nie rozleciała się na drobne kawałki i kryształy w środku ledwie trochę naruszone. Zdumiewające!

— I co z tym zrobili? — dopytywała się pani Krystyna. — Nie rozdrapali?

— Starali się wszelkimi siłami, ale Hakim rozsądnie zorganizował obronę. Jedną połowę trochę obtłukli, drugą została prawie nietknięta.

— Wygłosił przemówienie agitacyjne — wtrącił pan Krzak. — Całkiem jak u nas, chronić skarby narodowe. Jedną setną z tego, co mówił, zrozumiałem.

— A teraz? Co z tym zrobią teraz?

— Ma przyjechać mały dźwig, podniesie to na ciężarówkę i odtransportują do Algieru. Mogliby podnieść ludzkie, bez dźwigu, ale Hakim ma obawy, że w trakcie podnoszenia zdążą rozkraść, więc woli nie ryzykować.

— No dobrze, a inne? — spytała delikatnie Janeczka głosem tak przenikliwym, że nie można jej było nie usłyszeć.

— Co inne?

— Inne takie były. Przecież ich tam jest więcej. Co z nimi robili do tej pory?

— Pojęcia nie mam. Dwie zdążyli zabrać belgijscy geologowie, przecięli je podobno i znaleźli w środku kwarc żelazisty i jakiś fluoryt. Nic nadzwyczajnego.

Dopiero teraz rozpętało się piekło. Zamkną kamieniołom i zabronią wstępu.

— I poczekają, aż pustynia podejdzie i wszystko przysypie — uzupełnił pan Krzak. — Będą mieli święty spokój.

— No wiesz! — oburzyła się pani Krystyna. — I co im z tego przyjdzie? Przecież powinni to jakoś eksploatować!

— Pewnie, że powinni, toteż właśnie nie będą. Belgijscy geologowie już wyjechali, więc kto ma się tym zająć?

— Ależ to potworne marnotrawstwo!

— Oczywiście, że marnotrawstwo. Zaczynam się zastanawiać, czy oni już przypadkiem nie pobili naszych rekordów. Sam nie wiem, gdzie jest z tym gorzej, u nas czy u nich.

— Nie będę tego rozstrzygał, bo rzeczywiście trudno ocenić — powiedział ponuro pan Roman. — U nas to jest chyba jakoś bardziej zakamuflowane...

— Ależ co ty mówisz! — wykrzyknęła pani Krystyna. — U nas to się rzuca w oczy! Chleb, odpadki, surowce wtórne, cegły zakopywane pod ziemią, rozbijane płyty budowlane, prute jezdnie, grunty pierwszej kategorii zabierane pod zabudowę, ugorująca ziemia, spleśniałe zboże, niszczenie środowiska, niszczenie lasów...

— Przestań, to się może przyśnić!

— Ale to fakt — potwierdził pan Krzak. — My po prostu mamy szerszy zakres działania i marnujemy wszystko z większym wysiłkiem. Chyba jednak jeszcze ciągle idziemy w czołówce.

— E tam — odezwał się zniecała Pawełek. — Jak oni teraz zamkną i zmarnują tę swoją kopalnię skarbów, to wyjdą na prowadzenie.

— I tak jeszcze dobrze, że nikogo tam nie przysypało — powiedział pan Roman.

— Chcesz jeszcze sałatki?

— Nie, dziękuję. Wolę pomidory i paprykę. Nienawidzę rzepy. O, przepraszam, nie chciałem być niegrzeczny!

— Nie szkodzi — rzekła wielkodusznie pani Krystyna i dodała żywo: — No właśnie, miałam was o to zapytać. Jakim cudem nikt nie został poszkodowany?

— Akurat nikogo nie było. Z wyjątkiem ciecica, który mieszka w tej małej szopie. Siedział w środku, a wybuch nastąpił we wnętrzu góry.

— A co wybuchło?

— Nie wiadomo.

— Może tam się jakieś gazy gromadziły albo co...

— Bóg raczy wiedzieć. Nawet nie wiadomo, w jakim dokładnie miejscu to nastąpiło, bo się zawalił wielki kawał zbocza...

— Ten twój przyjaciel, ten Hakim, ma, zdaje się, jakieś podejrzenia — powiedział pan Krzak. — Ja go znam z widzenia, spotykałem go w Algierze. On tu węszy aferę.

— Ciekawe, jaką? — zainteresowała się pani Krystyna.

— Ktoś idzie — powiedział pan Roman i odsunął krzesło od stołu. — O, właśnie, Hakim! Prosimy!

Janeczka i Pawełek usiłowali ulokować się w kącie salonu jakoś tak, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Najchętniej usunęliby się całkowicie z oczu rodziny, nie mogli jednak, bo każde wypowiedziane tutaj słowo mogło okazać się przeraźliwie ważne. Wcisnęli się pod mały stoliczek za kanapą.

Pan Hakim nie chciał obiadu, ale na kawę zgodził się z radością. Bez najmniejszego oporu odpowiadał na wszystkie pytania.

Potwierdził informacje pana Romana, powiedział, że ciężarówka z geodą ametystową już odjechała, eskortowana przez trzy policyjne samochody, że jedna połowa buły prawie uległa zniszczeniu, bo ametysty w środku okazały się jednak oderwane od podłoża i nieco pogruchothane, druga jednakże jest w zdumiewająco świetnym stanie. Kamieniołom rzeczywiście zostanie zamknięty od zaraz, a we właściwym czasie specjalne ekipy zbadają przyczyny niezrozumiałego wybuchu. On sam ma pewne podejrzenia...

W tym momencie wszyscy usłyszeli zgrzytnięci furtki i kroki, najpierw przed domkiem, a potem w przedpokoju. W progu ukazał się pan Rogaliński.

— O rany! — szepnął z irytacją Pawełek. — Za każdym razem będą przerywać w tym samym miejscu.

— Cicho, pan Rogaliński nie umie po francusku odszepnęła żywo Janeczka. — Będą mu tłumaczyć i lepiej wszystko zrozumiemy.

Pan Rogaliński dostał kawy i włączył się do rozmowy. Pogrzebał w kieszeni, wyciągnął kilka ametystów i pokazał na dłoni panu Krzakowi.

— Tyle uzbierałem — rzekł smutnie. — A ty? Może wystarczy dla Andrzeja...?

Pani Krystyna czym prędzej wyjaśniła panu Hakimowi po francusku, o co chodzi. Pan Hakim zaczął się śmiać.

— Nie potrzebujecie zbierać tego, żeby mu cokolwiek rekompensować — powiedział pocieszająco. Właśnie miałem wam wyjawić, po co tu przyszedłem. Wczoraj został okradziony pan Łopatko, tak? A dzisiaj możecie rozpoznać i odebrać jego rzeczy. Zdaje się, że rozpoznacie je z łatwością, bo mają tajemnicze znaki, Zgadza się?

Wśród okrzyków zdumienia, zaskoczenia i nawet niedowierzania nikt z nikim przez chwilę nie mógł się porozumieć. Pan Rogaliński dopytywał się natrętnie, co ten facet powiedział, bo mu się wydaje, że niedokładnie zrozumiał.

— Cicho! — wrzasnął na niego pan Krzak. — Zaraz! Jak to, poważnie? Złapaliście złodziei i odebraliście rzeczy Łopatki? Niech ja skonom! Jakim sposobem?!

— Muszę się od was dowiedzieć, jakie to były znaki — rzekł pan Hakim, doszedłszy wreszcie do głosu, i wyciągnął notes. — To jest formalność, nic nie poradzę. Zaraz wszystko wyjaśnię.

Pan Krzak wyrwał mu notes i narysował w nim piękne i wyraźne 44. Pani Krystyna zlitowała się nad panem Rogalińskim i pośpiesznie zaczęła tłumaczyć słowa pana Hakima. Pan Hakim przyjrzał się dwóm czwórkom i schował notes.

— Każda policja świata ma jakieś swoje sposoby — powiedział, uśmiechając się. — Nasza też. Dowiedzieliśmy się o kradzieży bardzo szybko i natychmiast prościutko jak po promieniu księżycy poszliśmy tam, gdzie znaleziono ukradzione rzeczy.

— Nasza policja jest mniej poetyczna i idzie prosto jak po sznurku — mruknął pan Roman.

— Jaki sznurek? — spytał niespokojnie pan Rogaliński. — Zrozumiałem, że przy księżycu znaleźli sznurek...?

— I dadzą go nam, żebyśmy się mogli powiesić — uspokoił go pan Krzak. — A co się nagle stało, że ta policja tak trafiła? Do tej pory jakoś to było niemożliwe. Cud?

— Dostali niespodziewaną pomoc — odparł pan Hakim tajemniczo i odwrócił głowę, spoglądając na leżące pod obiadowym stołem Chabra. — Dwa miejsca stały się nagle znane i w tych dwóch miejscach rzeczywiście znaleziono złodziejski łup.

— Co za pomoc...?

— Tego się nikt nigdy nie dowie. Cała zasługa przypada mnie i wszyscy myślą, że stałem się nagle jasnowidzący. Trudno, muszę się z tym pogodzić. Ale i tak jeszcze byłyby duże kłopoty, gdyby nie te wasze czterdzieści cztery. To usuwa wszelkie wątpliwości.

— Fantazja! — ucieszył się pan Krzak. — I kiedy to będzie można odebrać?

— Nawet już dzisiaj. Im prędzej, tym lepiej. W sprawozdaniu będą mogli napisać, że ukradzioną własność odzyskano przed upływem dwudziestu czterech godzin i zwrócono poszkodowanemu. Możliwe, że ktoś za to dostanie awans.

Pani Krystyna znów zmiłowała się nad panem Rogalińskim, który siedział jak na szpilkach.

— A złodzieje? — zainteresował się pan Roman. — Złodzieje zostali złapani?

— Cała szajka jest już aresztowana. Ściśle biorąc, to są dwie szajki, dziewięć osób. Oczywiście bez szefa.

— Jak to, bez szefa?! Dlaczego?

— Szefa nikt nie zna.

— No nie, bez żartów! — zawołał z wyrzutem pan Krzak. — Złodzieje go znają! Nie mówcie mi, że tacy twardzi i nie powiedzą ani słowa!

— Ależ skąd, oni mówią! — odparł żywo pan Hakim. — Wszyscy bardzo chętnie mówią, kto jest szefem, tylko każdy mówi co innego. Według informacji od nich, jest już dziewięciu szefów, z tym, że żadnemu z nich niczego nie można udowodnić. Trudno, nie wymagajmy za wiele. Zanim prawdziwy szef, którym, być może, nie jest żaden z tych dziewięciu, zorganizuje sobie nową szajkę, upłynie jakiś czas i będzie trochę spokoju. Ta zatrzymana szajka zrobiła się już zbyt bezczelna i stanowczo należało z nią skończyć. Poszło najłatwiej w świecie!

— Z tego wynika — zaczął zdumiony pan Roman — że gdybyśmy nie spotkali cię u Sęczykowskich...

— Oczywiście! — wpadł mu w słowa pan Hakim. — Włokłoby się to dalej. To spotkanie było po prostu darem niebios!

Znów odwrócił głowę i z uśmiechem popatrzył na Chabra. Mimo woli państwo Chabrowiczowie również popatrzyli na Chabra, a pan Krzak i pan Rogaliński, mocno zaintrygowani, poszli za ich przykładem. Wszyscy gapili się na psa. Wyciągnięty na boku Chaber obudził się, nie wstając z podłogi podniósł głowę i popatrzył na nich wzajemnie. Pan Krzak zerwał się nagle z fotela, wyjął z kieszeni kawałek ametystu i podłożył mu pod nos.

— Masz jeszcze jeden! — rzekł wspaniałomyślnie. — Należy ci się!

Chaber odwrócił się na brzuch, obwąchał starannie minerał i spojrzał pytająco. Pan Krzak rozejrzał się, wszedł do kuchni, zdjął z patelni ostatni, pozostawiony tam jeszcze kawałek befsztyku i wrócił do pokoju.

— Można? — spytał panią Krystynę i nie czekając na odpowiedź, podał befsztyk psu. — Proszę cię bardzo. Wszystko co zechcesz! Spod serca ci wyjmę i z cudzej patelni!

Chaber obwąchał befsztyk ze znacznie większym zapalem i czekał w bezruchu.

— Weź! — wyszeptala przenikliwie Janeczka z kąta. — Możesz zjeść. Weź!

Chaber machnął ogonem, usiadł i pożarł befsztyk, zanim pan Krzak zdążył się obejrzeć.

— Co za pies! — zachwycił się. — Nie żre z obcej ręki!

— Zaraz, czekajcie — powiedział pan Roman, przerywając ogólne roztkliwianie się nad Chabrem. — Jeszcze jedno. Hakim, słyszałem, że podobno masz jakieś podejrzenia co do tego wybuchu w kamieniołomie? Coś zacząłeś mówić. Domyślasz się, co to było?

— No i proszę, jak ty się pięknie nauczyłeś mówić po francusku — wyrwało się pani Krystynie.

— Przyłożyłem się — mruknął pan Roman po polsku i spojrzał pytająco na pana Hakima.

— Ja się przykładam i nic! — westchnął żałośnie pan Rogaliński. — Bez rezultatu...

— Ty masz kreślić i więcej ci nie potrzeba, a kreślić umiesz we wszystkich językach świata — pocieszył go pan Krzak.

— Przestańcie gadać i niech on powie, jakie ma podejrzenia! — zniecierpliwiła się pani Krystyna.

— Ja podejrzewam, że w tym wybuchu maczali palce złodzieje — powiedział pan Hakim i Janeczka z Pawełkiem, którzy na moment zastygli, odetchnęli z odrobiną ulgi. — Wiem, że gdzieś, w jakiejś dziurze czy szczelinie, mieli dodatkową kryjówkę i chowali tam różne rzeczy. Możliwe, że popełnili jakąś nieostrożność, mogła to być butla gazowa czy nawet butle ze sprężonym tlenem, bo i to kradli! A możliwe też, że

jeden na drugiego zastawił pułapkę. Teraz, oczywiście, nikt się nie przyzna, a wszelkie ślady zniknęły. A, właśnie! Byłbym zapomniał... Chciałem was prosić o ten kawałek kieszeni, który oderwaliście złodziejowi przy poprzedniej okazji.

— . Przecież... — zaczął zaskoczony Pawełek i umilkł, szturchnięty gwałtownie przez Janeczkę, która zerwała się i pociągnęła go za rękę.

— Zaraz przyniesiemy! — zawołała, wywlekając brata z pokoju.

— Na co im ta kieszeń, przecież ten z okiem jest zabity! — wysyczał Pawełek już za drzwiami. — Ja bym wołał powiedzieć, że nam zginęła!

— Oszalałeś. Dlaczego?

— Może po kieszeni chcą znaleźć jego zwłoki... Może on gdzie leży...

— I sami będą węszyć, tak? Co zrobią bez Chabra? A Chabra im nie damy!

— A, rzeczywiście...

— A i tak ja uważam, że on tam wcale nie leży. Przypomnij sobie! Chaber powęszył i nic.

— Jakie nic, mówił, że coś znalazł!

— Ale nie zwłoki przecież! Przy zwłokach albo by przyleciał i kazał tam pójść, albo by wył! On tylko mówił, że w tym miejscu się bili! I w ogóle od razu mogliśmy im powiedzieć, że żadna ofiara nie leży nigdzie przysypana. Żeby nie wiem co ją przysypało, pies by wiedział!

— To na co im ta kieszeń?

— Nie wiem. Spytamy go...

Pan Hakim nie miał nic przeciwko temu, żeby wyjaśnić, po co mu kieszeń. Jeden złodziej podobno usiłował się wymigać i kieszeń, pasująca do jego marynarki, miała stanowić ostateczny dowód rzeczowy. Była niezbędna dla ustalenia, czy przypadkiem nie posądzono niewinnego.

Powstrzymując się od dalszych pytań, wstrząśnięta nieco tym wyjaśnieniem i mocno zaniepokojona Janeczka przekazała panu Hakimowi plastikową torebkę ze strzępem materiału. Przeczucia miała jak najgorsze, bo wyglądało na to, że winy nieboszczyka przypisano komuś żywemu, możliwe, że istotnie niewinnemu. Wołała zrezygnować nawet z przewidywań, co z tego wyniknie.

Pan Rogaliński zaproponował, żeby może pojechać wreszcie po te kradzione rzeczy, bo inaczej, niepewny, czy odzyskają wszystkie, nie będzie mógł spać w nocy. Państwo Chabrowiczowie wyrazili gorącą chęć uczestniczenia w ceremonii. Zanim Janeczka i Pawełek zdążyli zdradzić się z najwyższą odrazą do wizytowania złodziejskiej meliny, wyszło na jaw, iż uroczystość rozpoznawania własności Andrzeja Łopatki odbędzie się w komendzie policji. Do komendy policji mogli jechać bez przeszkód, niczym im to nie groziło. Mało było prawdopodobne, iż siedzi tam poukrywana po zakamarkach i dysząca zemstą cała rodzina złodziei.

W komendzie policji, dość ponurej i mrocznej, w pokoju na piętrze, leżał na stole cały stos różnych rzeczy. Pierwsze, co ujrzał i wskazał z okrzykiem pan Krzak, to były buty pana Andrzeja. Nie pozwolono mu ich wziąć do ręki. Impreza przebiegała w ten sposób, że wszyscy goście, pan Krzak z panem Rogalińskim i państwo Chabrowiczowie z dziećmi i psem, siedzieli pod ścianą, pan Hakim zaś z dwoma jeszcze policjantami j z notesem w rękę przekładał przedmioty na stole. Pan Krzak spod ściany udzielał informacji, w jakim miejscu należy szukać liczby 44. Odnaleziono całe mienie pana Łopatki, a oprócz tego podróżną lodówkę pana Zwijka, o której ukradzeniu on sam jeszcze nie wiedział. Trzymał ją w bagażniku w samochodzie i przez ostatnie trzy dni nie była mu potrzebna. O innych przedmiotach nie można było, niestety, powiedzieć nic pewnego, poginęły bowiem jeszcze przed akcją wydrapywania znaków rozpoznawczych.

Kiedy schodzili w dół po zakończeniu całej zabawy, biegnący na czele Chaber

zatrzymał się nagle. Obejrzał się na swoich państwa i cichutko, króciutko warknął. Nikt; poza Janeczka i Pawełkiem, nie zwrócił na to uwagi. Pan Krzak i pan Rogaliński znosili właśnie po schodach odzyskane mienie pana Łopatki, a pan Roman im pomagał. Janeczka i Pawełek błyskawicznie przycisnęli się do ściany, przepuszczając ich przed siebie, i wymienili niespokojne spojrzenia.

— Co jest? — szepnął Pawełek.

— Piesku, kto...? — wyszeptła w napięciu Janeczka. Minęła ich pani Krystyna, schodząca ostatnia.

U podnóża schodów grzecznie zatrzymał ją policjant. Trzech innych wyprowadziło z bocznych drzwi jakiegoś człowieka.

W pierwszym momencie Janeczce i Pawełkowi wydało się, że ma na głowie turban, zaraz jednak rozpoznali, że nie jest to turban, tylko opatrunek. Rękę miał na temblaku i kulał nieco na jedną nogę. Wyprowadzono go na zewnątrz i ulokowano w samochodzie, który natychmiast odjechał.

— Dzieci, chodźcie! — zawołała pani Krystyna. — Na co czekacie?

Janeczka i Pawełek poruszyli się i oderwali od ściany z dość dużym trudem. Tylko Chaber, spełniwszy obowiązek, swobodnie i z całkowitym spokojem wybiegł na ulicę. Jego państwo jeszcze przez dłuższą chwilę nie mogli odzyskać równowagi.

— Jedziemy wszyscy do Andrzeja, chcecie? — zaproponował pan Roman. — Spróbujemy jakoś zabezpieczyć to rozwalone okno. Chodźcie, wsiadajcie!

Dopiero w połowie drogi Pawełek zdołał ochłonąć.

— Pierwszy raz w życiu zobaczyłem aresztowanego nieboszczyka! — wymamrotał półgębkiem, wciąż jeszcze nieco oszołomiony. — To co tam się stało w nocy, kogo zabili?!

— Widziałeś przecież właśnie jego — odszepnęła żywo Janeczka. — Nie zabili go całkiem, chwała Bogu! Spadła nam z głowy ta jego żona i dzieci.

— Miałaś rację, że to nie był trup! Temu psu można wierzyć z zamkniętymi oczami! A głowę bym dał...! Coś takiego...! Rany, to już go nie mam na sumieniu!

— I już wiadomo, po co im była potrzebna ta kieszeń... Słuchaj, możliwe, że człowieka z Mahdii też mamy z głowy! Nie zdążyliśmy o nim nic powiedzieć, ale on tam był, w tym kamieniołomie i możliwe, że go zaraz potem też złapali!

— A przecież tam leżał — rozpamiętywał Pawełek, nie mogąc tak od razu oderwać się od swojej zmory. — I błysnęło, murowane, że to był nóż!

— No więc dali mu po łbie, a potem dziabnęli go w rękę i w nogę. Zwyczajny wycisk. Grunt, że żyje, jestem z tego bardzo zadowolona, bo powiem ci, że się nawet trochę bałam, że będzie nas straszyl po nocach.

— Zwariowałaś?

— Nie, ale tu jest jakiś dziwny kraj. Tu się może przytrafić wszystko. Rozwaliłbyś taki kamieniołom w Polsce?

— Coś ty...?

— No właśnie. Sam widzisz. Tu jest wszystko jakoś całkiem inaczej...

— No, owszem. Fakt. Ale w straszenie po nocach to ja nie wierzę. Czekaj, co ty mówiłaś? Że tego z Mahdii też złapali? O, niech ja kichnę, ty wiesz, że to możliwe?! Bomba! Znaczy, przed nami rajskie życie...!

* * *

— Sęczykowskich zaprosiliśmy na piknik — powiedziała pani Krystyna w niedzielę, która w tym kraju była wtorkiem. — Trzeba się zastanowić, jak i gdzie ten piknik zrobimy. Co proponujesz?

Pan Chabrowicz omal nie zakrztusił się herbatą.

— Nie zaskakuj mnie tak — poprosił. — Nic nie wiem o pikniku, czekaj, niech się zastanowię. A nie możemy ich przyjąć jakoś całkiem zwyczajnie?

— Wykluczone. U nich jest mnóstwo atrakcji, a my tu nie mamy im nic do pokazania. Trzeba koniecznie zrobić coś oryginalnego i uważam, że piknik jest doskonały. Tylko gdzie?

— Piknik robi się na ogół na świeżym powietrzu. Na łące albo w lesie. Łąki tu nie ma ani jednej, a do najbliższego lasu mamy około stu dwudziestu kilometrów...

— Nic podobnego — przerwała Janeczka. — Najbliższy las jest bardzo niedaleko, zaraz za tamtą górą.

— Za jaką górą? Janeczka pokazała palcem.

— A o, za tamtą. Najpierw jest wieś, a potem wielka łąka i dużo lasu. Nie bardzo gęsty, ale mógłby się nadać. Tylko zdaje się, że tam nie ma żadnego dojazdu.

— A łąka mogłaby się wam nie spodobać, bo trochę za dużo kościotrupów na niej leży... — dodał Pawełek.

— No nie, kościotrupy wykluczone...

— Koło źródła też jest łąka — przypomniała znów Janeczka.

— I las — uzupełnił Pawełek. — Też nie bardzo gęsty i może trochę niepodobny do lasu. Ale za to stromy.

— Byłoby zupełnym idiotyzmem oddalać się o cztery kilometry od wygodnego domu po to, żeby spędzić parę godzin w potwornie uciążliwych warunkach — stwierdził pan Roman. — Nie da się wykluczyć skorpionów i gorąco nie do zniesienia. Czy nie można by jakoś sensowniej...

— Piknik można zrobić tu — przerwał Pawełek, wskazując okno.

— Gdzie?

— No tu, za domem. Mamy cały wielki plac.

— W tych ostach?!

— No i cóż takiego, osty można usunąć...

— W jaki sposób? Tego się nie da ściąć!

— Podpalić — zaproponowała Janeczka. Pani Krystyna aż się wzdrygnęła.

— I zrobić piknik na pogorzelsku? Oryginalne by to było z pewnością, ale wątpię, czy przyjemne...

— Czekaj! — ożywił się nagle pan Roman. — To nie jest takie głupie. Tu nie, ostom nie damy rady, ale tam trochę dalej. Z drugiej strony przejścia, no, na tyłach domków naprzeciwko. Osty są od strony ulicy i trochę zasłaniają, a w głębi, bliżej nas, jest kawałek prawie nie zarośnięty. Zaraz, a właściwie na czym ten piknik ma polegać?

— Nie wiesz, na czym polega piknik? Piecze się coś na ognisku i spożywa pod gołym niebem.

— Na ognisku! Z czego masz zamiar to ognisko rozpalić? Z gazet podlanych benzyną?

— Z drewna.

— A skąd ja ci tu wezmę drewno?!

— Gdzieś się znajdzie. Jeszcze nie wiem, na co się zdecyduję, ale chcę zobaczyć to miejsce.

Kolacja już była właściwie skończona. Wszyscy zerwali się od stołu i wybiegli na zewnątrz. Dalej w głąb przejścia, za ogrodzeniem ostatniego domku, była wielka, pusta przestrzeń, istotnie mniej zarośnięta. Pani Krystyna zatrzymała się i oceniła suchy, szary, zakurzony teren.

— Czy ja wiem... — powiedziała niepewnie. Janeczce i Pawełkowi pomysł zaczął się nagle ogromnie podobać.

— Ja wam skombinuję drewno — obiecał Pawełek z zapałem. — Wiem, gdzie rosną odpowiednie drzewa, suche jak pieprz. Zrobmy tu piknik, będzie fajnie!

— Można postawić parasol plażowy i rozpostrzeć daszek z prześcieradła — podsunęła zachęcająco Janeczka. — Lepiej tutaj, bo przy stole w mieszkaniu zrobi się okropnie ciasno.

Pani Krystyna spojrzała na córkę. Rzeczywiście, mieli być państwo Sęczykowscy i pan Hakim, razem z nimi siedem osób. Przy obiadowym stole już sześć nie bardzo się mieściło. Wahala się jeszcze przez chwilę.

— Zrobmy próbę — zaproponował Pawełek. — Co nam szkodzi, zrobmy taki próbny, piknik? byle kiedy, nawet jutro, sami ze sobą. Zobaczmy, jak nam wyjdzie.

— Bardzo dobrze, próbny piknik mi odpowiada — zgodziła się pani Krystyna. — Co ma być do jedzenia?

— Szaszłyki — mruknął pan Roman.

— Mogą być szaszłyki. Z wołowej polędwicy, bo baraninę i koninę musiałabym namoczyć. O jakiej porze?

— No, po południu chyba, nie? Po południu jest znacznie więcej czasu.

— W takim razie nie będzie obiadu, tylko drugie śniadanie. Obiad będzie wieczorem, jak wrócisz z pracy i będzie to obiad piknikowy. Próba musi być porządna, z parasolem i prześcieradłem. Ustawisz to wszystko w czasie przerwy, jak przyjdiesz na drugie śniadanie.

— I zostawię? Przecież ukradną!

— Po pierwsze złodzieje siedzą, a po drugie pies będzie pilnował. Dzieci, wy się starajcie o drewno. Od rana!

Suche cierniowe drzewka wyświadczyły przysługę po raz drugi. Odcięcie i przy włoczenie koleczastych gałęzi okazało się tak trudne, że trwało do południa, a i tak było ich za mało na porządne ognisko. Zmartwiony Pawełek zdecydował się na wykorzystanie ostów, które, jak już zdołał stwierdzić, paliły się doskonale, tylko trochę zbyt szybko. Poprzednim razem wystarczyła mu ich niewielka ilość, teraz niezbędne było znacznie więcej i zdobycie ich od razu urosło do rozmiarów poważnego problemu. Należało je ścinać czymś potężnym, bo nawet sekator z trudem dawał im radę, ponadto kłuły straszliwie. Pawełek jednak uparł się i w pocie czoła walczył z suchym gąszczem, stopniowo powiększając przygotowany stos. Janeczka pomagała mu posługując się to nożyczkami, to tasakiem. Po dwóch godzinach udreki przypomnieli sobie, że ojciec ma nożyce do cięcia stali, i Janeczka poszła ich poszukać. Pawełek, w zimowych rękawiczkach pana Chabrowicza, ledwie dysząc w upale, nadal wgryzał się w gąszcz.

Drzemiący w cieniu parasola Chaber ocknął się nagle i podniósł. Pawełek akurat odwrócony był do niego tyłem. Pies węszył ku ulicy, nagle napięty i sprężony. Podbiegł kilka kroków, obejrzał się na Pawełka, warknął króciutko i niecierpliwie i wystawił zwierzyne. Szeleszczący suchymi zielskami Pawełek nie usłyszał warknięcia, ale odwrócił się, żeby rzucić na stos ucięte łodygi. Dostrzegł wyciągniętego jak struna psa i zagapił się nań, nieco zaskoczony. Dopiero po chwili wylazł zza bujnej, wysokiej kępy i spojrział.

O parę metrów od niego, bliżej ulicy, stał człowiek z Mahdii.

Pawełek zdretniał. Chaber przed nim stał jak posąg psa. Człowiek z Mahdii popatrzył na nich obu, roześmiał się, zawrócił, wyszedł na jezdnię i znikł za domkiem Węgrów.

Chaber jakoś zmiękł, również zawrócił i pobiegł w cień parasola. Pawełek odzyskał zdolność ruchu i głos. Rzucił na stos ściskane w ręku badyle.

— Chaber, po Janeczkę! — wyszeptał. — Janeczkę tutaj! Leć!

Stał nadal w tym samym miejscu, kiedy obok niego pojawiła się siostra.

— Co się stało? — spytała z niezadowoleniem. — Lecę jak do pożaru, Chaber mówi, że coś chcesz. Jeszcze ich nie znalazłam.

— Człowiek z Mahdii. Był tutaj przed chwilą. Janeczka po krótkiej chwili odetchnęła głęboko.

— Widział cię?

— A jak? Wcześniej niż ja jego.

— Jak to? A Chaber...?

— Chaber owszem, powiedział, że idzie. Ale ja akurat nie patrzyłem.

— I co?

— Nic. Tu stał i patrzył.

— I co?

— Jak to, co?

— No co potem, pytam. Przecież już nie stoi.

— A co ty chciałaś, żeby tu stał do skończenia świata? Roześmiał się jakoś tak okropnie i poszedł.

— O Boże drogi — powiedziała Janeczka trochę jakby rozpaczliwie. — I co teraz? Myślisz, że naprawdę chce nas zabić?

— Nie wiem. Nie zabił mnie na razie...

— Bo to jest bardzo złe miejsce dla niego. Widać nas tu, ktoś może patrzeć. No nie wiem...

— Na jego miejscu wypuściłbym tu jakiegoś jadowitego węża, albo co — powiedział Pawełek ponuro. — Może ze dwa skorpiony. Załatwiłyby sprawę bez żadnych podejrzeń.

Niespokojnie rozejrzeli się po suchych ostach, pilnie śledząc, czy nie dostrzegą gdzieś jakiegoś podejrzanego ruchu. Wszędzie panował idealny spokój. Chaber pod parasolem zabierał się do drzemki.

— Piesku... — jęknęła niepewnie Janeczka. Chaber znów się podniósł, spojrzał w kierunku ulicy i obejrzał się na nich.

— Ktoś idzie — szepnął Pawełek. — Ale to nie on... Zza ostów ukazała się nagle Arabka w białym chaiku. Zbliżała się ku nim bez pośpiechu, niosąc coś w rękach przed sobą. Z całej jej postaci widać było tylko jedno oko, wielkie i czarne. Szła zręcznie i lekko, nie mogła zatem być stara. Podeszła bardzo blisko i postawiła przed nimi na ziemi niesiony pakunek, dość wysoki i wąski, owinięty szarym papierem.

— To dla was — powiedziała po francusku. — Pamiątka. Prezent.

Janeczka i Pawełek stali nadal bez słowa i bez najmniejszego ruchu. Chaber obok nich zamachał ogonem. Arabka patrzyła na nich jednym okiem.

— To dla was od mojego męża — powtórzyła. — On wie, że wy to kochacie. Zrobiliście coś dla niego, dla mojego męża. Zrobiliście dla niego coś bardzo dobrego i on wam daje pamiątkę.

Odczekała chwilę i znów się odezwała.

— Pamiątka dla was. Mój mąż jest wdzięczny. Ja też. To dla was. Bądźcie szczęśliwi.

Ukloniła się lekko, odwróciła i odeszła.

Gdzieś na jezdni zawarczał samochód, przejechał ulicą i znikł za zakrętem. Chaber przeciągnął się i ziewnął. Z domku na samym końcu osiedla ktoś wyszedł i postawił pod latarnią czarną torbę ze śmieciami. Gdzieś dosyć daleko zaryczał osioł.

Janeczka i Pawełek stali bez drgnienia, wpatrzeni w pakunek.

Pani Krystyna, zaciekawiona ilością zdobytego opału, wyszła z domku i poszła na miejsce pikniku. Zdziwiła się nieco, widząc swoje dzieci stojące obok siebie w bezruchu, Pawełka w rękawiczkach i z sekatorem w dłoni i Janeczkę z pustymi, bezwładnie opuszczonymi rękami, wpatrzone w jakiś przedmiot osłonięty pakowym

papierem. Pies wyglądał normalnie, siedział w cieniu i zamiatał ogonem, pani Krystyna zatem nie poczuła żadnego niepokoju.

— Dzieci, co wam się stało? — spytała z zaciekawieniem. — Co to jest?

Dzieci drgnęły tak, jakby obok nich uderzył piorun. Pani Krystyna zdziwiła się bardziej.

— Co wam się stało? Dlaczego tak stoicie? Co to jest, ta rzecz?

— Nie wiemy — odparł głucho Pawełek.

— Dostaliśmy to w prezencie — dodała Janeczka grobowym głosem.

Zaskoczona i zdumiona pani Krystyna podeszła do przedmiotu.

— Dostaliśmy to w prezencie? Od kogo?

— Od męża jednej Arabki...

— Jakiego męża? Nic nie rozumiem. Co to jest takiego?

Pochyliła się i chciała dotknąć przedmiotu. Janeczkę rzuciło.

— Nie rusz!!! — wrzasnęła okropnie.

Pani Krystyna wyprostowała się, niemal ogłuszona.

— Dlaczego? Co to ma znaczyć? Słuchajcie, przestańcie mi tu pokazywać sztuki!

O co chodzi?

— Bardzo możliwe, że to jest jadowity wąż albo skorpion — powiedział Pawełek tonem pogrzebowym. — Nie dotykaj. Dostaliśmy to w prezencie...

— Dostaliście w prezencie jadowitego węża albo skorpiona? Czy macie źle w głowie...?

Obejrzała się nagle na Chabra.

— I pies nic nie mówi...?!!!

Janeczka i Pawełek jakby się nagle ocknęli. Równocześnie odzyskali wszystkie przyrodzone zdolności. Gwałtownie odwrócili się do psa.

— Chaber! — zawołała Janeczka błagalnie. — Zobacz, pieseczku, co to jest? Tu, Chaber, tu!

Chaber wesoło wybiegł z cienia i podbiegł do przedmiotu. Obwąchał go, kichnął i znów zaczął obwąchiwać gorliwie i nawet jakby z przyjemnością. Pomachał ogonem, usiadł obok i popatrzył pytająco.

— No nie — powiedziała stanowczo pani Krystyna. — Mowy nie ma, żeby to było coś szkodliwego. Ja chcę zobaczyć, co to jest? A w ogóle skąd to się tu wzięło?

— Arabka przyniosła — odparła Janeczka. — Prawdziwa, w białym chałacie.

— Bardzo dobrze, w takim razie trzeba to odpakować.

Zaufanie do psa było tak absolutne, że wszelka myśl o węzach i skorpionach znikła im z głowy całkowicie. Wszyscy troje pochylili się nad przedmiotem i zaczęli odwijać warstwy papieru.

Nie było ich wiele. Pod niecierpliwie zerwanym arkuszem zalśniła czerwonym blaskiem miedź. Ukazały się koronkowe arabeski...

— Ależ to lampa! — wykrzyknęła pani Krystyna, nieopisanie zdumiona i zachwycona. — Jakaż piękna! Dzieci, skąd...? Kto wam dał w prezencie taką piękną lampę?!

Janeczka i Pawełek czuli się oszołomieni całkowicie. Siedzieli w kucki obok lampy, patrząc to na nią, to na siebie. Lampa była rzeczywiście prześliczna, trochę większa od tamtej, kupionej na suku w Mahdii, z ażurowym abażurem, powycinanym w arabeskowe wzory, wspartym na cienkich łapkach, z trzema knotami wystającymi z otworów zbiorniczka, tylko bez odblaskowej tarczy. Najwidoczniej była to lampa, która miała świecić dookoła.

Janeczka podniosła się w końcu, ponieważ zdrętwiały jej nogi.

— No więc dostaliśmy to od męża jednej Arabki — odpowiedziała na niecierpliwie pytania pani Krystyny.

— Przyszła tu i przyniosła to. Powiedziała, że jest to prezent na pamiątkę dla nas od jej męża.

— No dobrze, ale dlaczego? Znacie tego męża?

— Możliwe, że z widzenia — odparł ostrożnie Pawełek i podniósł się również.

— I kto to jest? Janeczka zawahała się.

— Jeden taki człowiek — wyjaśniła z namysłem. — Rozmawiał z nami. To znaczy, tak nam się wydaje, że to on, bo żadnego innego męża nie znamy.

— Dziwaczna jakaś historia... Może... Może powinniście teraz również dać jakiś prezent temu mężowi?

— Może — zgodził się mężnie Pawełek. — Tyle że my go w ogóle nie znamy. Nie wiemy, jak się nazywa i gdzie mieszka. Ale jak go zobaczymy jeszcze raz, damy mu jakiś prezent.

— No dobrze, zróbcie z tym coś teraz, bo niedługo ojciec przyjedzie. Szaszłyki mam już gotowe. Prześliczna ta lampa... Boję się, że to jest coś drogiego, i naprawdę nie wiem, co zrobić... Czy opału wystarczy?

— Dobra, potem się zajmiemy prezentami i tak dalej — zdecydował z nagłą energią Pawełek. — Opału zaraz dorobię i powinno wystarczyć. Zabierzcie ją do pokoju, a ja tu jeszcze trochę utnę...

Piknik oceniono by jako nadzwyczajnie udany, gdyby nie drobny mankament, a mianowicie ze trzy tuziny arabskich dzieci, zgromadzonych dookoła i nie odrywających oczu od parasola, ogniska, turystycznego stolika i pożywiających się wokół niego osób. Łodygi ostów paliły się wspaniale, chociaż krótko, ale cierniowe drzewka pomogły i pozwoliły upiec się szaszłykom. Łagodny wietrzyk nieco chłodził. Herbatę i deser w postaci placka z morelami pani Krystyna przyniosła na tacy, obracając zaledwie dwukrotnie.

Sprawa tajemniczej lampy wałkowana była od początku do końca posiłku. Dopiero przy placku pan Chabrowicz oderwał się od niej na chwilę.

— Czekajcie no, wszystko bardzo pięknie, ten kameralny piknik bardzo mi się podoba, ale nie jestem pewien, czy z Sęczykowskimi wyjdzie nam to samo. Po pierwsze, dziś jest wyjątkowo mało wiatru. Obawiam się, że przy wietrze puścilibyśmy z dymem całe osiedle, te osty palą się aż za dobrze...

— A po drugie, ta widownia mnie niepokoi — przerwała pani Krystyna, czyniąc gest brodą dookoła. — Nie wiem, czy Sęczykowscy lubią jadać na scenie.

— No więc właśnie. Mam wątpliwości. A po trzecie, przy tym stoliku już we czworo jest nam ciasno. Nie wspominam już o tym, że ten ogień jakoś dziwnie grzeje. Chyba trzeba to jeszcze rozważyć...

— Możecie nie rozważać — przerwał Pawełek z rozgoryczeniem. — Koniec pieśni, poszło całe drewno i ja więcej nie urodzę. Drugiego pikniku nie będzie, chyba że pojedziecie do sklepu i kupicie całą wywrotkę desek.

Pani Krystyna popatrzyła na syna, na popiół, na krąg arabskich dzieci i westchnęła.

— To znaczy, że było tak, jak z tą ostatnią zapałką, którą się zapala dla sprawdzenia, czy jest dobra? Trudno, sprawa rozstrzygnięta. Pikniku musimy się wyrzec. Sęczykowscy będą się nudzić i nic na to nie poradzę.

— Zawieziemy ich na sawanny — zaproponowała pocieszająco Janeczka. — Potem na pewno będzie im bardzo przyjemnie, jak wrócimy do domu.

Pół godziny było jeszcze potrzebne na posprzątanie i likwidację sali jadalnej na ugorze. Pawełek dla pewności wylał na popiół wiadro wody. Arabskie dzieci rozeszły się z ociąganiem i wyraźnym żalem.

Państwo Chabrowiczowie zamierzali wrócić do kwestii tajemniczej lampy, która intrygowała ich niezmiernie, ale okazało się to niemożliwe. Jako pierwsza zapukała Węgierka, zaraz po niej pan Kawalkiewicz, potem przyleciał pan Zajączkowski,

mieszkający po drugiej stronie ugoru, po nim nadjechali pan Krzak z panem Rogalińskim, państwo Zwijkowie i państwo Ostrowscy. Wszyscy chcieli wiedzieć, co oznaczał niezwykle wybryk państwa Chabrowiczów, którzy wynieśli się z domu w szczerze pole. Wieść o rozpoczęciu przez nich koczowniczego trybu życia zdążyła dotrzeć do wszystkich osiedli na wszystkich krańcach miasta.

Ocaleni dzięki temu przed indagacjami Janeczka i Pawełek zyskali chwilę spokoju. Podparłszy się łokciem na stole, Pawełek melancholijnie wpatrywał się w dwie lampy. Janeczka rozsiadła się wygodnie na jego łóżku, opierając plecy o ścianę.

— Że on jest nam wdzięczny, to ja doskonale rozumiem — oznajmiła cierpko. — Od nas dowiedział się o tym z okiem, a o nim nie dowiedział się nikt. Ale poza tym nie rozumiem nic.

— Przez nas zamknęli całą szajkę — rozważał Pawełek w zadumie. — Przedsiębiorstwo mu się rozleciało, też mi powód do wdzięczności...

— Ale on z tego wyszedł nietknięty.

— A przecież doskonale wie, że to właśnie my możemy o nim powiedzieć. Powinien nas pozabijać, a zamiast tego przysyła nam prezenty...

Janeczka spojrzała na niego, na moment znieruchomiała, a potem usiadła prosto.

— Aaaa...! Czeka! Zaczynam rozumieć!

Pawełek łypnął na nią okiem.

— No?

— No przecież teraz, kiedy dostaliśmy od niego prezent, nie będziemy mogli powiedzieć ani słowa!

Pawełek oderwał łokcie od pudła.

— Znaczy, co to ma być? Łapówka?

— Nie. Czeka. Zaczynam rozumieć, ale nie umiem ci tego powiedzieć. To nie jest łapówka, bo on przecież niczego od nas nie chciał. To jest... to jest takie coś, że on dziękuje za przysługę i doskonale wie, że to już koniec i nic więcej nie będzie. No, czy ja wiem, zaprzyjaźnił się z nami. Proponuje, żebyśmy się też z nim zaprzyjaźnili...

— Mam się przyjaźnić ze złodziejem?! — oburzył się Pawełek.

Janeczka znów rozmyślała przez chwilę, kręcąc głową.

— Nie, jeszcze nie tak. To jest jakieś takie... No, był jeden etap i już się skończył. W tym etapie wyświadczyliśmy mu przysługę. Kropka. Teraz możemy robić, co chcemy, to już będzie drugi etap i w tym drugim etapie on może być z nami zaprzyjaźniony albo może być naszym wrogiem. Do niczego nas nie namawia, ale proponuje zaprzyjaźnienie. Rozumiesz, to jest trochę skomplikowane, ale tak to czuję. To nie jest łapówka na przyszłość, tylko podziękowanie do tyłu.

— Znaczy, teraz możemy gadać albo nie, a on da nam drugi prezent albo nam łeb ukreći...?

— Nie — rzekła stanowczo Janeczka po kolejnym namyśle. — Ani nam nie da więcej prezentu, ani nam łba nie ukreći. Dlatego wysłał żonę...

W głębokim skupieniu Pawełek rozważał słowa siostry. Niezwykły takt arabskiego herszta szajki, który do pertraktacji z nimi wysłał osobę łagodną i neutralną, przemawiał jakoś i do niego. Czuł, że Janeczka ma rację.

Zarazem zaczęły mu chodzić po głowie jakieś niejasne wrażenia i przypuszczenia, których nie umiał sprecyzować. Spojrzał nagle na lampę, sięgnął po nią przez pudło i unosił ją wysoko w górę.

— Spójrz na to dno — polecił. — Poświeć latarką. Janeczka ześlizgnęła się z łóżka i przykucnęła z latarką w dłoni. Przez chwilę przyglądała się pilnie.

— Jest! Takie samo...!

— W takim razie trudno, będziesz trzymać. Przerysuję i to. Wiedziałem, że w tym

coś powinno być!

— No, ale przecież skarby już rozwaliłeś...?

— A kto ich tam wie, czy tych skarbów nie ma tu więcej. I niekoniecznie takie mineralne, mogą być różne...

Państwo Chabrowiczowie pozbyli się gości, kiedy dzieci już spały, omówili zatem sprawę lampy we własnym zakresie. Pan Roman poznał już nieco arabskie obyczaje, ale niewiele mu ta znajomość pomogła.

— Arab daje prezent albo wtedy, kiedy się musi za coś zrewanżować, albo kiedy oczekuje czegoś w zamian — rzekł w zadumie. — Ale zdarza się, że daje tak sobie, bez niczego. Jeżeli ten ofiarodawca będzie się tu kręcił w pobliżu, to znaczy, że spodziewa się wzajemnego prezentu. Coś wymyślimy. Lampa jest rzeczywiście piękna, ale myślę, że wystarczy za nią takie duże, cepeliowskie pudełko z kluczykiem. Ewentualnie także talerz... Wielkiego problemu nie widzę.

— Ja bym na wszelki wypadek spytała Hakima, co o tym myśli — zaproponowała pani Krystyna.

— Dobry pomysł, Hakima możemy zapytać. Przyjdzie przecież na ten proszony obiad bez pikniku.

* * *

Państwo Sęczykowscy przyjechali koło południa. Zostali zawiezieni do wodospadu i obwiezieni po mieście i okolicach. Wrócili krótko przed obiadem i zaraz potem pojawił się pan Hakim.

Pani Sęczykowska chichotała tak, że łzy płynęły jej z oczu, ponieważ państwo Chabrowiczowie opowiedzieli o swoich próbach piknikowych. Przy deserze pan Roman przypomniał sobie o lampie i poruszył tę sprawę.

Na polecenie pani Krystyny Pawełek przyniósł lampę i zaprezentował wszystkim. Pan Hakim wysłuchał relacji o wydarzeniu, pomyślał chwilę, uśmiechnął się pod nosem i poparł zdanie pana Romana. Nie ma sprawy. Jeżeli Arab będzie się tu kręcił, da mu się prezent wzajemnie, a jeżeli nie, to nie.

Janeczka i Pawełek odetchnęli z ulgą i czym prędzej zabrali lampę z powrotem do swojego pokoju. Pani Krystyna z kolei pokazała państwu Sęczykowskim uzbierane w kamieniołomie ametysty i wobec sensacyjnego wydarzenia sprawa lampy ostatecznie poszła w zapomnienie.

Porzuciwszy towarzystwo, Janeczka i Pawełek usunęli się do pokoju Pawełka. Aż do jutra był to teraz ich wspólny pokój, ponieważ goście zostali ulokowani w pokoju Janeczki. Otworzyli okno i zapalili obie lampy, z desperacką nadzieją, że może dzięki temu coś im przyjdzie do głowy. Tajemnicze znaki, wydrapane na dnie obu lamp, nie dawały im spokoju.

— Rany, może on chce wejść z nami do spółki? — powiedział Pawełek z rozpaczą. — I tym sposobem nas namawia? Szukajmy tego skarbu razem, powiada...

Janeczka skrzywiła się z niechęcią.

— Nie wiem, dlaczego nie miałyby szukać sam. Chyba mu łatwiej, nie? Jest miejscowy.

— Skąd wiesz, czy łatwiej? Może do tego potrzebny jest Chaber?

— Chaber? A wiesz, że to możliwe... Albo może on myśli, że my wiemy coś więcej...?

— Czekaj, a może do tego potrzebne są obie lampy razem? Jeden mały znaczek jest troszeczkę inny, popatrz...

Obydwoje pochylili się nad dwiema kartkami papieru, na których Pawełek

przerysował znaki z dna lamp.

— To jest pierwsza lampa, a to druga. Może się powinno jakoś razem zestawić...?

Głowili się ze strasliwym wysiłkiem nad zagadką, kiedy do ich pokoju ktoś zapukał i wszedł pan Hakim.

— Mówicie po francusku, prawda? — spytał już w progu.

— Mówimy, ale powoli — odparł Pawełek. — I nie bardzo dobrze.

— Nic nie szkodzi. Czy mogę wejść?

— Proszę bardzo — powiedziała Janeczka odrobinę nieufnie i zrobiła mu miejsce przy pudle. — Niech pan usiądzie na łóżku, bo krzesła są w salonie. Nie mamy więcej krzesel.

Pan Hakim usiadł na łóżku.

— Chcę z wami porozmawiać — rzekł, błyskając wesoło czarnymi oczami.

— O czym? — zainteresował się podejrzliwie Pawełek.

— O tym — odparł pan Hakim i wskazał lampę. — Powiedzcie mi dokładnie, ale bardzo dokładnie, co mówiła ta kobieta. Żona tego człowieka, który dał wam prezent. Powtórzcie każde słowo.

Janeczka i Pawełek popatrzyli na siebie. Nie mieli najmniejszego zamiaru powtarzać słów o wyświadczeniu przysługi. Dotychczas udawało im się je pomijać.

Janeczka zdecydowała się wziąć na siebie ciężar ukrycia kawałka prawdy.

— Ta pani powiedziała: „to dla was” — zaczęła ostrożnie i z namysłem. — „Pamiętka. Podarunek”. I potem powiedziała, że to od jej męża. Powiedziała: „on wie, że wy to kochacie”. I jeszcze raz powiedziała, że to pamiętka i prezent.

Pawełek przezornie milczał. — 1

— I nie byliście zdziwieni? — spytał pan Hakim, uśmiechając się wyraźniej.

— Byliśmy strasliwie zdziwieni — przyznała grzecznie Janeczka. — Bardzo zdziwieni. Kompletnie zdziwieni.

— Czym? Jej słowami?

— Wszystko razem.

— Ja was pytam, czy nie byliście zdziwieni tym, co ona powiedziała. Że jej mąż wie, że wy to kochacie. Czy nie pytaliście siebie, was samych, skąd on wie, że wy to kochacie?

Janeczka i Pawełek przez chwilę upewniali się wzajemnie, czy dobrze rozumieją pana Hakima.

— Rany, faktycznie, skąd jej coś takiego przyszło do głowy? — powiedział po polsku zdezorientowany Pawełek.

— No więc tak, byliśmy strasliwie zdziwieni — powtórzyła po francusku Janeczka, ponieważ brakowało jej innych słów. — Nie wiemy, dlaczego ona to powiedziała. Pan wie?

— Wiem — odparł pan Hakim i roześmiał się. — Rozmawiałem już z tą bandą złodziei. Oni widzieli, jak ukradliście im lampę.

— Co?! — oburzył się Pawełek. — My ukradliśmy im lampę?!

— To nie to! — zaprotestowała równocześnie Janeczka z wielką gwałtownością. — Oni ukradli naszą lampę!

— Oni ukradli waszą lampę, a wy ukradliście ich lampę.

— Ależ nie! To była nasza lampa!

— Wasza lampa znajdowała się w zupełnie innym miejscu. Ukradliście ich lampę. Oni to widzieli, ale nic nie mówił i...

Janeczka i Pawełek poczuli się jakby z lekka ogłuszeni. Zarazem przyszło im na myśl, że może źle się rozumieją wzajemnie. Zażądali powtórzenia. Pan Hakim cierpliwie powtórzył wszystko to samo.

— Rany, nic z tego nie rozumiem — powiedział śmiertelnie zaskoczony Pawełek

po polsku. — Znaczy, on mówi, że to nie była nasza lampa, tylko jakaś cudza? I myśmy ją ukradli, tak? Ale przecież... Przecież Chaber nas tam doprowadził!

— Chaber nas doprowadził do złodzieja z krzywym okiem — przypomniała strapiona Janeczka. — Na drugi dzień już trafiliśmy sami.

— Ale znalazł lampę!

— I pokazał pokój, gdzie leżały różne rzeczy... Czekaj! Zwróciła się do pana Hakima i spytała po francusku:

— Tam, razem z lampą, było dużo rzeczy. Czy oni ukradli te wszystkie rzeczy!

Pan Hakim kiwnął głową. Wciąż wydawał się nadzwyczajnie rozweselony.

— Tak, ale dużo wcześniej. To były rzeczy ze starych kradzieży.

— No tak, sam widzisz, pies nas doprowadził do tego wszystkiego, co na pewno było jeszcze czuć naszymi. I tam była lampa. Taka sama jak nasza i pewnie identycznie śmierdziała. Mówił, że dookoła jest pełno ludzi, nie? Widzieli, jak włączymy...

— Jak to?! — wrzasnął Pawełek z bezgraniczną urazą. — I rozpoznali nas?! W przebraniu?!

Obydwoje równocześnie zwrócili się do pana Hakima, który ciekawie przysłuchiwał się tym wstawkom po polsku.

— Czy oni nas poznali? Oni wiedzieli, że to my?

— Z daleka nie, ale z bliska tak — odparł pan Hakim i znów się roześmiał. — Macie niebieskie oczy. Tu nikt nie ma niebieskich oczu. I macie psa. Tu nikt nie ma psa.

— O rrrrrany...! — jęknął Pawełek.

— I co teraz? — spytała niespokojnie Janeczka.

— Nic. Oni byli najpierw tak zdumieni, że nic nie powiedzieli. A potem zrozumieli, że tak bardzo kochacie lampy i tak bardzo chcecie mieć lampę, że musieliście ją ukraść. Oni to rozumieją i nie mają pretensji. Nie wiedzieli, że waszą lampę ukradziono, bo ukradł ją inny złodziej, ten, który chował różne rzeczy w kamieniołomie. Był to pierwszy wypadek, że ktoś z Europy coś im ukradł i są nawet dumni z tego.

Pan Hakim znów się roześmiał. Janeczka i Pawełek nie byli w stanie zebrać myśli.

— Monstrualna komplikacja — powiedziała Janeczka, sama nie wiedząc, w jakim języku to mówi.

— I dlatego podejrzewam, że tę lampę przysłał wam ktoś z grupy złodziei — podjął pan Hakim. — Być może nawet ten szef, który nie został zatrzymany. Czy wiecie, kto to jest? Kim jest ten człowiek, który wam to dał? Możecie go rozpoznać?

Zanim zdążyli uświadomić sobie, co robią, i wyłowić z chaosu myśli jakąś rozsądną decyzję, w pierwszym odruchu odpowiedzieli przecząco. Potem spojrzeli na siebie i jeszcze raz potrząsnęli głowami.

— Nie, my go nie znamy — powiedziała stanowczo Janeczka.

— Tak właśnie myślałem. Możliwe, że to był ten, który mieszka w Mahdii. Nic mu nie możemy udowodnić. W każdym razie ta lampa nie była ukradziona i możecie ją zachować. Powiedzmy, że dokonaliście zamiany jednej lampy na drugą.

Najwyraźniej w świecie pan Hakim bawił się doskonale. Niesamowita historia okradzenia arabskich złodziei przez europejskie dzieci podobała mu się tak, że co chwila zaczynał się śmiać. Nawet niepowodzenie w odnalezieniu szefa szajki nie psuło mu nadzwyczaj dobrego humoru.

Pawełek otrząsnął się nagle z okropnego oszołomienia. Jakaś myśl przedarła się przez beznadziejny mętlik, wywołany nieoczekiwaną informacją.

— Zaraz, czekaj no — powiedział po polsku, wciąż zdumiony i nieco ogłuszony.

— Myśmy im rąbnęli inną lampę? Ale przecież ona ma takie same znaki jak tamta

nasza! Zdążyłem przerysować! To co to znaczy? Oni sobie na wszystkich lampach powydrapywali wiadomości o skarbach?!

Janeczka również przecknęła się nagle. Spojrzała na brata, na dwie kartki papieru i na pana Hakima.

— Słuchaj, on umie czytać po arabsku — powiedziała pośpiesznie. — Mamy to na papierze. Nie powiemy mu, z czego to jest, powiemy, że przywieźliśmy z Polski. No? Pawełek wahał się tylko jedną sekundę.

— Ryzyk–fizyk! Niech czyta...

— Czy pan umie to przeczytać? — spytała bez dodatkowych wstępów Janeczka, podsuwając panu Hakimowi dwie kartki papieru. — Co tu jest napisane? To po arabsku, prawda?

Pan Hakim z ciekawością pochylił się nad pudłem.

— Lampa oliwna o pojemności jedenaście uncji — przeczytał. — Zrobiona przez Ahmeda Hammani w Algierze. A tutaj to samo, tylko o pojemności trzynaście uncji. Zrobiona przez Ahmeda Hammani z Algieru. To właśnie wasze lampy. I co?

— Nic — powiedział słabo Pawełek po bardzo długiej chwili milczenia. — Byliśmy tylko ciekawi, jak się czyta takie arabskie pismo...

Wychodząc pan Hakim z własnej inicjatywy obiecał im uroczyście, że nic nikomu o tym nie powie. Dozgonnie zachowa absolutną tajemnicę. Wyświadczyli mu taką wielką przysługę i tak bardzo dopomogli w sukcesie, że coś im się za to od niego należy...

* * *

Pani Kawałkiewiczowa wtargnęła do nich wieczorem zaraz następnego dnia po swoim przyjeździe. Za rękę wlokła pana Kawałkiewicza.

— Słuchajcie no, moi kochani, co tu u was lata po murze? — spytała gromko i surowo.

Pani Krystyna zmywała w kuchni po kolacji, pan Roman wkręcał nowy film do aparatu, Janeczka rozkładała po całej kanapie motki kolorowej wełny, usiłując dobrać sobie ulubiony zestaw kolorystyczny, Pawełek z wysiłkiem próbował czytać na głos francuski komiks. Wszyscy oderwali się od swoich zajęć i odwrócili w stronę państwa Kawałkiewiczów.

— No? — powtórzyła ostrzegawczo pani Kawałkiewiczowa. — Pytam się was! Co tu u was lata po murze?

— Po jakim murze? — spytał zdumiony pan Roman.

— Po waszym! Po ogrodzeniu!

— Przede wszystkim siadajcie i powiedzcie, czego się napijecie! — zawołała z kuchni pani Krystyna. — Ja już kończę! Kawy, herbaty, wina?

— Wina! — ryknęła pani Kawałkiewiczowa. — Podobno w domu wroga nie wolno tknąć pożywienia, ale ja tknę! Siadaj i nie myśl, że mi uciekniesz!

Siłą wbiła w fotel pana Kawałkiewicza, który nieśmiało próbował protestować.

— Ależ Violetko... — mamrotał z zakłopotaniem. — Daj spokój...

— Nie dam spokoju, póki mi nie powiedzą, co latało po murze! — zaparła się pani Kawałkiewiczowa i z impetem padła na drugi fotel. — Nie dam z siebie głupiej zrobić! Śledztwo prowadzę!

— Słowa jednego nie rozumiem — oświadczył pan Roman i odłożył aparat fotograficzny na półkę w ściennej szafie. — Po jakim murze, jakiego domu wroga? Jakie śledztwo? Co się stało?

Janeczkę tknęło jakieś złe przecucie. Pośpiesznie zgarnęła na gromadę

porozkładane kłębki wełny. Pani Krystyna, nie kończąc zmywania, przyniosła do pokoju na tacy butelkę wina, wodę mineralną, szklanki i korkociąg.

— Niech ktoś to otworzy — poleciła. — Co się stało, bo nic nie wiemy? Ja też nie rozumiem, co mówisz.

— Nie widzę, żeby coś po murze latało — powiedział równocześnie pan Roman, z zaciekawieniem wyglądając przez okno. — Pawełek, ty coś widzisz?

— Ale nie teraz! — zawołała niecierpliwie pani Kawalkiewiczowa i pomachała ręką. — Teraz to ja sama widzę, że nic nie lata! Jakiś czas temu latało!

— Co latało? — zainteresowała się pani Krystyna.

— To ja was pytam! Ta moja niedojda ukochana twierdzi, że po waszym murze latało i ja chcę wiedzieć co!

— Ależ Violetko... — zamamrotał coraz bardziej zakłopotany pan Kawalkiewicz.

— Cicho bądź! Ledwo zdążyłam przyjechać, już mnie przyjaciółki i przyjaciele poinformowali, że mam męża podrywacza! Ciebie tak podrywa, ciebie!

Pokazała palcem panią Krystynę. Pani Krystyna zdumiała się śmiertelnie i wytrzeszczyła oczy na pana Kawalkiewicza.

— Mnie? — spytała prawie z przerażeniem. — Ależ ja o tym nic nie wiem!

— Nie szkodzi, oni wiedzą! Podobno nic innego nie robi, tylko cię podgląda przez ogrodzenie! Na mury się wdrapuje, romans na dwadzieścia cztery fajerki! Pytam go, cóżeś ty, kochanie moje, na parkanie Chabrowiczów robił, a on powiada, że mu coś latało!

Francuski komiks wypadł Pawełkowi z rąk. Janeczka wymknęła się zza stołu, gubiąc motki wełny. Pan Roman i pani Krystyna w osłupieniu wpatrywali się w panią Kawalkiewiczowa. Pan Kawalkiewicz westchnął ciężko, wziął ze stołu butelkę wina i zaczął wkręcać korkociąg.

— No i co?! — ryknęła gromko pani Kawalkiewiczowa. — Co wam tak mowę odjęło? Latało po ogrodzeniu czy nie? Bo że łąził po murach, to się nawet nie wypiera!

— Naprawdę łąziłeś po murach? — spytał słabo pan Roman, tak zaskoczony, że sam nie był pewien, o co pyta.

— No owszem — przyznał cichutko pan Kawalkiewicz. — Raz jeden... Nie łąziłem, wszedłem na krzesło...

— No proszę! — zagrzmiała jego żona. — Nie mówiłam? Już się rozeszło, że dzień w dzień po krzesłach, po drabinach lata, na wasze ogrodzenie wchodzi i do ogródka kukuje! Co tu macie w tym ogródku takiego...? Już się dowiedziałam, że się w Chabrowiczowej zakochał na śmierć i życie, koniec pieśni, ze mną się będzie rozwodził! Jeszcze bym chciała wiedzieć, co Chabrowicz na to?!

Pan Chabrowicz jęknął i padł na kanapę. Pani Krystyna zirytowała się okropnie.

— Co za kretyństwo jakieś, kto te brednie opowiada?! Po co, na litość boską, włąziłeś na to krzesło?! Trzeba było wejść zwyczajnie, przez furtkę!

— Ale ja wcale nie chciałem wchodzić... — zaszemrał pan Kawalkiewicz i zaczął wyciągać korek.

— To po co włąziłeś na krzesło? — wytknęła mu żona. — To samo mówię! Dopytać się nie mogę, ciągle mówi, że coś po murze latało, no więc w końcu do was przyszedłam, bo powinniście wiedzieć, co po waszym murze lata!

— Jeden raz tylko... — stęknął pan Kawalkiewicz i wyciągnął korek z butelki.

— Co jeden raz? — spytała pani Krystyna.

Pan Roman odzyskał równowagę, wyjął panu Kawalkiewiczowi z rąk otwartą butelkę wina i ponalewał do szklanek.

— Wypraszam sobie podrywanie mojej żony i będę się z tobą pojedykował — oznajmił. — Ale zanim mnie w tym pojedyku zabijesz, też chciałbym wiedzieć, co

po tym naszym murze latało. Jakieś zwierzę...?

— No mówże! — krzyknęła pani Kawalkiewiczowa. — Co latało?!

— Nie wiem — wyznał nieśmiało pan Kawalkiewicz. — Mam wrażenie, że ogień...

Janeczka i Pawełek wymienili spojrzenia. Siedzieli w kucki pod drzwiami do przedpokoju, niepewni, czy nie należałoby od razu uciec z domu, żeby przeczekać najgorsze w bezpiecznym oddaleniu. Pani Kawalkiewiczowa wydała im się nagle gorsza niż trzęsienie ziemi.

Przyciśnięty zgodnie przez wszystkich, zakłopotany straszliwie pan Kawalkiewicz wyznał z oporem, że po murze leciał ogień. Wychodził akurat, ciemno było...

— Gdzieżeś wychodził po nocy? — przerwała podejrzliwie pani Kawalkiewiczowa. — Ja tu zaraz przy okazji zrobię konfrontację!

— Do Rogalińskiego — wyszeptał jej mąż. — Wszyscy tam już byli...

— Byliście u Rogalińskiego?

— Oczywiście — powiedziała pani Krystyna. — Zaraz. Czy to było to przyjęcie urodzinowe?

— Tak... Właśnie...

— To jak Kawalkiewicz przyszedł, to już wszyscy byli — oświadczył stanowczo pan Roman. — Kawalkiewicz przyszedł ostatni.

— I od razu zaczął pytać o Więckowskiego — dodała pani Krystyna.

— No właśnie... Miał mi pożyczyć dętkę...

— No dobrze, przywiozłam dętki — wtrąciła znów pani Kawalkiewiczowa. — I co dalej?

— No i zobaczyłem... Ogień leciał po murze, w dwie strony... Po wierzchu... Nieduży taki płomynek... Nazajutrz chciałem zobaczyć, co to było i dlatego zajrzałem. Musiałem wejść na krzesło...

— No i co to było? — zainteresował się pan Roman.

— Nie wiem. Nic nie zobaczyłem...

— No proszę — huknęła pani Kawalkiewiczowa. — Nic nie było, z czego wynika, że podglądał Chabrowiczową! Może byście tak się zastanowili, co to za ogień u was po murze latają! Wasze zdrowie!

— Nie nasze, tylko twoje — poprawiła pani Krystyna, podnosząc szklanę. — Pojęcia nie mam, co tam mogło latać, ale to znaczy, że co? Ktoś go zobaczył, jak wlaź na to krzesło, i od razu wyszły z tego takie plotki...?

— A jak?!

— Nie do wiary...!

— To jeszcze nie zauważyłaś, że tu wszyscy nic innego nie mają do roboty, tylko plotkują, aż powietrze świszczuje? — zdziwiła się pani Kawalkiewiczowa. — Ja i tak zdziwiona jestem, że tak mało usłyszałam! Zeszłym razem to on miał cały harem!

Pani Krystyna zaczęła się śmiać.

— Ależ nie było czasu! Takie sensacje tu wybuchały jedna za drugą, że nikt nie miał głowy do plotek! Jak to, mąż ci nic nie powiedział?

— Nie zdążył, biedactwo moje, bo go tym ogrodzeniem zajęłam. Dobrze wiem, że to plotki, ale strzeżonego pan Bóg strzeże! To co to było w końcu, to coś? Wy też nie wiecie?

Pan Chabrowicz, tknięty z nagłą jakimś niejasnym podejrzeniem, spojrzął na swoje dzieci. Dzieci, wzrokiem pełnym niewinnej zadumy, patrzyły gdzieś w dal za oknem. Podejrzenie pana Chabrowicza gwałtownie wzrosło.

— Może to są jakieś zjawiska atmosferyczne? — powiedziała pani Krystyna. — Podobno gdzieś tam zdarzają się takie rzeczy, wyładowania elektryczne czy jakieś gazy...

— Gazy to na bagnach, moja kochana, a nie w tym suchym jak pieprz Tiarecie! Możecie tam nasypali jakiejś trucizny na karaluchy? Ona się nieźle pali!

— Nic nie sypałam. Roman, może ty...?

Pan Chabrowicz milczał przez długą chwilę, teraz poruszył się nagle.

— Nikt nic nie sypał — rzekł stanowczo, patrząc okropnym wzrokiem na Pawełka.

— To mogło być wyładowanie elektryczne. Może tam leżał jakiś drut, który potem spadł. Dziwię się bardzo, że ci opowiadali takie bzdety, zamiast cię zawiadomić od pierwszej chwili o skarbach Sezamu, które tu zostały odkryte.

— O skarbach Sezamu to wy mi właśnie opowiecie, bo podobno wicie najwięcej. Prawdę mówiąc, specjalnie po to do was przyleciałam...

Państwo Kawalkiewiczowie nie siedzieli zbyt długo. Wysłuchali opowieści, obejrzelni ametysty i poszli do siebie. Pan Roman zdążył dopaść swoich dzieci, zanim poszły spać.

Złapał ich w chwili, kiedy się wymieniali na drodze do łazienki.

— No, bez żartów! — powiedział. — Co to latało po tym murze?

— O rany, teraz ty zaczynasz? — skrzywił się Pawełek. — Będziesz się z matką rozwodził?

— Może pan Kawalkiewicz miał takie złudzenie optyczne? — podsunęła uczynnie Janeczka.

— Kochane dzieci, przecież my was trochę znamy! — westchnęła pani Krystyna.

— Sami rozumiecie, że nie ma tu miejsca na żadne wątpliwości.

— Jeżeli wy nie wiecie, co to był za ogień, to ja jestem kardynał hiszpański — dodał twardo pan Roman. — W końcu nie miało to chyba żadnych złych skutków, więc możecie się przyznać. Nie ukrywam, że jestem ciekaw.

Janeczka i Pawełek łypnęli na siebie okiem. Myśl o skutkach niewinnego płomyczka wzbudziła im dreszcze na plecach.

— A gdyby się okazało... — zaczął Pawełek bardzo ostrożnie. — No, gdyby się okazało...

— No dobrze — włączyła się nagle Janeczka. — Ale jak wam powiemy wszystko, to nie zrezygnujecie z wyjazdu na pustynię?

— Co ma piernik do wiatraka? — zdziwił się pan Roman.

— Chcesz powiedzieć, że to jednak miało jakieś złe skutki? — zaniepokoiła się pani Krystyna.

— To miało takie skutki, że hej! — oznajmił z determinacją Pawełek. — Każdy by chciał o tym usłyszeć. Powiemy wam, chociaż normalny człowiek wypierałby się w żywe kamienie, ale pustynia musi być!

— Zaczynam mieć podejrzenia coraz okropniejsze — mruknął pan Roman. — Nie powiecie chyba, że to wy rozwaliliście kamieniołom?

Janeczka i Pawełek w kamiennym milczeniu patrzyli w dal.

— Jezus Maria! — przeraziła się pani Krystyna. — Dzieci...!

Pan Roman podjął decyzję.

— Na pustynię i tak mieliśmy jechać. Już sobie załatwiłem wolny dzień. Mam nadzieję, że nie planujecie wysadzenia w powietrze całej reszty Algierii?

— Nie — zapewniła go Janeczka. — Uważamy, że nie trzeba.

— W porządku. Wobec tego na pustynię pojedziemy bez względu na wasze szaleństwo. Słucham, co to było?

— Usiądź sobie, bo to może trochę potrwać — poradziła Janeczka i ulokowała się wygodnie w fotelu. — Trudno, niech będzie, powiemy wam wszystko...

* * *

Samolot schodził do lądowania na Okęciu.

— Z celnikami sami będziecie rozmawiać — powiedziała zdenerwowana nieco pani Krystyna. — Ja do waszego bagażu w ogóle się nie przyznam. Możliwe, że i do was w ogóle się nie przyznam.

— Możemy zabrać nawet i twój bagaż — zaofiarował się Pawełek wspaniałomyślnie. — Nam bez różnicy.

— Wcale nie wiem, co gorsze, róże pustynne czy trucizna na karaluchy — zauważyła Janeczka z lekką urazą. — Ale proszę bardzo, możemy powiedzieć, że to wszystko nasze.

— Możemy także powiedzieć, że zapakowaliśmy to w tajemnicy przed tobą — dodał Pawełek łaskawie.

— Proszę uprzejmie — zgodziła się pani Krystyna dość skwapliwie. — Wasza straszliwa przedsiębiorczość napędza mnie nadzieją, że przeniesiecie mnie przez kontrolę celną, jak przez powietrze. Ale do waszych rzeczy naprawdę się nie przyznam!

— A co by było, gdybyśmy im także powiedzieli wszystko o Wąwozie Małym? — szepnął Pawełek Janeczce do ucha.

— Lepiej nie próbuj się tego dowiadywać — odszepnęła Janeczka ostrzegawczo i dodała głośniej: — W Algierze przeszło, to i tu przejdzie. Tu są nasi.

— W Algierze powiedziałaś celnikowi, że mamy owoce do zmywania kuzynki!

— No i cóż takiego, chciałam powiedzieć, że mamy kwiaty na wesele kuzynki. Pomyliłam się trochę, wielkie rzeczy!

— Dobrze mu to zrobiło — zauważył Pawełek, spoglądając przez okno. — Od razu przestał zadawać głupie pytania. O, siadamy!

W hali odpraw celnych zbuntowana pani Krystyna stanęła w oddzielnym ogonku z jedną średnią walizką. Janeczka i Pawełek z dwiema walizkami i wielkim pudłem stanęli w drugim.

— Sami przyjechaliście? — spytał bez wielkiego zdziwienia kontrolujący celnik.

— Tak — odparła Janeczka.

— Nie — powiedział równocześnie Pawełek.

Celnik spojrzał pytająco.

— No więc tak jakby sami, chociaż z mamusią — wyjaśniła Janeczka. — Ale ona powiedziała, że się do nas nie przyzna.

— Może pan na nią w ogóle nie zwracać uwagi — dodał Pawełek. — W walizce ma same zwyczajne rzeczy. Całą resztę mamy my.

— A można wiedzieć, co to jest ta reszta?

— Proszę bardzo. Jadalne żółędzie, dwie róże pustynne, muszle z plaży, jednego suszonego skorpiona, korę z dębu korkowego, cztery gatunki ostu, dwie lampy oliwne, strąki z drzewa cierniowego, skóry z jakiegoś barana albo może kozy, jeden gliniany wazon, jedną miskę...

— Truciznę na karaluchy też mamy — przypomniał Pawełek.

— A tak. I jeszcze minerały z kamieniołomu, bawełnę akryliczną błyszczącą, dwa kawałki kaktusa, papier toaletowy...

Celnik przestał słuchać już przy strąkach z drzewa cierniowego. Dostrzegł nagle grzecznie siedzącego przy ich nogach psa. Spojrzał na niego z nagłym zainteresowaniem, wychylił się nawet ze swego fotela, przez chwilę jakby coś sobie przypomniał, po czym uśmiechnął się lekko, machnął ręką, oddał im paszporty i czym prędzej polecił się usunąć, nie zdradzając najmniejszej chęci oglądania któregokolwiek z wymienionych przedmiotów. Pani Krystyna, ze swoją jedną walizką, wzbudziła znacznie więcej podejrzeń. Musiała ją otworzyć i pokazać

zawartość.

Po drugiej stronie czekali już ciotka Monika, wujek Andrzej i Rafał. Rafał, dumny niezmiernie, przyjechał samochodem przyjaciela. Zabrał Pawełka i wszystkie bagaże, wujek Andrzej zabrał swoją żonę, panią Krystynę, Janeczkę i Chabra. Razem dojechali do domu.

— Jak tu zimno! — mówiła z zachwytem pani Krystyna. — Jak tu zielono! Jak tu czysto!

— Afrykańskie słońce padło ci na mózg? — zainteresowała się ciotka Monika.

— Żadne śmieci nie leżą rozwłózione po ulicy! Żadne szmaty nie powiewają dookoła domów! Nikt nigdzie nie siedzi w kucki! I trawa rośnie...!

— Bardzo oryginalne wrażenia przywiozłaś z tej Algierii — stwierdził wujek Andrzej. — Czy przywiozłaś równie oryginalne przedmioty?

— Owszem — powiedziała z satysfakcją Janeczka. — Wszystko wam w domu pokażemy.

— A jak przeszły ametysty? — przypomniała sobie nagle pani Krystyna. — Czyście je ukryli?

— Wcale nie. Powiedzieliśmy, że mamy minerały z kamieniołomu. Nikt ich nie chciał oglądać.

— Ametysty! — wykrzyknęła ciotka Monika. — Cudownie! Ale chyba wolałabym, żebyście przywieźli żarówki! Żarówki można kupić tylko za makulaturę i już nie mamy żadnego zapasu...

— Nie ma sprawy, moje dzieci załatwią to bezproblemowo — uspokoiła ją pani Krystyna. — Moje dzieci załatwią wszystko.

— A właśnie, reszta waszej makulatury leży w piwnicy pod schodami — powiedział wujek Andrzej. — Robiłem tam wczoraj generalne porządki i pozbierałem na kupkę. Na żarówki trzeba będzie jeszcze nieźle dołożyć...

Babcia i dziadek czekali, wyglądając co chwilę na ulicę. Wszyscy chcieli od razu wszystko wiedzieć i wszystko zobaczyć. Pani Krystyna od razu zaczęła dzwonić do osób, dla których przywiozła listy, i część tych osób przyjechała jeszcze tego samego wieczora. Rafał uparł się spróbować jadalnych żołądździ i w kuchni zaczęły się rozlegać straszliwe huki, ponieważ żołądździe piekło się tak samo jak kasztany. Ciotka Monika, mimo gadania o żarówkach, nie mogła oderwać się od garści ametystów.

Dopiero nazajutrz można było wrócić do normalnego życia. Szkoła rozpoczynała się dopiero za trzy dni i w ciągu tych trzech dni Janeczka i Pawełek dla świętego spokoju postanowili załatwić także sprawę makulatury i żarówek. Pawełek zszedł do piwnicy.

— Okazuje się, że nam tu trochę tego zleciało! — zawołał z dołu. — Niedużo co prawda, ale też się przyda!

— Może znów trafimy na jakąś informację o skarbach — powiedziała zgryźliwie przechylona przez poręcz Janeczka.

Pawełek wyszedł na górę, niosąc w rękach mizerny plik papierów.

— Dlaczego nie? Widzę, że zleciały właśnie listy. O, znaczek! Trzeba wyciąć...

— Dołóż do tych gazet i przynieś nożyczki — poleciła Janeczka i zaczęła przeglądać resztki z piwnicy.

Kiedy Pawełek wrócił z nożyczkami, ujrzał, iż jego siostra stoi w bezruchu, ze zmarszczonymi brwiami, obracając w rękach kawałek poszarpanej kartki papieru. Zainteresował się.

— Co masz? Znalazłaś nową tajemnicę?

— Przynieś tamten list — powiedziała Janeczka. — Nie jestem pewna, ale coś mi się zdaje...

Pawełek zostawił nożyczki i znów poszedł do swojego pokoju. Nie było go dłużej

chwilę.

— Cud, że zdążyłem — oznajmił. — Matka już to pchała do pralki. Zapomniałem przedtem wyjąć z kieszeni. No? Co tam masz?

— Zdaje się, że resztę listu o skarbach. Trzeba to złożyć razem. Popatrz...

Pawełek poczuł dreszcz emocji. Rozprostował dwa pogniecione skrawki. Ułożyli je na podłodze i przypasowali do doklejonego kawałka, wyjętego ze szczątka koperty. Przystawały do siebie idealnie i pokryte były tym samym, równym, drobnym pismem.

Cały list brzmiał następująco:

Kochana Marysiu!

W ostatniej chwili muszę Cię jeszcze zawiadomić o najważniejszych sprawach. Tu są prawdziwe skarby i powiem Ci, jak je zdobyć. Tę miękką wełnę kupisz na suku wMahdii, potem pojedziesz do Sougeur, tam farbują, widok wprost fenomenalny, wręcz nie do wiary. Do Tiaretu radzę Ci jechać przez Wąwóz Małp, bo inaczej nie zdołasz go zobaczyć. Osiedle jest po lewej stronie drogi na zaporę. Musisz obejrzeć także inne nieprawdopodobne wręcz cuda. Dzielnica bonzów jest tam, gdzie jest ten kamieniołom czy kopalnia żwiru, czy piasku, mieszanina. Czegoś podobnego nie możesz sobie nawet wyobrazić. Okolice zdołasz odwalić bez wielkiego wysiłku w jeden dzień. W czwartek bądź w Mahdii, tam znajdziesz także te tajemnicze przyprawy i bawełnę. Bawełnę! Wiesz, że to są bezcenne rzeczy! Spróbuję Ci narysować planik.

Piszę chaotycznie, bo w pośpiechu. Jutro bardzo wcześnie rano wyjeżdżamy na prom. Nie wiem, gdzie i kiedy się zatrzymamy dłużej. Nie pisz więcej na ten adres, poczekaj na wiadomość. Żywię nadzieję, że ten list cię zastanie i że Twój były mąż go nie zaprzepaści. W końcu będziesz tu tylko tydzień! Ewentualnie możesz pisać na poste restante. Zacznij zaraz. Poczta Główna Toronto. Poczta główna jest wszędzie!

Całuję

Twoja Beata

Janeczka i Pawełek przeczytali tę korespondencję trzy razy. Trwało to dość długo. W końcu podnieśli głowy i popatrzyli na siebie.

— A cóż to za jakaś piekielnie głupia baba! — powiedział z rozgoryczeniem z lekka oszołomiony Pawełek i usiadł na podłodze obok poukładanych strzępków. — W życiu nie widziałem tak idiotycznego listu! Wełna, bawełna i przyprawy...!

Janeczka usiadła obok po turecku.

— Matka też wykrzykiwała, że to skarby — przypomniała w zamyśleniu.

— Ale żeby to jakoś napisała rozumnie i z sensem! Kompletny melanz! I jak kretyńsko podarła...!

— To nie ona podarła. Wygląda na to, że to ten mąż.

— Żeby on pękł!

— I dlatego koperta była zaklejona. Wyjął pewnie ze skrzynki i podarł od razu, specjalnie. Pewnie się rozwodzą.

— Półgłówek. Tyle roboty nam dowalił...! Ja chyba napiszę do tej baby, poczta główna w Toronto! Napiszę jej, co ja o niej myślę!

Janeczka patrzyła przez chwilę na pomstującego i zirytowanego Pawełka. Popatrzyła na poskładany list.

— Głupi jesteś — powiedziała nagle z wielką stanowczością.

Pawełek zamilkł w pół słowa. Z ciężką urazą spojrział na siostrę.

— Jak to...?

— Głupi jesteś jak próchno. Ja bym też napisała do tej baby, żeby jej złożyć podziękowania i inne. takie, wyrazy.

— Zwariowałaś! Chyba że tylko wyrazy... Dużo jest takich wyrazów, które bym jej napisał!

— Toteż mówię, że jesteś głupi. Co z tego, że chodziło o wełnę i przyprawy?

Gdzie byśmy byli bez tych jej przypraw?

— Jak to...?

— A tak to. Przecież tylko przez ten jej list pojechaliśmy do Algierii! I w końcu znaleźliśmy skarby, nie?

Pawełek zreflektował się nagle i zamilkł. Rzeczywiście. Przez głupią pomyłkę w interpretacji listu nie dość, że obejrzelibyśmy zupełnie nadzwyczajny kawałek świata, to jeszcze przywieźli skarby wręcz nieocenione. Taki wielki, zasuszony skorpion...! Róże pustynne...! Kawał kory z dębu korkowego, który za nic w świecie nie chce tonąć w żadnej wodzie...!

Ochłonął i wyzbył się oburzenia.

— No dobra, niech ci będzie... Możliwe, że masz rację. No, owszem...

— Jakby napisała ten list rozumnie, nic by nam do głowy nie przyszło i nigdzie byśmy nie pojechali — dodała z przekonaniem Janeczka. — Nie wiem, jak ty, ale ja bym nie odżałowała do końca życia. Pawełek wyraźnie poczuł, że też by nie odżałował.

— Niech będzie, zgadzam się. Jakby ten mąż był normalny i nie szarpał listów żony, to też... Rzeczywiście... Dobra, nie będę się więcej czepiał!

Janeczka zmieniła pozycję, oparła się plecami o ścianę i wyciągnęła nogi. Popatrzyła gdzieś w dal.

— Zdecydowałam się — oznajmiła. — Zostanę geologiem. Będę się zajmowała szukaniem minerałów. Jako pierwszą rozkopię tę górę na drodze do Sougeur.

— Myślisz, że ona doczeka...?

— Z tego, co pan Krzak mówił, to mam jeszcze z pięćdziesiąt lat czasu. A nawet jeśli nie, nic nie szkoda, na świecie jest bardzo dużo innych rzeczy do rozkopywania. Pojadę wszędzie.

Pawełek zamyślił się na długą chwilę.

— Z tego wynika, że ja też muszę sobie znaleźć coś takiego, co będzie międzynarodowe. Jak to pan Krzak powiedział do pana Rogalińskiego? Że umie kreślić we wszystkich językach świata...? Ja też sobie znajdę coś takiego, co się będzie nadawało do wszystkich języków świata. Jeszcze nie wiem co, ale się zastanowię.

— Ale na wszelki wypadek jakichś obcych języków też się musimy nauczyć.

— A czy ja się zapieram, że nie? Mogę się uczyć, to się nawet całkiem nieźle przydaje. Rany, pojechaliśmy po skarby, a wychodzi na to, że będziemy mieli teraz i dwadzieścia razy więcej roboty!

Wspomniał straszliwą dźwignię w Wąwozie Małp, westchnął ciężko i dodał ponuro:

— No trudno, niech będzie. Ostatecznie, mogę się uczyć nawet w szkole...

Cykl książek o Janeczce i Pawelku rozpoczyna się od „Nawiedzonego domu”. „Wielkie zasługi” stanowią drugi tom. (Miejsca, w których toczy się akcja, są prawdziwe, niektóre wydarzenia również przytrafiły się w rzeczywistości, a najprawdziwszy ze wszystkiego jest Chaber).

Istnieją może na świecie zasługi jeszcze większe, ale z pewnością żadne nie dorównują temu, co potrafi Chaber, najszlachetniejsza postać ze wszystkich moich książek, żadna ludzka istota nawet się do niego nie umywa i do pięt mu nie sięga.

W następnych miesiącach swego życia przeżywał przygody jeszcze wspanialsze i odznaczył się w stopniu wprost niewyobrażalnym!

O niektórych już napisałam, o dalszych napiszę.